



Petra Hůlová

Stacja Tajga

Od dłuższego czasu chciałam napisać książkę o kimś, kto gdzieś wyjedzie i już nigdy nie powróci. We mnie też była taka myśl, pragnienie, by gdzieś wyjechać na zawsze.

Autorka



Petra Hůlová

Stacja Tajga

Przełożył

Piotr Godlewski



Wydawnictwo
ab

Danowi

Hablund

Hablund przede wszystkim był zachwycony. Te ciągnące się w nieskończoność lasy! Nawet pościelić sobie w przedziale nie chciał, by nie stracić ani kawałeczka tej przesuwanej się za oknem wagonu wspaniałej ciemnej zieleni. Serce biło mu w rytm stukotu kół. Szkoda tylko, że okno było tak zamazane. Wycieranie go od wewnątrz rękawem ani trochę nie pomagało.

Był samoukiem i pieniądze na tę podróż także sam zaoszczędził. Mała, odziedziczona po ojcu fabryczka materiałów opatrunkowych podczas wojny przynosiła przyzwoite zyski. Część pieniędzy zostawił w domu żonie, a za resztę kupił w Kopenhadze bilet pierwszej klasy, w Moskwie zaś sprzęt fotograficzny, żeby nie stracić go już na radzieckiej granicy. Listów polecających, które miały zmiękczyć rosyjskie władze i częściowo choćby uspokoić podejrzliwą tajną policję, miał kilka. Od duńskich komunistów, do których zapisał się parę miesięcy temu, od Towarzystwa Przyjaciół ZSRR, w którym znał dwóch zwariowanych entuzjastów, oraz od stowarzyszenia botaników, którego członkiem był brat jego dziadka. Stosunków panujących w Związku Radzieckim krótko po wojnie nie mógł zlekceważyć. Już i tak był to pomysł szaleńczy.

Pieniądze pozaszywała mu żona pod podszewką różnych części garderoby, coś niecoś miał też w podwójnych podeszwach butów. Na jaką sumę to tam wymieni, nie wiedział. Na wszelki wypadek wziął również latarki, noże, rolkę papieru ściernego, peleryny, siekierki, worek duńskich słodczy, cukierków słodkich i słonych, a wreszcie także wielką paczkę pierwszorzędnego tytoniu. Na grzbiecie kołysał się mu plecak tak wielki, że nawet nie zmieścił się z nim w lustrze, wiszącym w przedpokoju ich kopenhaskiego mieszkania. A przecież tak bardzo chciał zobaczyć, jak się z tym wszystkim prezentuje. Pan podróżnik.

Mariane napięła mu i nagotowała różności, nie zdołał jej tego wyperswadować, chociaż wszystkim przygotowaniom towarzyszyły jej lamenty. Hablund jednak zdecydowanie trwał przy swoim. Musiał wreszcie odetchnąć pełną piersią, nabrać w płuca świeżego powietrza. Choć w Kopenhadze wcale nie było najgorzej, chociaż Danii udało się uniknąć zniszczeń wojennych, powojenna Europa była, jak mówił, pogorzeliiskiem z martwą duszą. Ich nowoczesne mieszkanie, wyposażone w ubikację, ciepłą wodę, centralne ogrzewanie i łazienkę – zdobycze, którymi mogła się poszczycić zaledwie jedna czwarta duńskich domów – zdawało mu się małe, czuł niemal, jak się w nim dusi.

Do miłosnego opętania, które przez parę miesięcy on i Mariane naprawdę ze sobą przeżywali, musiała się przyczynić wojenna depresja. Ale to nie Mariane była powodem jego wyjazdu. Obrączkę wprawdzie tuż przed wyjazdem na dworzec zdjął z palca, włożył do pudełeczka i wrzucił do szuflady, w której trzymał rachunki, ale żonę kochał i kochać nie przestanie.

Choć nie wiozł ze sobą skrzyni pełnej lekarstw ani Biblii, czuł, że wypełnia misję. Gdzieś w głębi duszy wciąż jeszcze się spodziewał, że jednak otrzyma szansę, żeby do końca życia nie budzić się co rano w piżamie, z widokiem na wciąż ten sam piękny żyrandol i z koniecznością udania się do monotonnej i nielubianej pracy, którą uważał za jedno wielkie nudziarstwo. Coś z tych odległych krain niewątpliwie przywiezie. Kiedy to będzie, nie mógł ściśle określić. Jeśli szacował swą wyprawę na trzy miesiące, to wyłącznie dlatego, że jego żona nie zniosłaby myśli, że mogłaby trwać dłużej, a przyjaciele mieliby go za jeszcze większego pomyleńca. Wizę dostał tylko na czterdzieści dwa dni, z tym że być może po

zarejestrowaniu swego pobytu w Rosji uda mu się przedłużyć jej ważność tam na miejscu. Wiz otrzymywanych za pośrednictwem Inturistu na dłuższy okres nie dawano. I tak go Rosjanie wymaglowali. Musiał udokumentować, dokąd jedzie i po co. W końcu jakoś przełknęli zmyślane argumenty i nieistniejące *bumażki*. Bał się, że będą go szpiegować w podróży. Jacyś dwaj ludzie w czerni, którzy w pociągu siadają naprzeciw niego, kryjąc twarze za płachtami gazet. Nikogo takiego jednak albo w ślad za nim nie wysłali, albo on go nie zauważył.

Z Burem, ojcem Kekego Kawarycza, poznał się Hablund zaraz pierwszego dnia, gdy późnym latem czterdziestego ósmego przyjechał do Charynia. W luksusowym przedziale z umywalką i lustrem, będącym zarazem drzwiczkami szafki z grzebykiem i kubeczkim na ciepłą wodę, czuł się jak król. Również potem, stojąc już na stopniach wagonu. Szykował się do zejścia z bagażami na peron, gdy niespodzianie owiał go ostry wiatr syberyjskiego lata. Smagnięcie szorstkim ogonem, później doznał tego jeszcze wiele razy. Zdawało mu się, że pachnie jakoś jakby koniem. No, na Syberii koń to nie byle co.

Czuł, że ma serce na dłoni i że gotów jest poświęcać napotkanym ludziom uwagę i okazywać znacznie więcej wielkoduszności niż w Kopenhadze, we własnym mieszkaniu, które zdawało mu się ciasne; było spore, jeśli chodzi o metraż, ale Mariane do odziedziczonych gratów dodawała kolejne, a przy tym jeszcze swoją własną głupotę. Że tam, w Danii, coś ma, firmę oraz Mariane, Hablund zapomniał w pociągu już kawałeczek za Moskwą. Tuż przed Charyniem mimo to o Mariane pomyślał. Że gdzieś tam jest i czeka. Poczucie, że liczy dni od chwili jego wyjazdu, było Hablundowi niemiłe. Nie chciał, by go coś ciągnęło do domu po tak czasochłonnym przygotowaniu, zanim jeszcze porządnie rozpoczął ekspedycję. Toteż miał myśleć o Mariane, przez ileś tam godzin przed Charyniem wyliczał na głos wszystko, co ze sobą zabrał, i sprawdzał, czy czegoś nie zapomniał. Kamerę miał, to było najważniejsze. I do niej rozmaite wihajstry. Na wszelki wypadek otworzył plecak i wsunawszy do niego rękę, sprawdził dotykiem jego zawartość. Do ludzi ze smykałką techniczną nigdy się nie zaliczał, przedtem miał tylko aparat dla amatorów, którym robili sobie zdjęcia z Mariane na wycieczkach, uśmiechnięci, jedno obok drugiego, lub z przyjaciółmi, gdy któreś z nich miało urodziny. Kamera, którą miał teraz, oraz nowy aparat fotograficzny to było całkiem co innego. Pierwszorządna jakość z drugiej ręki, od moskiewskiego handlarza, gdy w radzieckiej stolicy czekał na następny pociąg. Zostawił ten zakup na czas, kiedy będzie już w Rosji, bo się bał, żeby nie skonfiskowali mu aparatu na granicy. Czort z tym, że handlarz go naciągnął, ponieważ był cudzoziemcem. Towarzyszył potem Hablundowi aż na dworzec. Może to właśnie on był z tajnej policji? Kto wie, w Moskwie Hablund niczego nie był pewien. Zapewne nawet udałoby się mu przekonać Mariane, że dla niego taki wyjazd ma sens, gdyby nie chodziło o Charyń, lecz o Londyn, Rzym albo przynajmniej Pekin. To by rozumiała, ale żeby do Charynia i na Kawaszi? Może powinien był jej powiedzieć co innego, żeby się tak nie martwiła. Żeby zaaprobowała tę podróż i nie starała się za wszelką cenę do ostatniej minuty go zniechęcić. Jeszcze na dworcu, gdy bagaże miał już w przedziale i wysiadł, żeby dać jej całusa, znowu zaczęła swoje.

Nim pociąg ruszył, zdążyli znów się pokłócić. Machała mu przez chwilę, ale zaraz się odwróciła i widział, jak opuszcza peron. Zwykle gdy się żegnali, machali do siebie, póki mogli się widzieć. Był na siebie zły. W końcu omal nie przejechał stacji, na której powinien wysiąść. Na szczęście pociągnął go za rękaw *przewodnik*, z którym od wyjazdu z Moskwy szlifował swój rosyjski. Wychodziło mu to całkiem nieźle, *przewodnik* twierdził nawet, że Hablund mówi znakomicie – kopenhaskie kursy rosyjskiego i lektura rosyjskich klasyków okazały się wystarczającym przygotowaniem.

Dworzec był w budowie. Zamiast murowanego budynku Hablund zobaczył worki z

cementem i paru ludzi, którzy cicho coś tam robili, nawet nie unosząc oczu znad wykonywanej pracy. Nikt na niego nie czekał, to oczywiste, choć w pociągu snuł takie fantazje. Że wita go miejscowa organizacja partyjna lub chociażby *babuszka*, sprzedająca tłuczone kartofle z koprem. Po stopniach zszedł rozważnie, co odpowiadało jego nastrojowi, po czym usiadł na stercie swych toreb i bał się ją opuścić, by nie padła łupem złodziei.

Buro Kawarycz nigdy jeszcze kogoś podobnego nie widział. Był najlepszym piechurem we wsi i worek, z którym wyruszał w tajgę, zawsze pakował raz-dwa. Gdy grupa chłopów szła na polowanie albo wykonywała w tajdze roboty nakazane przez władze, w razie potrzeby przynosił im wiadomości i jedzenie. Po coś, czego nie da się nieść na plecach ani objąć rękami, sięgają przecież jedynie małe dzieci. Capną coś gdzieś dorosłym, nie pomyślawszy, że nie zmieści im się to w rękach. A Hablund miał właśnie takie bagaże. Siedział na swoich worach i czekał chyba na wielkiego ducha tajgi, żeby dmuchnął i zawiózł go pod dach jak samochodem. Buro uśmiechnął się. Hablund zauważył człowieka, który się do niego uśmiecha, i przyjaźnie pomachał mu ręką. Umiał przecież mówić po rosyjsku, a cudzoziemiec mówiący językiem tubylców od razu wpada w ich otwarte ramiona.

– Jak leci? – zapytał Bura, gdy ten do niego podszedł; w zapasie miał przygotowane jeszcze inne odzywki.

Z czasopisma geograficznego „Nasz Świat” bardzo dobrze zapamiętał artykuł o tym, jak rozmawiać z mieszkańcami dalekich krajów, spotkanymi po raz pierwszy. Zastanawiał się, co by tu u tego człowieka pochwalić, ale miał on na sobie jedynie stare łachy i zatłuszczoną czapkę, która dawno utraciła pierwotny kształt.

– Piękny dworzec. Budują wam tu nowy, co?

Po czym przedstawił się, podał Burowi rękę i dla Bura stało się jasne, że towarzysz naprawdę jest z daleka. Takiego rosyjskiego nigdy jeszcze nie słyszał. Ten człowiek nie był z Moskwy, Irkucka ani z Pribałtyki. Może skądś znad Morza Czarnego? To było najodleglejsze miejsce, jakie Buro potrafił sobie wyobrazić. Za granicami Związku Radzieckiego żyły narody, których nazw nie umiałby nawet wymienić.

Hablund usiłował podtrzymać rozmowę. Najpierw mówił o pogodzie, potem spytał, ile też Buro ma rodzeństwa. Z tego wysiłku aż się spocił – i nic. Trawę dokoła letnie słońce wysuszyło na pieprz, na najbliższym drzewie słabo zieleńił się tylko czubek. Był upał.

Jeśli Buro rozgłosi po wsi, że przyjechał jakiś dziwoląg, Hablund może od razu jechać z powrotem, prosto do Kopenhagi. Próbował poczęstować Bura papierosem, ale ten nadal żuł swoją słomkę i nie okazał zainteresowania. Wobec, tego zabrał się do grzebania w pakunkach i na peronie zaczęły się piętrzyć rzeczy, jakich Buro nigdy przedtem nie widział. Kolorowe świeczki pakowane po dziesięć sztuk, wzorzyste ściereczki, fotografia Mariane w drewnianej ramce, którą Hablund zamierzał postawić na nocnej szafce, brzytwa, dziennik „Dagens Nyheter”, przezroczysta gumka, która w plecaku wypadła z mniejszej torebki z przyborami do pisania.

Hablund szukał kogoś z przywiezionych przez siebie dobrych noży, ale Buro wyciągnął rękę po gumkę, jak gdyby właśnie ona była rzeczą, na którą czekał, i wpakował ją sobie do kieszeni. Chcąc ją odzyskać, Duńczyk niechcący kuksnął Bura w brzuch. Buro natychmiast odpowiedział kopniakiem między nogi. Hablund jęknął i zwałił się na ziemię. Pod powiekami ujrzał chmurę pomarańczowych motyli, jak wtedy kiedy w kopenhaskim mieszkaniu spadł z drabiny. Widział jeszcze, jak Buro znika za rogiem. I chyba stracił przytomność.

Pierwsze, co usłyszał potem, to był warkot silnika; poczuł też smród benzyny. Zrobiło się już ciemno. Leżał na brzuchu na swych kłopotach, z twarzą wciśniętą w płótno plecaka, nie chciało mu się nawet rozejrzeć. Warczał stojący niedaleko samochód. W końcu Hablund zwrócił w jego stronę twarz, brudną od łez zmieszanych z kurzem, i w mroku zobaczył siedzącego za kierownicą gruchota Bura z takim samym przyjaznym uśmiechem jak ten,

który sprawił, że pomachał do niego na początku. Buro zatrąbił i dał Hablundowi znak ręką, żeby wsiadał, ale załadować bagaży mu nie pomógł. Na podłogę auta przez całą drogę sypały się potem z którejś torby pierwszorzędne, lśniące duńskie jabłka.

Hablund uznał, że Buro ma około trzydziestki. W rzeczywistości miał dwadzieścia dwa lata, mieszkał samotnie i utrzymywał się z pracy własnych nóg. Kiedy w tajdze trafi się na gęstwinię, absolutnie nic przez nią nie przejedzie, a w niektórych miejscach taki gąszcz drzew i krzewów trafia się co kilkaset metrów. Koń wtedy na nic się tam nie przydaje. Nie tylko z tego względu, że niekiedy okazuje się za duży na to, ażeby się tam zmieścić, ale także dlatego, że jeśli postanowi, iż dalej nie pójdzie, nic go do tego nie zmusi.

Są miejsca, gdzie niektóre zwierzęta za nic nie wejdą. Można konia bić lub ująć jego łeb w dłonie i namawiać go po dobroci, lecz nic się nie osiągnie, nie jest to bowiem upór, tylko instykt. I od tego w Charyniu był Buro. Buro, który leśnym dziwożonom precyzyjnie się między udami, który strygom przepęłnie pod stopami, któremu wieczorne cienie wskazują drogę naprzód.

Tego pierwszego wieczora Hablund zwał się z nóg jak nieżywy. Wszystkie bagaże zdjęli z Burem z samochodu i poukładali je ciasno w sionce, potem ciurkającą do miednicy z blaszanego zbiorniczka wodą Hablund opłukał sobie jeszcze ręce i twarz, a następnie w jedynej izbie drewnianej chaty padł na kawałek czegoś, co leżało na ziemi przy wyrku Bura. Co działo się później, tego się nie dowiedział. Ciągłe ktoś na chwileczkę wchodził do chaty, by na niego popatrzeć, przy śpiącym przedefilował chyba cały Charyń. Ten i ów pomacał go lub powiedział nad nim coś półszepem, baby dotykały jego czoła, mężczyźni ramion, po czym jedno po drugim wychodzili, by zająć się swymi sprawami.

Hablund spał osiem godzin i obudził się wczesnym rankiem z bólem głowy. Pękała mu, jakby całą noc pił albo spał na kamieniach. Powłókł się do sionki, żeby sprawdzić, czy nie brakuje czegoś z bagaży. Nie brakowało niczego.

Później wielokrotnie dziękował Burowi za to przedpołudnie, że się nim zajął; o kopniaku dawno zdążył zapomnieć, dostał go zresztą wskutek nieporozumienia. Dla zacieśnienia więzi przyjaźni podarował Burowi nóż, którego wczoraj nie mógł znaleźć, latarkę z bateriami i kilka plastrów opatrunkowych. Starał się mu wyjaśnić, że są dobre na pęcherze podczas długich marszów, ale Buro zdawał się nic z tego nie rozumieć. Przyniósł Hablundowi szklankę zsiadłego mleka, a potem jeszcze jedną. Hablund wypił duszkiem obydwie, jedną po drugiej, bo nie chciał być niegrzeczny, a następnie całą godzinę przesiedział w wygodce przed chatą; wolał to niż wciąż biegać tam i z powrotem i co chwila znów ściągać spodnie.

Prócz wychodka Buro miał też przed chatą stertę drewna, stertę pleśniejących kartoflanych i buraczanych obierzyn, stertę kości oraz stertę popiołu. Sionka w chałupie była mała i nie było mowy, by cokolwiek w niej robić, bo leżały tam wszystkie rzeczy Hablunda, a izba z jednym łóżkiem, piecykiem, stołem, dwoma krzesłami, na których przeważnie nikt nie siadał, mierzyła wzdłuż i wszerz po cztery kroki. Od razu było jasne, że Buro nie ma żadnej kobiety, przynajmniej nie ma jej tutaj. Mimo to w izbie panował wzorowy porządek. Każda rzecz miała swoje miejsce. Hablund wolał swych kłopotów nie wypakowywać i całe przedpołudnie wychodził po coś do sionki i cicho klnąc, grzebał w torbach. Spodziewał się, że gdy Buro gdzieś pójdzie, zabierze go ze sobą. Był zdecydowany w pierwszych dniach towarzyszyć mu wszędzie, póki się nie rozejrzy. Znikła gdzieś ta beztroška rozwaga, z jaką poprzedniego dnia wysiadał z pociągu. Buro pierwszego dnia kilka razy wychodził i znów wracał, lecz Hablunda ze sobą nie zabierał. Duńczyk już kilka razy był gotowy do drogi, ale Buro zawsze wstawał nieoczekiwanie, hop, i już był na dworze. Hablund słyszał, jak z zewnątrz zamyka drzwi na klucz. Siedział potem w izbie na łóżku, wsłuchując się w coraz odleglejsze szczekanie psa, którego Buro brał ze sobą, i w porykiwanie krów gdzieś za wsią. Wszystkie te odgłosy ginęły w szumie wiatru, który z głębokiego wycia

przechodził w cienki świst, to znowu w szum, jak w piecu z dobrym ciągiem. Bycie tutaj w roli małego chłopca, którego zamyka się w domu, nie podobało się Hablundowi ani trochę.

Po południu przyszła młoda kobieta z chłopczykiem, Hablund zobaczył ją przez okno, ale wyjść do niej nie mógł, był zamknięty. Zauważył, że pod darnią koło wygodki chłopiec miał schowane pudło, z którego wyjął drewnianego konika. Jak tylko przyszli, wyrwał się kobiecie i pobiegł po niego. Widać było, że nie są tu pierwszy raz.

Gdy Buro wrócił, kobiety i chłopca już nie było. Nie wydawał się tym zdziwiony, gdy Hablund powiedział mu o nich i dodał, że też chętnie wyszedłby na dwór, i nie rozumie, czemu go za każdym razem zamyka. Lecz Buro milczał, przekładając z ręki do drugiej ręki nowy nóż, po czym wyszedł i znów zamknął drzwi na klucz.

Nadmierna gościnność Bura wprawiła Hablunda w rozpacz. O czymś takim również czytał w „Naszym Świecie”. O wschodniej gościnności, która komuś niewtajemniczonemu może się wydawać więzieniem, lecz wynika jedynie stąd, że gospodarz całą odpowiedzialność za cudzoziemca bierze na siebie i boi się, by mu się coś nie stało.

Poza tym, że zawsze starannie Hablunda zamykał, Buro nie zwracał na niego większej uwagi.

Następny wieczór przebiegł mniej więcej spokojnie. Jedynie z kilku pytaniami Hablunda i zawsze tak samo niejasnymi odpowiedziami Bura. Hablund chętnie sfilmowałby przynajmniej wnętrze chatki, ale ponieważ w sionce było ciasno, a kamera leżała w worku na samym dnie, nie chciał narobić bałaganu. Najważniejsze, żeby kamery pod tymi rzeczami nic się nie stało. W nocy, gdy Buro zasnął, postanowił swoje rzeczy uporządkować. Wciągnął je do izby i ponownie poukładał w torbach. Kamerę zostawił na wierzchu. Cieszył się, że działała. Rano obudził się wypoczęty i świeży. Buro już wyszedł, lecz Hablundowi zupełnie to nie przeszkadzało. Przez potłuczoną szybę, w kilku miejscach zastąpioną tekturą, izbę wesoło oświetlało przedpołudniowe słońce. Upału nie było, kurz w chatce w promieniach słonecznych wirował i błyszczał jak srebrny, a wszystkie przedmioty z drewna nabrały ślicznego, złotawego koloru. Hablunda ogarnęło zadowolenie, czuł się, jakby był w kanadyjskim domku z bierwion, który sam własnoręcznie zbudował. Tykania ściennego zegara, który wisiał w kopenhaskiej kuchni, już mu nie brakowało, a kiedy Buro wrócił i położył na stole ciepły bochen ciemnego chleba, poczuł pełnię szczęścia.

Chłopcem, którego Hablund poprzedniego dnia widział za oknem w towarzystwie kobiety, był Keke Kawarycz, syn Bura. Z Larysą, jego matką, Buro nigdy nie mieszkał pod jednym dachem, ale chłopiec lubił odwiedzać ojca i kiedy tylko przechodził z matką obok jego chałupy, zaraz ją ciągnął do niego. Koło wygodki Bura miał ukryte pod darnią pudło po nakrętkach, a w nim mały zeszytek, ogryzek ołówka, w pudełku po papierosach konika, a poza tym parę starych nabożów, kamyki i kawałek ceramicznej izolacji z transformatora, który Buro przyniósł mu, gdy był z pocztą w tajdze u ludzi naprawiających tam trakcję.

Keke zawsze wyciągał wszystkie swoje skarby, za każdym razem od nowa pokazywał je ojcu i cieszył się, że następnym razem coś mu do pudełka dorzuci, co też czasami robił. Lubiał siadać ojcu na kolanach, kiedy ten sadowił się przed chatą i patrzył, co się dzieje we wsi. Do środka jednak z matką nie wchodzili, chyba że gdy chłopiec bawił się na dworze, niespodzianie zaczynał padać deszcz. To nie był ich dom, a fakt, że Buro był ojcem Kekego, niczego tu nie zmieniał.

Wszystkiego tego Hablund dowiadywał się stopniowo. Bo ani trzeciego, ani piątego, ani dziesiątego dnia Buro nigdzie go ze sobą nie zabrał, wobec czego jedną z niewielu jego rozrywek stało się obserwowanie wszystkiego, co działo się za oknem. Nie tylko Kekego z Larysą, ale wszystkich, którzy przechodzili obok. Po paru dniach zaczął ich rozpoznawać. Podskakujące dzieci i ledwo wlokące się straszdyła w za luźnych łańcuchach, niektóre z długimi włosami i tatuażem na twarzach. Mężczyzn w spódnicach i miękkich butach wywiniętych wysoko pod kolanami; Hablund znał ich jedynie z profilu, bo nigdy nie

rozglądali się na boki. Utkwił mu w pamięci jeden wysoki człowiek, który zwykle prowadził konia, ale po kilku dniach nie był już pewien, który to mógł być. Niektórych widywał regularnie, rano i pod wieczór. Przeważnie tych ubranych po radziecku – w ściągniętych pasem rubaszkach i wytłuszczonych leninówkach, takich, w jakiej widział Bura za pierwszym razem na dworcu. Byli szczupli, ale twarze mieli rozlane i szerokie. Kiedy się spotykali, podawali sobie ręce albo jeden drugiego poklepywał po plecach, po czym każdy szedł w swoją stronę. O żadnym wielkim ruchu nie było jednak mowy. Czasem Hablund daremnie wypatrywał kogoś przez parę godzin, zwłaszcza koło południowej przerwy, gdy było martwo, chociaż nieznośna letnia duchota już mijała.

Początkowo zamierzał przyjechać wcześniej, przed początkiem lata, by przywyknąć, zanim w tajdze zacznie się zima, ale przygotowania się przeciągnęły i zanim załatwił sprawy firmy, była niemal połowa sierpnia i lato chyliło się już ku końcowi. Pod koniec drugiego tygodnia pierwszy raz włożył na noc ciepłe skarpetki i cieszył się, że Buro rozpali rano ogień, żeby zagotować wodę na herbatę, choć w południe nadal rozbierał się do koszuli. Gdyby działało się to u niego, w Kopenhadze, zdjąłby też podkoszulek, ale tu nie miał odwagi. A co, jeśli przyjdzie Larysa z Kekem i zobaczy go siedzącego w oknie półnago? Kilka razy postanawiał, że zastuka w okno i pomacha do niej; nie wiedział, czy wie o jego istnieniu. Skoro jest już przyjacielem jej chłopca, mogliby się z Larysą przynajmniej do siebie uśmiechnąć albo mógłby przez szybę pożartować z chłopczykiem. Podobał mu się ten mały. Gdyby mieszkał w Danii, miałyby inne zabawki, a nie to swoje brudne pudełko. Zabawki, którymi bawią się duńskie dzieci, z pewnością by tego chłopca zachwyciły. Hablund pożalował, że zamiast dziecięcych zabawek zabrał ze sobą z Kopenhagi pięć par damskich zimowych butów. Kto wie, kiedy będzie miał możliwość dać je którejś z kobiet?

Mariane była niezadowolona, że bierze takie rzeczy. Luksusy, które sprawią, że ta czy owa rzuci mu się na szyję – mówiła. I że baby będą krążyły wokół niego jak stado kotek w rui. Złościła się, a Hablund udawał, że on na nią też, choć sam chętnie sobie coś takiego wyobrażał. Przyjechał tu oczywiście po to, żeby filmować, i na Kawaszi, jeśli szczęście dopisze, ale dziewczyna, która przyszła kilka razy z Larysą i Kekem, wpadła mu w oko. Próbował zgadnąć, jak wyglądają pod szmatami, wiszącymi na nich niczym na wieszakach, ci, co przechodzili koło domu, ci z brudnymi twarzami, widocznymi tylko fragmentarycznie. Dziewczyna jednak miała twarz jasną jak miękisz kopenhaskiego chleba i wielkie, szeroko rozwarte oczy, jakby w nieustającym zdumieniu. Idąc, trzymały się z Larysą za ręce, jak miały w zwyczaju Sowietki, a Keke podskakiwał przy nich. On również lubił tę ślicznotkę i Hablund wyobrażał sobie, że to on zaplątuje się w jej spódnicę zamiast niego. Był niemal pewien, że kobieta widzi go za tą szybą. Patrzyła mu prosto w oczy, poprawiając włosy przed oknem jak przed lustrem. Potem trącała Larysę łokciem i obie wybuchały śmiechem.

Była to przygłupia Josifowiczowa, która poza sprzątaniem przez cały dzień nie miała nic do roboty, a ponieważ i tak częściej przewracała wiadro, niż wycierała podłogę, Welor Josifowicz dawał jej pełną swobodę.

Sam wcześniej rano wychodził do kołchozu, żeby stanąć przy wadze, a głupia włóczyła się po wsi, gdzie chciała. Większy wstyd, niż to, że będąc lekarzem, skończył przy bydle w Charyniu, i tak go już nie spotka – myślał sobie, idąc te dwa kilometry z chałupy do pracy, a żona niech sobie robi, co się jej podoba. Przynajmniej nigdy mu nie wymyślała, a to, czego chciał od niej wieczorami, dostawał bez szemrania. Rozmawiać mógł sam ze sobą, do tego kobieta i tak nie jest stworzona. Gdyby jednak zobaczył, jak chodzi kręcić kuprem pod oknem Hablunda, sprząłby ją tak samo jak każdy inny z charyniaków. Półrocznej Tamarze wtykała do buzi smoczek i mała spokojnie wytrzymywała jakiś czas sama, co najwyżej sąsiedzi skarżyli się, że płacze. A ona podskakiwała wokół chałupy Bura jak pajac. W tym czasie Hablund już niemal od miesiąca nie wychodził na dwór, był więc cały zdrętwiały.

Mariane z pewnością czekała na wiadomości, a poczta chyba w Charyniu była, bo

Hablund widział, jak Buro idzie gdzieś z jakąś paczką. Wysuwając język, napisał adres, po czym wyszedł i zostawił go samego. Widok kobiet był jedyną jego rozrywką, widok przechodzących tamtędy ponurych obdartusów już go nie bawił. Straszyla w workach, mężczyźni w radzieckich bryczesach i kobiety w chustach, z brudnymi włosami, z wymiętoszonymi warkoczami. Hablund zastanawiał się, ile też z nich zna obrzęd Kawaszi, ale kiedy zapytał o to Bura, ten jak zwykle tylko uśmiechnął się niewyraźnie. To, że Hablund mówił po rosyjsku, nie na wiele się zdało, Buro przez większość czasu milczał. Mimo to Hablund czuł się z nim dobrze. Buro raz tylko na niego wrzasnął, gdy chciał wrzucić do pieca obierki z kartofli, i nie licząc tego kopniaka między nogi pierwszego dnia, ani razu nie podniósł na niego ręki. W dodatku dobrze Hablunda karmił i przyniósł mu miskę z wodą, kiedy ten chciał uprać swoją bieliznę. Załatwiał się Hablund do stojącego w kącie wiaderka. W nocy Buro robił tak samo. Chwilami, nie mogąc zasnąć, Hablund zastanawiał się nad tym, że właściwie poza tym, że spędza trochę więcej czasu w chałupie, życie jego i Bura niczym się szczególnie nie różni.

Za zezwoleniem Bura co drugi dzień wycierał podłogę oraz robił porządek z mąką i cukrem. Wyrzucił dwie torebki, w których roiło się od robaków, w ciągu paru tygodni nauczył się też gotować. Ogień w piecu co prawda rzadko kiedy rozpałał za pierwszym razem i czasem można było udusić się od dymu, ale w końcu zawsze jakoś mu się udawało, a wysypanie potem do wrzątku iluś tam ziarenek kaszy ze stojącej na półce torby było już tylko drobnostką. Pewnego razu ustawił przy tym na statywie kamerę, żeby wreszcie cokolwiek sfilmować, skoro już miał ten drogi sprzęt, lecz jak na złość tego ranka akurat mu się nie udawało i czarny jak Murzyn, wściekły, wygrażał w pustym domu pięścią swojemu pechowi. Ze nie wiadomo gdzie znikły mu z plecaka wszystkie noże, to go w tym czwartym tygodniu nawet nie zaskoczyło, choć Buro jeden z tych noży stale nosił przy pasku i nie odpinał go, nawet kładąc się spać.

Przyglupia Josifowiczowa stawała się coraz bardziej bezczelna. Czasami przychodziła sama, bez Larysy, biegła dokoła domu, aż pod piersi podkasując brudną spódnicę, jakby brodziła w spienionej wodzie. Do stojącego w oknie Hablunda stroiła miny, błaznowała i śmiała się, jej jasna, gładziutka twarz promieniała jak słońce, kobieta wyglądała jak oszalała ze szczęścia dziecko. Zawsze wiedziała, kiedy Bura nie będzie, i natychmiast się ulatniała, gdy się zjawiał.

Niekiedy Buro, siedząc z Hablundem w domu, akurat kiedy nie jadł ani nie spał, majstrował coś dla Kekego. Nożem, który odpinał od paska, w ciągu tego pierwszego miesiąca wystrugał Kekemu małą strzelbę, kilka pajaców, łódeczkę i jakieś inne rzeczy, o których Hablund nie potrafił ściśle powiedzieć, czym są – ale zawsze z największą starannością. Jeśli był z nich zadowolony, ustawiał je w rzędzie na półce, a Hablund przypatrywał się im, nie mając jednak śmiałości brać ich do ręki bez pozwolenia. Raz, po kilku dniach, gdy nie zamienili ani słowa, Buro wziął jedną z tych gotowych już rzeczy, o których Hablund nie umiał orzec, czym są, i podał mu ją. Zapytał, jak mu się to podoba i czy dzieciom w jego kraju podobałoby się także.

Nie odrywał od niego wzroku i widać było, że się ucieszył, kiedy Hablund przytaknął.

– Ciekaw jestem, jak długo chcesz mnie tu jeszcze trzymać – odważył się wtedy po raz pierwszy spytać Hablund.

Buro myślał chwilę, po czym wolno podeszedł do drzwi i otworzył je. Nawet nie były zamknięte na klucz.

Erske

Charyń jest raczej dziurą niż dużą wsią. Ale powiedzenie tego głośno wobec miejscowych sprawi, że krew im nabiegnie do twarzy i natychmiast wybuchną: „Widzieliście go, przybłęda, rozrabiaka, co niczego należycie nie uszanuje, a te trochę nauki, które kto wie gdzie liźnął, całkiem pomieszało mu we łbie”. Gdzie liźnął? Erske Jenke ma na to urzędowy dokument. Osiem lat w Danii, w Arhus, studiował antropologię i gdy wybrał się do Charynia, wszystkie wskazówki, jak zyskać przychylność miejscowej ludności, miał poukładane w głowie niczym kolumny cyfr, które wyświetlą się na ekranie w odpowiednim momencie.

Z trzydziestokilogramowym plecakiem wysiadł na porośnięty mchem, ale starannie zamieciony peron, a jedyną osobą, którą tam zobaczył, była stara Saszka Pawlicz. Siedziała na swojej lodówce na kółkach, pudle ze sztucznego tworzywa wyłożonym polistyrenem. Ręce ma Saszka jak chłop i pali najgrubsze w Charyniu papierosy. Nosi je poupychane w sfatygowanym pudełku po marlboro i kto się jej spodoba, tego częstuje.

Erske zainteresował ją. Jakies sznurki zwisały mu z plecaka, na głowie miał zawiązaną chustkę, no i nosił takie mocno dopasowane buty, którymi cudzoziemcy chwalą się, że nie przepuszczają wody, a potem i tak narzekają, że coś im tu cuchnie.

Hablund też był taki. Hablund, co pewnego wieczora w zimie czterdziestego dziewiątego nie wrócił do domu. Początkowo mu nie ufała. Słowa wymawiał twardo, jakby język miał z drewna, wciąż się uśmiechał, a nad szklanką samogonu wzdragał się jak niedorośła dziewczyna. Początkowo przecież wszyscy się z niego śmiali. Ona też, kiedy ktoś coś o nim mówił. Potem szeptała o nim z koleżankami. Była młoda. Gdy siedząc, opierała ręce na udach, nie wyskakiwały jej na nich żadne żyły i plamy.

Gdyby przybysz nie gapił się tak na nią, poczęstowałyby go skrętem, nazywanym przez nią „marlboro”. A tak to tylko obserwuje go, okutana w koc. Dymi się jej z ust, a od lodówki marznie jej tyłek. Saszka wie, że tak sobie, bez celu, do Charynia nikt nigdy nie przyjechał. Oczka ma starucha małe, Erskemu przypominają świńskie. Wie, że teraz kobieta nie powie ani słowa, a gdy spotkają się później, będzie udawać, że widzi go po raz pierwszy.

Na pewno też harowała w kolchozie, trzymała język za zębami, robiła, co kazali, i gorliwie podnosiła rękę na zebraniach. Szok kulturowy Erske ma już za sobą. Nie pierwszy raz jest w Rosji. Lecz wkurza go to zawsze tak samo. Poczucie, że ludzie zostawiają swoje sprawy dla siebie, by móc wodzić go za nos, a potem się z niego naśmiewają, że nigdy nie zrozumie, na jakiej zasadzie wszystko tu funkcjonuje. Kiedy tylko człowiek chce się dowiedzieć, jak jest tutaj naprawdę, rzuca mu się kłody pod nogi.

Od dworca biegła jedna jedyna ulica. Drewniane domki za koślawymi płotami, przed chałupami małe zarośnięte trawą ogródki, przy drzwiach pieniek lub ławeczka, z której obserwuje się świat.

O szóstej rano wydawało się, że w Charyniu jest całkowicie pusto. Na ulicy kłębiła się gęsta mgła, Erske poczuł jej smak w ustach, kiedy tylko wysiadł z pociągu. Tę wilgoć z kwaśnym posmakiem torów. Przywykał do niej jak do ciemności. Przez mleczny opar brnęły kobiety w butach z cholewami, krowy, zobaczył chłopca w swetrze sięgającym po kolana; trzasnęła za nim furka i razem z nim na ulicę wybiegł także kudłaty kundel. Ludzie pojawiali się i ginęli Erskemu z oczu, gdy wiatr rozpędzał mgłę i ponownie zbijał ją w nieprzejrzystą masę. Na chwilę otwierał się tunel i widać było tajgę, przez chwilę nie widziało się nic, przez

chwilę fragmenty chałup, jakby były niedokończone. Kilka pozbijanych ze sobą desek, za którymi ludzie śpią, za którymi starzy całkiem jak w Arhus spoglądają rano na sufit, ci, od których jedzie wczorajszą wódką, pochrapują, a kobiety tulące do ciepłych piersi niemowlęta jeszcze na chwilę chowają głowy przed promieniami słońca pod poduszkę.

Widziało się jedynie nielicznych przechodniów. Dzień jeszcze na pół spał. Pierwszym zwiastunem cywilizacji, jaki Erske zauważył we wsi, był szyld poczta. Przykurczony domek z ogródkiem za niskim drewnianym płotkiem, w ogródeczku złocienie, przed drzwiami dwa wydeptane drewniane stopnie; Erske zdziwił się, bo urząd był otwarty.

Mocniej pociągnął klamkę i znalazł się w małym pomieszczeniu z drewnianą ławką, stołem i kontuarem, za którym nikogo nie było. Panował tu zaduch. Na ścianach wisiało kilka naderwanych kartek z ogłoszeniami, reklama kasy oszczędnościowej, cennik usług pocztowych. Na kontuarze leżał pisak na przywiązanym do gwoźdźcia sznurku.

Dopiero potem Erske zauważył tę rozkudłaną głowę i w ogóle pokoik. Za kontuarem znajdowała się pozbawiona drzwi klitka; stało tam łóżko, na którym ktoś spał z kołdrą naciągniętą na uszy.

Przez cały czas podróży pociągiem Erske wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy powie im, po co przyjechał. Oznajmi to jako coś całkiem normalnego – i już. W końcu kogo kilka tysięcy kilometrów na zachód stąd nie śmieszyłoby, że ktoś co dzień o szóstej rano wypędza bydło na pastwisko i potem do wieczora siedzi z witką na łące, udając, że pasie, lub jeździ ciężarówką załadowaną krowimi skórami. Kiedyś Erske uważał, że siedzenie cały dzień w jednym miejscu jest oznaką mądrości. Dobrze jest pozwolić czasowi, by płynął sobie jak chce, i nie bronić się przed wiecznością nieustanną krzątanią. Teraz powiedziałby, że to tylko zwykłe lenistwo – i że to ono właśnie jest powodem panującego na Syberii ubóstwa.

Wyobrażał sobie, że pod kołdrą leży baba w wyświechtanym kaftanie, która w domu ma męża alkoholika i dlatego woli nocować w miejscu pracy. Lecz Elwira nie spała i usłyszała Erskego, gdy tylko wszedł.

Myślała, że przyszedł ojciec i znów będzie ją denerwował gadaniną o Sierioży. Jej syn miał chorobę, na którą na Syberii cierpi wiele dzieci w jego wieku. Skończył pięć lat, a wyglądał na trzy, był chudy, blady i cichy. Tamara, matka Elwiry, najchętniej w ogóle nie wypuszczałaby go na dwór. Keke Kawarycz, jego dziadek, był zdania, że chłopca trzeba hartować, i kiedy tylko mógł, wypychał go za furtkę, na ulicę. Sierioża stał wtedy przed furtką biały jak ściana i ze spoconym czółkiem czekał, aż Kawarycz na powrót zniknie w domu, a babunia Tamara, przez cały czas schylona nad zagonem, podejście do niego z tyłu, chwyci go za rękaw i znów wciągnie w bezpieczne miejsce za płotem. Wstydził się, a przy tym bał się dziadka.

Kobieta, która usiadła na łóżku i patrzyła na Erskego ze zdziwieniem, była młoda. Spodziewał się baby, a ta mogła mieć koło trzydziestki. Momentalnie ściągnęła włosy gumką i potarła policzek z odcisniętym wzorkiem poduszki.

– Otwieramy dopiero o ósmej. Czego pan chce?

Następnie zapytała, czy przyjechał tym porannym pociągiem z Moskwy, a Erske zauważył na jej głowie komiczną falę, odgniecione włosy, sterczące z jednej strony.

Ma jej o tym powiedzieć?

W końcu zdecydował, że z tym poczeka.

Kiedy zapewnił, że nikogo i niczego w Charyniu nie zna, zaraz się zainteresowała, czy razem z nim nie wysiadł także niejaki Fiedia. W brązowych zamszowych butach do pół łydki, granatowych służbowych spodniach i granatowej kurtce.

Na mężczyzn, z którymi wysiadł, Erske nie zwrócił uwagi. Wysiedli prędko, a już pół godziny wcześniej czekali z bagażami w korytarzu, stłoczeni jeden przy drugim, jakby się bali, że zostaną w pociągu. Wydawali mu się jacyś przygnębieni, to zapamiętał. Ale gdy stał

na charyńskim peronie, siedziała tam już tylko na skrzyni baba ze świńskimi oczkami, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach torów i mgła.

Była ósma dwie, gdy Elwira zamknęła oba zamki, a Erske znów zarzucił na plecy swój trzydziestokilogramowy plecak z majtającymi się sznurkami. Na tabliczce na zielonych drzwiach poczty było co prawda napisane, że jest otwarta codziennie od ósmej do piątej, ale klucz miała tylko Elwira, a pisanie zażaleń nie było tu w zwyczaju.

Saszka zbierze się teraz i poczłapie do domu. Następny pociąg z Moskwy zatrzyma się w Charyniu dopiero pojutrze. Po drodze zobaczył, jak ten obcy wychodzi z Elwirą z poczty i niesie jej plastikową torbę. Saszka pomyśli swoje. Ze co to za gość, że ona od razu prowadzi go do swojego domu, a następnie – że ten, na którego czekała, dziś także nie przyjechał.

Hablund Doran nie przyjechał, co było do przewidzenia. Przecież już wtedy mówiono jej, że go przy sobie nie utrzyma, a teraz Saszka budzi tylko we wszystkich śmiech, ponieważ czeka jak pies. Jak ich Petrusz, gdy była jeszcze dzieckiem, a on czekał na jej ojca, kiedy przyjedzie z Irkucka. Wyjechał tam, a Petrusz cały czas czekał na stacji, wierząc, że kiedyś jego pan wróci. Nie wrócił. Matka potem powtórnie wyszła za mąż. Saszka mogłaby spytać tego, co przyjechał tu dzisiaj rano, czy nie zna przypadkiem w Europie kogoś nazywającego się Hablund. Tak na wszelki wypadek.

Tamara Kawaryczowa zaraz zauważyła, że skarpetki Erskego, zwłaszcza na piętach, są w dość żalonym stanie. Kto go tak wyekspediował? Czy ma żonę? Ogarnęły ją wątpliwości. Gdy Elwira go przedstawiała, Tamara, sądząc z jego wieku, pomyślała, że ma. Potem jednak spostrzegła te przetarte, niebieskie skarpetki i już nie była taka pewna. Czyżby przyjechał, żeby tu kogoś znaleźć? Jak wtedy Hablund Doran? Tamten też na początku mówił coś innego. Ale Erske nie mówił w ogóle nic.

Hablund twierdził wtedy, że przyjechał, żeby nakręcić film o mieszkańcach Charynia. Jakby byli jakimiś Eskimosami, czy co. Kiedy wysiadł z pociągu, Buro musiał przyjechać po te wszystkie rzeczy autem, żeby je pozbierać. Statywy, negatywy i inne lewatywy. Tamara nie miała wtedy jeszcze roku. Sama tego nie pamięta, ale sądząc po tym, co się o tym mówiło, musiało to wywołać niemałe poruszenie.

Hablund już na drugi dzień po przyjeździe obiecywał wieśniakom wielką nowinę. Wszyscy mieli zebrać się pod pomnikiem bohaterów, na wydeptanym, posypanym szutrem placu. Powiedział to komuś i wiadomość rozchodziła się z ust do ust. Kto wie, czemu go w ogóle usłuchali. Może miał jakieś nadprzyrodzone zdolności? Do tego, żeby się dowiedzieć, że wielka wojna ojczyźniana, przez niektórych nazywana drugą światową, się skończyła, z pewnością go nie potrzebowali. Obwieścił to Charyniowi uroczyście, wdrapawszy się na cokół pomnika, jakby był Armią Czerwoną, Anglią i Ameryką w jednej osobie. Mieszkańcy Charynia stali jeszcze chwilę w gromadzie, przestępując z nogi na nogę, a potem rozeszli się do chałup. Radia wprawdzie nie mieli, ale do Pstrug nie było tak daleko nawet wtedy, po tonącej w błocie drodze. Wzruszyli jedynie ramionami.

Potem Hablund częstował wszystkich czekoladą, dzieci biegały po całym Charyniu z umazanymi buziami i zaraz było „wujku, chodź tu” i „wujku, idź tam”, sznur pędaków sunął za nim jak za jakim prorokiem. Rodzina Welora Josifowicza miała go u siebie dość długo. Chciał być z każdym w dobrych stosunkach i czekał, kiedy wyciągną te swoje łuki i strzały, te swoje noże z kości oraz kurtki z niedźwiedziej skóry. Cekał na nie aż do zimy, ponieważ ktoś mu napłótl, że są ukryte w tajnym miejscu, żeby nie dobrały się do nich robaki, a wyjmowanie ich przed pierwszym przymrozkiem jest zakazane. I Hablund wierzył w to jak dziecko, i czekał, i myślał, że chętnie go, Europejczyka z wypucowanymi uszami, wezmą ze sobą na łowy.

Podczas drugiej kolacji u Kawaryczów Erske zauważył, że Tamara bacznie mu się przygląda. Nie wiedział dlaczego. Przecież, jak mu się wydawało, wszystko było w porządku.

Nawet się nie spodziewał, że ktoś go tutaj tak prędko przyjmie do swojego domu. Niech więc pani Kawaryczowa spokojnie sobie na niego patrzy. Jest starszą damą i z tej racji niejedno jej uchodzi. U Jakutów starsze kobiety mogą nawet oficjalnie bić swoich zięciów, jeżeli uważają, że ci źle taktują ich córki. Eрске, rzecz jasna, ani myślał wiązać się z Elwirą. Ten przykład z Jakutami przypomniał mu się, bo przytaczał go ktoś na uniwersytecie. Była to jedna z niewielu chwil, gdy uświadomił sobie, że zapamiętał coś, o czym była mowa na wykładzie. Z wyrachowaniem uśmiechnął się do Tamary i szczerze pochwalił znakomitą rybę.

U Kawaryczów spędzi parę dni, a potem się zobaczy. Wygodne było to, że dzięki znajomości z Elwirą mógł w każdej chwili zadzwonić z poczty do matki, do Arhus. Obiecał jej, że się odezwie, gdy tylko będzie to możliwe, i dotrzymał obietnicy. Chciała wiedzieć, jak go tu przywitano. Pięknie – odpowiedział Eрске zgodnie z prawdą. Wyperswadował jej przekonanie, że Rosjanie jadają przy stołach nakrytych gazetami i upijają się do nieprzytomności, gdy tylko ktoś ich odwiedzi. Łagry? Nie, o to ich jeszcze nie pytał, ale robi to. To prawda, że wyglądają trochę jak strachy na wróble, ale co z tego? Wyobraził sobie matkę w momencie, gdy oboje odkładają słuchawki. Głęboki wdech i wydech. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, co go tu czeka. Cały jego misterny plan kończył się na tym, że wysiądzie z pociągu na stacji Charyń. Jak gdyby wydarzenia miały teraz same przychodzić i ścisnąć mu dłoń. A wieśniacy będący naocznymi świadkami ustawią się w kolejce, jak za Sowietów po pomarańcze, i całą tę historię opowiedzą mu szczegółowo, milknąc jedynie, kiedy on będzie zadawać im pytania. Tylko że z małymi wyjątkami była to zwykłe paplanina.

Na razie się nie rozpakowywał. Nie miałby nawet gdzie. Spał w sionce, a pierwsze dwa dni spędził u Kawaryczów na kanapie w pokoju gościnnym.

Jedną ścianę pokoju Kawaryczów pokrywała wielka błyszcząca fototapeta z palmami w lazuruwej zatoce, z wyciętym kwadratowym otworem na gniazdko elektryczne, na podłodze leżał wyblakły dywan w stylizowane ptaki, przed kanapą, na której siedział Eрске, stał niski podłużny stolik, na którym Kawaryczowa podawała poczęstunek, Kawarycz zajmował fotel, a jego żona i córka dwa krzesła. Wielkie błyszczące plakaty przedstawiające plażę, stada pasących się koni albo martwą naturę z bananami, mandarynkami i oszronionymi puszkami sprite'a miał w Charyniu każdy. U Kawaryczów był też jeden w kuchni. Erskemu zdawało się, że gdyby chciał, mógłby wpakować w obraz ręce po same łokcie i przenieść coś z niego do pokoju. Na przykład banana i mandarynkę. Zauważył, że mały Sierioża ma całkiem czarne zęby, zbyt wiele owoców mu tu chyba nie dają.

Co też, na miłość boską, ona w tym Hablundzie widziała? – zastanawiała się Tamara. Jak się to mówi, fircyk to był i oferma. I okropnie się puszył.

Podobno chciał, by kobiety opowiadały mu jakieś historyjki, nie miały pojęcia, o czym. O wabiącym drzewie? – chichotały. O dwugłowym wilczku? Wszystko fotografował, a potem zaczął się zadawać z kobietami. Na rękawach miał pomarańczowe prążki, a jego ślady na śniegu wieśniacy uważali za obrazki, takie fajne podeszwy robili wtedy w Europie.

Większość tej gadaniny to oczywiście bzdury. Powiadają, że włosy tak mu urosły, że mógł dwukrotnie owinąć je wokół ciała, a kiedy je namoczył, wsiąkało w nie aż osiem litrów wody. Tyle, ile trzeba było całej rodzinie na herbatę w najbardziej parny letni dzień. Podobno pisywał też depesze, może to ich wkurzało, kto wie. Coś sobie majstrował, do późna palił światło, czasami snuł się tylko zachmurzony po wsi i tą swoją kamerą filmował różne głupoty. Nie dziwota więc, że wieśniacy zaczęli się bać.

Ale też naśmiewali się z niego.

Kawarycz i Kawaryczowa mówią, że byli naocznymi świadkami, ale czy raczkujące dziecko można uważać za naocznego świadka? Hablund dał im wtedy po tabliczce czekolady Elite, tak samo jak innym. Pochylił się ku nim aż do ziemi, omal nie oszaleli z radości.

Eрске czekał, co też w końcu wyniknie z tej opowieści Kawaryczów. Nawet już

pierwszego wieczora przerwał im, żeby wyjąć z wewnętrznej kieszeni plecaka dyktafon, aby nic z ich słów nie przepadło. Z prowadzeniem notatek w zeszycie miał już niejaki doświadczenie. Ostatnim razem zamokły mu wszystkie rozmowy z moskiewskimi ulicznymi sprzedawcami warzyw, których tylko tak sobie, traktując to jako ćwiczenie, spowiadał przy straganach w ciągu tych kilku dni, kiedy czekał w Moskwie na pociąg do Charynia. W dodatku notując, nie może przytakiwać i w ten sposób okazywać, że historia go interesuje. A rozmowa jest przecież przede wszystkim współpracą, o to pytano go już na egzaminie wstępnym na antropologię w Arhus.

Pomyślał, że na podstawie rozmów z Kawaryczami mógłby również napisać jakiś krótki artykuł i podczas pobytu tutaj jeszcze trochę zarobić. Wysłałby go zaraz e-mailem, ale w Charyniu internetu nie mają, pytał o to Elwirę zaraz pierwszego dnia. Powiedziała, że już od dwóch lat obiecują zainstalować go na poczcie, lecz nie wiedziała dokładnie kto, chyba zarząd gminy. Erskemu przyszło do głowy, że jakieś komputery może już tutaj mają, zamknięte u kogoś w stodole, od której zginął klucz, a na poczcie pewnie nie ma wolnego gniazdka.

Pewnego razu w Nowgorodzie znalazł cały hotel zamknięty, podobno tylko dlatego, że kucharce zachorowała krowa – a był to Nowgorod, perła z prawosławną cerkwią i zbyt drogim barszczem, pełna japońskich turystów. Postanowił, że sprawy tego internetu tak nie zostawi, choć Elwira, słysząc to, zrobiła kwaśną minę. Powiedziała, że nikogo innego w Charyniu to nie interesuje. Oprócz Waśki i Dimy, dwóch chłopaków, co to od rana do wieczora plotą coś każdemu o grach komputerowych. Tych dwóch, od których Sierioża nieraz już oberwał. Ci bracia mieszkają na końcu wsi, daleko od stacji i od Kawaryczów, tam gdzie, jak mówiła Elwira, mieszkają buraczarze, jacyś ludzie drugiej kategorii, na niższym poziomie.

Gdyby ktoś zaprowadził Erskiego do Kawaryczów, mówiąc, że właśnie tak wygląda mieszkanie buraczarzy, wcale by się nie dziwił. Ale nie. Mieli telewizor, lodówkę, kanapę z czystym obiciem, w sieni miskę ze zbiornikiem wody i mydłem, wszyscy czyścili zęby, a gdy stary Kawarycz koso popatrzył na Erskiego, gościa obleciał strach. W wygodce z czystym sedesem, przytulonej do drewnianego płotu, zawsze były przynajmniej pocięte gazety, a poza tym Kawaryczowie hodowali kwiaty. Dwie mizerne grządki lichych, bladych astrów, z których większość już na początku czerwca wędła na słońcu – ale były tam. Dowód, że Kawaryczom zależy także na estetyce, a właściwie również na wartościach duchowych. Pod ścianą w pokoju z telewizorem stała też mała biblioteczka i Erskemu przyszło później na myśl, że jeżeli ich głos liczy się także w zarządzie gminy, to Kawarycz z żoną mógłby również postarać się o internet, ale potem uświadomił sobie, że na kwiatowych grządkach i biblioteczce z ośmioma książkami się to kończy. Nie mieli żadnego pojazdu podobnego do samochodu, jakie stały w niektórych innych zaniedbanych zagrodach, kuchnię stanowiła elektryczna fajerka i kawałek deski od ściany do ściany zamiast stołu czy szafki, wszystkie meble były odrapane, a o kupnie łóżka dla Sierioży mówiło się tak samo często jak o jego prześladowcach Waśce i Dimie, a rezultat był równie nikły.

Sierioża spał z matką albo z babką pod oknem; pod prześcieradłem między materacami trzymał czekoladowe cukierki, a papierki wyrzucał przez okno, nie wstając z łóżka. Kawarycz w ten sam sposób pozbywał się pustego słoja po ogórkach czy puszki po konserwie rybnej, którą zjadł sam, siedząc na kanapie.

Puszka po sajrze wyleciała przez okno również tego wieczora, kiedy wszyscy siedzieli przy stoliku w pokoju gościnnym i słuchali opowieści Tamary. Elwira krzyknęła na ojca, Erske na jej polecenie wyłączył dyktafon, bo Tamara wybuchła płaczem, a Kawarycz siedział jak kołek, póki się po chwili nie otrząsnął.

Jednego z pierwszych wieczorów Erske spytał też Kawaryczów o łagry. Czy wiedzą o nich i czy kogoś tam mieli? Spodziewał się martwej ciszy lub szlochów. Ze ojciec, że wuj, że

siostra babci, która straciła tam dziecko – ale nikt nie wyglądał na zdziwionego. Jakby spytał o trochę nudną oczywistość.

– Możemy tam pojechać – oświadczyła Elwira.

Erske odniósł wrażenie, że nie dopowiedziała: oczywiście, jeśli nie będziemy mieli nic lepszego do roboty, a Kawarycz dorzucił, że tam jest bagno.

Elwira szepnęła do Erskego, że ojcu nie chce się prosić kogoś o samochód.

– Jest dumny – powiedziała i Erske nie wiedział, czy ona z niego również, czy go tylko usprawiedliwia.

Tamara Kawaryczowa trajkocze. Trajkocze, a Erskego zaczyna to męczyć. Co prawda mówić o tym, co jej leży na sercu, też umie, ale czy można tego od niej wymagać, kiedy jest w towarzystwie cudzoziemca, którego zna dopiero od kilku dni? Elementarna ludzka ostrożność i zwykły wstyd byłyby przecież w takich chwilach bardziej na miejscu. Dyktafonowi Erskego po tych kilku godzinach zbrakło już tchu. Przed wyjazdem zapomniał się zaopatrzyć w zapasowe baterie, chociaż była to jedna z rzeczy, na które jego opiekun naukowy zwracał szczególną uwagę. Będzie musiał postarać się o nie tutaj.

Elwira i Kawarycz w owej chwili już i tak od jakiegoś czasu podrzemywali, podczas gdy Tamara jednocześnie nie tylko opowiadała, ale także dolewała Erskemu herbaty i wódki, wyjmowała ze słoja ogórki, krajała je wzdłuż i smarowała majonezem małe kromki białego chleba.

Erske musiał odpowiadać na pytania, ile ma rodzeństwa, co robią jego rodzice, czym różni się powietrze w jego kraju od charyńskiego i jak mu się podoba miasto. Jak długo u nich zostanie, nie pytała. Ani o to, czy ma jakieś zamiary wobec Elwiry, skoro w ciągu tych czterech dni był już trzy razy na pocztce, skąd dobrą godzinę rozmawiał przez telefon z matką, a od Elwiry Tamara wiedziała, że za każdym razem zostaje tam jeszcze na następne pół godziny na herbatę.

Charyń Erske pochwalił pod każdym względem, chociaż prócz drogi ze stacji i od Kawaryczów na pocztę niczego jeszcze nie widział. Kiedy jednak Tamara spytała go, co o Charyniu wie, rozkręcił się jak kołowrotek.

– Osada założona w roku 1841 przez trzech awanturników w służbie cara, szukających na wschodzie odpowiedniego miejsca na nową stolicę, gdyż wydawało się, że Petersburg za kilka lat może się zapaść w mokradłach. Później mała stacja myśliwska, gdzie wyprawiano wilcze skóry, która w roku 1860 z nieznanых przyczyn zakończyła działalność. Później na ruinach koszar po ponoć zbiegłym garnizonie wojskowym z Jekaterynburga Ilia Piatigorski znów założył osadę jako główny obóz, gdy poszukiwał tak zwanych Czukczów Południowych, grupy etnicznej, której istnienia nigdy nie dowiedziono, zjadaczy psów, nieustannie ginących osiadłym w tej okolicy Rosjanom...

– Wie pan, z jakiego powodu ludzie tutaj najczęściej umierają?

– Nie wiem.

– Przez chłanie! – zagrzmiała Kawaryczowa. – Kiedy gminny pastuch żłopie jak smok, a trwa to parę tygodni ileś tam razy w roku, to wszystkie nasze krowy diabli biorą.

– A ile ich jest?

– Dwieście dziewięćdziesiąt sztuk.

– To świetnie – ucieszył się Erske. – To mnóstwo mleka.

Tamara skrzywiła się.

– Coś panu powiem. Niech pan nigdy nie mówi, że na Syberii jest czegoś mnóstwo, bo mnóstwo to nigdy niczego nie ma. Z wyjątkiem drewna, śniegu oraz komarów. Krów jest akurat dosyć mało. I szlag by to trafił. Krowy, które zginęły, zwykle ponownie rodzą się komuś w Uljaniewsku albo w Magyszu. Z sierścią wygoloną w miejscu, w którym te nasze były znakowane. I jeszcze słońce. Tego też mamy mnóstwo, ale tylko przez dwa, trzy

miesiące w roku, kiedy nie tylko świeci, ale i grzeje. W zeszłym roku lato skończyło się już dziewiętnastego sierpnia, a pierwszy śnieg spadł pierwszego września. Dzieci poszły do szkoły i wróciły z mokrymi tornistrami. Coś okropnego. Żeby chociaż w tym roku nie zdarzyło się to Sierioży. A co by pan, panie Erske, powiedział na to, żeby zająć się troszkę nauczaniem? To znaczy, kiedy lato się skończy.

Zanim Erske zdobył się na odpowiedź, Kawaryczowa oświadczyła, że w swoim czasie pozna go z tutejszym nauczycielem i we dwóch już jakoś się dogadają.

Elwira miała zamknięte oczy, ale nie spała. Było jej trochę przykro, że o niej samej przez cały czas nie padło nawet jedno słowo. To przecież ona go do nich przyprowadziła, a matka teraz poczyną sobie tak, jakby Erske należał do niej. Mężczyzn, którzy by byli coś warci, było we wsi jedynie paru i przeważnie już dawno kogoś mieli. Kawarycza matka capnęła, kiedy nie miała nawet szesnastu lat. W odróżnieniu od innych nie pił i był przystojny. Obserwowała go wraz z przyjaciółkami nad tą glinianką, kiedy się tam kąpał. Elwira potrafiła to sobie wyobrazić, tę matki prostoduszną zmysłowość i pragnienie, żeby wszystko, co piękne, mieć wyłącznie dla siebie. Kiedy już parę razy pobaraszkowali za wsią, wmówiła w niego, że jest w ciąży. Siedemnastoletni Kawarycz zapewne zmarszczył czoło całkiem tak samo, jak robi to obecnie. Z dziadkiem Welorem Josifowiczem doszedł do porozumienia, bo i nie miał innego wyjścia. Elwirze matka początkowo przedstawiała to jako ciąg nieprzespanych nocy. Mówiła, że była od tego po prostu chora. Jak nieżywa, ciało bez duszy, a co, gdyby ojciec powiedział „nie” i ona, sama z dzieckiem na karku, stałaby się pośmiewiskiem – użalała się nad sobą. Chodziła ponoć po tajdze i zrywała kwiaty, jakie tylko wpadły jej pod rękę. Matka, która nigdy nie zapuszczała się dalej niż za pierwsze niskie świerczki, a kiedy wlaża jej tam krowa, zaraz wzywała pomocy. Skrzaty, duchy i co tam jeszcze, a przy tym uważa się za prawosławną. Naśmiewa się z ojca, że czyści strzelbę z zasady jedynie od góry do dołu, i to nigdy wieczorem przed polowaniem, a sama omal nie chowa się pod łóżko, kiedy tylko usłyszy grzmot. Tłumaczy, że to u niej dziedziczne. Ale Tamara urodziła się już tutaj i jak żyje, nigdy nie była w żadnym mieście większym niż Pstrugi.

To dziadka Welora Josifowicza przysłali tu ze Smoleńska i nigdy się tu nie zadomowił. Na stare lata założył drugą rodzinę, żeniąc się z młodziutką idiotką, charyńską buraczarką. Teraz Tamara, ponieważ w połowie sama jest jedną z nich, w ogóle nie chce o buraczarzach słyszeć. Po matce ma także to swoje szczególne prawosławie, które każe jej nie wychodzić z chałupy i ciągnąć wnuka za rękaw, jak tylko zachce się mu bawić gdzie indziej niż na ławeczce między domkiem a drewnianym płotem.

Kiedy Elwira otworzyła oczy, Erskego już w pokoju nie było. Na stole stało kilka brudnych talerzy i leżały okruchy, Erske spał w sieni, a Tamara z Sieriożą leżeli zakutani w kołdrę na matczynym łóżku w pokoju gościnnym. W przybudówce, poza kuchnią i pokojem trzecim i ostatnim pomieszczeniem w domu Kawaryczów, spała Elwira wraz z ojcem.

W czasach jej dzieciństwa wszyscy sypiali w jednej izbie, ale potem nastąpiła ta moda. Nagle każdy musiał mieć sypialnię, budę z desek, od głównego pomieszczenia odgradzoną kotarą, a w lepszych domach nawet ramą z drucianą siatką przeciw owadom. Gdyby Erske wiedział więcej o tym, na co winien zwracać uwagę, wiedziałby, że rama z siatką przeciw owadom pomiędzy sypialnią a pokojem jest o wiele ważniejsza niż podręczna biblioteka i liczba książek, na których osiada tam kurz. Ze względów praktycznych i dla pokazania, jakie miejsce w charyńskiej hierarchii jej posiadacz zajmuje.

Elwira przykryła się po same uszy – przez szpary między deskami sypialni Kawaryczów dmuchał wiatr. Przed zimą należy to wszystko uszczelnić – pomyślała. Zamknęła oczy, ale nie mogła usnąć. Nie powinna była drzemać przy stole, teraz będzie godzinami gapić się w sufit. Wspomniała babkę, starą Josifowiczową. Już jako dziecko nie mogła pojąć, czemu dziadek Welor się z nią ożenił. Chyba dlatego że przybył tu przed zimą, a ona była pod ręką –

pomyślała. Przed zimą mężczyźni zawsze wiązali się z kobietami. Żeby, gdy wrócą z tajgi, w domu było ciepło i żeby mieli do kogo na tych zmarzniętych nogach wracać. Teraz nogi marzną Myszkinej, kiedy po pracy w sklepie rąbie jeszcze drwa i papierem ściernym szlifuje nowe wrota, podczas gdy w domu jest cicho, nie ma kogo budzić, nawet wodą chluśniętą z wiadra na łóżko. Pewnie ten jej chłop, gdyby jakiegoś miała, zdzieliłby ją, gdyby spróbowała to zrobić, ale Myszkina swoją Oleśkę wychowuje sama.

Babka nie musiała tego robić, była posłuszna dziadkowi. Szanowała go. Te jej dobre i głupie oczy patrzyłyby z szacunkiem na każdego, kto wziąłby ją sobie na kark. Może zresztą staremu Josifowiczowi nic więcej nie było trzeba. W Smoleńsku miał przecież żonę i troje dzieci. Co niedziela do nich pisywał. Czy jego pierwsza żona wiedziała o nowym dziecku, Elwira nie jest pewna. Chyba jednak nie. Już wcześniej zastanawiała się, czy jej matka nie urodziła się jedynie przez pomyłkę. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby mieć dziecko z idiotką, a dziadek Welor był w Smoleńsku lekarzem i w Charyniu też potajemnie przychodzono do niego po radę.

Elwira pamiętała oboje i oboje później jednocześnie zniknęli. Dziadek Welor zmarł, a babka wróciła do buraczarzy, skąd przysłała. Widzi ich oboje, starca i przygłupią, jak razem siedzą na przyzbie z rękami na kolanach i patrzą gdzieś przed siebie.

To o tym dziecku to było kłamstwo. Tamara powiedziała to Elwirze wtedy, gdy ona sama zaczęła się za kimś rozglądać. Zwierzyła się później jako matka swej córce, żeby nie wstydziała się nawet prowadzić brudnej gry, gdyby trafił się ktoś, kto byłby tego wart.

– Ani razu nie żałowałam – oświadczyła Tamara – a twój ojciec tak samo, bo prawdy nigdy się nie dowiedział.

Jaki chłop wart jest tego, żeby zapomnieć dla niego o skrupułach, Kawaryczowa nie miała najmniejszych wątpliwości. Powinien mieć samochód na grubych, głęboko bieżnikowanych oponach, dom choć częściowo otynkowany, no i żeby nie było żadnej eks-małżonki. Mógłby nawet nie być z Charynia, gdyby między Charyniem a nowym miejscem zamieszkania Elwiry było dobre połączenie. Najlepiej kolejowe i bez przesiadki. Poza tym, że nie miał samochodu ani otynkowanego domu, Fiedia wszystkie pozostałe warunki spełniał.

Fiedia

Pociąg, którym Erske przyjechał do Charynia, zbliża się do Chabarowska. Potem już tylko Władywostok, i koniec. Fiedia wychylił głowę z okna, czuje powiew na twarzy, jest dobrze. Wiatr go obmywa. W pracy jest już ponad sto godzin bez przerwy. Zdrzemnął się wprawdzie kilka razy w swojej ciupce, ale trudno nazwać to snem. Zanim za dwa dni ruszy w drogę powrotną, spędzi we Władywostoku piękny wieczór – obiecuje sobie, podczas gdy Erske wciąż jeszcze siedzi na kanapie u Kawaryczów, a Kawaryczowa coś mu opowiada, nazajutrz nie będzie nawet wiedział co.

Tego dnia, gdy przyjechał Erske, Fiedia też wysiadł na charyńskiej stacji. Wysiadł, od schodków pomachał do maszynisty, wskoczył z powrotem i znów podciągnął schodki do góry. Między Ułan Ude a Charyniem Erske trzy razy kupił u niego herbatę. Fiedia przynosił mu ją na tacy, w szklance ze srebrnym koszyczkiem, po czym znikał w swej ciupce koło kuchenki, w której mył szklanki. W szafce ma na sprzedaż dla pasażerów herbatniki, czekoladowe wafelki i kawę rozpuszczalną. W ciągu tych paru chwil, kiedy również on był w Charyniu, zauważyła go także stara Saszka. Udała, że go nie widzi, tak samo jak on jej. Czarownica. Przesiadywała tam już wtedy, kiedy jeździł z Worynia do szkoły kolejarskiej. Jedna taka szkoła była w Czycie, a druga w Irkucku. Obaj z ojcem nie mogli się wtedy zdecydować, która będzie dla niego lepsza. Dlaczego w końcu pojechał do Irkucka, chociaż z Worynia jest tam dalej, już nie pamięta. Człapie przez swój wagon i myśli o Sierioży. Noszenie munduru wydawało się mu wtedy nie byle czym. Teraz ten mundur ciśnie go i pije pod pachami.

Całą noc nie spał, bo ciągle ktoś czegoś od niego chciał. To powłoczki, to żeby pomógł wsunąć torbę pod łóżko, to znów jakiemuś pijakowi zaciął się składany stolik; kłął, póki Fiedia nie udało się złożyć blatu. Ludzie ubodzy najwięcej jeżdżą w zimie. Jak Syberia długa i szeroka odwiedzają się między listopadem a lutym, kiedy bilety kolejowe są najtańsze.

Kto nie żyje w biedzie i nie musi, w daleką podróż się w tym okresie w ogóle nie wybiera. W przedziałach jest zimno albo przeciwnie, za gorąco, bo gałkę regulatora temperatury ktoś urwał, a jeśli między listopadem a lutym zachce się wam wysiąść w Zabajkalu, a żeby kupić sobie rybę omul, której nie można dostać nigdzie indziej na świecie, zimny wiatr uniemożliwi wam oddychanie, brutalnie zabierając powietrze sprzed waszych ust.

Fiedia jednakże lubił jeździć w zimie. Podróżowało mało ludzi, ubodzy tak wiele w drodze nie pili, a jeśli pasażerom było zimno, on w swej ciupce ze stołeczkiem i twardym łóżkiem *przewodnika* zawsze miał w rezerwie jeden koc. Zimą Fiedia stawał się też ważniejszy. Cały wagon był na jego rozkazy, a gdy jest minus czterdzieści, nie ma żartów. Nie ma ich już, gdy jest minus dwadzieścia, gdy *przewodnik* zagrozi, że każe maszyniście zatrzymać pociąg i z pomocą jakiegoś posłusznego osiłka, który przez resztę podróży będzie pod szczególną jego opieką, rozrabiającego nicponia wysadzi. Latem taka groźba nie miała tak wielkiego znaczenia. Mniejsza o to, że jako *przewodnik* nie miał prawa tego robić i nigdy się do takiej ostateczności nie uciekał. Najważniejsze, że co bardziej zakute łby traktowały groźbę poważnie. Zapowiedź człowieka w mundurze, że wylecą na mróz, robiła swoje, nawet jeśli u bystrzejszych pasażerów te słowa wywoływały śmiech.

Zimą Fiedia najchętniej jeździł w którymś z wagonów w przedniej części składu. Lubiał być jednym z pierwszych, którzy mknęli wśród wielkich płatków śniegu, który czasem nie przestawał cicho sypać nawet pięć dni i nocy, a kiedy na zakręcie wychylił się z okna i

popatrzył do tyłu, ostatnich wagonów przez tę śnieżną zasłonę wcale nie widział. Czasem tory musiał przecierać pług śnieżny, tak wysoka była leżąca na torze biała pierzyna. Ta jednowagonowa kupa żelastwa z czerwoną gwiazdą z przodu, dzieło Zakładów im. Lenina, była wspomnieniem po komunizmie, ukochanym ustroju dziadków Fiodora. Dziadków Fiedi i innych im podobnych, którym czerwona zorza, czerwona mgła przed oczami przyćmiła rozum, podczas gdy ciało ofiarnie pracowało dla partii. Świetnie wiedział, kto te szyny układał. Kim były te zastępy nieszczęsnych muzyków, którzy wcale nie mając tego w planie, w odróżnieniu od tych z czerwoną gwiazdą na uniesionej głowie, oddali życie za partię, a w końcu również za tę lepszą przyszłość, jeśli tak na to spojrzeć. Kolej bowiem jest dawcą życia: gdyby nie przywoziła ludzi, skomplikowanych urzędów przemysłowych, oleju opałowego i mąki, Syberia zmarniałaby jak odcięta od ciała kończyzna. A w dodatku tej pracy za magistralę nikt inny nie wykona. Samoloty? Cha, cha, cha, cha! Trzmielie Aerofłotu, co spadają jak zgniłe jabłka.

Choć ta praca nie należała do ciekawych, Fiedia czasem naprawdę bywał z niej dumny. Z przynależności do personelu kolosa, któremu ufał bardziej niż komukolwiek z ludzi. Bo mimo że na magistrali transsyberyjskiej też zdarzają się niekiedy awarie, spóźnienia lub wyjątkowo kiepska obsługa pasażerów przez jakiegoś niedbałego *przewodnika*, co to jest niemoralność i ludzka podstępność, nie może sobie nawet wyobrazić.

W Charyniu mógłby mu opowiadać o tym każdy.

Tu nic nigdy nie powinno było stać.

Ci z wieśniaków, którzy mówią, że byłoby lepiej, gdyby Charyń w ogóle nie istniał, miny mają przy tym zacięte jak siekiery wbite w bukowe pniaki i gotowi byliby walić pięściami w każde wrota, przez które dałoby się odejść daleko stąd. Oczywiście, że są zadowoleni. Podpisaliby się pod tym co do jednego. Podpisali już przecież także inne papiery. Dajmy na to, że dotacji państwowych, co to przedtem były, już wprowadzić nie ma, ale tak źle jak za Jelcyna nie było na Syberii nigdy, i to nieprzypadkowo. Więc dlaczego nic by tutaj nie miało stać? Fiedia swoim pociągiem przejeżdża koło wszystkich tych miejsc i lubi je. To mało powiedziane. Nigdy by się stąd nigdzie nie wyprowadził i dlatego będzie milczeć także o tym petersburskim mieszkaniu. Żeby nigdy nie musiał w nim zamieszkać, mimo że byłaby to decyzja najrozsądniejsza ze wszystkich.

Gdyby Erske spotkał się kiedyś z Fiedią i powiedział mu, że szuka zaginionego Hablunda, Fiedia machnąłby tylko ręką. Zna mnóstwo historii o ludziach, co wsiedli do pociągu, a ich bliscy nigdy już się ich nie doczekali. Historii o ludziach, którzy nie dojechali. Wie o tym stąd, że nie ma komu zwrócić biletu przed stacją, na której powinni byli wysiąść. Na początku podróży zbiera je od wszystkich pasażerów, a potem zwraca tym, którzy wysiadają. Nieważne, kto to jest. Kobieta z dzieckiem, starzec, student wracający do stolicy od babci. Przytrafić się to może każdemu. Jakby się pod człowiekiem ziemia zapadła. Pewnego razu Fiedia widział wysiadającego mężczyznę z walizeczką. Jeszcze zanim wysiadł, człowiek ten włożył nową koszulę, potem zszedł po schodkach, stanęli właśnie, żeby odczepić jakiś wagon, był grudzień, a ten miał na sobie tylko białą koszulę, spodnie i lekkie mokasyny. Gdy pociąg ruszał, wyglądało to, jakby po zaśnieżonej równinie szły tylko głowa oraz brązowe spodnie, a między nimi – nic. Nie odwrócił się ani razu, a Fiedia mógłby przysiąc, że w promieniu dwustu kilometrów nie było żadnej wsi.

Już na długo przed końcową stacją ostatni pasażerowie Fiedi zaczynają się zbierać. Zdejmują powłoczki z poduszek, prześcieradła z materaców i razem z cienkim kocem oraz wilgotnym ręcznikiem, w który przez całą podróż wycierali ręce, wracając z toalety, i usta po zupie, wszystko zwijają w jeden kłęb i zwracają mu, gdy przechodzi wolno przez wagon. Potem pięknie zwijają w rulon materace i wrzucają je na górną półkę. Oraz szare,

wybrudzone poduszki. Koce od strony nóg śmierdzą, a znów te od strony głowy pełne są wszy. Koc potrzebny jest jednak także latem, żeby było ciepło, gdy w nocy w wagonie hulają przeciągi, chociaż w dzień było plus trzydzieści stopni, i kto nie wziął koca wieczorem, nad ranem drepcze nad głowami śpiących podróżnych i z pewnością przydepcze przy tym komuś rękę.

Umieszczone pod łózkami bagaże pasażerowie w popłochu wyciągają już na pół godziny przed swoją stacją. Nie ma najmniejszego znaczenia, że ten pociąg nigdzie dalej niż do Władywostoku nie jedzie i będzie stał na dworcu co najmniej dwie godziny. Ten szalony pośpiech jest czymś, co wiąże się z podróżowaniem tak samo jak jajka na twardo, roztopiające się, kupione na peronie lody i ciepła, zwietrzała lemoniada. Dawniej ludzie wozili tego więcej. Całe pieczone kurczęta, zawinięte w gazetę wędzone ryby, wielkie słoje jogurtów, które pijano z kubków. Herbaty nie kupowali tak często u *proownika*, ale wypakowywali z serwetek własne torebki i z blaszanymi kubkami ruszali do samowara. Wozili z sobą również obrusy i małe serwetki, które kładli na kolanach, żeby im coś tłustego nie upadło na spodnie, a zimą na dresy. W dresy przebierają się także dziś. A i te kapcie, pozwalające stopom odpocząć od zwykłego obuwia, zbyt się nie zmieniły. Kapciuszek. Fieda przypomniawszy się te jego dziecinne, w zielone kropki. Będąc chłopcem, zawsze wypychał jeden w drugi i nim wysiedli, podawał ojcu. Ostatni raz tak robili, kiedy ojciec odwoził go do Irkucka, do szkoły kolejarskiej. Czekał tam Fiedę jego pierwszy rok szkolny. *Proownik* – to było coś jakby stewardesa w samolocie. Brzmiało dobrze, choć uważano, że nie jest to zawód dla prawdziwych mężczyzn. Ale niech się w sąsiednim wagonie coś zepsuje, kiedy dyżur w nim ma kobieta, to ona zaraz biegnie po Fiedę, choć z niego jest chucherko, a ona to cyncata baba jak piec.

Był chłopcem rozgarniętym, gdy przyjmowano go do szkoły, i rozgarniętym młodym człowiekiem, gdy zdał egzaminy końcowe, uzyskując niemal maksimum punktów. Z przedmiotu „historia kolejnictwa” wyciągnął pytanie, jak do lat pięćdziesiątych jeździły magistralą miejscowe plemiona, i opisał to z najdrobniejszymi szczegółami. Te typowe dla okresu przejściowego ciężkie wagony towarowe, w których siedziało się na ogół wprost na podłodze. Nad głowami podróżnych często kołysała się tylko jedna mrugająca żarówka, a w wagonie nie można było regulować temperatury. Podróż tych plemion koleją znad Bajkału do Władywostoku trwała całe dwa tygodnie, ponieważ złożony z bydlęcych wagonów pociąg stawał również tam, gdzie przy trasie było tylko kilka nędznych chałup i ognisko. W miejscach, gdzie mieszkali czyściciele torów oraz ludzie wygnani ze swych osad, polityczni i kryminalni. Na dodatek Fieda dobrze przedstawił temat na tle ówczesnej sytuacji politycznej; komisja nie miała ani jednej poważniejszej uwagi.

Egzamin praktyczny też wypadł wtedy lepiej, niż Fieda w najśmielszych marzeniach się spodziewał. Przy markowanej awarii grożącego wybuchem kotła zatrzymał pociąg najwcześniej z całej klasy. Pociągnął za hamulec w niecałe pięć sekund po tym, jak uznał sytuację za krytyczną, i słusznie zdecydował się na rozwiązanie najbardziej radykalne. Podobnie jak kapitan transatlantyku, również *proownik* na magistrali transsyberyjskiej jest odpowiedzialny za życie pasażerów. Musi umieć wyłamać zablokowane drzwi, wybić szybę tak, żeby kawałki szkła wyleciały na zewnątrz, a nie do środka, na podróżnych, stale musi być przygotowany na najgorsze, choć przeważnie nic się nie dzieje, a on tylko z uśmiechem roznosi herbatę i myje kubki w kuchence.

Prócz małosłownych sprzeczek o miejsca, które bez trudu rozstrzygał, pokazując malkontentowi numer na jego bilecie, najczęściej wybuchają kłótnie o miejsce na bagaże. Jest go niewiele i tego pod łózkami, najlepszego, bo chroniącego przed złodziejami, nie wystarcza dla wszystkich. W ciupce *proownika*, odrobinie luksusu, który miał tylko dla siebie, nie można się było potem ruszyć, bo zawsze znalazł się ktoś, kto obawiał się o coś cennego i nie widział innego wyjścia, jak tylko wpakować swój bagaż właśnie tam. Nie obowiązywały tu

żadne reguły, więc Fiedia słuchał głosu własnego serca, a ono kazało mu być usłużnym, jeżeli to tylko możliwe. Stratni byli na tym przeważnie sami pasażerowie, ale nie ci, co korzystali z jego uprzejmości. Jeśli w nocy ktoś czegoś potrzebował, a Fiedia akurat pozwolił sobie na krótką drzemkę, długo trwało, zanim przez stertę toreb wygrzebał się ze swej nory, więc obsługiwał pasażera wolniej, niżby należało. Ale na to w kolejowym regulaminie również nie ma stosownych przepisów. A jeśli wziąć pod uwagę tempo, w jakim Fiedia zazwyczaj robił wszystko, co tylko dało się zrobić szybko, nikt rozumny nie mógł mieć do niego pretensji o jakieś tam niewielkie spóźnienie.

Jak zawsze, kiedy pociąg dojeżdżał do stacji końcowej, Fiedia był zmordowany jak pies. Jeśli sprzątaczką nie przyszła, sam chodził po wagonie i zbierał bieliznę pościelową, opróżniał kosze na śmieci, a to, co zostało na stolikach, wrzucał do plastikowego worka, który ciągnął za sobą. Nawet największe śpiochy oprzytomniały już i wszyscy pasażerowie, co do jednego, stali stłoczeni w korytarzu ze swymi bagażami, szczebiotały jedynie dzieci. Z kilkorga ostatnich matki ściągały dresy, przebierając je w zwykłą odzież, dziewczynce, którą Fiedia zdążył między Czytą a Władystokiem polubić, ojciec na nowo zaplatał warkoczyki.

Fiedia dowiedział się od niej, że jedzie w odwiedziny do dziadka i babci, i pouczył ją, żeby u nich była równie grzeczna, jak przez cały czas w jego wagonie.

Czasami na końcowej stacji ogarniał go na chwilę żal, kiedy wdał się z kimś w dłuższą rozmowę i nagle trzeba ją było kończyć, ale przede wszystkim cieszył się, że ma już tę harówkę za sobą. Także teraz życzył dziewczynce przyjemnej wizyty, a zarazem odsapnął, że ma ją już z głowy. W całym wagonie musi jeszcze pozamiatać, worki z pościelą zanieść do pralni. Potem już koniec pracy i będzie wreszcie mógł się położyć.

Zeszłej nocy niewiele sobie pospał. Gdy wysiadł ostatni pasażer i Fiedia przy schodkach podał mu wielką torbę pełną konfitur z renklod, odsapnął i zamknął na chwilę oczy. W duchu policzył do dziesięciu, tyle czasu wyznaczył sobie na regenerację, i przystąpił do zamiatania. Potem związał toboły z bielizną pościelową, skombinował na władystockim dworcu wózek i ruszył do Mariny.

Marina, mała krępa Buriatka, pracowała w kolejowej pralni przy ladzie, przyjmowała brudną pościel. Pralnia była częścią dworca, lecz szło się do niej przez podwórze między mało używanymi budynkami a wagonownią.

Powitała go entuzjastycznie jak zawsze. Jak zawsze była w śnieżnobiałym fartuchu i czepeczku, i wyglądała jak coś pośredniego między zakonnicą a pielęgniarką. Było to energiczne stworzenie o dobrym sercu, zawsze miała dla niego miłe słowo. Początkowo Fiedia myślał, że łączy ich coś szczególnego. Niezwykła więź, skoro ona zawsze była taka troskliwa. Ale raz został w pralni dłużej i widział, że z *przewodnikiem*, który przyszedł po nim, powitała się jota w jotę tak samo. Ale i tak go cieszyło, kiedy z jego powodu kręciła się za ladą i toboły z brudną pościelą brała od niego z taką radością, jakby to były prezenty, które przywiózł z dalekiej podróży. Rozwiązywała supły na wszystkich tobołach, liczyła znajdującą się w nich zmiętoszoną pościelową bieliznę i zapisywała wszystko w leżącym na ladzie notesie. Biada, jeżeli Fiedi coś brakowało. Wpadała wtedy w gniew, lecz on i tak wiedział, że złości się tylko na pokaz. Kiedy chciała, zawsze umiała jakoś tak zachachmęcić, żeby nikt na to nie wpadł. Bo też na kolei różne rzeczy ginęły jak nigdzie indziej.

Tak jakoś musiało to wyglądać w tych radzieckich kołchozach – myślał Fiedia, widząc dokoła siebie cały ten bałagan. Nic nie było niczyje, wszystko należało do wszystkich czy też do państwa, które miało za krótkie ręce na to, by urwać łeb jakiemuś Iwanowi Iwanowiczowi. Zwłaszcza jeśli kradł tylko mydło, cukier lub poszewki na poduszki. A takich *przewodników* było niemało. Mydło zanosili żonom, poszewki teściowym, a kolejowym cukrem słodzili w domu przez cały rok, w poczuciu, że dzięki temu ich zawód przynosi spory zysk. Może dlatego kierownictwo przymykało na to oczy, mimo że socjalizm dla najmłodszych

proowników był mniej niż mętym wspomnieniem z dzieciństwa i przysłowiową bzdurą. Była to nieformalna strategia przedsiębiorstwa: płacić pracownikom mało, a ich złodziejstwa, póki utrzymuje się w określonych granicach, po prostu nie dostrzegać. Przecież ta pensja Fieda rzeczywiście jest śmiesznie mała. Toteż kandydatom do szkoły kształcącej przyszłych kolejarzy zamiast o niej, mówi się o pięknym mundurze, o zniżce kolejowej dla całej rodziny i o możliwości awansu w pracy, chociaż Fieda o nikim, kto zacząwszy jako *proownik*, skończyłby na kolei jako ktoś inny, nie wiedział. Ludzie przychodzili i odchodzili, to owszem, ale żeby *proownik* został maszynistą, zawiadowcą stacji albo dyżurnym ruchu, o czymś takim Fieda jako żywo nie słyszał. Odchodzili ci, którym się praca *proownika* nie podobała. Przynajmniej Fieda tak to sobie wyjaśniał. Nie żeby byli niezadowoleni, ale po prostu nie lubili wystarczająco swej pracy. Powtarzał to sobie, ilekroć spotkał kogoś takiego jako *proownika* w sąsiednim wagonie i przez całą drogę musiał wysłuchiwać jego utyskiwań. Do *proownika*, który zazwyczaj po kilku miesiącach składał wymówienie, uśmiechał się ze zrozumieniem i kończył zmianę z poczuciem, że rozumie ludzi, co nie oznacza jednak, że sam miałby zmieniać swoje poglądy. Po prostu lubił być na szlaku. Toteż gdy któryś z *proowników* zaczynał ganić stosunki na kolei, Fieda czuł się nieswojo. Bo i co mógłby robić innego? I wcale nie dlatego, że gdzie indziej by sobie nie poradził, lecz dlatego, że z tego podróżowania przez tajgę nie zrezygnowałby za nic na świecie. Tych dziewięć tysięcy kilometrów z kawałkiem, ile tam tego jest z Moskwy do Władywostoku, znał jak własną kieszeń, lecz dopóki nie zaczęła się tajga, te wciąż takie same dworce oraz skupiska domów, pola i łąki w gruncie rzeczy porządnie go nudziły. W takich chwilach rozumiał narzekanie niektórych *proowników* na nieciekawą pracę. Wiatka, Perm, Jekaterynburg, Omsk, Krasnojarsk... wszystkie te miasta nużyły go. Oddalały tylko to, co naprawdę lubił.

Kraj Fieda zaczynał się za Bajkałem. Od Irkucka lub raczej Ułan Ude czuł się u siebie i aż do Władywostoku jechał jak we śnie. Oczywiście przez cały ten czas odpowiedzialnie pracował i wykonywał najrozmaitsze zadania. Nikt by o to Fieda nie podejrzewał, a jednak. Jakby się w tych kilkuset kilometrach zakochał. Czasem miał tyle pracy, że nawet nie mógł się rozkoszować widokami, ale i tak wiedział, że one gdzieś tam są, a gdy tajga za oknem zbyt długo biegła bez niego, stawał się wobec pasażerów opryskliwy. Była czymś, co znał od dzieciństwa. Już wtedy zapierała mu dech w piersiach, a gdy za oknem wschodziło słońce, dostawał gęsiej skórki. Ojciec w pociągu przeważnie czytał lub rozmawiał z innymi podróżnymi. W tym, że chłopiec spędzał przy oknie więcej czasu niż inni, nie było przecież nic niepokojącego. Lepsze to, niż gdyby był wiercipiętą albo tylko dla samej przyjemności zamawiania i dla torebek cukru z obrazkiem chciał zamawiać u *proownika* coraz to nowe szklanki herbaty, choć w torbie mieli z domu termos ze swoją własną. Krótko mówiąc, ojciec Fieda, Oleg Abramowicz, uważał, że póki nikomu innemu to nie szkodzi, chłopiec może sobie robić, co chce.

Niektórzy powiadają, że ludzie, którzy od najmłodszych lat wychowywali się stale w tym samym miejscu, nie znają należycie najbliższej okolicy. Prawdą jest, że Fieda pod pewnymi względami uchodził za dziwaka, i to nie tylko z powodu tajgi. W szkolnym internacie naśmiewano się z niego, że tak skrupulatnie przestrzegał czystości, a w domu, w Woryniu, dlatego że był chudy. Na jednych i na drugich prześmiewców nie zwracał uwagi, ale gdyby ktoś miał coś przeciwko jego tajdze, dopiero by zobaczył, co naprawdę w nim siedzi. Uaaa! Drzemiący syberyjski tygrys.

Rodzinna wieś Fieda nazywa się Woryń i podobna jest do Charynia. Parędziesiąt zatopionych w tajdze domów, jedna główna, niewyafaltowana droga, poczta, sklep, w którym niczego nie ma, i stacja, bez której wieś nie utrzymałaby się przy życiu. Przynajmniej zdaniem niektórych. W Charyniu jest to przyczyną sprzeczek. Co pewien czas bowiem można usłyszeć, że pociągi przestaną się zatrzymywać na charyńskim przystanku. Ze budynek stacji opustoszeje i wieśniacy będą wydani na pastwę żywiołów. Wiadomo, że tajga by wygrała i na

powrót zajęła tych ileś tam niezarośniętych metrów, które i tak są jej. Na szczęście jest to tylko fałszywy alarm. Niemniej dwadzieścia lat temu w Charyniu i Woryniu pociąg zatrzymywał się o połowę częściej. Ruch na Syberii leżał w interesie kraju i państwo go dotowało, co skończyło się z chwilą upadku komunizmu. Fiedia to zna. Jego pociąg przejeżdża koło wsi, w których szyby we wszystkich domach są powybijane. Przez dziury po wyłamanych deskach świszczę wiatr, drzwi toną w trawie, a martwymi ulicami poranna mgła pełźnie tak samo jak w tajdze.

Dawniej pociąg zatrzymywał się wszędzie, i to każdego dnia. Przy uroczystych okazjach na wiejskim placu grywała orkiestra, działało tam również kółko teatralne. A potem wszystko to diabli wzięli. W niektórych wsiach proces ten dopiero się rozpoczyna. Wybite okna mają tam na razie jedynie domy na obrzeżach, a ścieżki tych paru ludzi zdoła wydeptać. Ale i tu, gdy Fiedia będzie przejeżdżał tędy za kilka lat, również nic już nie będzie. Mimo że drobny handel wciąż jeszcze jakoś się tutaj trzyma, że na stacjach machają do Fiedi dzieci, a kobiety mają pełne ręce roboty przy kopaniu kartofli. Ale liter na huśtającym się do góry nogami sklepowym szyldzie nikt nigdy już nie doprowadzi do dawnego stanu, tak samo jak uszkodzonego ogrodzenia wokół pomnika bohaterów. Płot okalający pastwisko naprawia się tu tylko, opierając o niego kawałki blachy, a o nowym, nim wyjadą stąd ostatni mieszkańcy, będzie się tylko nieustannie mówić.

Fiedia niechętnie wspomina dawne czasy, kiedy musiał gdzieś maszerować lub wyprężony jak struna stać na warcie przed niewielkim pomniczkiem, koło którego każdy starał się przejść jak najprędzej, bo było parno, a w Woryniu rosły zaledwie cztery drzewa. Albo musiał zbierać czarne jagody, żeby pracujący w fabryce robotnicy mieli je na drugie śniadanie, a kiedy wyszło na jaw, że nazbierał także jedną torebkę dla siebie i dla ojca, przez całe popołudnie siedział zamknięty w szkole. W klasie też było wtedy gorąco, ale przede wszystkim był to wstyd, chociaż ojciec mówił, że nie.

Fiedia niczego z tamtych czasów by nie bronił. Wszystko grabili i nikt o nic nie dbał – mówi się o nich i jest to prawda. Tylko że na Syberię w tamtych czasach przenosiło się mnóstwo ludzi – przypomina sobie Fiedia. Na dworcu we Władywostoku ogarnął go żal, że od dawna nie jest to już prawdą.

Erske

Erske powiedziałyby na to, że na Syberię przyjeżdżało się głównie w bydłych wagonach. Wysypywali się z nich obywatele w miejskich ubraniach, dostawali łopaty, budowali magistralę, którą obecnie jeździ Fiedia, i tysiącami padali jak muchy. Tylko że ludzi w Charyniu to nie interesowało. Po pierwszych kilku dniach Erske nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Zaproponował Elwirze, że ponieważ chciałby zobaczyć łagier, sam rozpyta się we wsi o samochód, żeby Kawaryczowi nie musiało być głupio, lecz Elwira odpowiedziała, że jeszcze na to nie czas. Kiedy ten czas nadejdzie, nie wiedziała, ale Erske zadowolili się tym, bo z wykładów z antropologii wiedział, że wszędzie indziej na świecie czas płynie wolniej niż w Europie i że nie powinien się denerwować. Spieszyć się charyniacy zaczną, kiedy będzie się zbliżała zima – uznał, ponieważ stale mówiło się tu o tym, co trzeba zrobić, zanim spadnie śnieg. Prawie we wszystkich domach, przynajmniej według Tamary, planowano jakieś remonty. Paru mieszkańców, którzy nie mieli jeszcze sypialni, szykowało się, by je dobudować, mówiono o naprawie oświetlenia ulicznego – jedynej latarni, która znajdowała się na stacji, o tym, że trzeba zdążyć z suszeniem siana, gromadzeniem drewna na opał i na dodatek z upraniem wszystkich rzeczy z materiału, ale tu miał wrażenie, że Tamara przesadza, bo nie widział, żeby robił to ktokolwiek oprócz niej. Właściwie nie ma się co dziwić, że nie są w nastroju, żeby zaspokoić jego kaprys i zorganizować wycieczkę do dawnego łagru.

Niemal co dzień odwiedzał Elwirę w pracy. Na pocście Elwira miała pod wieczór przyjemny chłodek, a przez cały dzień mało roboty. Mówiła, że więcej jej ma w zimie, gdy charyniacy wysyłają życzenia noworoczne do zabitych deskami dziur setki kilometrów od Charynia, jeszcze dalej na północ, gdzie przez pół roku jest jasno, a przez drugie pół tak ciemno, że nie widać nic dalej niż na krok, albo do ciotek do Moskwy, Petersburga i podobnych miast, które większość charyniaków wyobrażała sobie jako wir światła, światowych ludzi i mieszkań pełnych wyściełanych mebli.

Uważano, że kto się tam raz wybierze, ten już nigdy nie powróci – i często też tak było. Chęć pojechania gdzieś dalej niż do Pstrug rzadko kiedy była jednakże słabsza od strachu lub poczucia, że jeżdżenie gdzieś ot tak sobie jest rozrywką całkiem zbędną i bezużyteczną, wobec czego raczej z charyńskiej poczty wysyłano tam widokówki.

Przed Nowym Rokiem na pocście panował ścisk. Elwira zazwyczaj zamawiała na ten okres sporo widokówek z motywami bożonarodzeniowymi, w trzech lub czterech wariantach, żeby kobiety mogły coś sobie wybrać. Czasem stały po nie w kolejce, pięć albo więcej z nich tłoczyło się przy ladzie, trzymając w rękach przygotowane pieniądze i poszturchując się ostrymi łokciami, żeby jeszcze mieć jakiś wybór. Przez cały rok przychodzili na pocztę głównie ci mieszkańcy Charynia, którzy chcieli, żeby Elwira pomogła im poprawnie napisać na kopercie adres, bo ci, co potrafili zrobić to sami, mogli widokówkę czy list, o ile nie był za duży, wrzucić do skrzynki przez szparę w drzwiach, jeżeli się w niej zmieścił. Kiedy w przesyłce znajdowała się wielka tabliczka czekolady od Myszkinej, było to trudne i zwłaszcza latem Elwira starała się zniechęcić charyniaków do takich pomysłów.

– W rozpalonych wagonach czekolada się roztopi – ostrzegą ich.

Ale nigdy właściwie nie wiedziała, czy to prawda, dopóki nie zapytała o to Fiedi.

Zdziwiło ją, że Erske, wysiadając w Charyniu, nie zauważył Fiedi. Przeważnie stoi przecież przez chwilę na peronie, zanim da znak maszynieście, ale Erske nie widział chyba nic

oprócz Saszy Pawlicz, skoro teraz tak często o nią pyta.

– Moja babcia, o której nikt nie powie inaczej niż „przygłupia Josifowiczowa”, przyjaźniła się z Saszą – powiedziała Elwira, znów siedząc z Erskem za pocztową ladą. – Chociaż rozumu miała o połowę mniej niż Sasza, z jakiegoś powodu trzymały się razem.

Elwira sama była zdziwiona, czemu właściwie mówi o tym Erskemu. Chciał, żeby mu opowiedziała o swojej rodzinie, ale tego już mówić nie musiała. W rezultacie czuje się jakoś dziwnie. Przyszedł, położył przed sobą swój dyktafon i powiedział:

– Opowiadaj.

Czasami Erske miał antropologiczne mądrości po prostu w nosie. Nie wiedział, kim jest Elwira, nie wiedział też, jak wiele chce się o niej od niej dowiedzieć, była po prostu źródłem informacji. Kobieta z poczty – to w takiej pipidówce nie byle kto. Nie można powiedzieć, że jej nie lubił.

Ale matce opowiadał o niej przez telefon jedynie jako o kobiecie około trzydziestki, u której rodziny teraz mieszkał. Kobieta z poczty, która go wzięła do domu. Na początku zawsze jest ktoś.

O Charyniu nie wiedział wiele więcej, niż mówił Tamarze. Ale jednak troszeczkę. „Char” w języku mongolskim znaczy „czarny” i nazwa wsi pochodzi ponoć od tego. Zdaniem niektórych. Erske w każdym razie odnosił się sceptycznie do wszystkiego, co nie było dostatecznie udokumentowane. Gdyby Charyń naprawdę nazywał się od słowa „char”, znaczyłoby to, że ludzie żyli tu znacznie wcześniej, niż napisano w tych wszystkich książkach, które przeczytał, zanim tutaj przyjechał. Znaczyłoby to, że mieszkańcy Charynia byli tu już gdzieś w czternastym wieku, gdy Arhus, rodzinne miasto Erskiego, trafiła czarna ospa. W teorii, że połowa Sybiraków to mieszańcy, na pół Mongołowie, Erske jednak zbytnio nie wierzył. To, że od czasu do czasu rodził się tu ktoś z brązową plamą na grzbiecie, świadczy co najwyżej, że czyjąś prababkę kiedyś dawno dopadł koczownik, który ze swą watahą zabłąkał tu się z południa, nic więcej. Obecnie weszło w modę twierdzenie, że kiedyś wszystkie ludy się mieszały, i znajdowanie najbardziej nieprawdopodobnych powiązań. Ze Europejczycy wywodzą się z Etiopii, Australijczycy z Chin, a Peruwiańczycy z Egiptu. Im bardziej absurdalna fantasmagoria, tym łatwiej ludzie dają jej wiarę.

Erske uważał, że prawdą najczęściej okazuje się to, co brzmi najmniej interesująco. Sam na przykład w ciągu tych pierwszych trzech dni na kanapie w pokoju gościnnym Kawaryczów chwilami przeraźliwie się nudził. Oczywiście, były momenty, kiedy słuchał z wielkim zaciekawieniem.

Na przykład gdy Kawarycz opowiadał o zimowych wyprawach do tajgi i o wygłodniałych wilkach, które chwytaly ludzi za łydki i gryzły sznurowadła, zbyt słabe, by skoczyć im do gardła, a on z dwoma towarzyszami musiał szybkim krokiem przejść w tajdze czterdzieści dwa kilometry, ani na chwilę się nie zatrzymując, bo inaczej do rana byłoby po nich. Lub gdy Tamara z poważną miną mówiła, że *batuszka* patriarcha moskiewski oraz najulubieńszy jej święty, Grzegorz Palamas, arcybiskup Salonik, którego małą podobiznę nosiła zawsze na szyi, chronią ją tylko do linii niskich świerczków za wsią, w tajdze zaś mają władzę inni – a Kawarycz rozwrzeszczał się, żeby stuliła pysk, jeśli nie chce ściągnąć nieszczęścia na całą rodzinę.

W owej chwili Erske zrozumiał, że o siłach tajgi nie wolno mówić głośno, i było to pierwsze tabu, o którym napisał w swoim bloku krótką notatkę. Przeważnie jednak nudził się u nich na kanapie tak samo jak w wielkim mieszkaniu matki w Arhus, z widokiem na morze. Parę razy nawet, kiedy Tamara coś mówiła, zasnął. Ale ponieważ się to nagrywało, mógł sobie posłuchać później. Tamara i tak zamiast o historii Charynia mówiła z zapalem o nowej kuchence elektrycznej. Ze kiedy ją wyłączy, to działa na fest, nie tak jak tamta – nic, tylko strach, z którym żyła przez wszystkie te lata, zanim zdołała namówić Kawarycza, a tak czy

tak, ile zdrowia ją to kosztowało.

Erske pomyślał, że Tamara śmiało mogłaby być na pół Buriatką. Kości policzkowe ma wydatne, a do tego oczy jak szparki. Twarz Kawarycza wyglądała jak wyrzeźbiona z wąskiego długiego klocka, chociaż oczy miał równie skośne jak ona, a Elwira była jak gdyby czymś pośrodku.

Gdyby mogli wywieść swoje pochodzenie od jakichś dzielnych facetów na koniach, którzy przez pewien czas władali całą Rusią, może w końcu byliby z siebie dumni i nie wstydziłiby się tak nieustannie z powodu tych drewnianych ziemianek – przyszło na myśl Erskemu, kiedy nie mógł odwiedzić żadnej z okolicznych chałup, bo za każdym razem zatrząskiwali mu drzwi przed nosem, mamrocząc jakieś usprawiedliwienia, że nie wpuszczają cudzoziemca. Ale że w tym miejscu w tajdze stało coś już przed sześciuset laty, zbytnio nie wierzył. Trudne do przyjęcia wydawało mu się już to, że osada została założona w roku 1841 przez wysłanników rosyjskiego cara, mających znaleźć odpowiednie miejsce na budowę nowej stolicy.

Zbudować miasto pośrodku tajgi – pomyślał – to może przyjść do głowy tylko Rosjanom. Grubianom o subtelnych duszach. Nie lubił takich stereotypów. Prócz paru literatów, o ile pamiętał, żadna z wielkich postaci w historii Rosji szczególnie subtelnej duszy nie miała. Jego koledzy z katedry antropologii w Arhus jednakże o tym rozmawiali. Nie mogli zrozumieć, po co się tutaj wybrał. Jedna z ich teorii głosiła nawet, że po prostu zakochał się w tej starej pani Tani.

Wszelkie wzmianki o Charyniu znikają, kiedy poszukiwacze nowego Petersburga po paru miesiącach nędznej wegetacji opuścili to miejsce – przynajmniej Erske nie znalazł żadnej ani w Danii, ani w Moskwie. Podobno było to iluś tam mężczyzn wraz z rodzinami, ażeby nie tęsknili do żon pozostawionych w domu, jak napisano w oświadczeniu carskiej kancelarii, która ich w tę głąszkę posłała. Dzieci pochorowały się i ciągnęli je na saniach przez ponad trzysta wiorst do najbliższego miasta, gdzie stał garnizon wojskowy, a więc był również lekarz, i choć podobno w końcu wszyscy wyszli obronną ręką, do Charynia nikt już wracać nie chciał. W pewnym tekście, na który Erske natrafił podczas swych poszukiwań, pisano, że cała ta tajemnicza choroba owej wyprawy Krasochina była tylko pretekstem, żeby mogli z honorem znów znaleźć się w świecie cywilizowanym. W sprawozdaniu końcowym Krasochin mówi potem o osadzie charyńskiej, lecz nigdzie nie wyjaśnia, skąd wzięła się ta nazwa. Wyrozumiałość cara pomimo fiaska ekspedycji Krasochin zapewnił podobno swej ekipie, przywożąc kilka sztuk pręgowanych soboli syberyjskich, które potem na carskim dworze przez ileś lat stanowiły atrakcję pokazywaną gościom. Wypchane egzemplarze tego dziś już, jak wszystko wskazuje, wymarłego gatunku znajdują się ponoć również w magazynach Ermitażu, lecz Erske znalazł na ten temat zaledwie jedną wzmiankę, a w samym muzeum nikt o takich eksponatach nie wiedział.

W parę lat później o osadzie charyńskiej mówi się jako o miejscu, gdzie rozbili swój obóz łowcy wilczych skór. Region obfitował podobno we wszelkie gatunki zwierząt i miejscowi ostentacyjnie chodzili w futrach przez cały rok. Wydaje się, że Charyń, jeżeli to o nim była mowa, miał w owym czasie szansę stać się prawdziwym, dobrze prosperującym miasteczkiem ze stałymi mieszkańcami, ale potem znowu coś się zdarzyło i do Charynia wraca tajga, a ludzie gdzieś znikają. Większość z nich wprawdzie do Rosji europejskiej nie wróciła, ale do ponownego założenia osady nie doszło także przez kilka następnych dziesięcioleci. Dopiero na początku dwudziestego wieku schronił się tu oddział porucznika Szewanina, który podniósł bunt w garnizonie jekaterynburskim pod wpływem grupy mienszewików, którzy nie chcieli wykonać rozkazu strzelania do wieśniaków, demonstrowujących z powodu zbyt wysokiego kontyngentu pszenicy. Żołnierze razem ze swymi kobietami zbiegli, aby po długiej wędrówce osiedlić się wreszcie w Charyniu. Według jednego tekstu z lat czterdziestych,

wyglądającego na wiarygodny, chodziło tu o Charyń, ponieważ opis tej miejscowości w pełni zgadzał się z opisem Krasochina z jego sprawozdania końcowego, co jednak nie musi być stuprocentowo pewne. Jeśli Szewanin osiedlił się gdzie indziej, w Charyniu w owym czasie prawdopodobnie nic się nie działo. Zapewne w ogóle nie istniał lub nosił inną nazwę jako, być może, miejsce obozowiska tak zwanych Czukczów Południowych, które Ilia Piatigorski, rosyjski etnolog z pierwszej połowy dwudziestego wieku, umieszczał z grubsza w tych okolicach, a w roku 1919 sam wybrał się na jego poszukiwanie. Czukcze Południowi są przy tym hipotetycznym odłamem Czukczów z północy, na pół Eskimosów. Część z nich, zdaniem Piatigorskiego, pod koniec osiemnastego wieku w następstwie waśni rodowych oderwała się i powędrowała na południe. Tę część dziejów Charynia Erske uważał za najbardziej interesującą, ale zarazem najmniej udokumentowaną naukowo. Gdyby wrócił do Arhus jako ten, kto potwierdził istnienie potomków Czukczów Południowych, zjadaczy psów, zupełnie wystarczyłoby to, żeby uznać, że jego wyprawa została uwieńczona sukcesem. Awans w katedrze antropologii miałby zapewnić.

Erske jednakże świetnie wiedział, że dawni etnologowie rosyjscy, ludzie szaleni, opętani wizją zadziwiającego triumfu, nie mają najlepszej reputacji w antropologii europejskiej, a Ilia Piatigorski był typowym ich przedstawicielem. Ale jego teoria na temat Czukczów mimo to Erskego zaciekała. Ślady siedzib ludzkich, noszących pewne cechy kultury Czukczów i innych rdzennych mieszkańców Syberii, można bowiem rzeczywiście prześledzić od północy aż po terytorium, na którym, z grubsza biorąc, znajduje się Charyń. Możliwość udowodnienia, że istniała grupa etniczna, która w ciągu dosłownie kilku dziesięcioleci całkowicie zmieniła swój sposób życia i w krótkim czasie potrafiła dokonać tego, co w dziejach ludzkości zazwyczaj trwa wieki lub tysiąclecia, fascynowała Erskego, chociaż gdyby powiedział charyniakom, że mają coś wspólnego z Czukczami, narodem rybożerców, którzy nie wzgardzą surowymi wnętrznościami wieloryba i świecą rybim tłuszczem, natychmiast wsadziliby go do pociągu, żeby wracał do Moskwy, lub – co bardziej prawdopodobne – wysłali do Czewapiki, do buraczarzy.

Charyń w dzisiejszym kształcie jest dziełem przede wszystkim planowania radzieckiego, zakładającego, że na każdych stu kilometrach wzdłuż magistrali powinno coś stać i zwykle stało dopóty, dopóki w osadzie regularnie zatrzymywały się pociągi. Skupiska domków, w których Fiedia znał na pamięć wygląd każdego dachu, zamieszkiwali rdzenni Sybiracy oraz Rosjanie, przybyli w celach handlowych, skierowani na mocy nakazu pracy lub przysłani za karę, żeby krzewili wśród tubylców oświatę, o ile nie przywieziono ich prosto do któregoś z obozów „poprawczych”, aby rąbali lasy, wydobywali rudę czy układali tory. Po odsiedzeniu wyroku część więźniów pozostawała na Syberii; we wsiach podobnych do Charynia czasem ponad połowę mieszkańców stanowili ich potomkowie. Erske nie wiedział, kto w Charyniu jest kim, kto jest autochtonem, a kto potomkiem jakiegoś personalnego z Moskwy, który podpadł swym przełożonym. Na pierwszy rzut oka nie można się było w tym zorientować, a Erske znał tylko Kawaryczów.

Ojca Tamary wyobrażał sobie jako delikatnego intelektualistę, który chciał być chirurgiem, a potem w Charyniu za opłatą przyjmował nielegalnie porody krów, gdy akurat miał wolne w kolchozie. Tamara nie miała żadnej jego fotografii, lecz Elwira mówiła, że był człowiekiem wykształconym, który sam sobie na złość ożenił się z idiotką i dlatego, zdaniem Elwiry, Tamara jest taka. Odporna na naukę – powiedziała i trudno było zgadnąć, co dokładnie miała na myśli. O przodkach ze strony Kawarycza Erske nie wiedział nic..

Mariane

Hablunda zawsze interesował tylko handel. Jego napomknięcia, że od lat prenumeruje czasopismo geograficzne, Mariane nie dosłyszała. Teraz, gdy firma kwitła i mieli oszczędności, niespodziewanie uderzył grom z jasnego nieba w postaci niedorzecznego bredzenia.

Nawet odpowiedniej kompleksji nie miał. Nie był chudy ani zbyt gruby, ale na kilometry, które przeszedł, składały się wędrówki do znajdującego się trzy kwartały od domu biura i z powrotem oraz niedzielne przechadzki, kiedy razem gdzieś wyjechali. Do domku w Odense, w którym urodził się Hans Christian Andersen, skąd następnie szli na krótki spacer, wstępowali gdzieś na kawę, a potem wspólnie czytali *Choinkę* lub *Dziewczynkę z zapalnikami*. Jakże słodkie wydały się nagle te wspomnienia. Również te trudne do zniesienia przygotowania będą się jej wydawać właśnie takie. Chwile, gdy był jeszcze tak blisko, że tylko ręką sięgnąć, ale myślami już pośród reniferów, tygrysów lub brudnych ludzi, których języka nie rozumiała. Nie możesz mi zabronić – powtarzał, a Mariane pytała go, co właściwie ona sama dla niego znaczy, i wabiła go do ich przytulnej sypialni z różowymi frędzlami na zasłonach. Na co on, że niby po co się rani i niepotrzebnie obydwójce dręczy. A potem wyjechał.

Przez ileś pierwszych dni był wszędzie. W witrynie sklepu z kolekcją zimowej mody, na ekranie kina jako główny amant; w kiosku z frytkami człowiek od keczupu miał podobną jak on czapkę. Ale Mariane stopniowo przywykała.

Później, gdy pierwszy tydzień spędziła zagrzebana w pierzynach w ich sypialni, wdychając coraz słabszy zapach Hablunda, wydzielany przez jego piżamę, powiedziała sobie: Dość! Pieniądze jej zostawił, a zebrania jego firmy, w których miała raz na miesiąc uczestniczyć, były czystą formalnością. Podsuwano jej krzesło, częstowano kawą i mówiono o rzeczach, których nie rozumiała.

Mimo że nie wiedziała dokąd, pisała do Hablunda listy. Chowiała je do szuflady i czekała, aż Hablund przyśle jej swój adres. Dziwnie brzmiącą nazwę osady albo numer skrytki na poczcie, gdzie będzie odbierał te listy, wymiętoszone wskutek długiej podróży.

Przyjaciółki Mariane, żony innych kopenhaskich ludzi sukcesu, zazdrościły jej. Żadnych obowiązków małżeńskich, życie jak z parasolem od słońca na piaszczystej plaży, cały dzień Mariane mogła wylegiwać się z czasopismem lub zaspakając różne swoje zachcianki, a wieczorem zamówić jedzenie do domu i w ogóle nie wysuwać nosa na dwór. Podczas gdy przyjaciółki kręciły się jak w ukropie między dziećmi, praniem a gotowaniem i gdy Mariane się z nimi spotykała, co chwila spoglądały na zegarek, ona mogła leniuchować, dokształcać się, robić zakupy albo zgodnie ze swoim gustem upiększać gniazdko przy ulicy Hansena. Wymyślać drobne ulepszenia, którymi mogłaby zaskoczyć Hablunda na powitanie, jak nowe falbanki albo wesoły dywan w przedpokoju. Trzy dni robiła sobie potem wyrzuty, że ten, który ostatecznie wybrała, był taki drogi, zanim Lora jej to wyperswadowała. Hablund przecież realizuje swe marzenia, więc Mariane też może.

Mariane zaproponowała Lorze, że będzie jej pomagać przy dzieciach, ale po paru dniach z tego zrezygnowała. Tylko jej to przypominało, że nie ma własnych.

Prawdziwą próbę rozpoczęcia nowego życia zaczęła od przypominania sobie, jakie sama miała kiedyś plany. Przecież małżeństwo przyniosło jej nie tylko chwile szczęścia. Z głębin

pamięci wydobywała niegdysiejsze wyobrażenia i pragnienia jako wspomnienia życia, do jakiego nie doszło.

Kiedy miała dwadzieścia pięć lat, zaczęła się bać, że nie wyjdzie za mąż, i nie myślała o niczym innym. To wtedy opanowała ją pasja zakupów. Wszystkie pieniądze, które zarabiała, pracując jako stenografka w kopenhaskiej komendzie policji, wydała na fryzjera, pantofle, torebki z różnymi paskami i na kurs angielskiego, bo miała nadzieję kogoś tam poznać. *My name is Mariane. Would you like a cup of tea? Yes, please. With milk and sugar* – była to pierwsza rozmowa między Mariane a Hablundem. Po lekcji zaczął na nią i spytał, czy byłaby skłonna zrezygnować ze wszystkiego dla jakiegoś mężczyzny. Zakręciło się jej w głowie. Brzmiało to jak w bajce. Miała ochotę z zamkniętymi oczami lecieć gdzieś w przepaść, spaść już z kimś na pościelone łóżko i słuchać, co ten ktoś będzie jej szeptać.

Zastanowiła się. Z oczami wzniesionymi ku niebu, rzęsy trzepotały jej przy tym jak wskazówka sekundnika, odpowiedziała:

– Tak.

Tylko czemu musi w kółko to sobie powtarzać? Że wówczas wziął ją za rękę, a potem pocałował, a potem to i owo. Lora, podobnie jak inne przyjaciółki, słyszała już to od Mariane tysiące razy. Chichotały nad filiżanką gorącej czekolady w przerwie między zakupami a sprzątaniami. Psioczyły na swoich mężów, obmawiały ich, wyśmiewały ich poranne nawyki, po czym spieszyły do domów.

Nie było to wyrachowanie. Kiedy zapytała Hablunda, ile w firmie zarabia, zaraz się zawstydziała. Owszem, było tak również z powodu wojny. Omal by zapomniała. Otulając Mariane swoim płaszczem, chronił ją również przed wszelkim otaczającym złem, a w dodatku mężczyzn było wtedy niewiele.

Zainteresowania Mariane: kino, książki o tematyce historycznej, wycieczki, publikacje o działalności ruchu kobiecego. Stanowili z Hablundem jedno ciało, i duszę też, bo tak samo jak ona był otwarty na nowe idee. Był bystry, miał gest, znał się na wielu sprawach. Nie zaniedbywał ani jej, ani swojej pracy i Mariane stopniowo zapomniała, co było przedtem i czego kiedyś chciała od życia.

– Spełniają się twe marzenia – mówiła jej wtedy Lora, sama już drugi raz w ciąży, a Mariane potakiwała, chociaż coś tu nie grało.

Hablund mówił potem, że to przez te jej książki. Te historyczne sam jej przynosił do domu. Opasłe tomiska. O początkach królestwa Danii, o wojnach grecko-perskich, o Napoleonie. Pogrążyła się w nich po uszy, gdy przestała pracować.

Małego doradcę kobiety dwudziestego wieku musiała jednak Mariane sama pożyczyć z biblioteki. Jak złodziejka niosła książkę do domu za pazuchą i czytała, gdy Hablund zasnął. Kiedy uczynili już zadość obowiązkom małżeńskim, oczywiście. Do pracy przestała chodzić również z tego powodu. Spodziewała się, że w każdej chwili może zajść w ciążę i wreszcie zacznie się obnosić ze swym brzuchem, żeby wszyscy go podziwiali. W mieszkaniu przy ulicy Hansena leżała z nogami uniesionymi w górę, aby ani kropla tego cennego płynu z niej nie wyciekła, i czytała *Małego doradcę kobiety dwudziestego wieku*, podczas gdy obok niej Hablund z zadowoleniem zasypiał.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile spraw ma co dzień na głowie – złościła się Lora na Mariane, kiedy ta zaczynała stroić fochy.

Stenografowanie w policji nie sprawiało jej przyjemności, w kółko te same protokoły z nocnych awantur i włamań do kopenhaskich sklepików. Praca w charakterze pielęgniarki nęciła ją przedtem tylko dlatego, że dzięki niej mogłaby uratować życie rannemu bohaterowi, który później z wdzięczności zakochałby się w niej. Uczyć dzieci chciała kiedyś ze względu na rozmowy z samotnymi ojcami – bo tą ofiarną kobietą, której po śmierci swojej żony nie spodziewali się już spotkać, okazałaby się właśnie ona. W angielskim Hablund ją ostatecznie prześcignął, bo u jego boku straciła chęć do nauki. Była szczęśliwa. Lora miała rację.

Wychodziła do parku z jej dziećmi i śmiały się jak w panieńskich czasach. Albo tylko we dwie szły nad rzekę, zdejmowały pantofle i siedząc na kładce, pluskały zanurzonymi do pół łydki nogami. Życie bez wojny, życie w dostatku, życie w czasach, które oferują tak wiele możliwości. Czego mogła chcieć? A czego chciał on?

Podczas gdy ona czytała o Napoleonie, Hablund Doran w niedzielne popołudnia kartkował „Nasz Świat”, w brązowej kopercie co dwa tygodnie wyjmowany ze skrzynki, i pełen zachwytu pokazywał jej fotografie obcych ludzi. A co im do nich? Gdyby Mariane miała tak brudne i obwisłe piersi, Hablund nie widziałby w nich nic godnego uwagi.

Potem po pracy przytargał do domu tę maskę. Zadzwoił, będąc jeszcze na dole, a gdy Mariane wychyliła się z okna, z dumą wskazał na nią palcem. Niósł ją ze sklepu ze starzyzną przez całe miasto. Kosztowała cały dwutygodniowy zarobek i Hablund szedł pieszo, bo chciał przynajmniej oszczędzić na taksówce. Weekendy upływały mu na tym, że wieszał ją w różnych miejscach w mieszkaniu i znów zdejmował, czarną drewnianą maskę z żółtymi pręgami i z jamami oczodołów, które zdawały się patrzeć; ta maska była stamtąd. Stamtąd, gdzie Hablund został, i tymi oczami jakby ciągnęła go tam, do siebie. Mariane wolała siedzieć w kuchni, żeby na nią nie patrzeć. Żeby jej ta czarna głowa tymi dziurami w czarnym drewnie nie obserwowała. Wmawiała w siebie, że to przez nią ma bóle głowy, a Hablund pokpiwał sobie z niej, że tak szybko stała się dzikuską.

I odwrotnie. Panienska drobnomieszczanka – przezywał ją, gdy w Boże Narodzenie zaproponowała, żeby choć na parę tygodni zalepić masce oczy dwiema srebrnymi gwiazdami. Na stole stał wazonik z gałązką świerku, po zewnętrznej stronie drzwi wejściowych, pod tabliczką z napisem „Doran”, Hablund wbił gwoździć i zawiesił na nim złoty wianuszek. Mariane w gruncie rzeczy chodziło tylko o to, żeby pokój ładnie wyglądał, ale Hablund wpadł w złość. Uciekła z płaczem do Lory i kilka godzin czekała, aż mąż przyjdzie, by ją przeprosić. Przyszedł, ale w parę dni później zaczął znosić do mieszkania różne rupiecie i nie przestał aż do wyjazdu. Różgi, drewniane posążki, kawałki jakichś prymitywnych narzędzi, okopcone kamienie.

Zbieranie rustykalnych rekwizytów w lepszym towarzystwie uważano wtedy nie bez racji za przejaw wysokiej kultury, Hablund jednak ściągał do domu śmieci. Pewnego razu Mariane ze zgrozą przyłapała się na tym, że modli się do maski o dziecko. Ze złożonymi rękami klęczała na dywanie i bezmyślnie klepała jakieś słowa; przerażona natychmiast powiedziała o tym Lorze.

Gdy pytała Hablunda, czy jest z czegoś niezadowolony, nigdy jej nie odpowiedział nic konkretnego. Kiedy ujmując się pod boki, wyskoczyła z tym, że to na pewno z jej winy. I załamała się – każdy by się załamał, gdyby jego starania ciągle pozostawały bez rezultatu. Hablund na to, że mogą wybrać się razem na wycieczkę lub pójść do kina na film, który mu przedtem zachwalała. W owej chwili jak gdyby znów myślał o nich obojgu. Przytulał ją. Mariane pomyślała, że gdy miłość odchodzi, kilka razy powraca, by się pożegnać, i rozpłakała się. Głaskał jej włosy. Jak długo jeszcze? O tym, że ma w domu anioła, powinien myśleć częściej.

– Co pewien czas potrzebuje innych rozrywek poza tobą, daj mu spokój – mawiała Lora.

Nudzi się, to normalne. Tak więc gdy kopenhaskie mieszkanie zapełniały rzeczy Hablunda, których Mariane nie rozumiała, ona również zaczęła kupować jak szalona, może aby zachować tę równowagę, o której czytała w *Małym doradcy kobiety dwudziestego wieku*. Na przekór Hablundowi różowe poduszki z frędzlami, tanie kasetki na biżuterię, figurki pasterek, ozdobne dzbanuszki do kawy z uszkami w kształcie żółwików. W milczeniu walczyli, kto kogo, przy czym nie padło ani jedno słowo do czasu, kiedy Lora namówiła Mariane, żeby pozbyła się tych zbędnych przedmiotów na jakimś wieczorku charytatywnym.

Gdy wychodziła z wieczorku, bolały ją nogi od tańców z nieznajomym i usta od zakrzepłego sztucznego uśmiechu. Zdjęła czólenka i szła boso przez nocną dzielnicę Vesterbro, a potem również całą dalszą drogę na ulicę Hansena. Była druga nad ranem. Czekają na nią mieszkania z maskami, miedzianymi kociołkami na psich łapkach, szatami z fiszbinami i z Hablundem, który na dodatek niedawno zaczął mówić od rzeczy. Siedziała potem na łóżku obok jego śpiącego ciała i pustego miejsca po rzeczach, które właśnie rozdała na wieczorku, i było dla niej jasne, że jest źle.

Fiedia

Z ojcem Fiedia od kiedy pamiętał, żył w zgodzie. W Woryniu mieszkali razem w jednym z dwóch murowanych domów, zbudowanych przez radzieckich robotników w latach trzydziestych, mieli tam małe mieszkanie. W drugim murowanym domu w jednym pokoju urzędowała miejscowa rada, w drugim odbywały się zebrania, w trzecim mieściła się niewielka biblioteka z czytelnią, a w czwartym była szkolna klasa nauczycielki Miedosjewej, delikatnej kobiety o dźwięcznym głosie i z zawsze schludnym koczkim, która przez całe życie nie przestawała się dziwić, gdzie też ją los rzucił.

Ojciec Fiedi, Oleg Abramowicz, był inwalidą. Jako siedemnastoletni chłopak, chodząc po lesie, przez pomyłkę znalazł się na źle oznakowanym wojskowym poligonie, gdzie granat niemal urwał mu prawą nogę i rękę. Oleg spędził kilka miesięcy w szpitalu, a przez resztę wojny, podczas niemal trzyletniej blokady Leningradu, w mieszkaniu matki walczył o życie z infekcją. W nodze kilka razy wytwarzał się stan zapalny, nerwy ręki zaziębiły się, kiedy czytał w przeciagu przy otwartym oknie. Innych rozrywek nie miał. Na parę ostatnich miesięcy wojny, kiedy już czuł się lepiej, matka wyprosiła od kogoś wózek inwalidzki i z niemałym trudem zwoziła syna po schodach z drugiego piętra na podwórko, na słońce, a gdy zaszło, wciągała go z powrotem; nie służyło to jej kręgosłupowi.

Oleg mrużył oczy w promieniach leningradzkiego słońca, czytał książki i wysłuchiwał rozważań matki, co by tu jeszcze nadawało się do zjedzenia. Młodość szybko mijała i gdy było już jasne, że całkiem zdrowy nie będzie nigdy, nie chcąc być dla matki ciężarem, zgłosił się do udziału w akcji kulturalno-oświatowej na Syberii, do której poszukiwano młodych zapaleńców, gotowych, jak powiedział pewnego razu Fiedi, a ten dobrze to zapamiętał, spaskudzić sobie życie. Ojciec właściwie nigdy nie chciał jechać do Worynia, tak samo jak Fila Miedosjewa. Mieszkała w tym samym domu, w sąsiednim mieszkaniu; mówiło się o niej, że jest starą panną.

W okresie dorastania Fiedia podejrzewał, że ojca coś z nią łączy. Często się odwiedzali i wymieniali książkami. Nie wiedział, że między mężczyzną a kobietą może istnieć bliskość niemająca nic wspólnego z seksem. Być może nie wiedział tego również Oleg Abramowicz, póki nie spotkał Fili Miedosjewej. Jediną kobietą, prócz własnej matki, którą bliżej poznał, była matka Fiedi – jej Oleg pragnął od pierwszej chwili. Zmarła, gdy Fiedia miał dwa lata. W trzy lata później, kiedy największa żałoba minęła, Oleg nie miał nic przeciw temu, by znów się z kimś związać. Od młodości marzył o założeniu rodziny i nie należał do tych, dla których po śmierci żony żadna inna kobieta już nie istnieje. Jednak, bez względu na to, jak sam wytłumaczyłby przyczynę tej swojej samotności, prawdopodobnie nie umiałby oderwać wzroku od czytanej właśnie książki. Nie odrywał go także wtedy, gdy czytał przy otwartym oknie; przechodziły tamtędy niezamężne kobiety i którąś mógłby wybrać.

Oleg lubił powtarzać, że to jego niesprawna noga i ręka walnie się przyczyniły do tego, że nie został do końca życia ciemniakiem – szczególnie kiedy Fiedi dobrze szło w szkole, według Olega dzięki temu, że od wczesnego dzieciństwa głośno mu czytał. Był zawiedziony, kiedy nauczycielka Miedosjewa orzekła, że Fiedia powinien skończyć jedynie zawodówkę, a nie wyższą uczelnię. Mając do wyboru szkołę chemiczną, drzewną i kolejarską, ostatecznie zdecydowali się na tę ostatnią, choć jako chemik Fiedia mógłby zrobić większą karierę. Kontrolowałyby w fabryce jakość majonezów lub lemoniady i bez jego aprobaty żaden z tych produktów nie trafiłby z linii produkcyjnej do sklepów. Ale wtedy nie przebywały na

świeżym powietrzu, a skoro już Oleg Abramowicz dał się wysłać jako bibliotekarz do Worynia, świeże powietrze było jedną z niewielu rzeczy, które życie na Syberii mogło jego synowi dać. Perspektywy, że Fiedia mógłby pracować w przemyśle drzewnym, Oleg się bał. Ci od drewna to chłopcy na schwał i taki delikatny chłopiec by do nich nie pasował.

Tak więc Fiedia został *przewodnikiem*. Na świeżym powietrzu był, kiedy tylko wychylił głowę z okna wagonu, a z tą pracą radziły sobie nawet kobiety. Najcięższa była dla Olega rozłąka. Fiedia przyjeżdżał z internatu do Worynia tylko trzy razy do roku, a poza tym jedynie pisał listy, Oleg zaś posyłał mu paczki. Czasami dorzucała też coś Fila Miedosjewa. Liścik o tym, co nowego w Woryniu, bo Oleg nie miał o tym pojęcia.

Zazwyczaj do paczki dla syna Abramowicz dokładał coś z woryńskiej biblioteki, z tym że Fiedia tę książkę zwróci, i co najmniej w połowie przypadków rzeczywiście je ojcu odsyłał. Czytanie nie bawiło go zbyt, ale było jedną z niewielu rzeczy, którymi ojciec się interesował, a wieczorami Fiedia miał na to czas.

Jeżeli Oleg Abramowicz rzeczywiście przybył do Worynia z zapalem do działalności kulturalno-oświatowej, to zapal ten minął mu wcześniej, nim Fiedia mógłby go u ojca zapamiętać. Rzadko kiedy kupował do woryńskiej czytelnicy nowe czasopisma, a książki także częściej ginęły, niż pojawiały się nowe. Na miejscowych Oleg prędko machnął ręką i z czasem pogodził się również z tym, że przychodzą do biblioteki z termosem herbaty, tylko po to, żeby sobie pogadać.

Chociaż Fiedia mało co z nich przeczytał, książki od ojca woził w swej przewodniczej klitce. Raz, gdy wysunął głowę z okna i czuł się świetnie, przyszło mu nawet na myśl, że mógłby w wagonie restauracyjnym urządzić małą objazdową bibliotekę dla pasażerów. Była to nawet pierwsza propozycja zgłoszona przez niego na naradzie *przewodników*, ale paru kwaśnych min wystarczyło, żeby z niej zrezygnować. Tak więc Fiedia za parę rubli zostawiał książki Marinie we władawostockiej pralni, a czasem udawało mu się którąś sprzedać, podruczając ją za niewielką łapówkę ludziom sprzedającym w pociągu gazety.

We Władawostoku, oddawszy Marinie brudną bieliznę pościelową, przeszedł bez zainteresowania koło ulicznych kiosków z książkami i skierował się prosto do miasta. Szedł pod górę aleją Wierchnieportową, lubił drogę do śródmieścia. Aleja wznosiła się, jakby jeden jej koniec trzymała w powietrzu wielka ręka – po jednej stronie biegły numery domów, a druga wisiała w powietrzu i wszystko pod nią im dalej, tym było mniejsze. Wagony stawały się wagonikami, a ziemię pokrywały nie ciężkie połyskujące tory kolejowe, lecz drabinki z nitkami przewodów elektrycznych, z których płataniny co chwila strzelał snop iskier.

Kiedy Fiedia po raz pierwszy przyjechał na końcową stację, przez całą resztę dnia błąkał się po tej odrutowanej krainie nasypów, szyn i stojących na bocznicach wagonów. O tym, jak funkcjonuje kolej, *przewodnik* poza swoimi obowiązkami wie niewiele. Ale ponieważ był w mundurze, nikt go nie zatrzymywał i gdyby chciał, mógłby się zatrzymać koło któregoś z pociągów mających zaraz odjazd, i stanąwszy przy drzwiach wagonu, z całą powagą zacząć sprawdzać bilety zamiast *przewodnika*, który akurat po coś poszedł. Niedawno pewien *przewodnik* chwalił się Fiedzi, że wyciął taki numer. Otrzymał tylko upomnienie, *przewodników* jest mało. Podobno z powodu niskich pensji, lecz Fiedia wiedział, że na kolei cwaniacy zawsze potrafią sporo zarobić. Sprzedają na lewo bilety także na miejsca stojące na korytarzu, przemycają coś w ustępie, wyprzedają kubki, łyżeczki, wszystko, co się da. Toteż mężczyźni w wieku Fiedi, widząc go sprzątającego w wagonie ustęp, myśleli być może, że jest fajłapą. Ze mógłby całkiem spokojnie zarabiać tyle samo co oni, gdyby chciał. Gdzieś w centrali telefonicznej w fabryce albo przed monitorem szumiącego posępnie komputera. Ale nie zarabiał i go to złościło.

Dziś nie chciało mu się schodzić na dół, na torowiska, choć nic by go to nie kosztowało. Miał na to we Władawostoku dwa dni, zanim jego pociąg ruszy w drogę powrotną. Mógłby

pójść do noclegowni, ale nie pójdzie. Gniewić się tam z trzema innymi w pokoiku bez umywalki i do późnej nocy słuchać ich gadaniny o tym, co powiedzą swym przełożonym, kiedy się wyda, że zwinęli dwadzieścia ręczników. Marina za ćwierć sumy także macza w tym palce. Dlatego za każdym razem tak się z nimi wita, kiedy przyjdą do pralni z tobołem brudów. Z nim te uściski są wyrazem czystej sympatii, a ich odnoszących się do niej dowcipów o głupich Buriatkach Fiedia nie chciał słuchać. Ani tych zapowiedzi co siedem minut. Dworcowy megafon drze się prosto w okna noclegowni. Chyba po to, żeby skacowani *proownicy*, którzy przez całe dwa dni nie wyściubili stąd nosa, nie spóźnili się na własny pociąg. I tak się tam tylko przez cały czas użalają, a żarty z *proownicami* kończą się w łóżku. Ta mała ze spiczastym nosem miała już chyba wszystkich prócz Fiedi.

Przypieszył kroku, myśl o kobietach wprawiła go w zły nastrój. Nigdy nie był zawodnikiem z krowim dzwonkiem w spodniach, drżącym z niecierpliwości. Upłynęły miesiące, nim się w ogóle do Elwiry odezwał. Jeździła koleją z Charynia do Chabarowska i z powrotem. Fiedia liczył w duchu, ile godzin, a potem już tylko minut ta dziewczyna jeszcze tutaj posiedzi, i zgadywał, czy będzie jeszcze jeździć, czy też to już jej ostatnia podróż. Właściwie życzył sobie, żeby była ostatnia. Żeby wreszcie musiał się na coś zdecydować. Wysiąść w Chabarowsku albo w Charyniu i tam znaleźć ją gdzieś między domami. Obiecywał to sobie, myjąc naczynia w wagonowej kuchence, podczas gdy Elwira siedziała za ścianą kilka metrów od niego i nic nie stało na przeszkodzie, by wdać się z nią w rozmowę. Zrobiłby to w ten sposób, że wieczorem przyniósłby jej, zanim zaśnie, szklankę herbaty – jako poczęstunek, nie biorąc za nią ani kopiejki. Resztę wyczytałaby już w jego oczach. Rzecz tylko w tym, żeby zebrać się na odwagę. Elwira przez całą podróż siedziała zajęta lekturą podręcznika poradnictwa prawnego, a tych parę godzin było dla Fiedi czasem zbyt krótkim, ażeby się ośmielił. Miała krótkie włosy, okulary i mały biust i wydawało się, że mężczyźni interesują ją mniej niż uchwyt przy oknie wagonu. W końcu Fiedia zdecydował się pokazać jej parę książek otrzymanych od ojca.

Przekartkowała je profesjonalnie, a następnie starannie ułożyła w stosik na stoliku przed sobą. Zajęło jej to bardzo niewiele czasu i Fiedia wydawało się, że tym gestem dała mu do zrozumienia, że nie chce go więcej widzieć. Właściwie był tego całkiem pewny. Nie powiedziała w ogóle nic. Odszedł i do wieczora szwendał się zgarbiony po wagonie. A potem stało się to. Przyszła do niego, do tej jego kuchenki, z brudną szklanką, zamiast czekać, aż będzie przechodził koło jej przedziału i zabierze ją sam, a w dodatku wspomniała coś o jednej z pożyczonych książek.

Przez kilka następnych kursów Fiedia jeździł z zawiniętym w kawałek mokrej szmatki bukietem złocieni czekał, kiedy Elwira znów wsiądzie.

Żeby nabrać dostatecznej odwagi i zaproponować jej wspólną wycieczkę do Władywostoku, musiał dwa razy łyknąć sobie po kieliszku ze swojej prowadniczej szafki. Do tej pory Elwira widziała go już wykonującego wszystkie prace wchodzące w zakres jego obowiązków. Sprzątanie, obsługa pasażerów, uspokajanie opojów oraz to, jak się w swojej ciupce przebierał i przez szparę w niedomkniętych drzwiach widać było, że bez munduru jest jeszcze chudszy, niż się wydawał, kiedy miał go na sobie.

Fiedia był zdyszany. Wspiął się niemal na samą górę, nad szarobłękitną władywostocką zatokę, nad masywne ramiona zielonych zboczy; ten półokrąg spokoju lubił najbardziej. Ulice jak lejkowate słoje drzewne, schodzące coraz niżej szeregi obrośniętych starymi drzewami drewnianych domów, o których jakby dawno już zapomniano. Na tej widokówce nie było widać panującego na stokach nieporządku. Zielone kłębowiska krzaków zalegało mnóstwo rupieci, starych wyblakłych opakowań, zgniecionych plastikowych butelek i potłuczonych szklanych, między tym wszystkim ciągnęły się tonące zazwyczaj w błocie ulice, rzędy okazałych niegdyś drewnianych domów z rzeźbionymi kolumnkami i koronkowymi listwami, przypominającymi spienione fale. Od dawna nie było deszczu, Fiedia nie pamiętał

nawet od kiedy. Niebrukowane ulice były spękane jak skóra słonia, unosiły się z nich tumany kurzu, choć szedł wolno i starał się stapać uważnie. Gdy szli tędy z Elwirą, oczy wychodziły jej na wierzch na widok tak wielu ulicznych latarni.

Był wieczór i szli razem pierwszy raz sami; że też w ogóle się nie bała? Fiedia czuł się troszeczkę zawiedziony, że nie obchodzi jej, dokąd idą, że tak pokornie daje się prowadzić. A gdyby tak wbrew jej woli zaciągnął ją do któregoś z tych starych domów? Kolejka linowa nie kursowała, szli więc wzdłuż jej trasy dołem, pośród krzewów, a na ich gałązkach powiewały papiery. Tam nie dowołałaby się pomocy, nawet gdyby się darła na całe gardło. Nad domami, z których co drugi miał wmurowaną, przypiętą jak medal tablicę informującą, jaki wybitny człowiek tutaj mieszkał, na niebie kołysał się księżyc. Fiedia pierwszy raz był na randce z dziewczyną, wobec której miał poważne zamiary, i przyrzekał sobie, że tego nie zepsuje.

W korytarzu domu, do którego weszli, nie było światła. Fiedia powiedział Elwirze, żeby zaczekała na niego na dole, a sam, macając poręcz, wspiął się po omacku po skrzypiących drewnianych schodach na drugie piętro. Chciał pokazać Elwirę *babuszce* i *dieduszce*, ale tak, żeby się nie zorientowała, o co chodzi. Od śmierci matki nie miał nikogo prócz jej rodziców oraz ojca.

– Ho, ho, wieśniacy przyjechali – powitał go *dieduszka* tak samo jak wtedy, gdy zaglądał tu z ojcem.

Ci wiejscy nieokrzesanci, z którymi miała kiedyś do czynienia ich córka, wydawali się parze starszków trochę śmieszni. Sami u nich w Woryniu nigdy nie byli. Zapraszani, za każdym razem wymawiali się z podziękowaniem i nawet na stare lata nikt ich tam nie zaciągnie.

Nietrudno było zgadnąć, że Elwira jest z pipidówki, tak samo jak ich wnuk. Ciągnie swój do swego – pomyślała *babuszka*, po czym ściszyła telewizor i zaczęła nakrywać do stołu.

Fiedia nigdy nie widział *dieduszki* inaczej niż w kamizelce, z wystającą z kieszonki białą chusteczką. Starszy pan nie strzygł się, rzadkie, ale codziennie myte włosy opadały mu na ramiona, zawsze dbał również o paznokcie. *Dieduszka* Fiedi był pisarzem i jego wiersze, wyciosane w kamieniu, do dziś lśnią na pomniku bohaterów na najwyższym wzgórzu nad władystocką zatoką.

Rozkaz brzmi: Naprzód! Naprzód podążamy,
Zwarcu i czujni dziś w jutro zmieniany.
Rośnie świat nowy i rozkwit nam niesie,
Dymią fabryki, szumią brzozy w lesie.
Sztandary, hełmy, spieszą bataliony:
Władystocku wkład w dzieło obrotu.
W łzach się rodziny, w łzach życie kończymy,
Żyjąc czy ginąc, ojczyźnie służymy.
Nikt nie powstrzyma dziejów świata biegu.
A ty gdzie jesteś? Dołącz do szeregu!
Wróg pokonany, chwała i wiwaty,
Pięść uniesiona, wokół radość, kwiaty.
A tych pamięci, co w boju polegli,
My, Sybiracy, zawsze będziemy strzegli.

Wyrecytował ten wiersz również Elwirze i wszyscy razem z uznaniem nagrodzili go oklaskami.

Elwira była zachwycona wizytą. Kawę podano w porcelanowym komplecie ze szlaczkiem i dwoma kwiatkami na talerzykach i w ogóle wszystko wyglądało tam elegancko. Na stole serwetki, a po pierożkach deser, do którego *babuszka* przemawiała.

– *Nu, diesert, ty użę gotow?* – zwracała się do piekarnika, co Elwirę niezmiernie zdziwiło.

Dieduszka myślał, że zięć, Oleg Abramowicz, zaczął czytać przede wszystkim dzięki ich córce. Była wychowana odpowiednio do ich aspiracji i mieli wobec niej inne plany niż to, że zostanie żoną towarzysza bibliotekarza w Woryniu. Ale z książek *dieduszka* wiedział, że miłość nie słucha rozkazów i zakazów, a zięcia po śmierci córki zaakceptowali. Fiedię zresztą chętnie widywali. Wtedy przy Elwirze szeroko rozwodzili się o planowanej przeprowadzce. Że japoński związek pisarzy Maheto ma budować dom spokojnej starości dla zasłużonych mieszkańców Władywostoku i że *dieduszka* wraz z *babuszką* zajmują na liście wybrańców jedno z pierwszych miejsc. Elwira, kręcąc głową, podała im rękę i obojgu pogratulowała.

Babuszka nowe mieszkanie w japońskim domu emeryta wyobrażała sobie jako coś niezwykle wspaniałego i zapraszała Fiedię, żeby ich tam odwiedził. Mieli się przeprowadzić za kilka miesięcy.

Elwira i Fiedia spędzili we Władywostoku jeszcze cały następny dzień. Rozpadało się, więc schronili się na końcowej stacji kolejki linowej, w blaszanej budzie z wielkim jak koło traktora zwojem kabli, o której dach bębnił deszcz. Elwira bała się, że w budę uderzy piorun, a Fiedia tłumaczył jej, dlaczego w pociąg uderza rzadko i dlaczego w tej budzie jest bezpieczniej niż pod drzewem. W końcu wyciągnął skądś kartkę papieru i Elwira zaproponowała, by zegrali w kółko i krzyżyk. Każde z nich wygrało dwa razy, a potem był już czas, żeby pomału zejść na dół, na dworzec. Ulicami płynęły strumienie wody, a stare drewniane domy zdawały się na ludzkich oczach zarastać gęstwą zieleni. Woda niosła ze sobą błoto ze zbczy, Fiedia kilkakrotnie podawał Elwirze rękę, żeby pomóc jej przebyć wypełniające liczne zagłębienia kałuże, ale i tak na dworzec przyszli ubłoceni od stóp do głów. Fiedia pobrał z magazynu czysty granatowy mundur i w ciupce *przewodnika* otulił Elwirę kocem. Nie opuszczała jej przez całą drogę, z wyjątkiem chwil, gdy było to konieczne. Jakby się bała, że spotka kogoś, z kim podróżowała, i ten ktoś ją wydrwi, że tak śmiesznie dała zrobić sobie bachora.

Kiedy następnym razem Elwira wsiadała w Charyniu do pociągu Fiedi z zamiarem niewysiadania tym razem w Chabarowsku, ze wstydu była cała spocona. Jak mu powiedzieć, że przejedzie stację, na której zwykle wysiadała? Ostatecznie nie musiała nic mówić. Przy samowarze Fiedia przycisnął ją do okna, o nic nie pytał, tylko ją ucałował, a kiedy tydzień później wracali z Władywostoku, nie wysiadła już nawet w Charyniu. Pojechała z Fiedią dalej, do samej Moskwy, a potem znów do Władywostoku, i znów z powrotem, i jeszcze wiele razy. W ciupce Fiedi zaczęli gospodarować wspólnie.

Żywili się prowiantem magistrali transsyberyjskiej, więc wypadało to tanio. Elwira perfekcyjnie wysprzątała wagonową kuchenkę. Dzięki temu Fiedia tak dobrze wiedział potem, co w niej ma, że branie na własny użytek tylko tyle, ile i tak zazwyczaj gdzieś ginęło, było dziecinnie łatwe. Był cięty na złodziei, ale to, co zazwyczaj pasażerowie za jego plecami sami kradli, teraz dzięki przenikliwości Elwiry zostawało nietknięte i słusznie się im dwojgu należało.

Z czasem Elwira zaczęła bez skrępowania pomagać też w sprzątaniu wagonu. Pasażerom było zazwyczaj przyjemnie, że troszczą się o nich dwie osoby, i jakby dali sobie wzajemnie słowo, że nigdzie o tym osobliwym wagonie nie powiedzą, więc uchodziło im to na sucho.

Elwira razem dbała o to, by na tych kilka dni podróży ciupka Fiedi była możliwie przytulna: wieszala w niej obrazki wycięte z czasopism, a poza tym do miski klozetowej za własne pieniądze kupiła kostki zapachowe. Gdy mieli chwilkę dla siebie, siadała Fiedia na kolanach – wspólnie obserwowali uciekające w tył potężne drzewa tajgi i cieszyli się, że zaraz zobaczą miejsca, które oboje szczególnie lubili. Ten pierwszy moment, gdy pociąg zbliża się do Bajkału i nagle błyszczą woda, miasteczko Obłucz, gdzie wszyscy hodują słoneczniki, dworzec Zima, noszące piękną nazwę miejsce urodzenia Jewtuszenki, i inne, i inne.

Wiadomość o nowej pracy Elwiry była dla Fiedi wielkim zaskoczeniem. Elwira się

cieszyła, Fiedia nie. Nie rozumiał, co to za przywilej praca na charyńskiej poczcie. Nie wiedział, że do objęcia tego stanowiska pretendowało w Charyniu wiele kobiet, pragnących pieczętować przesyłki i słuchać cudzych rozmów telefonicznych. Wprawdzie co trzy lata powinna się odbywać weryfikacja, kontrola lojalności pracownicy, ale przeważnie przychodziło tylko pismo, że przeprowadzi się ją później, i taki stan trwał do emerytury lub śmierci danej urzędniczki. Wtedy kobiety ogarniała wielka zawiść, rywalizacja o to, której z nich przypadnie posada po nieboszczce. Żadnych szczególnych kwalifikacji nie wymagano.

Kiedy dni starej urzędniczki były już policzone, jedna za drugą przychodziły do niej z truskawkami, jajkami, cukierkami z likierem i usiłowały wkraść się w jej łaski, żeby je zaprotegowała w listach do głównego urzędu pocztowego w Irkucku, choć nikt nie wiedział, czy takie listy naprawdę się pisuje i czy w centrali bierze je ktoś pod uwagę. Stare urzędniczki pocztowe wprawdzie wciąż coś pisały i gderały, kiedy im ktoś przeszkadzał, choć na poczcie przez większą część roku całymi dniami były pustki, ale co takiego właściwie piszą, nikt nie wiedział.

Czy o Hablundzie również wysyłano depesze? Do tych urzędów, w których zapadały decyzje, w czarnych kopertach rozwożone potem przez psie zaprzęgi po całutkiej Syberii...

O Elwirze mówiło się w Charyniu, że posadę urzędniczki pocztowej dostała dlatego, że stary Welor Josifowicz tej starej kobiecie z poczty uratował podobno kiedyś życie. Takiej to dobrze – ma dziadka konowała i dostaje ciepłą posadkę, nie kiwnąwszy palcem. Właśnie z powodu tych pomówień Elwira musiała potem przez pewien czas chodzić po wsi w chustce nasuniętej niemal na oczy. Zawsze musi upłynąć trochę czasu, nim wieśniacy pogodzą się z czymś nowym.

Pszela, matka Waški i Dimy, co to mały Sierioża musi na nich uważać, by od nich nie oberwać, ostrzyła sobie wtedy zęby na posadę na poczcie najbardziej ze wszystkich. Za własne pieniądze kupiła kalendarz, by tam wisiał, wieczorami chodziła szorować tam podłogę, oskrobała stół w poczekalni i ponownie pomalowała go na brązowo.

Fiedia o pokątnych utarczkach o posadę na poczcie nic nie wiedział. Ogarnął go smutek, że nie będą już razem jeździć, i żał, że całą tę historię z pocztą Elwira przed nim przemilczała. Opuszczała go właśnie wtedy, kiedy już u krawcowej zamówił dla niej mundur na wzór tego, który sam nosił. Wprawdzie w innym kolorze, żeby nie popełniać wykroczenia, ale tak podobny, by dla każdego było jasne, że ci dwoje stanowią parę.

Tylko że rozłąka nieuchronnie czekałaby ich wkrótce tak czy tak.

Nie pozostawało nic innego, jak otwarcie powiedzieć prawdę. Gdyby z tym zwlekała, mógłby jeszcze pomyśleć, że przydarzyło się to jej tam. Że dziecko sprokurowała sobie po dyżurze na charyńskiej poczcie.

Sierioża był wówczas drobniejszy od ziarnka ryżu i dawał o sobie znać Elwirze jedynie burzą w żołądku, ale gotowy mały człowieczek był tylko kwestią czasu.

Fiedia się ucieszył. W tym całkiem płaskim brzuchu odjeżdżał z Elwirą do Charynia także kawałeczek jego. Cud nad cudy.

Hablund

Buraczarzy od charyniaków oddziela nędzny i brudny potok. Struga, w której się pierze, do której się sika, nad którą latem dokazują dzieci. Jedynie one czasem zgodnie bawią się razem, ale kiedy któreś z nich przypomni sobie o tym, woła „Hańba” lub coś jeszcze gorszego, i wszystkie momentalnie się rozbiegają.

Hablund szedł coraz dalej, znikły już nawet najmniejsze chatynki ze ścianami zapadłymi do wewnątrz niczym bezzębne usta starych bab, jak okiem sięgnąć, nie widział nic prócz skór i kamieni. Skóry były rozpięte na drewnianych trójnogach, a kamienie porozrzucone dokoła ognisk; z niektórych unosił się jeszcze dym.

W pierwszej chwili chciał się przeżegnać i co prędzej wycofać tchórzliwie w znane sobie okolice. Pospiesznie szukał odpowiednich słów, ale wszystkie próby opisu tego, co widział, okazywały się daremne. Był rok 1948, pociągiem mógł dojechać stąd aż do Moskwy, a oto miał tu przed sobą prawdziwą epokę kamienną. Obozowisko sięgało aż do dość odległych wzgórz, poznał to po migoczących w ciemności ogniach. Było o wiele większe niż cały Charyń. Na drągach łopotały na wietrze skóry, domyślił się tego po odgłosach przypominających młóckę. Po dźwiękach kłapiącej zębami buraczarskiej nocy, która jeśli coś nimi chwyci, to już nie puści.

Ile ludzi tu żyje, tego po ciemku nie potrafił odgadnąć. Prócz ognisk i porozrzuconych kamieni między daszkami nie było widać nic. Skóry przepuszczały na zewnątrz charkot, odgłosy chrapania i obok rosyjskiego również język, którego nie rozumiał. Stara kobieta prowadziła pewnie. Niby to oni powinni ją podpierać, ale teraz raczej ona niosła Hablunda. Przedzierała się przez płataninę daszków, staruszka szła śmiało, o nic się nie potykając. W ciemnościach Hablund domyślał się żerdzi służących do suszenia prania, stosów drewna na opał, wielkich jak dzieże aluminiowych garów na zacier i stert jeszcze czegoś. O żadną z tych rzeczy nie zawadziła nawet rąbkami ubrania. Zastanawiał się, czy przeżyła tu całe swoje życie, ale potem przypomniał sobie, że trzydzieści lat temu była tu jeszcze tajga. Skąd przyszli? No cóż, nie uświadamiał sobie, że buraczarze byli tutaj na długo przedtem, nim charyniacy niedaleko stąd zbudowali swój pierwszy drewniany dom.

Zdawało mu się, że idą całe lata. Ze Charyń z domkiem Josifowiczów to Kopenhaga, a między punktem, w którym stał teraz, a ich domem ciągnie się cała ta droga z Moskwy aż tu. Stara kobieta rozmawiała o czymś z idiotką, potem ścisnęła rękę Hablunda, byli na miejscu. Ktoś odgarnął zasłonę w wejściu do chaty i wciągnął staruchę do środka. Nie pożegnała się z nimi, po prostu znikła. Został tylko z idiotką i przez chwilę poczuł strach. Jest sam. Jest sam i już nigdy się stąd nie wydostanie.

Hablund po pięciu tygodniach spędzonych w domku Bura początkowo nie mógł uwierzyć, że te drzwi są otwarte. Bał się nawet. Skradał się do nich ostrożnie, jakby nawet jakiś niestosowny dźwięk mógł sprawić, że wszystko znów będzie po dawnemu.

Na dworze oślepiło go słońce. Okno, przez które cały czas wyglądał, było brudne, zdążył odwyknąć od ostrego światła. I od przestrzeni. Zmrużył oczy i na moment zakreśliło mu się w głowie. Lecz to minęło i została tylko upojna radość. Aż miał ochotę krzyknąć. Niebo nad nim zdawało się bardzo wysoko, a ptaki miały głos, jakby płukały gardła. Powrzucał rzeczy do

plecaka, prędko, prędko, żeby Buro się nie rozmyślił.

– Zaraz wracam – zawołał do niego, i tak tego wszystkiego w rękach by teraz nie zabrał, a gdy się odwrócił, żeby odejść, stała przed nim idiotka Josifowiczowa.

Podnosiła i opuszczała zebrany w rękach rąbek spódnicy, kiwała się i śmiała. Zameżna baba, która przynosi wstyd swemu chłopu. Buro trzasnęła drzwiami, nie chciał na to patrzeć. Bezwstydna buraczarka.

Josifowiczowa dotknęła ramienia Hablunda i lekko przejechała po nim ręką. Dotknęła też jego nosa, przesunęła palcem po wargach, a następnie chwyciła go za rękę i pociągnęła jak najdalej od Bura, między drewniane domki. Wlokła go za sobą jak dziecko, a Hablund wreszcie widział coś więcej.

Gdy Buro wiozł go z dworca, było już ciemno, a przy chałupach nic się nie świeciło. Elektryczności w Charyniu nie było, o wodę każdy starał się sam, przeważnie czerpiąc ją z glinianki. Tej, przy której Tamara pierwszy raz zobaczyła zarośniętą pierś Kekego Kawarycza i uznała, że żeby nie wiem co, ona musi tego chłopaka mieć. Również teraz nad glinianką ktoś był. Kilka kobiet płuczących szmaty, które w sionkach ich chałup zastępowały wycieraczki, i kupa kręcących się koło nich dzieci. Wszystkie miały umorusane twarze, jedno z nich, pochlipując, usiłowało rzucić się na matkę, która je odpędzała.

Niektóre domki były takiej samej wielkości jak chałupa Bura, ale przeważały większe. Kształt miały mniej więcej jednakowy. Sionka, a za nią jedyna izba, służąca wszystkim celom. Cztery ściany z dziurawych desek, sprawiających wrażenie, że nie przetrzymają silniejszego wiatru, spiczasty dach lub tylko kawał blachy, położony na ukos, jak nasunięta na czoło czapka. Płotu nie miał prawie nikt, kilka posępnych krów machało ogonami, oganiając się od much. Parę krów leżało również w pobliżu glinianki. Z miejsca, gdzie był dołek wypełniony ni to brązową, ni to czarną wodą, za każdym razem, gdy krowa przysiadła na zadzie, dobiegało stęknienie, jakby ktoś podnosił wielki kamień. Hablund zauważył też parę kóz. Pomekiwały między chałupami, uskakiwały, gdy z za domu wypadał pies, a potem znowu zbierały się w stadka szwendające się po wsi. Psy ze skołunioną sierścią, miejscami zupełnie wyliniące, zmuszały do ucieczki kozy z kozłętami i próbowały gryźć w zady leżące krowy. Z krótkiego lata trzeba dobrze korzystać. Niektóre psy biegały jak szalone, inne znieruchomiały z wyciągniętymi łapami i wygrzewały się na słońcu. Gdy któryś ich zaczepiał, idiotka częstowała go kopniakiem, przeważnie jednak zwierzęta ustępowały z drogi same.

Drzew było w Charyniu tylko kilka i żadne nie rosło przy głównej drodze, którą szli Hablund i idiotka. Mizerna, cienkie pieńki z rzadkimi, szarymi listkami, jak dowiedziało się Hablund później, to było wszystko, co przetrwało z sadzonek przysłanych z Moskwy w celu upiększenia *posiołka* z okazji trzeciej rocznicy jego założenia. Drzewa te miały zatem po dwadzieścia sześć lat i było oczywiste, że ani trochę już nie urosną.

Josifowiczowa starała się odciągnąć stamtąd Hablunda, ale mimo to coś niecoś zdołał zobaczyć. Drapieżne ptaki z olbrzymimi skrzydłami zlatywały się na skraj wsi, już za domami, do czegoś, co przypominało wielką kupę gnoju. Boczne uliczki, na miano ulic zasługujące w stopniu równie niewielkim, jak ta pełna kurzu, najszerzej wydeptana, z powodu braku płotów, które wyznaczałyby ich brzegi, były jedynie ścieżkami, wydeptanymi przez ludzi i bydło pomiędzy chałupami. Hablund mógł rzucić tam okiem tylko przelotnie. Domków przy głównej drodze robiło się coraz mniej, mało gdzie było ich więcej niż trzy, cztery po każdej stronie. Przecież *posiołek* miał dopiero trzydzieści lat. W analogicznym czasie liczba mieszkańców Petersburga doszła do pół miliona, a Ermitaż został dwakroć przebudowany. Ale Syberia to Syberia.

Gdy idiotka wepchnęła Hablunda do sieni swej chałupy, a następnie rozgarnęła zasłoneżoną ze zszytych gumowych rękawic, w których Welor odbierał porody krów, okazało się, że w izbie nie ma jak się ruszyć. Welor Josifowicz siedział z rękami na kolanach na krześle

przy zastawionym jedzeniem niskim podłużnym stole, obok niego w milczeniu obejmowały swe kolana matka idiotki i kilka innych bab. Wyglądało na to, że cisza w izbie trwała co najmniej od chwili, gdy pociąg, który przywiózł Hablunda, stanął na charyńskiej stacji. Hablund nie wiedział, co zrobić z rękami, jego znajomość rosyjskiego nagle wydała mu się bardzo nędzna. Josifowicz skinął na jedną z kobiet, która bez słowa przesiadła się z krzesła na podłogę, i dał znak Hablundowi, aby zajął jej miejsce. Spojrzeniem skarcił żonę, która ściągała do domu byle kogo. Dzieci jej znajomych buraczarzy wpadały co chwila, żeby dostać coś do jedzenia, a kiedy pokazał się ktoś obcy, łapała go i kokietując, sprowadzała do chaty, by go pokazać mężowi.

Od czasu do czasu spuszczał jej lanie, kiedy wychodząc, zostawiała otwarte drzwi, i gdy włączyła się po wsi, a do sieni włączyły szukające schronienia przed słońcem cielecia, choć zarazem uważał, że jest za głupia na to, ażeby któregokolwiek z swoich wybryków dopuszczać się umyślnie. Znowu kogoś przyprowadziła, a ponieważ nie było jasne, kto to taki, Welor dał znak szwagierce, żeby ustąpiła mu miejsca.

Buraczarki przyniosły cukrowe kule, zrobione z mąki, tłuszczu i cukru na kawałku blachy gdzieś przed chałupą, na stole Welora leżały w rzędkach pośród pajd chleba z cebulą. Zmarłemu należał się szacunek jako ojcu żony, dziewczyny o delikatnej cerze i dużych zajęczych oczach. Idiotka kołysała teraz na kolanach owiniętą w szmatę sześciomiesięczną Tamarę, która wyciągała rączkę i chwytala matkę za włosy.

Te typowe dla społeczności na niższym stopniu rozwoju silne więzi rodzinne podobały się Hablundowi. Również bratanie się przy wódce i podziw, jaki budziły zapinane na suwak kieszenie na jego piersiach. Cieszył się, że nareszcie jest wolny, że może wychodzić na dwór, kiedy mu się spodoba, i nie musi korzystać u Bura z blaszanego wiaderka, z którego potem przez cały dzień zalatywało moczem.

Spróbował zsiadłego mleka, grudkowego twarogu i wyrośniętego białego chleba z miękkim masłem ze świeżej śmietany. Niewykluczone, że coś z tych rzeczy jada się również na wsiach duńskich – pomyślał, ale nie był tego zbyt pewien.

Idiotka podobała się Hablundowi. Niczym się nie przejmowała i wszystko zdawało się świadczyć, że on także zjednął sobie jej względy. Stawiała przed nim dobre rzeczy ze stołu, a gdy prześlizgiwała się za nim, czuł, jak ociera się brzuchem o jego plecy.

Welor nie zwracał na nic uwagi. Przede wszystkim chciał szybko mieć już stypę za sobą. Buraczarze bez przerwy czymś się zajmowali. Hałasowali i wskazywali sobie Hablunda, jakby nie umieli mówić. On uśmiechał się do nich głupkowato jak do obiektu aparatu fotograficznego, możliwe, że widział się już wraz z całostronicowym artykułem i zdjęciem w którejś z duńskich gazet i zastanawiał się, co byłoby najstosowniejszym tłem. U Josifowiczów zebrano się tyle osób, że nie można było nawet dobrze zobaczyć, jak wygląda wnętrze izby. Hablund zauważył wiszący na ścianie ucięty kawał dywanu ze szczytami gór i zastanawiał się, czy to ozdoba, czy po to, by nie wiało z dziur. Na wbitych w ścianę gwoździach wisały na drucianych pętelnach różne narzędzia lekarskie, kleszcze i długie noże, przypominające te, którymi Eskimosi patroszą wieloryby, obok nich ciągnął się szereg rondli. Raczej do dezynfekowania narzędzi Welora niż do gotowania, bo sądząc po jego wypowiedziach na temat żony, idiotka gospodarstwem domowym chyba się nie zajmowała.

Hablundowi nie podobało się, jak Welor o niej mówi. Powtarzał, że to zakuta pała, stukając się przy tym w czoło.

Duńczykowi imponowały kobiety bezpośrednie, kierujące się niemal zwierzęcym instynktem. Tylko że w społeczeństwie zacofanym, skrupowanym ściśle ustalonymi regułami – a wyobrażał sobie, że tak właśnie bywa w społecznościach bliższych natury – taką natychmiast uznaje się za pomyloną. Choć kiedy zadzierała nad głowę spódnice i te dwie szmaty, które miała pod nią, Hablund patrzący na nią z chałupy Bura też nie był pewny, czy

aby ma wszystko po kolei. Podobała mu się z pewnością również dzięki wypitemu alkoholowi. Z Mariane też było lepsze ziółko. Tylko na niego mrugnęła, a już w mieszkaniu przy Hansena ściągało się rolety. A ta Josifowiczowa w dodatku nigdy nie chodziła do szkoły. Taka to nie wie, co można, a czego nie; i na samą myśl o tym Hablundowi zrobiło się jeszcze przyjemniej niż wtedy, gdy ocierała się brzuchem o jego plecy.

Goście Josifowiczów zaczęli się rozchodzić bez wielkich pożegnań. Unosili koszule, tworząc na brzuchu coś jakby kieszeń, do której Josifowiczowa sypała im okruchy i kawałki herbatników, każdemu po trochu. W ciągu tych kilku godzin ojca idiotki nachwalono się dostatecznie, tradycji stało się zadość. Zmarły staruch nie był niczym więcej niż zwykłym alkoholikiem, któryż mleka matki przerzucił się na samogon i z flaszką samogonu na stołku koło wyrka życie mu upłynęło jak sen. W przerwach między atakami delirium spłodził kilkoro dzieci, spośród których jedynie idiotce Josifowiczowej udało się dzięki zamążpójściu wyrwać się z kolonii buraczarzy. Zazdroszczono jej, lecz wydawało się, że ona sama nie zdaje sobie sprawy, jakie szczęście ją spotkało. Do swoich biegała tak często, że rdzenni charyniacy wytykali ją palcami. Jej było to obojętne, chronił ją zresztą szacunek, jakim cieszył się Welor Josifowicz, którego wszyscy potrzebowali. Musiał jej tylko od czasu do czasu przyłożyć, by przez chwilę panował spokój, a także na dowód, że wszystko jest u niego jak należy, choć idiotka nie zamyka drzwi do chałupy i kokietuje mężczyzn, ponieważ brak jej rozumu.

W końcu u Josifowiczów zastała po stypie tylko matka idiotki. Kobieta, która urodziła się w rodzinie alkoholików i za męża też wzięła sobie alkoholika. Świadectw ślubu buraczarze nie miewali, wystarczało, że baba prała chłopu w buraczarskim źródle jego przyodziewek, a gdy leżał gdzieś nieprzytomny, wołano ją, żeby przysłała i chlusnęła na niego wodą z konwi. Wdowa zresztą nie miała czego się smucić. Z bezzębnym staruchem od lat miała tylko kłopoty i będzie je mieć nadal, bez niego. Jak przeżyć zimę, skąd wziąć łachy dla siebie, co robić, kiedy któreś z córek rozchorują się dzieci, a podczas deszczu do chałupy zewsząd będzie cieć woda. Mąż postawił kiedyś tę rudere koślawo, a prosić o pomoc nikogo nie będzie. Jej córki, z wyjątkiem idiotki, mężów wybrały sobie podobnie jak matka, wypominać im tego nie może. Welor zresztą także nie jest w jej guście. Jak wszystkim tutaj, jemu też buraczarze pomagali wznosić dom i jak tylko przychodzili rano na budowę, zaraz wyklócał się z nimi, że niby zjawiają się tak późno, chociaż słońce nie stało jeszcze nad głową. Przez wieś mają tutaj daleko, a w dodatku Welor Josifowicz w ogóle nic o nich nie wie. Przychodzi do nich tylko, gdy go wzywają, kiedy ktoś jest o krok od śmierci, poza tym nie śmiał go fatygować, a on potem sobie myśli, że u nich zawsze jest tak samo jak wtedy, gdy raczy do nich zajrzeć.

Że wszyscy tylko lamentują i że w chacie jest cała masa derek, a oni przecież naznosili je ze względu na chorego, a poza tym że się myją, że kobiety regularnie się czeszą i wszyscy mają osobne gospodarstwa. Jak u Rosjan, u tych kacapów z brudnymi paznokciami. Wszyscy mają je brudne, kto by w tajdze nie miał. Może Welor, który myje ręce pięć razy na dzień i nic porządnego nie robi. Całe szczęście, że ma naszą idiotkę, jak ją w Charyniu przezywają. Nie dla jej dobra, jak każdy sobie myśli, matka nie bez pomocy czarów wydała ją świetnie za mąż, tylko dla niego. Kto by mu wciąż podgrzewał tę wodę, żeby mył w niej ręce? Nim ich dziecko skończy pięć lat, idiotka będzie mieć garb od tego dźwigania wody. Stara kobieta z zadowoleniem spojrzała na Tamarę, wnuczkę wysuwającą główkę ze szmat w objęciach matki, i połaskotała ją po powiece.

Hablund nawet nie wiedział, jak znalazł się znów na dworze. Welor wypchnął go za drzwi, zadowolony, że ominie go obowiązek odprowadzania teściowej. Jechać na wózku matka Josifowiczowej nie chciała. Niech zobaczy ją dzisiaj cała wieś w tym najbardziej obszarpanym pogrzebowym odzieniu, całą drogę od Josifowiczów do swojej chaty przejdzie

wyprostowana jak świeca. I tak nikt nie zwróci na nią uwagi. Ci już dawno ją pogrzebali. Tak samo jak lata charyńskiej przeszłości, o których się nie uczy.

Jak ekspedycję Krasochina, która zdecydowała się na tchórzliwą ucieczkę, jak wszystkich tych łowców, rozdzielonych na grupy po dwudziestu doświadczonych mężczyzn, którzy w mroku charyńskiej zimy zadźgali się wzajemnie w bójkach, mimo obietnic, które w tajdze obowiązują do chwili, kiedy na kość stwardnieje ostania piętka chleba, a słońce tylko błysnie i już znów schowa się za horyzontem. Nawet nie widzieli dobrze swoich twarzy, a teraz już od dziesiątków lat żadnych nie mają. Odcisnęli je w śniegu, śnieg stopniał i twarze wpierw zmieniły się w błoto, a potem całkiem zniknęły.

Stara kobieta powoli przesuwając nogi, krok za krokiem, z jednej strony podtrzymuje ją córka, a z drugiej Hablund. To na niego wszyscy teraz patrzą. W jego twarz, tego nowego, co wpadł idiotce w oko i doktor będzie go miał od rana do wieczora w swym domu. To on był już u Bura. Buro trzymał go u siebie cały miesiąc i przyzwyczajenie karmił. Toteż wygląda znacznie lepiej niż pięć tygodni temu, gdy go, śpiącego w chatce, całego obmacali. Czy nikt Burowi nie mówił, że nie powinien go wypuszczać na dwór?

– Nikt go tu nie zna.

– Poczekajcie, aż nadejdzie zima.

– Nie dożyje wiosny – zdawały się szeptać mizerne drzewka, które mijali tak wolno, że Hablund mógł się przyjrzeć każdemu ich liściowi. Domy jakby pękały z tłumionego śmiechu, a każde dziecko przebiegające obok chowało coś w łachmanach. Dlaczego nie widzi tu niczyjej twarzy? Twarzy, o których na próżno wmawiał w siebie, że właściwie wcale nie jest ich ciekaw.

Przed chwilą czuł się u Josifowiczów jak na stypie gdziekolwiek za Uralem. Słodkości i toasty za trwałą przyjaźń, swojska atmosfera, chałupa śmierdząca potem – teraz dopiero poczuł się w Charyniu. Pierwszy raz od czasu, gdy tu przybył, szumiało mu w głowie.

Hablund oczywiście nie wiedział, co go czeka. A gdyby wiedział, i tak by nie uwierzył. Teraz – może. Kiedy starucha człapała, postukując kosturem i mrużąc coś pod nosem, idiotka kroczyła jak automat, zapatrzona w głąb siebie; powoli wychodzili z osady.

Co tak stoisz, zgłupiałeś?

Pociągnęła Hablunda za rękę jak mała dziewczynka. A była matką niemowlęcia, żoną doktora, choć nie miała jeszcze dwudziestu lat. Drżała z zimna. Oprzytomniał.

– Chodź do mnie – rozległo się w ciemnościach.

Kiedy poznał Mariane, była wojna. Serce biło mu przy tym szybciej, tak samo jak teraz, i chciał nie myśleć o tym, co zdarzy się za chwilę. W Danii najwięcej poległych było wśród marynarzy, których statki płynące z ładunkiem do Wielkiej Brytanii zostały zaatakowane przez niemieckie okręty podwodne. W Kopenhadze nie padł ani jeden strzał.

Hablund nie chciał się do tego przyznać, ale bał się okropnie. Nie wiedział, gdzie jest, do wsi nie trafi i zostanie tu z dziwożoną, która ukrywa się w ciemnościach gdzieś tu koło niego.

Gdzie jesteś?

Znów poczuł rękę idiotki. Namacała go, on też ją namacał. Pomyślał, że jeśli zostaną tutaj razem jeszcze przez dziesięć minut, może się zdarzyć coś, czego by rano żałował.

– Idziemy – polecił lub przynajmniej starał się to uczynić, i ruszył, sam nie wiedział dokąd.

Potykał się o wszystko. Coś trzeszczało, szeleściło, kilka razy potknął się o linę od namiotu. Miał nadzieję, że idiotka pójdzie za nim. Znajdzie go, przynajmniej słysząc, jak

hałasuje. Zdziwiał, że z żadnej chałupy nikt nie wyszedł, żeby go obrugać. Wydawało się, że buraczarze śpią. Jakby cała osada zapadła się pod ziemię. Trochę go to uspokoiło, ale zszedł gdzieś z drogi. Ze idzie we właściwym kierunku, poznałby jedynie po tym brudnym potoku, gdyby musiał przez niego przejść. Ale co, jeżeli podobnych jest tu więcej? W dodatku czuł, że idiotka czai się gdzieś w pobliżu i umyślnie do niego się nie odzywa.

Ale jak ma ją wołać? Idiotko? Wolał więc milczeć i nie starał się dociec, czy to, co od czasu do czasu ociera się o jego uda, to gałęzie czy też jej ręce. Pójdzie prosto przed siebie. Kiedy dotrze na skraj tajgi, zorientuje się, gdzie jest, potem zaś ruszy z powrotem i trzymając się tych niskich drzewek dojdzie do Charynia. Tylko że już wkrótce przestał się orientować, wzdłuż czego właściwie idzie. Myślał, że będzie się trzymać ściany lasu, lecz teraz wydawało mu się, że zagłębia się w nim coraz bardziej, i zamiast zbliżać się do chałup, zgubił również te nieliczne, które były gdzieś blisko. Teraz był już zdecydowany stukać do drzwi pierwszego napotkanego domu tak długo, aż w końcu ktoś mu otworzy. Dobijał się i kopał w drewno, odchodził od zmysłów, jakby ta letnia noc miała go pożreć.

Wreszcie nad ranem zasnął tam na schodach. W miejscu gdzie ludzie z wyprawy Krasochina przegłosowali, że żaden z nich nie piśnie ani słowa. Każdy z nich odklepał rotę przysięgi, a wychudły pop, który był tam z nimi, przyjął dwanaście przysięg dwunastu ludzi, dwanaście razy skinął głową na znak aprobaty; potem podobno spisali to i zamknęli na kluczyk w drewnianej skrzynce. Wszyscy bez wyjątku cieszyli się, że z tych dzikich okolic wrócą w końcu do domu. Każdy z nich ucałował koniuszki palców chudego popa, zabili go zaledwie kilka wiorst stąd. W tajdze do dziś znajduje się mogiła. Usypali ją solidnie, wymarsz opóźnił się wskutek tego niemal o tydzień. A dlaczego? Czy z powodu dręczących ich wyrzutów sumienia? Dziś widziana z oddali mogiła wygląda tylko jak zarośnięta mchem przypadkowa kupa kamieni. Nie jest pusta. Kryje w sobie pazury, kości i czaszkę świętego męża, o którym wieść do dziś głosi, że podczas ekspedycji zmarł na podstępłą chorobę, przed którą Krasochin i jego wierni zdołali rzekomo uciec. Podobno zaczynała się od bólu stóp, a kończyła ślepotą. Jak wychudły pop rzeczywiście zakończył życie, tego, dotrzymując złożonej przysięgi, żaden z mężczyzn nigdy nikomu nie powiedział.

Było to kawałek za potokiem. Pierwszy opuszczony dom stał tak blisko chat buraczarzy, że ktoś pozwolił mu podupaść. Gdy minie zima, buraczarze wybiją okna i jedna z ich rodzin się tam wprowadzi. Postawi na ziemi kilka garnków, rozpali przed drzwiami ogień – i obejmie go w posiadanie. W Charyniu prędko rozejdzie się nowina, że granica nie biegnie już za potokiem, ale przy domu Jordyszewa, a porządni obywatele przyjmą to do wiadomości.

Rano Hablundowi udało się odnaleźć drogę od domu Jordyszewa do chałupy Josifowiczów. Welor już wyszedł, a Josifowiczowa jeszcze spała. Tamara tuliła się do jej piersi, jej włosy leżały rozsypane dokoła jak aureola. Przypomniawszy sobie, jak bardzo wczoraj w nocy chciał się pomodlić, jak też o tym, że większość swoich rzeczy ma jeszcze u Bura.

Jego domek znalazł bez trudu. Teraz wydał mu się jeszcze mniejszy i wzorowo wysprzątany. Mniejszy od domu Josifowiczów i schludny w porównaniu ze wszystkim, co widział poprzedniej nocy. Zapukał – i nic. Zastukał znowu, lecz tym razem też nie słyszał, żeby się w środku ktoś ruszał.

Buro czasami spał tak twardo, że Hablund mógłby zrzucić coś z półki, a on zareagowałby jedynie mrukliwym chrapnięciem. Ale teraz naprawdę go nie było. Hablund zajrzał przez mętną szybkę do środka, nie było też kurtki Bura i butów, które wkładał, idąc do tajgi. A potem usłyszał szelest pudełka koło wygodki. Keke wyjmował spod darni swe zabawki, a Larysa stała za nim, trzymając się pod boki niczym bawarska chłopka.

Ma grube ramiona ten zagraniczny mężczyzna skądś z daleka. Ani trochę się jej nie podobał. Przybył tu, żeby wtrącać się w cudze sprawy. A w dodatku miała u siebie jego

rzeczy, które zostawił jej Buro, zanim poszedł do tajgi z mąką dla łowców klakunów. Wszystkie rzeczy cudzoziemca, który sam się tu wprosił, przejrzała już i posegregowała. Większość była do wyrzucenia. Torba z jakimiś zgniłymi owocami i te puszki konserw ze wzdętym denkiem. Jeszcze by się nimi zatrzał, zanim *sielsowiet* postanowi, co ma z nim być. Żadnych listów polecających napisanych w zrozumiałym języku wśród tych jego manatków nie znalazła.

U Larysy Hablund się przebrała, pobawił się z Kekem i jako zapłatę za przechowanie rzeczy dał jej jedno z tych damskich zimowych butów z Magasin du Nord. Przy okazji zobaczył, że ma już u siebie deseczkę do krajania cebuli, druczane pętle do rozwieszania suszącego się prania oraz drewniane miski – kilka dni temu widział, jak Buro w domu robił je dla niej. W rewanżu Larysa szyla mu czapki. Z futer, którymi płacili mu myśliwi, jeśli chcieli zapewnić sobie jego usługi kurierskie. Choć nie mieszkali razem, handel wymienny między nimi rozwijał się w najlepsze.

– W moich rzeczach jednak robić porządków nie musiała – mruknął dość głośno i rzeczy ułożone od największych do najmniejszych ponownie przepakował po swojemu.

Gdy wrócił do Josifowiczów, Welor był już z powrotem. Całą izbę wypełniała para śmierdząca mydłem z kości, Welor wrzucał do miednicy brudną bieliznę i coś sobie przy tym nucił, idiotka oraz dziecko wciąż spały. Hablund wypakował swoje rzeczy, pierwszy raz od przyjazdu mógł porządnie rozłożyć na zewnątrz cały swój dobytek. Zastanawiał się, jaki prezent mógłby się Welorowi podobać, myślał, że może fajka, kiedy doktor bez zbędnych słów podał mu stosik białej bielizny pościelowej.

– Trzymaj.

Próbował zgadnąć, czy pójdą do położnicy, do dziecka chorego na dyfteryt, czy zamknąć oczy nieboszczykowi. Welor polecił mu iść do sieni i tam zaczekać. Za papierową zasłoną z pozlepianych gazet, w pomieszczeniu wyglądającym jak komórka, w której w kopenhaskim mieszkaniu Hablund i Mariane trzymali kubek i ścierkę, stało owinięte w szmaty coś wysokości człowieka i tak ciężkie, że jeden z nich nie mógłby tego udźwignąć. Obydwaj ujęły pakunek, każdy z jednej strony, i na komendę Welora położyli go w sionce na ziemi. Słodkawy zapach przypominał zepsute mięso.

Welor rozwinął szmaty jak dywan i Hablund musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Na ziemi przed nim leżały zwłoki ojca idiotki, z twarzą łagodną, jaką pewnie miewał, kiedy rano gołnął sobie pierwszy łyk wódki. Welor zawinął je w czyste prześcieradło, po czym zarzucili sobie nieboszczyka na ramiona. Poza wydawaniem takich poleceń jak „w prawo, w lewo, naprzód”, Welor milczał. Poczynał sobie sprawnie, widać było, że nie robił tego pierwszy raz.

Gdy przechodzili przez osadę, od czasu do czasu ktoś kiwał głową. Niewprawny Hablund kilka razy na zakrętach uderzał ciężarem w drzewa. Doszli tam, gdzie zlatywały się oddające ostatnią posługę zwłokom ptaki, i położyli starca na ziemi obok innych, starszych „dywanów”. Parę z nich wyglądało na prawie nowe, ale w większości pod fałdami usianych wilgotnymi plamami całunów rysowały się już sylwetki zmarłych, a otaczające je drapieżne ptaki szarpały płótno na strzępy.

Welor pracował na dwie zmiany. Rano szedł do kołchozu, żeby ważyć paszę dla bydła, a po południu i wieczorami chodził po *posiołku* z wielką lekarską torbą z wołowej skóry. Przywieziono ją tutaj kiedyś wraz z innymi rzeczami jako wyposażenie wojskowej apteki. Welor systematycznie nacierał ją olejem, żeby pięknie błyszcząca. Znajdujące się w niej narzędzia wystarczały mu przy większości zabiegów, do których go charyniacy wzywali. Wykonywał je nielegalnie, bo Charyń miał swego lekarza, ale kto mógł, omijał go wielkim lukiem.

Doktor Bownik kroił nogę, kiedy pacjent miał tylko zastrzał, a gdy kleszczami i dłutem

usunął komuś zęb, nierzadko pacjentowi wypadła również większość pozostałych. Byli jednak i tacy, którzy świadomie pozwalali to sobie robić. Pisemne skierowanie na leczenie w wielkim szpitalu było bowiem dla niektórych jednym z niewielu sposobów wydostania się z Charynia. Buraczarzom sprzedawano na dworcu bilet jedynie za okazaniem takiego dokumentu, i dlatego zdaniem niektórych tyłu z nich nieustannie chorowało.

Welor takich skierowań wystawiać nie mógł. W Charyniu oficjalnie był zatrudniony w kolchozie, toteż chorzy wzywali go tylko wtedy, gdy naprawdę potrzebowali pomocy.

Kiedy uporali się już ze zmarłym starcem, Welor zabrał Hablunda ze sobą do swej legalnej pracy. Z płóciennymi torbami, w których mieli trochę pozostałego po stypie sera i chleba, wyruszyli poza wieś, na teren rolniczej spółdzielni produkcyjnej. Po drodze minęli kilka szerniałych resztek po domach, które poszły z dymem, co zdaniem Welora zdarzało się czasami wskutek nieostrożności, i parę innych z zabitymi oknami. Były to domy malkontentów, którzy upchawszy cały swój majątek w torbach, opuścili pod jakimś pretekstem Charyń. Ich krewnych charyński *sielsowiet* karał bezpłatną pracą na rzecz wsi, żeby ci, którzy zamierzali stąd czmychnąć, dobrze się zastanowili, na co narażają członków swojej rodziny. Właśnie oni budowali teraz dla osady tą nową, murowaną stację, a Welor uważał, że na tę karę zasłużyli.

Kto jest tchórzem podszyty, z Charynia nie ucieknie. Każdy ma tu przecież swoje wyznaczone przez partię zadanie, a *sielsowiet* musi utrzymywać dyscyplinę. Sam Welor był w Charyniu z woli partii. W Smoleńsku pozostawił rodzinę, żonę z trojgiem dzieci, nigdy nie przysłoby mu do głowy, że w wieku czterdziestu lat będzie zaczynać od zera. Ale żeby dla biletu kolejowego iść do Bownika i dać sobie wybić zęby? To już wolał założyć nową rodzinę. Jako przesiedleńca nie miał prawa do biletu, tak samo jak buraczarze, mimo to jednak w kwestii rodzin uciekinierów na posiedzeniach *sielsowietu* głosował za jak najsurowszymi represjami.

Do stojącego z dala od innych zabudowań gospodarczych małego domku, w którym ważono paszę, siewkę i otręby dla kolchozowego bydła, jak też produkty rolne dla mieszkańców Charynia, Welor i Hablund przyszli punktualnie na początek zmiany. Powitała ich wesoła, skoczna melodia, grana przez pięciu mężczyzn, którzy wyciągnęli skądś instrumenty.

Hablundowi przypomniało to świętowanie końca wojny w Leningradzie – fragmentów transmisji z tej uroczystości słuchał w Kopenhadze przez radio razem z Mariane. Pod rampę przed domkiem Welora podjeżdżały wózki, drewniane wehikuły z desek i żerdzi, z pszenicą, owsem, zabłoconą marchwią i skoszonymi chwastami, Welor ważył je, wyniki zapisywał w wielkim zeszyte i od czasu do czasu dawał jakiś znak kolchoźnikowi, który przyjechał z ładunkiem, a ten w odpowiedzi kiwał głową. Waga była dość prosta. Mechanizm złożony z krążka i dźwigni wahadłowej, masę pokazywała Welorowi w domku wskazówka na cyferblacie z rowkiem. Welor, który przed pracą przy wadze zawsze wkładał na nos okulary, wyglądał jak bardzo skoncentrowany na swej pracy laborant. Wózek za wózkiem kolchoźnicy zwalali swój ładunek na wagę. W mierzącym cztery metry na cztery kantorku, w którym w upał czy mróz Welor spędzał codziennie kilka godzin, często również w niedziele, znajdowały się stół, mały piecyk i prycza, na której można było odpocząć; niekiedy wagowy zostawał tutaj na noc. Wydawało się, że na przekór wszystkiemu, co Hablund słyszał w Europie na temat gospodarki kolektywnej, kolchoz prosperuje. Rdzewiejące ogrodzenia, budynek z prowizorycznym dachem, stertę gruzu, drewnianych niecek i resztek uprząży dla wołów – wszystko to wprawdzie widział, ale dokoła wrzała praca. Welor co chwila ocierał ręką spocone czoło.

Tylko zwierząt Hablund nigdzie nie widział. Chmary much i jakiś smród – to i owszem, ale krów ani świń nie było ani koło kantorka, w którym rezydował Welor, ani w żadnym z przyległych budynków. Mimo że Welor powiedział mu wyraźnie, że bez specjalnego

zezwolenia wstęp do nich jest wzbroniony, korzystając z tego, że doktor jest zajęty, Hablund poszedł tam, ażeby się rozejrzeć. Później pytał, czy zwierzęta, które pasą się we wsi, należą do kołchozu, lecz Welor nie potrafił mu udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Hablund miał ochotę porozmawiać również z innymi kołchoźnikami, ale wszyscy wyglądali na ogromnie zapracowanych. Właśnie mieli wychodzić, kiedy dał się słyszeć warkot motoru, który nie mógł być silnikiem samochodu. Podczas gdy Welor się przebierał, Hablund poszedł w stronę, z której ten dźwięk dobiegał, tam gdzie nie powinien był chodzić, by sprawdzić, co to takiego. Za tymi pustymi budynkami, za dalszymi betonowymi hangarami, z których sterczały druty, jakby ktoś zaczął je budować, lecz potem się rozmyślił, na placu wyłożonym deskami ze szparami zalanyymi asfaltem stały trzy małe dwupłatowce z zapuszczonymi silnikami. Czterech ludzi wynosiło z nich wiklinowe kosze z marchwią i jęczmieniem, a piąty, ze śrubokrętem, dłubał coś przy podwoziu. No i proszę, więc to tak jest z tą kołchozową gospodarką.

Gdy wrócili z Welorem do chałupy, idiotka wciąż jeszcze spała. Tamara bawiła się na łóżku matczynymi włosami, wyglądała na zadowoloną. Welor podniósł dziecko, pocałował i położył na dawnym miejscu. W tej bieganinie omal nie zapomniał o liście.

Welor pisywał do Nadieźdy do Smoleńska co tydzień i co tydzień w poniedziałek zanosił list na pocztę, do starej Iriny. Hablund ucieszył się, że nareszcie się dowie, gdzie mają tutaj pocztę, że będzie mógł się odezwać do Mariane.

Idąc na pocztę, odkrył kawałek osady, którego nie znał. Jakieś miejsce zgromadzeń, z czaszkami wołów na stojących jedna przy drugiej żerdziach i z całkiem świeżo pomalowaną czerwoną gwiazdą, zawieszoną nad nimi na rozpiętym między dwoma słupami drucie. Na dole leżały zwalone na kupę odłamki kół zębatach obwiązane wstążkami, kawał żelaznej rurki i sporo podeszew. Placyk z pomnikiem bohaterów za stacją jest wprawdzie dziełem nowego *sielsowietu*, ale niektórzy charyniacy nadal wolą zbierać się tutaj – wyjaśniał Welor i kiedy przechodzili koło sterty podeszew, wyjął z kieszeni guzik i cisnął go między nie.

– Ty nic nie masz?

Zmierzył Hablunda surowym spojrzeniem i przypomniał sobie, jaki miękki był ten człowiek, gdy dotykali go tej pierwszej nocy w chałupie Bura. Pewnie nie ma żadnych papierów i nawet *sielsowiet* nic nie wie o tym, żeby tu na niego czekali.

– Nic nie dasz? – Teraz już go ofuknął.

Hablund wyjął z kieszeni zasmarkaną chustkę do nosa i wywrócił wszystkie kieszenie na lewą stronę, żeby pokazać, że niczego nie ukrywa. Welor dał mu gestem do zrozumienia, że lepsze to niż nic, wyrwał mu chustkę z ręki i dorzucił ją do sterty. Od następnego razu zaczęł zabierać kamerę i aparat fotograficzny, choćby miał ciągnąć za sobą wózek – obiecał sobie Hablund, bo zdjęcie takiego pomniczka komunizmu zrobi w Kopenhadze furorę.

Poczta była niedaleko stacji, obeszli wieś dookoła. Drewniany dom, starannie pomalowany białą i niebieską farbą, wyglądał jak szatnia na pływalni. Drzwi ze sprężyną same się zamykały, a przed nimi stał pał odarty z kory przez rzemienie, którymi przywiązywano do niego konie. Samochód osobowy miał wtedy w Charyniu jedynie *sielsowiet*, Hablund przez cały czas nie widział ani jednego.

Irina przywitała Welora Josifowicza jak starego znajomego.

– Do Nadieźdy, do Nadieźdy – pomrukiwała i Hablund nie mógł się zorientować, czy tylko się cieszy, że widzi Welora, czy też trochę się z niego nabija.

Spytał, czy mógłby z poczty zatelefonować.

Telefon był w owych czasach rzadkością. Nawet u nich, w domu przy ulicy Hansena, miał go mało kto i często któryś z sąsiadów przychodził do Hablunda i Mariane, żeby od nich zadzwonić. Albo telefon dzwonił i głos w słuchawce chciał mówić z kimś z sąsiedniego

mieszkania. Gdyby wiedzieli, ile z tym będzie zawracania głowy, zaczęliby jeszcze z zainstalowaniem tego aparatu.

Ku zdziwieniu Hablunda okazało się, że z dzwonieniem z charyńskiej poczty nie będzie najmniejszego problemu. Podyktował Irinie swój numer telefonu, powiedział, że to w Danii, w Kopenhadze, i czekał na połączenie. Irina, jakby nagle coś sobie uświadomiła, powiedziała, że wprawdzie musi spytać, i gdzieś wyszła.

Jeśli Mariane nie będzie w domu, to zadzwonię przynajmniej do firmy – pomyślał. Popyt na pakiety opatrunkowe, bandaże i plastry w trzy lata po wojnie nie sięgał nawet jednej trzeciej tego, co kilka lat temu. Wtedy duńskie władze wezwały przedsiębiorców, by starali się o zamówienia na potrzeby Rzeszy. Na ten oficjalny apel powołał się Hablund, kiedy po wojnie oskarżano go o kolaborację. On tylko współpracował. To samo robił również duński rząd. Z ponad siedmiu tysięcy Żydów ostatecznie zmarło tylko pięćdziesięciu trzech. Współpraca się opłacała. Z okresu, gdy tygodniami zamknięty był u Bura, Hablund miał kilka pomysłów, jak zwiększyć zbyt produkcji. Sama współpraca z aptekami po wojnie na długo nie wystarczy – pomyślał, i właśnie podsumowywał te pomysły, gdy Irina wróciła i oznajmiła, że przecięto gdzieś kabel i z połączenia nici. Niech spróbuje za kilka dni, połączenie telefoniczne w małych gminach traktowane jest przez partię priorytetowo i towarzysze z pewnością już pracują, by usunąć awarię.

U Josifowiczów wszystko było do góry nogami. Idiotka gotowała owsiankę i w całym domu czuło się przypaleniznę. Tamara się darła. Przed domem siedziało dwóch buraczarzy. Gdy tylko Welor przyszedł, obaj z płaczem rzucili się mu do nóg. Przywieźli na wózku zarżnięte ciele, niech Josifowicz je przyjmie i tylko niech nie zwleka, sami zawiozą go tam i z powrotem.

Welor zachęcił Hablunda, żeby usiadł na wózku, wziął swoją torbę, buraczarze weszli w rolę koni, pochwycili dyszel i pognali, ile sił. Przy opuszczonym domu Jordyszewa, do którego nocą Hablund daremnie się dobijał, byli w ciągu kilku minut, galopem sforsowali potok i z trudem manewrując wózkiem między chatami, biegli już przez osadę buraczarską.

Myśleli, że przybyli za późno. U buraczarzy zmarłym nie zamyka się oczu i gdy uchylił skórę zasłaniającą wejście do wskazanej im lepianki, szklany wzrok leżącej na wyrku małej dziewczynki skierowany był prosto na nich. Welor dotknął jej czoła, następnie nadgarstka, a potem szyi, na próżno starając się wyczuć tętno.

W tym czasie krąg buraczarzy mamrotał coś, ujawniwszy się za ramiona, jakby pogodzili się już ze stratą. Pobrzękiwali do taktu podziurawionymi puszkami po konserwach, kilka kobiet kiwało się, siedząc w kucki, matka dziewczynki klęczała cicho przy córce, nie spuszczać oczu z Welora. Dziewczynka miała cienkie ręce, czołko wąskie i spiczasty nos, nie mogła ważyć więcej niż małe dziecko, choć musiała mieć już co najmniej czternaście lat. W końcu jednak poruszyła oczami i uśmiechnęła się do matki. Pod wieczór, kiedy Welor odchodził, ruszała już także rękami i cichutko coś do niego powiedziała. Pewnie podziękowała, domyślał się Hablund, ale pewności nie miał. Welor przez trzy godziny karmił ją letnim rosołem, na jego polecenie pospiesznie ugotowanym przez buraczarki, i to było wszystko.

– Nie dawali jej jeść – rzucił, gdy wracali wózkiem do domu. – Kazałem im, żeby jeszcze trzy dni karmili ją rosołem, to potem wszystko będzie w porządku. Patrzyli na mnie tak, jak gdybym im powiedział, że właśnie nauczyłem ją chińskiego. Nie widzisz, co mają w głowach. Czasem myślę, że moja żona w swojej nie ma nic, tak samo jak oni. Ale kiedy zimą śnieg pada już czwarty tydzień, nasz *sielsowiet* wysyła do nich, za strumień, delegację, żeby coś z tym zrobili, i następnego dnia niebo jest czyste. Raz na rok coś się im uda i potem chodzą dumni, że w odróżnieniu od nas mają magiczną moc. Przy budowie magistrali padali jak muchy i gdyby nie płodzili dzieci jak szaleni, dawno już by ich tu nie było. A przy tym starczyłoby podgrzać czasami wodę i wykąpać się albo przynajmniej umyć ręce. Tylko że to

raczej nie byłoby po ichniemu.

Ostatnie dwa słowa Welor powiedział prosto do kamery i z dziwnym uśmiechem. Hablundowi przyszło na myśl, że „po ichniemu” Welor niewiele różni się od buraczarzy. Ten ołtarz komunizmu z krowimi rogami i kłębkami drutów na przykład. W „Naszym Świecie” pisano, że istnieje coś takiego jak myślenie mityczne. Ludzie wyobrażają sobie różne rzeczy, przy czym zlepkowi tych nonsensów nie można odmówić głębi. Może właśnie wpadł na trop czegoś takiego. Jedna połowa wsi nie daje swoim dzieciom jeść, a druga sprowadza marchew samolotami i nosi swoich zmarłych w prześcieradłach na stertę.

Zapomniał spytać, czemu właściwie nazywa się buraczarzy tak, jak ich się nazywa. Buraczanych pól nie mógł się w tym cygańskim taborze dopatrzeć, chociaż rozrzucone tu i ówdzie buraki zdarzyło mu się widzieć. Powinien też wyczyścić soczewki aparatów, wypastować skórzane buty i powiesić koszule. Wieszaki zrobi sobie z drutu jak tubylec, a za parę dni znów spróbuje zatelefonować do Mariane.

Mariane

Krótko mówiąc, o tym, że jest źle, Mariane wiedziała wcześniej niż ktokolwiek inny. Po powrocie z wieczorku charytatywnego, gdzie rozdała wszystkie te rupiecie, które zagracaly mieszkanie przy ulicy Hansena, czuła to wprost w żołądku, jak kotka w urojonej ciąży. Takie rzeczy zawsze tam właśnie czuła. Jakby prawdziwe serce drzemało gdzieś w głębi trzewi, a ten organ po lewej pod żebrami był tylko najzwyczajniejszą pompą. Hablund zdąży jeszcze, zanim wyjedzie, chwalić sobie, że pupa Mariane tak ładnie mieści mu się w dłoniach. Dlaczego nagle tak schudła, jego żona już nigdy mu nie powie.

Parę dni przed tym wieczorkiem powiedział jej wreszcie o swoim planie. Zabrał ją na kolację do Wiveksu i przyszedł z bukietem żółtych róż, tak samo jak kiedyś, gdy prosił ją o rękę. Myślała, że chce wszystko odwołać. Że skończy z tym szaleństwem, a może również zrezygnuje z prenumeraty tego okropnego „Naszego Świata”. Tego steku bzdur, z powodu których myśli, że w Danii jest za mało naturalności. Kilka tygodni temu pod jej nieobecność powyrzucił wszystkie jej staniki, miał też pretensje, że zbyt wysoko zaczesuje włosy. Spodziewała się, że w Wiveksie wszystko odwoła i przeprosi ją, ale kiedy został im już tylko ostatni kęs deseru, a on wciąż nic, zrozumiała, że była w błędzie. Szturchnie ją, a ona zacznie spadać. Popchnie ją z tyłu, po czym odwróci się i sobie pójdzie. Zagryzał wargi i nie patrzył jej w oczy. A potem to z niego nagle wyszło. Że wyjeżdża. Wybełkotał to z ustami pełnymi ciasta. Oto po czym poznajemy tchórzy. Przyszedł z kwiatami, żeby nie mogła się rozżłościć, i wymamrotał to, jakby jej tylko przekazywał wiadomość, która wcale go nie dotyczy. Mariane była potem na siebie zła, że nie zrobiła mu sceny. Że nie trzepnęła go widelcem albo że tym bukietem jak miotłą nie pogoniła go po lokalu. Znali ich tam, więc dlatego tak byłoby lepiej. A tymczasem nie zdobyła się na nic więcej niż wstrzymanie oddechu. Czuła też coś jakby ulgę, że wyszło sztydło z worka, lecz przede wszystkim strach. I żal, i wściekłość, że on potrafi tak ją opuścić jak gdyby nigdy nic.

Hablundowi spadł kamień z serca. Zaraz zaczął przedstawiać Mariane plan podróży. Jedną nogą był już tam, Mariane to wiedziała. Jak i to, że będzie trwał przy swoim. Policzki mu poczerwieniały. Płonał tym głupim, entuzjastycznym ogniem, który tak właśnie wygląda, niezależnie od tego, co jest jego przyczyną, a Mariane była jego publicznością. Tym bezimiennym tłumem, który macha do odpływających statków, pięknymi dziewczętami rzucającymi kwiaty, a później także tymi, co piszą listy i dręczą się, aż wreszcie otrzymują pocztówkę lub słoik z odrobiną morskiego piasku, jeśli ich ukochany jest romantykiem i jeśli wszystko to dobrze się kończy.

– Tak daleko – westchnęła.

Na więcej się nie zdobyła. Ale nawet wtedy nie chciała sprawić mu zawodu.

Zaraz więc jeszcze tego wieczoru, przy stoliku w Wiveksie, na odwrocie rachunku już pisała pierwsze uwagi, czego nie powinien zapomnieć wziąć ze sobą. Tych wszystkich rzeczy, które Larysa wyrzuci w chałupie Bura na podłogę, rzeczy, z których poza ciepłą bielizną nic do niczego się Hablundowi nie przyda.

A potem wyjechał i Mariane mogła wreszcie wpakować głowę pod poduszkę i bez skrępowania wybuchnąć płaczem. Czemu nie domyśliła się tego wcześniej? Z tą czarną maską nawet nie powinna była wpuścić go do mieszkania. Albo ja, albo ona – żony przecież zwykły tak mówić. Przy czym „ona” to był ten daleki zimny kraj. Śmieszne.

Hablund mówił jej nieraz, że należy do tego gatunku kobiet, które robią sobie wyrzuty nawet z tak błahego powodu, jak złe myśli, i tą złością na siebie same karzą następnie swoich bliskich.

Ona mówiła mu, żeby przełożył to na następny rok. Być może się bał, że mu to do tego czasu przejdzie. Już parę razy przecież tak się czymś interesował i zawsze wyglądało tak, jakby chodziło o życie. Kiedyś zafascynowały go tkaniny. Tylko tych podstawowych jest sześćset siedemdziesiąt rodzajów, a mieszanek – tysiące. Materiałoznawstwo było chyba najoryginalniejszą rzeczą, jaką się zajął. Potem przyszło degustowanie win, był to pomysł kogoś z jego firmy. Chcieli zostać arcymistrzami wśród amatorów, ale skończyło się na tym, że jako tako rozpoznawali cabernet. Ze niby Hablund nie miał dostatecznie wyrobionego węchu. Przez chwilę ciekawiły go także samoloty, ale gdy zaczął prenumerować „Nasz Świat”, wszystko to zarzucił.

Zirytował się, kiedy Mariane powiedziała, że powinien był wybrać sobie jakąś inną pracę. Że gdyby robił coś, co sprawiałoby mu przyjemność, nie musiałby wiecznie przerzucać się z jednego hobby na drugie. Być może Hablundowi zrobiło się żal, że podczas wojny nie był w ruchu oporu. Nigdy nie miał nawet karabinu w ręce. Może nawet z tego powodu któryś z jego francuskich przyjaciół sobie z niego podrwiwał. Później oczywiście podziwiali go, gdy wyjeżdżał. Wariat czy nie, mogli mówić, co chcieli, ale jakaś nutka podziwu w tym była.

Kiedy Hablund, zamknięty w chałupie Bura, przez zamazaną szybę obserwował Josifowiczową, podskakującą przed oknem i zadzierającą aż do ramion szmacianą spódnicę, Mariane w Kopenhadze nie mogła się zdecydować, którą z wielu toalet wyjętych z szafy na łóżko włożyć. Czy ma udawać, że jest jej wszystko jedno? Zdziwiło ją, że dopuściła drugą z tych możliwości. Ze mimo wszystko nadal jej na sobie zależy.

Więcej niż godzina upłynęła jej na wybieraniu sukienek, potem zadzwoniła do Lory i poskarżyła się na samotność. Napisała do Hablunda długi list o tym, że tęskni, że w kinach nie dają nic dobrego, a czytanie książek, o których nie może z nim rozmawiać, nie sprawia jej przyjemności.

W tych pierwszych dniach po wyjeździe Hablunda Mariane starała się przede wszystkim zostać porządną panią Doran. Poszła na zebranie do firmy męża i jeszcze raz narysowała sobie plan mieszkania przy ulicy Hansena ze wszystkimi zmianami, które dałoby się tam przeprowadzić. Zawsze złościło ją, że nie mają balkonu. Hablund mówił kiedyś dawno, że mur pod oknem w kuchni można by wyburzyć aż do podłogi i z zewnątrz dobudować do niego jakiś mały balkonik. Znał właściciela domu, a okno wychodziło na podwórko, chyba więc nie musieliby mieć Bóg wie jakich zezwoleń. Później przestał o tym mówić. Czego człowiek nie robi na początku, tego potem nie ma. Kiedy Lora mówiła to Mariane, ta jej nie wierzyła. Myślała, że odnosi się to do Manfreda. Ale Hablund również był taki. Nadszedł czas, gdy przestał ją zdumiewać. Nie było mu to potrzebne.

Roztrząsały to wszystko z Lorą podczas długich rozmów telefonicznych. Miały tajne sygnały. Hasła, kiedy zbliżał się Manfred lub któreś z dzieci Lory. Z tego krótkotrwałego poczucia, że przechytrzyła otaczający ją świat, Mariane nie zrezygnowałyby za nic. No, dobrze, może za ten balkon. Lub za to, żeby Hablund był tutaj przy niej.

Znów wszystko powróciło. Zawroty głowy wskutek fantazjowania, co też może się jej jeszcze przydarzyć. Miewała to jako młoda dziewczyna. Teraz tak samo jak wtedy przyszłość zdawała się nie mieć granic. Przechodziła w czas tak samo, jak czas przechodził w nią i potrafił ją nadać jak balon.

Żeby temu zapobiec, musiała się czymś zająć. Ale tak niewiele umie. Nigdy tak o tym nie myślała, bo wokół niej zawsze byli ludzie, z którymi wystarczyło rozmawiać, by nie mieć poczucia pustki. Mogła wprawdzie dzwonić do Lory, ale częściej niż raz dziennie nie miała odwagi.

Kiedy pierwszy raz przyszło jej na myśl, żeby spojrzeć na mapę, gdzie to właściwie jest jej mąż, zawstydziła się. Pewnie jej to pokazywał, ale w tygodniach tych gorączkowych przygotowań znacznie ważniejsze wydawało się jej, co powinien wziąć ze sobą, niż dokąd jedzie. Złękła się, że zapomniała tę nazwę. Pełna niepokoju usiłowała przypomnieć sobie wszystkie nazwy geograficzne, które Hablund przy niej na głos wymieniał. Przesuwały się jej przed oczami jak tonącemu folder reklamujący miejsca, których już nigdy nie zobaczy. Aż wreszcie sobie przypomniała: Charyń. Słowo, które brzmi jak szeroko otwarta paszcza. Chaps! Odgryzie ci głowę ani się spostrzeżesz.

Ale żadnego Charynia na mapie nie znalazła. Nie znalazła żadnej mapy w tak wielkiej skali, żeby ta wioska była zaznaczona.

Znaleźć przyzwoitą mapę Związku Radzieckiego w ogóle było wtedy trudno. W bibliotece nie chciano niczego pożyczyć Mariane do domu, a w części podręcznej właśnie trwał jakiś remont, chcących z niej skorzystać zatrzymywano już przed wejściem i zawracano. W końcu Mariane namówiła pewną młodą praktykantkę i na zapleczu, na przewidzianej do likwidacji, pełnej drzazg ławce szukała w książkach, które jej ta dziewczyna przyniosła. Przyniosła z domu kredki, żeby sobie mapę przerysować, miała zamiar położyć ją na nocnej szafce albo dać do oprawy, pod szkło, w zależności od tego, jak się jej ten rysunek uda. Lecz Charynia nie było nawet na tych szczegółowych mapach, o których praktykantka mówiła, że są niemal jak wojskowe i że pożyczają się je tylko pracownikom naukowym. Dźwiękowo najbliższy tej nazwie był Chatyń, jakaś wieś na Białorusi, którą podczas wojny Niemcy zrównali z ziemią. Przeżył tylko jeden człowiek, który akurat wtedy poszedł do lasu po drzewo. Wypalona wieś na mapie oznaczona była krzyżykiem, a w objaśnieniach poświęcono jej jeden mały akapit. Charyń nie miał ani krzyżyka, ani kółeczka, a co dopiero wzmianki w objaśnieniach.

W końcu Mariane znalazła go o kilkaset kilometrów dalej, niż pierwotnie szukała. Nie miał kółeczka, lecz tylko kropkę, co według legendy znaczyło „wieś nieustabilizowana, zaludniona tymczasowo”; mapa była z roku 1930. Ponieważ wyglądało na to, że dokoła jest wiele lasów, na tło rysunku wybrała ciemną zieleń, nazwę wsi zaś przez wzgląd na komunistów napisała czerwoną kredką. Góry nie były na mapie zaznaczone, ale dla porządku kilka pagórków dodała. Dzikie krainy bez wzniesień są jak morze bez piaszczystej plaży. Koło wsi narysowała też rzekę i małe jezioro, żeby Hablund miał się gdzie kapać, zapakowała mu przecież te żółte kąpielówki.

Ostatecznie dała swoją mapę Charynia do oprawy, zasłużyła sobie na to. Powiesiła ją pod tą czarną maską z żółtymi pręgami. Przypomniała sobie, jak Hablund śmiał się z niej, że jest dzikuską, bo się tej maski bała.

Pozostawało jeszcze znaleźć coś o tym, czym właściwie ten Charyń jest.

Erske

O tym, że Erske jest darmożjadem, Elwira wprawdzie nic nie powiedziała, ale on zauważył ten błysk w jej oczach. No to niech sobie idzie do buraczarzy, jeżeli tak go to interesuje. Sam zobaczy. Erske zaraz sięgnął po notes, żeby to w nim zapisać. Ze przyjazna postawa wieśniaków może być oszustwem i powinien mieć się na baczności. Kto wie, czy z Hablundem nie zaczynało się podobnie. Postępującą utratą szacunku w jego otoczeniu.

To, co przywiózł dla tutejszych, dawno już porozdawał, więc wybrał się tam z pustymi rękami. Już nawet tłumacząc mu, jak tam dojść, Tamara nie kryła obrzydzenia. Za rozwalonymi chałupami, dalej przez potok i jeszcze kawałek koło głazów. Mówiła o uschniętym drzewie pokrytym porostem i o zdechłej krowie, która tam leży od lata, ale czy po prawej stronie, czy po lewej, tego powiedzieć nie umiała. Szedł tymi wydeptanymi drogami, już mógłby pokazywać, kto gdzie mieszka i co gdzie jest. Stara Saszka, Myszkina, jej sklep, Udziej, za rogiem poczta, stary człowiek, który najpierw pożyczył mu grubą igłę, żeby mógł zszyć sobie buty, a potem zszył mu je sam, kiedy w godzinę później Erske przyniósł mu tę igłę złamaną.

Domy stojące dalej były to sklecone z desek, nadpalone, porozwalane rudery z zapadniętymi dachami. Tam, gdzie chyba ktoś coś uprawiał, bujnie rosły metrowe chwasty, w miednicach, w której kiedyś się prało, w zielonej wodzie kumkały żaby, leżały tu zapomniane drzwi i koła od samochodów, w kałużach pływały stare szmaty, deski z płotów leżały po obu stronach drogi, jeszcze dwie zimy, a po żadnym płocie nie będzie tu już śladu. Potłuczone butelki po wódce, opakowania po waniliowych herbatnikach „Tajga” poniewierały się w błocie obok starych butów z cholewami, które ktoś, pewnie w napadzie złości, pociął nożem. Kawałek dalej leżało kilka złożonych koców, jakby ktoś wyniósł je na przyzbę, chcąc wytrześć, poszedł po trzepaczkę i całkiem o nich zapomniał. Tuż koło kanistra Erskego znalazł również jakieś binokle, właściwie okulary z odłamanymi uchwytami, i starą beżową kapotę, całą pokrytą pleśnią. Największą część tych stert śmieci stanowiły jednak same chałupy, przewracające się jedna za drugą jak kostki domina. Mokre pogorzelsko. Wszystko to razem tworzyło wysypisko, które będzie wyznaczać nową granicę między buraczarzami a Charyniem.

Opuszczonego domu Jordyszewa, do którego wtedy w nocy Hablund się bezskutecznie dobijał, już tam nie było. Nawet buraczarzom za bardzo lało się tam na głowy i przenieśli się znów nieco bliżej wsi. Dom poszedł na opał, na pochodzącym z niego drewnie kilkakrotnie zabulgotała w garnkach woda – i już było po nim.

Wieś cofała się, a buraczarze posuwali się za nią krok w krok. Parę chałup domowym sposobem wyremontowano, szpary większe niż pięść były pozatykane darnią, dziury w dachach zakrywała igelitowa folia – ale były to tylko wysepki, podjęte przez nieliczne rodziny buraczarzy ukradkowe próby wykorzystania tego, co inni porzucili. Główna ich osada leżała dalej.

Erske zobaczył ją, gdy minął kępę zarośli, syberyjskich geryszy o długich gałęziach, i przede wszystkim musiał przetrzeć sobie oczy. Gdzie tylko sięgnął wzrokiem, wszędzie widział płaskie, sklecone byle jak ni to namioty, ni szałas, rozwalające się budy na żerdziach, stojące pojedynczo albo połączone ze sobą w coś jakby bloki domów z płacht, z ogniskami pośrodku wydeptanych placyków, gdzie w garnkach coś skwierczało. Pośrodku równiny wokół wielkiego placu zgromadzeń nędzne chałupy z płacht, stojące obok siebie, tworzyły

jakby zarysy przecinających się pod kątem prostym ulic, które bliżej brzegów osady przechodziły w gmatwaninę pojedynczych szalásów i gałęzi bez płacht, gołego materiału budowlanego. Płachty były z igelitu, z brezentu, ortalionu z czegoś, co przypominało kawałki spadochronów i celt, w wielu miejscach połatanych i pozszywanych ze sobą. Cała osada falowała na wietrze niczym morze. Porywy, uderzenia wiatru wydymały dachy, tu i tam zrywając igelit, który łopotał, póki ktoś go na powrót nie umocował.

Było tu niewiarygodnie dużo ludzi, zarówno siedzących koło domostw, jak i żwawo kręcących się między szalásami. Jakby nie było to osiedle, tylko jakiś obóz pracy. Największy ruch Erske zauważył na obrzeżach. Niektóre szalásy ktoś rozwalał, podczas gdy gdzie indziej stawiano nowe lub zszywano ze sobą kilka starszych.

Erske mógł przyjrzeć się dokładnie wnętrzu szalásów, które były właśnie w przebudowie, w związku z czym nie osłaniały ich płachty. Niektóre z nich aż po strop wypełniały różne rzeczy, zapewne były to jakieś zbiornice albo składy, ponieważ dla człowieka miejsca w nich już nie wystarczało, w innych widać było tylko parę poduszek i kołder, a na pudłach po cukrze, bananach albo mące stało kilka sztuk dość prostych naczyń. Niektóre szalásy wyglądały na zamożniejsze od innych. Stały na palach, wystarczająco wysokie, żeby człowiek mógł w nich się wyprostować, także pokrywający je materiał był mocniejszy i bez łat. Najuboższe były pokryte płachtami pozszywanymi z foliowych toreb, do jakich w Charyniu Myszkina pakowała zakupy. Erske przypomniał sobie, że kilka razy widział Wasię i Dimę, biegnących z jej sklepu z naręczami takich właśnie toreb. Ale ani zadziwiająca prowizoryczność obozowiska, ani ogromne kupy śmieci na jego obrzeżach, ani ten obdarty i ubogo wyglądający ludek lub osobliwe płócienne budki, zapewne wartownicze, przypominające ambony i umocowane na drzewach na skraju osady, nie były tym, w co Erske nie mógłby uwierzyć. Tym czymś były odór i czerwona mgła, fundament niezawisłości buraczarzy, którą dzięki nim zdołali obronić przed Krasochinem, łowcami futer, trockistami, Sowietami oraz demokratami. Podczas gdy Charyń zdany był na oddaloną o setki kilometrów elektrownię imienia Rajzanowa, która dręczyła wieś przerwami w dostawach prądu i o której każdy charyniak mówił szeptem, jakby również na odległość mogła się obrazić i wyłączyć, tajga koło osady buraczarskiej w dzień i w nocy parowała czerwoną mgłą, w zimie buraczarze miewali różowy śnieg, a letnie wieczory były ciepławe i miały wyczuwalny na języku słodki posmak. Mgła z buraków nie zniknęła nigdy. Wisiała także nad buraczanymi polami, nad większymi i mniejszymi prostokątami lub skrawkami uprawnej ziemi wszelkich kształtów, wszędzie, skąd buraczarze wyparli tajgę, by zyskać przestrzeń na własny użytek. Pola oddzielały od siebie pasy drzew, w niektórych kierunkach pola i poletka ciągnęły się daleko, ale kto o nich nie wiedział, nie znalazłby niczego.

Prąd doprowadzono do *posiołka* Charyń parę lat temu. Niektórzy płacili za niego na poczcie, inni po prostu podłączyli swoje domki do przewodów elektrycznych albo mieli od kogoś tanią benzynę i do drewnianej psiej budy koło chałupy wstawili generator. Benzyna jednak od czasu do czasu też się kończyła i potem wszyscy grzali ręce nad ogniskiem z suchych szczap. Zwłaszcza przedtem. W czasach powszechnego postradzieckiego rozprężenia.

Co się tyczy czerpania energii bezpośrednio z przewodów, najtrudniej było, podłączając się do nich, nie spłonąć przy tym żywcem. Dlatego ludzi korzystających z tego było niewielu. Paru śmiałków lub tych, którzy dobrze zapłacili za to Udiejowi, a on wspiął się na słup za nich. Ręce i nogi miał jak z gumy, dziesięciu ludzi w *posiołku* przysięgłoby, że ciało Udieja nie przewodzi prądu.

Tym, co Erske wziął za sznury do suszenia bielizny lub kable ukradzione na kolei, były druty. Zwoje przewodów, które ciągnęły się i plątały na ziemi i w błocie zarówno w centrum, jak i w peryferyjnym obozowisku, i nad którymi nie tylko kozy, ale także ludzie przechodzili

z taką obojętnością, jakby to były gałęzie.

Rozprowadzaniem energii zajmowała się specjalna brygada. ERSKE zaobserwował również wiele innych rzeczy. Dźwięków, które dobiegały z osady, nie rozumiał, nie pozostawało mu więc nic innego, jak tylko domyślać się, o co chodzi. Próbował zaliczyć mowę buraczarzy do którejś ze znanych syberyjskich grup językowych, ale bez rezultatu. Zauważył kogoś, kto usiłował rozniecić ogień, pocierając jedno o drugie dwa drewnianki, inny znów kręcił korbą, która wystawała z wielkiej skrzyni przypominającej pralkę lub silnik samochodu. Ze skrzyni wydobywały się szумы i trzaski, jak podczas daremnych prób nastawienia radia.

Najwięcej jednak działo się wokół pełnych po brzegi tygli. Tygli i worków ustawionych w centrum osady koło chałup i często służących jako ławki, na których siadano, podczas gdy na peryferiach poniewierały się naddarte lub rozwiązane, a buraki wypadały z ich na ziemię. Gotowano je, duszono, podgrzewano w szklanych destylatorach przypominających aparaturę do pędzenia samogonu; ten słodkawy odór, wydzielany przez krowie łajno, czuło się wszędzie. Czerwonymi wytlókami bowiem buraczarze karmili swoje krowy, dumni z ich wyjątkowo gęstego mleka. Nic się nie marnowało.

Pszela patrzyła na ERSKEGO bez szczególnego entuzjazmu. Myślała, że będzie wyższy, ale płowe włosy i niebieskie oczy miał dokładnie takie, jak je sobie wyobrażała.

Elwira z pewnością nie miałyby nic przeciw niemu, ale on tylko korzysta z jej uprzejmości, nic więcej. Może w zimie, jak będzie trzaskający mróz, a oni znajdą się gdzieś sami, prześpi się z nią, żeby się wewnątrz niej ogrzać, ale nic więcej z tego nie wyniknie. Nie obłąskawi go, mimo że nie jest niczym więcej niż zwyczajnym gamoniem. Ta Elwira, co to sprzątnęła jej sprzed nosa pracę, na której tak jej zależało.

Pszela pomagała na poczcie, kiedy stara urzędniczka już ledwo zipała, a potem wieczorem musiała sama iść całą drogę pieszo. A tu jeszcze Waśka i Dima darli się, że nie mają co jeść. Mogła być pierwszą buraczarką, która co dzień chodzi do Charynia do pracy. Mogła zwracać charyniakom koperty z niewłaściwie napisanym adresem. Rzuciłaby je im na głowy. Połączenia międzymiastowe, znaczki opłaty skarbowej, znaczki pocztowe – wszystkiego tego nauczyła się od staruchy i nie zdało się to na nic, bo ta nagle przypomniała sobie, że Welor Josifowicz ją kiedyś wykurował, a Elwira jest jego wnuczką.

Buraczarze o rodzinie Josifowiczów-Kawaryczów wiedzą swoje. Welor chętnie wszędzie, że swoją żonę wyciągnął z biedy, że była jedyną buraczarką, która wyszła za charyniaka, lecz jak tylko wyzionął ducha, rodzona córka wykopała kochaną Josifowiczową z Charynia jak psa. Choć właściwie nawet psom czegoś takiego się nie robi. Chyba że któryś ugryzie małe dziecko – wtedy to co innego.

Pszela poszturchiwała Josifowiczową, żeby nie spała, tylko przytrzymywała przyzwoicie napiętą płachtę. Josifowiczowa jej słucha. Co Pszela da jej do ręki, żeby trzymała, to trzyma, tylko trzeba co pewien czas dać jej po gębie. Charyniacy myślą, że idiotka Josifowiczową od dawna już nie żyje, ale ty, babo, mi tutaj kwitniesz, nie?

Kuksnęła ją, bo już znów spała, z dziewięćdziesięcioletnimi babami są same kłopoty. Ale lubiła ją, tę głuchą kapuścianą głowę. Była powolna i ruchy miała nieskoordynowane jak wiecznie nie do końca obudzony niedźwiadek, jak alkoholiczka, choć nie piła. Szczęście, że idiotka o niczym, co było, już nic nie wie. O Welorze, o Tamarze, która ją wypędziła z Charynia, gdzie żyła czterdzieści lat, a przy tym zdaje się jej, że z Czewapiki nie szła nigdy dalej niż do tych tam krzaczków, na brusznice.

Pszela, jako jedna z niewielu w Czewapice, umiała przyzwoicie mówić po rosyjsku. Gdyby tak nie było, o tej pracy na poczcie mogłaby spokojnie zapomnieć. Należała jeszcze do tego starszego pokolenia buraczarzy, które było objęte obowiązkiem szkolnym, chodziło do tej samej szkoły, co dzieci charyńskie.

Ten budynek nadal tam stoi, lecz swoich dzieci buraczarze już tam nie posyłają. Nikt tego nie pilnuje i włodarze Charynia są zadowoleni, że ich nie muszą oglądać. Rosyjski Pszele

zawsze przychodził łatwo, ale Waśkę i Dimę, tak samo jak inne matki, trzyma w domu. Teraz obaj dokuczają Sierioży, pobiegną do wsi, wezmą ze sklepu parę plastikowych toreb i już są z powrotem, ale gdyby ich posyłała do szkoły, to oni wracaliby wtedy do domu z siniakami. Tylko na idiotkę powinni bardziej uważać. Starczy, że potknie się pewnego razu o druty i będzie po niej. Czaszkę ma już jak wydmuszka, a kości tak spróchniałe, że na pewno pod skórą coś jej się z nich prószy.

Wiadomość o cudzoziemcu rozchodzi się z szybkością zimowej zamieci. Erske był ich, charyniaków, a od takiego lepiej się trzymać z daleka. Od Waśki i Dimy buraczarze mieli ściśle informacje. Ze to on tak zdzielił obu chłopaków witką po palcach, że matka, Pszeła, przez tydzień musiała co rano prawie po łokcie moczyć im ręce w tym różowym mleku – i to tylko za to, że Waśka z Dimą kilka razy podstawili nogę Sierioży.

Erske wiedział, że Charyń jest z buraczarzami na wojennej ścieżce, ale nikt nie potrafił mu dokładnie wyjaśnić dlaczego. Wiedział, że w charyniakach budzi wstręt ich brud i nędzne siedziby, ale o tym, kim właściwie są, nikt nie chciał mówić.

Owszem, Kawarycz także nie przepadał za myciem, a gdy przez Charyń przechodziła stara Saszka, Erske zauważył, że za nos chwyta się również Elwira.

Jedynymi, których Erske w osadzie buraczarzy trochę znał i z którymi mógłby się dogadać, byli Waśka i Dima. Przetrzepał im skórę, bo na to zasłużyli, ale poza tym nawet tych chłopców lubił. Nie byli w połowie tak rozpieszczeni jak Sierioża i musieli co dzień porządnie się nauwijać. Ze wsi do osady i z powrotem biegali kilka razy dziennie.

Erske przeczuwał, że Hablundowi coś się przydarzyło i pozostała po nim wewnętrzna pustka. Jak wtedy, gdy ktoś zgrabnie wyciągnie ręką ptaszka z klatki, a solidna klątka zostanie jak odlew twarzy o dawno zapomnianym kształcie.

W końcu Erskego wygnali z Czewapiki sami buraczarze. Osada buraczarzy ma, tak samo jak Charyń, swoją nazwę. Słowo „czewapika” oznacza ducha tajgi, który napchał sobie brzuch burakami, ewentualnie czerwony płomień komunizmu – w zależności od tego, komu się to tłumaczyło. Jeżeli radzieckiemu kontrolerowi, który pomimo buraczanej mgły i ogólnie niesprzyjających okoliczności przypadkiem dotarł do osady, a od czasu do czasu takowi się trafiali, o duchu tajgi nikt w osadzie nic mu nie mówił. Dlatego Czewapika mogła tak długo istnieć. Sztuka uprawiania politykierstwa przynajmniej niektórym z buraczarzy była bardzo dobrze znana.

Erske gapił się na wszystko u buraczarzy tak długo, aż Pszeła straciła cierpliwość.

Początkowo bawiło ją, że Erske tak się wszystkim interesuje. Ze mruży oczy w czerwonej mgle, do której buraczarze są przyzwyczajeni, ale która obcych pali jak ocet z cebulą – można było pęknąć ze śmiechu. Kręcił się koło Waśki i Dimy i najpierw jakby w ogóle bał się do nich odezwać. Do chłopaków, których sprzął, ale teraz nagle nie był pewien, na co może sobie w stosunku do nich pozwolić. Ciągle coś zapisywał. Może odległość między poszczególnymi żerdziami w szałasach, ale Pszeła nie widziała, żeby coś mierzył krokami.

Czyżby miał takie dobre oko?

W każdym razie wkrótce zaczął tu wszystkich denerwować. Już nie patrzył, tylko węszył, a przecież kimkolwiek był, był przybyszem z Charynia. Pszeła mimo woli śmiała się cicho. Skakał na jednej nodze jak jaki kulawiec, kiedy cisnęła w niego pierwszym rondlem. Kręcił się w kółko jak pies z przywiązaną do ogona blaszanką, nie mógł pojąć, kto się na niego uwziął. Bo schowała się w szałasie. Pszeła, che, che, che! Podobałoby się jej, gdyby ją gonił, śmiałaby się. Ale błazny nie mają najmniejszego nawet poczucia humoru. A ten w dodatku zaczął się bać. To, że odchodził stąd tak bardzo przestraszony, obrzydziło go Pszele do tego stopnia, że miała ochotę jeszcze mu czymś przyłożyć na pożegnanie, lecz zanim znalazła toporek, Erske był już za daleko, żeby mogła go tam dorzucić. Miał strach w oczach, gdy cichcem zmykał. Splunęła. Facet, który kilka dni temu sprzął obu jej chłopców.

Powiedziała mu, że o Hablundzie wie. Jakżeby nie, skoro stara Josifowiczowa zadurzyła się w nim po uszy, a teraz żyje już tylko wspomnieniami, więc również wspomnieniem o nim. Gdyby Pszeła miała przeszło dziewięćdziesiąt lat, tak jak ona, też by go pamiętała. Pszeła jednak ma tylko troszkę ponad czterdzieści. Gdyby miała o pięćdziesiąt więcej, starczyłoby, żeby usiadł na worku z burakami i należycie formułował pytania. Gdyby na przykład Pszeła zaglądała do tej chałupy przez szybę wraz z innymi kobietami i widziała, co stało się w środku. Gdyby udało się jej wcisnąć tam między tymi łokciami. Bo Pszeła nie dałaby się odepchnąć.

Zobaczy się, jak nadejdzie zima – powiedziała Elwira, gdy Erske był już z powrotem u niej i o coś pytał.

Tutaj jest taki zwyczaj z tą zimą. Nie robi się niczego, co mogłoby być zrobione w zimie – myśli Erske. – W zimie też nic nie robią, ponieważ będzie zima, a od wiosny zaczynają przygotowania do następnej.

– Wszystko, na co tutejsze prezydium się zdobędzie, to odkurzanie pomnika bohaterów i pomalowanie na nowo stacji – odpalił. – Ta stacja nie stanęłaby tam oczywiście, gdyby nie owa grupka skazanych na dożywocie, którym w latach pięćdziesiątych tak dzielnie przynosiliście zgniłą marchew, kiedy klawisze nie patrzyli.

To już powiedział na głos. Przestał nad sobą panować i wypomniał Elwirze wszystko, od gąbczastego chleba po tonące w błocie drogi i alkoholizm. Krzyczał.

W Charyniu sprawy nie układały się tak, jak sobie wyobrażał. Wprawdzie zaraz pierwszego dnia dzięki tej urzędniczce z poczty poznał jedną rodzinę w komplecie, ale od tego czasu upłynęły już ponad trzy miesiące, a wiele dalej się nie posunął. Nie chciał ich tu przestraszyć, postanowił więc nie wypytywać i poczekać, jak się sprawy potoczą. Wiedział z doświadczenia, że ludzie po pewnym czasie zaczną otwierać się sami. Zwierzą mu się nawet z tego, czego nigdy by się nie dowiedział, gdyby spytał ich wprost. W Charyniu jednak ta zasada zdawała się nie obowiązywać. Myślał, że wypije z Kawaryczem kilka butelek wódki i już będzie wiedział o nim wszystko. A tymczasem ten milczek nie potrafił nawet pożyczyć od kogoś samochodu, żeby mu tutaj coś pokazać. Erske miał wrażenie, że Kawaryczowie zamiast być jego tutejszymi przewodnikami, starają się – przeciwnie – jak najwięcej czasu trzymać go w domu. Tamara zaczęła nawet wymyślać dla niego zadania. Byle tylko przez cały dzień nie wyszedł za płot. Narąbać drewno, upleść sitko, zalać asfaltem dziurę w papie na dachu. Chciała także, żeby razem z nią oglądał te durne rosyjskie seriale. Niby żeby poćwiczył się w rosyjskim, ale on w to nie wierzy. Chce go trzymać pod kluczem. Dla nich Erske jest tylko szpiclem. I Elwirę, z którą układało mu się najlepiej, właśnie teraz na długo tym swoim krzykiem rozgniewał. Wybrał się do sklepu Myszkinej, żeby kupić tam coś dla Elwiry. O kilka chałup przed sklepem przyszło mu na myśl, że będzie zamknięte. Słońce chyliło się za horyzont, a Myszkina zamykała o ósmej. Mimo to wydawało mu się, że w sklepie pali się światło. Czasem układały jeszcze z Oleśką towary i gdyby było tak również dziś, miał nadzieję, że go obsłużą. Asortyment był wprawdzie nie najlepszej jakości, ale kupić można tam było mniej więcej wszystko. Oprócz paru podstawowych produktów spożywczych, konserw rybnych, mrożonych warzyw i polskich kompotów Myszkina miała tam jeszcze półkę słodyczy, czasem też zbyt drogie banany i pomarańcze, których nikt nie kupował. Prostopadle do regałów z żywnością stały półki z artykułami drogowymi i papierniczymi. Mydła, proszki do prania, podpaski, szampony i zeszyty, długopisy i bateryjki. Kiedy Myszkina była w dobrym humorze, nazywała swój sklepik domem towarowym. Bardziej dla własnego samopoczucia niż z powodu wielkiego popytu zawsze miewała także coś z konfekcji. Męskie slipy, skarpetki, dwa, trzy lśniące gumowe płaszcze. Jeżeli jednak charyniacy rzeczywiście potrzebowali czegoś z odzieży, jeździli do Pstrug, gdzie co sobota był targ, na którym można było dostać wszystko.

Erske zastanawiał się, czym sprawiłby Elwirze radość. Stara Kawaryczowa była łąsa na wszystko. Każda nowa rzecz zawsze poprawiała jej humor, nawet jeśli to był, jak zwykł mawiać Kawarycz, rupieć, czyli grat do niczego nieprzydatny. Za każdym razem, gdy ktoś jechał do Pstrug i pytał go, czy nie chciałby się z nim zabrać, burczał, że niczego mu nie brak. Elwira lubiła prezenty, ale była wybredna. Gdy pierwszego wieczoru Erske wszystkim odsypał po garści cukierków, przed kompletną kompromitacją uchroniło go jedynie to, że były z Danii.

Kawarycz był człowiekiem praktycznym, Erske dał mu więc swoje ciepłe skarpety. Tamarze fotografię Kopenhagi, do której dokupił w Pstrugach złotą ramkę, a Elwirze chustkę, wypróbowany prezent dla kobiet, które darzy się szacunkiem, lecz niczym ponadto. Chustkę wzięła z podziękowaniem, ale Erske nie przypomina sobie, by ją kiedyś w niej widział.

Stanowczo zdecydowany kupić Elwirze coś pięknego, Erske otworzył drzwi sklepu. Najpierw cienkie blaszane wahadłowe, następnie drewniane na sprężynę, potem należało odgarnąć kotarę przeciw muchom i dopiero wtedy było się w środku. Stała tam Elwira, oparta obu rękami o ladę, pochylona, jakby ją bolał żołądek, i płakała. Płakała tak, że na ladzie trzęsły się puste szklanki, podczas gdy Myszkina, odwrócona do niej plecami, ustawiała towary i pocmokiwała na nią jak na małe dziecko.

Erske minął kotarę przeciw muchom i nie mógł ruszyć się ani tam, ani z powrotem.

– Jak nie przyjedzie, to nie przyjedzie. Jego strata, nie twoja – mamrotała Myszkina, układając torebki kawy tak, by jedna zawsze zachodziła rogiem za następną, jak to widziała na plakatach reklamowych.

Całkiem tak samo pocieszały się przyjaciółki mojej matki – pomyślał Erske. Chętnie pogłaskałby Elwirę po włosach, ale nie wiedział, czy to wypada, a przy tym nie miał pojęcia, co się właściwie stało. Choć spędził wiele godzin na poczcie, rozmawiając z Elwirą, o pewnych rzeczach ze sobą nie mówili.

– Wynoś się, Erske – powiedziała Elwira, nie odwracając się do niego.

Erske wycofał się za kotarę i wyszedł.

Wiadomości o różnych błahostkach rezerwował przeważnie dla matki, a gdy już zebrało się ich więcej, wszystkie naraz przekazywał jej przez telefon. Matka Erskego, Lili, nabrała podejrzania, że jej syna łączy coś z tą Elwirą. Tak często przecież o niej mówił. Właściwie może nawet za często. Gdyby chodziło o jego dziewczynę, byłby ostrożniejszy. Osobiście nic by przeciw temu nie miała. Erske był już w tym wieku, że mógłby się poważnie zaangażować. A Lili nie miała przesądów. Dziewczyna skądś z Syberii mogła być dla jej syna równie dobrą żoną jak Dunka, Norweżka czy Francuzka. Z pewnością doceniałaby to, że dzięki niemu może zobaczyć kawał świata i że będzie się jej żyć lepiej. Byłaby wierna i nie miałaby zbyt wielkich wymagań. Z pewnością nie przywykła do tego, by przed zimą wszystkie stroje modne w poprzednim sezonie wrzucać do kontenera Czerwonego Krzyża i zapełniać szafy od nowa. Lili zresztą wątpiła, czy tam w tym Charyniu w ogóle mają jakieś szafy. Z tego, co Erske opowiadał, wnioskowała, że raczej nie. Całe szczęście, że ma odwagę i dobre serce, że broni małego Sierioży przed tymi dwoma awanturnikami. Zerznął im skórę, co racja, to racja. Lili była zadowolona z Erskego. Nigdy nie wtrącała się w jego sprawy, zawsze był odpowiedzialny i od małego miał rozległe zainteresowania. Jeśli wziąć pod uwagę te regularne telefony, rozmawia z nim bodaj częściej, niż gdy razem mieszkali. O tym stuletnim człowieku, jak mówi, na razie niczego sensownego się nie dowiedział.

Gdy będę opowiadać matce o płaczu Elwiry – myśli Erske – Elwira będzie tam mogła obok mnie spokojnie pieczętować listy, nie mając pojęcia, o czym mówię. Niemówienie w tym samym języku czasami się przydaje.

Ale poczta już drugi dzień jest zamknięta. Elwira została w domu. Myszkina także czasami nie otwiera. Co prawda, sklep jest jej, a poczta nie jest Elwiry, ale większość ludzi

tak nie uważa – i Elwira tak samo. Panią samej siebie nie jest przecież w mniejszym stopniu niż Myszkińska za swoją piramidą z konserw. Gdybym już wczoraj postanowiła nie iść dzisiaj do pracy – myśli Elwira – nie musiałabym może tyle tego Myszkińskiej opowiadać, podczas gdy ona i tak była zajęta tylko układaniem towaru na półkach. Ale czego się spodziewałam, niby co spodziewałam się od niej usłyszeć? „Popatrz na mnie, ja wyszłam na tym tak samo”? „Jesteśmy tu z Oleśką same we dwie i koniec końców mamy się całkiem dobrze”? Tyle tylko że Elwira nie jest Myszkińską i fakt, że Myszkińskiej może i wcale nie przeszkadza, że jest sama z Oleśką, ani trochę Elwirze nie pomoże. Bo brak jej Fiedy i nic na to nie poradzi.

Nie wiedziała, że *proownik* jest czymś w rodzaju marynarza. Ze swego chłopca tak prędko nie zobaczy. Kiedy przez tych kilka miesięcy jeździli razem w dzień i w nocy, było tego dla Elwiry za wiele. Wprawdzie przy kołysaniu wagonu dobrze się zasypia, ale po trzech tygodniach nieustannego kołysania człowiek dostaje morskiej choroby. „Choroba konduktorska” – nazywają to na kolei. Fiedia mówił, że uczyli się o tym w szkole, ale dopóki nie zaczął jeździć przez kilka zmian bez przerwy, nie wiedział, o czym mowa. To dlatego kolejarze na magistrali transsyberyjskiej często są chudzi jak charty lub przeciwnie, strasznie spasieni. Z powodu choroby konduktorskiej przestają jeść lub przeciwnie, przejadają się. Nie wiedzą, co robić z tym nowym *proownicim* żołądkiem, w którym ich nieustannie ssie. Na chorobę konduktorską cierpiała też Elwira, więc gdy przyszło zawiadomienie, że dostała tę posadę na poczcie, była zadowolona. I dlatego zasłużyła sobie na to, że Fiedia przy niej nie ma. Za karę. Nie tylko za to, że się jej spodobał Erske, ale też – że początkowo z tej ich rozłąki była nawet do pewnego stopnia zadowolona. Ukrywała to przed nim, ale człowiek tak spostrzegawczy jak Fiedia z pewnością musiał to sam zauważyć.

Po co wracasz do czegoś, co się stało pięć lat temu? – upominała Elwirę w swoim sklepie Myszkińska.

– Bo pierwszy raz Fiedia kazał długo na siebie czekać właśnie tych pięć lat temu, kiedy urodził się Sierioża. Osiem miesięcy się wtedy nie widzieliśmy.

– A potem Kawarycz niemal wyrzucił go z chałupy – dodała Myszkińska, nie odwracając się.

– Bo miał śmiałość wystąpić przeciw matce – odparła nieco urażonym tonem Elwira.

– Powiedział jej tylko to, co wreszcie powinna była usłyszeć.

Elwira nie miała już ochoty dłużej słuchać Myszkińskiej, pożegnała się z nią i wyszła. Żeby tylko w domu nie musiała z nikim rozmawiać. Na szczęście było już późno.

Nad Charyniem stały gwiazdy jak anioły ze złożonymi rękami, noc Elwirę uspokajała. Zawsze uważała, że noc kryje w sobie pewną mądrość. Może dlatego, że milczy, a uszy ceni sobie bardziej niż oczy. Jedyna charyńska latarnia, mrugająca nad stacyjnym peronem, nie mogła tu nic zmienić. Dlaczego go tu nie ma? Przecież się kochają, ona to wie. Elwira zastanawia się, co Myszkińska miała na myśli, wspominając o Fiedy i o matce. Że powiedział tylko to, co wreszcie powinna była usłyszeć... W każdej rodzinie coś się przecież przydarza. Dokąd to właściwie Izykił jechał? Buraczarze przecież kolejną prawie wcale nie jeżdżą. A tu właśnie jeden z nich jechał, no i masz ci los. Czyżby chodziło o to?

W sieni Elwira zrobiła po omacku długi krok, wysoko unosząc przy tym nogę, jak w tygodniach, kiedy sypiał tam Erske i nauczyła się go przekraczać. Od kilku dni już tam nie nocował, ale nie zdążyła się jeszcze do tego przyzwyczaić. Teraz spał w łóżku w głównej izbie. W ten sposób został, można powiedzieć, przyjęty do rodziny, może dlatego, że ich także znudziło to nieustanne nocne przechodzenie nad nim. Kawaryczowa chodzi w nocy do wychodka, Kawarycz po kolacji wychodzi czasami gdzieś na wódkę, a Elwira? Elwira najczęściej wraca wcześniej. Erske kilka razy na tydzień odwiedza ją na poczcie, ona parzy mu tam herbatę i potem wolnym krokiem idą razem do domu. Jakby był w Charyniu na wakacjach – myśli sobie niekiedy.

Matka zdradziła Elwirze, że rano, gdy ona jest już na poczcie, Erske często wynosi na podwórko krzesło, rozbiera się do majtek, naciera się cały kremem mającym chronić go przed słońcem i opala się tam u nich jak na Krymie. Od czasu gdy zaczął wносить swój wkład w utrzymanie domu, już tak bardzo im to nie przeszkadza, ale zawsze. Kiedy raz porządnie się razem upili (on chciał upić Elwirę, lecz to ona upiła jego), mówił coś o tym, że kogoś szuka. Elwira śmiała się i pytała, czy przypadkiem tym kimś nie jest jakaś przystojna kobieta. Może mu się podoba, ale kogoś tam w tej Danii ma. Może jest to ta „matka”, do której telefonuje. Kobieta, którą tak nazywa, choć jest to ta, z którą sypia. Brrr. Jakby piła, chociaż nie piła. Złożyła poduszkę na dwoje, lubi mieć głowę jak najwyżej. Ojciec pił, czuje to od niego. Mors, który obok niej nadyma się, wypuszcza z płuc powietrze i sapie. Jak mawia matka: Nie służy mu, że nie robi nic pożytecznego.

Jest rano, przed pocztą już czeka ktoś z paczką, a Elwira płacze w łóżku obok ojca, który sapie jak miech. Długo dusiła to w sobie, lecz dłużej już nie może. Na poczcie wysłuchuje głupich narzekania na nieustanny wzrost cen znaczków, w domu – stale niezadowolonej z czegoś matki, Sieriozę też rozpieściła, a tu do tego jeszcze ten Erske. Myślała, że będą przyjaciółmi. Nawet się jej podobał i, głupia gęś, miała nawet wyrzuty sumienia, że z jego powodu zapomniała o Fiedzi. Chciała Erskemu pomóc, żeby się o Charyniu dowiedział jak najwięcej, skoro go to, czort wie czemu, tak interesuje. Każdego tu tylko drażni. Ale mężczyźni chyba również w Danii są przygłupi. Dzisiaj Elwira nie chce go nawet widzieć. Tyle że Fiedzi to do niej nie przywoła.

Ty głupia – mówi sama do siebie. Użala się nad sobą, zamiast zawrócić Erskemu w głowie. Trochę się jej wydaje, że Fiedzia daje jej czekać, ponieważ karze ją za to, że o czymś takim w ogóle może pomyśleć. Erskega Fiedzia wprawdzie nigdy nie widział, ale w Pstrugach podobno ludzie sobie o nim opowiadają. I wszystkie wilki w okolicy ostrzą sobie na Erskega zęby, żeby w zimie schrupać go jak zająca. Chyba.

Sierioża przestał już o Fiedię pytać. Jak przyjedzie, będzie dla niego obcym człowiekiem i mały wybuchnie płaczem, kiedy rodzony ojciec weźmie go w ramiona.

Erske zastanawia się, jak mógłby pomóc Elwirze. Czasami antropolog musi własne badania odsunąć na plan dalszy, jeżeli na dodatek chce nazywać się istotą ludzką. Przerabiali to w Arhus na wykładach z etyki. Dylemat, czy podczas kłęski żywiołowej fotograf powinien naciskać spust migawki, czy pomagać poszkodowanym. Naciskaniem spustu migawki była wycieczka do Czewapiki. Jego praca. Pomagać poszkodowanym – to wyciągnąć Elwirę z łóżka i wymyślić dla niej jakiś program na dziś. I dać jej mydło „Lotos” – od tego trzeba zacząć. Powąchał swoje ręce. Pachniało przyjemnie, miał je od Myszkinej, prawie za darmo.

Fiedia

Są godziny, kiedy nic się nie dzieje. Brzęczy mucha krążąca wokół lampy, powiewa w przeciagu zasłona, na polanie w tundrze pasie się cielak renifera. Bywają również takie dni. Słońce wschodzi i zachodzi jak na huśtawce, dni upływają posłusznie, między przebudzeniem a nocnym snem rozciąga się dywan zielonej murawy, a na nim jedna jedyna ścieżka naprzód. Zdarza się nawet parę takich lat, z drobnymi, przelotnymi deszczami. Po pewnym czasie lata te nazywa się szczęśliwymi. Wtedy gdy nagle ma się wszystkiego wyżej uszu i jedna sprawa goni drugą. Ścieżka naprzód pełna jest przewróconych pni, ze stromizny toczą się na dół głązy i człowiek nie ma chwili spokoju.

Fiedię doprowadzało to do wściekłości. Nigdy nie wierzył, że mogłoby mu się przydarzyć coś tak wspaniałego jak miłość dobrej kobiety i potomstwo, a gdy tylko się okazało, że jest to osiągalne, bieg wydarzeń złapał go i rzucił daleko od nich.

Początkowo nic tego nie zapowiadało. Rozstali się z Elwirą czule, chociaż trochę smutnie, bo wiedzieli, że to na długo, ale żadne z ich nie miało najmniejszych wątpliwości, że nie na dłużej niż dwa, trzy miesiące.

Elwira pojechała do Charynia, by pracować na poczcie i urodzić Sieriożę, i zostawiła Fiedię samego, jedynie z kołysaniem, chorobą konduktorską i tajgą za oknami, wiernie towarzyszącą pociągowi podczas każdego dyżuru.

Przedtem cieszył się, że pasażerom nic nie brakuje, a on ma w swojej ciupce chwilę dla siebie, ale teraz tęsknota, której nie mógł zagłuszyć pracą, zaprawiała mu każdą wolną chwilę goryczą.

Toteż przez kilka miesięcy po tym, gdy Elwira wróciła do Charynia, jego wagon był przykładem podróży pierwszej klasą w cenie trzeciej. Linoleum w przejściu między łózkami miejscówkowego pociągu było tak czyste jak w innych wagonach rozkładane stoliki, a kto lubił pewną przesadę, powiedziałaby, że w wagonie Fiedi można by jeść z podłogi.

Sam potem nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego tak odwlekał wizytę u Elwiry w Charyniu. Prawdą jest, że właśnie w tym czasie kilku *przewodników* złożyło wypowiedzenie i wzięcie wolnych dni przez któregokolwiek z pozostałych za każdym razem wiązało się, jak wiedział od kolegów, z przewlekłymi pertraktacjami, pisaniem podań i wędrówką we własnym czasie wolnym po urzędach w Moskwie, Władywostoku czy Irkucku. Nic dziwnego więc, że strudzony dyżurami *przewodnik*, mając przed sobą perspektywę dwóch dni wolnych, zanim znów będzie musiał tłuc się z powrotem, przed podjęciem odpowiednich starań powinien dobrze się zastanowić. Taka myśl przyświecała także autorom tych zarządzeń, ale w końcu jeszcze jakoś by to uszło. Zażenowanie odczuwane przez Fiedię w związku z koniecznością odwiedzenia Elwiry można częściowo wytłumaczyć tym, że nigdy jeszcze nie był nigdzie z wizytą tak poważną, u rodziny, która miała się stać także jego rodziną, i napęniało go to strachem. Poza tym są przecież na zawsze razem, niezależnie od jakichś wizyt. Za Elwirą gotów był skoczyć w ogień, a kto sądzi, że w czasie ich rozłąki był zazdrosny lub myślał o innej, ten zna Fiedię naprawdę bardzo słabo.

I tak mijały tygodnie, a on wizytę w Charyniu wciąż odkładał na później. Chyba także dlatego, że bał się Kawarycza, sądząc po tym, co mówiła Elwira, przysadzistego zrzędy, który z pewnością bez ogródek, jako teść zięciowi, wygarnie mu, co o nim myśli, jak to takie osiłki mają w zwyczaju. Ze szczególnie odważny to Fiedia nie jest? Tego, że był śmiały i niemal na każdej zmianie sędziował podczas jakiejś bijatyki, nie było po nim widać. Z pewnością jadąc

z pierwszą wizytą, winien przywieźć także prezenty, a kiedy zdecydował się już pojechać, nic z tego, co widział we Władywostoku, nie wydało mu się dość dobre. Zamiast tego pojechał do ojca, do Worynia i może nawet myślał, że w Charyniu zjawi się zaraz potem, chyba tak, ale nie pokazał się tam niemal przez cały następny rok, gdyż katastrofa goniła katastrofę.

Ojca zastał w domu, śpiącego z głową na blacie stołu, chociaż było południe i dawno powinien siedzieć w bibliotece. Tymczasem on wziął sobie wolne, a była to jedyna rzecz, którą był w stanie zrobić, i czekał w kuchni na Fiedię, by ten załatwił resztę. Kobieta, która troszczyła się o Olega Abramowicza, gdy w dzieciństwieomal nie stracił nogi i ręki, ta, co na wózku inwalidzkim wywoziła go na podwórko podczas blokady Leningradu, ta, której syn uciekł przed nią na Syberię, jego matka, a babcia Fiedi, w tych dniach po raz ostatni poszła w Petersburgu do fotografa i w kilka godzin później umarła. Najstarsza kobieta, jaką Fiedia znał. Mimo że tyle lat poświęciła opiece nad synem, Fiedia nigdy nie słyszał, by ojciec powiedział o babci coś dobrego. A teraz już jej nie było i nawet gdyby ojciec nie wiem jak chciał, już nigdy nie będzie jej mógł powiedzieć, dlaczego tak źle o niej myślał – skonstatował Fiedia, pocieszając ojca, który nie dał się mu pogłaskać i gromkim głosem wyliczał, co należy załatwić.

W przypadku śmierci członka rodziny na kolei łatwiej było o urlop, toteż Fiedia, nie opuszczając Worynia, w dwa dni załatwił go sobie telefonicznie.

Następnego dnia jechał już przez Moskwę do Petersburga tą liczącą sobie przeszło dziewięć tysięcy kilometrów linią syberyjską, po tym czasie jako zwykły pasażer. U babci Nastazji gościł zaledwie trzy razy, gdy był dzieckiem. Matki Fiedi Nastazja nie widziała, do Worynia ojciec jej nie zaprosił i już wtedy, wysyłany przez niego do babci do Leningradu, Fiedia domyślał się, że ojciec zrobił to tylko dlatego, że chciał przez te dwa miesiące być sam z jego nauczycielką, Filą Miedosjewą. Pamiętał tylko, a i to mętnie, ciemne mieszkanie babci nad Kanałem Gribojedowa, mieszkanie pełne kurzu i antyków, ale może tylko tak mu się wydawało, bo w domu, w Woryniu, w owym czasie nie mieli nic, a to, co mieli, stało na półce w blaszanych pudełkach po gwoździach i opakowaniach po sucharach.

Do Petersburga Fiedia pojechał bez bagażu. Tylko z adresem Nastazji i telegramem o jej śmierci w przezroczystej koszulce w górnej kieszeni bluzy; kilkakrotnie sprawdzał, czy wciąż jeszcze to tam ma, telegram wysłała do ojca babcina dozorczyńni, innych krewnych poza Olegiem i Fiedią Nastazja nie miała.

Chociaż władywostocki *dieduszka* zawsze witał swego wnuka okrzykiem: „Ho, ho, wieśniacy przyjechali!”, wielkie miasta Fiedia znał jako końcowe stacje swojej stałej trasy, poza tym cztery lata uczył się w Irkucku, więc i Petersburg go nie przerażał. Z Worynia do mieszkania nad Kanałem Gribojedowa jechał jak tunelem. Niemal przez cały czas podróży spał, a w Petersburgu tylko dwa razy spytał kogoś o drogę. Ponieważ dozorczyńni akurat w stróżówce me było, nie pozostawało nic innego niż sięść przed domem na schodach i czekać.

Przez głowę przelatywały mu myśli, jak by to było, gdyby mieszkał tutaj z Elwirą, i co ona by powiedziała, gdyby wiedziała, że on jest teraz tutaj. Gdy z Worynia załatwił sobie urlop, próbował zadzwonić również do niej na pocztę, ale tam ciągle było zajęte. Spodziewał się, że dozorczyńni będzie grubą i opryskliwą babą, lecz była to dziewczyna kilka lat młodsza od niego; wdał się z nią w rozmowę przed domem, nie wiedząc, że to właśnie na nią cały czas tu czekał.

Mieszkanie było jeszcze trochę ciemniejsze, niż zapamiętał. Może przez tę lipę na podwórzu, która zdążyła wyrosnąć i pchała się gałęziami w okno. Wskutek tego nie można go było nawet otworzyć. Może stąd ten zapach stęchlizny, bezruch całego tego pokoju, z którego w ostatnim dziesięcioleciu starsza pani zdaniem dziewczyny w ogóle nie wychodziła. Dozorczyńni dała mu klucze i spytała, czy może być z nim szczerza. Kiedy odparł, że tak, powiedziała:

– Za przeproszeniem, wcale się panu nie dziwię, że pan do niej nie jeździł. Ja przez

ostatnich pięć lat przychodziłam do niej co dwa tygodnie sprzątać i całkiem mi to wystarczało.

Po chwili milczenia dodała, że to wszystko, co mu chciała przekazać. Zamilkła po raz drugi, nim zapytała:

– A co będzie z tym mieszkaniem?

Głupi był, że przedtem o tym nie pomyślał. A dziewczyna śmiała się i mówiła, że jest najzabawniejszym chłopakiem, jakiego w ostatnich stu latach udało się jej spotkać.

Myślał, że coś jej od Nastazji kapnie, ale nie kapnęło. Tylko mnóstwo tego wszystkiego, niektórych szuflad nie dawało się nawet domknąć. Sortował rzeczy babci na kupki, co z nimi zrobi, to się zobaczy, i rosła w nim radość, że mają mieszkanie w Petersburgu. Mieć mieszkanie w Petersburgu! Jak to pięknie brzmi! Brzmi chyba lepiej, niż wygląda – powtarzał sobie Fiedia, przedzierając się przez ciemny pokoik. Przez cały czas podświadomie szukał jakichś fotografii i w końcu je znalazł. Upozowane zdjęcia babci, zrobione w różnych zakładach fotograficznych. Zawsze elegancko ubrana na tle namalowanego lasu, panoramy jakiegoś arabskiego miasta, na tej fotografii była w turbanie, tu przed narysowanym Wersalem, ze sztuczną gałązką oliwną w ręku i owinięta w prześcieradło, najczęściej jednak w strojach ludowych różnych radzieckich narodów. Jako Kirgizka, Azerka, Ormianka, Kazaszka, Gruzinka lub jako prosta kołchoźnica od krów. Takich fotografii miała tam setki, musiała się fotografować co miesiąc. Zawsze jedynie ona sama i zawsze w jakiejś pomysłowej aranżacji. Odkrył też parę zdjęć, na których był on jako malutkie dziecko, Nastazji po kryjomu przysyłała je chyba do Leningradu jeszcze jego matka. Miała tam nawet jedną fotografię całej rodziny. Matka była na niej w luźnej letniej beżowej sukience we wzorek i boso, ojciec robił wrażenie nieprzystępnego i trzymał w ręku fajkę, której nigdy nie palił, a Fiedia na matczynych kolanach ścisnął jakiegoś pajaca. Fiedia brakowało tam jednak głowy. Została wycięta i podklejona od spodu fotografią dziewczynki. Fiedia rozpoznał w niej dziewczynę, od której dostał klucze do mieszkania.

Całą drogę powrotną Fiedia przespał tak samo jak podróż do Petersburga, ale pocił się i przewracał z boku na bok, śniły mu się sny, których sobie nie życzył, ale nie mógł się z nich obudzić. Te dwa miesiące, gdy w Petersburgu biegał po urzędach i segregował rzeczy Nastazji, upłynęły mu jak w malignie. Do Elwiry udało mu się dodzwonić tylko raz i nie dziwota, że była na niego zła. Ma już syna!

Nazywa się Siergiej, jak Fiedia chciał, i podobno nos ma całkiem taki sam jak on. Jednakże w Charyniu nikt nie wierzy, że jego ojciec się do niego przyznaje. Gdy Fiedia wyobraził sobie, że z jego winy ktoś mógłby kpić sobie z Elwiry, poczuł, on, człowiek skądinąd łagodny, jak rośnie w nim coś z bestii gotowej rozdawać ciosy na lewo i prawo. Najgorsze było, że w głosie Elwiry również to wyczuwał. Nawet nie to, żeby mu nie wierzyła, ale że już nie cieszy się na niego tak jak przedtem. Nauczyła się żyć sama i widzi, że to możliwe; i Fiedia czuł jej gorycz. Inne kobiety w Charyniu zapewne też tak żyją i przytakują sobie nawzajem, a niech tych mężczyzn, te niezguły, diabli wezmą, przecież one o siebie zadbają same. Widział to w całej Rosji. Kobiety same dające sobie radę i mężczyzn, którzy objijają się i piją na u mór. Chętnie by coś rozdeptał. Z tej wściekłości, że w Charyniu może mają go za jednego z nich. Zamiast tego grzecznie poczekał dwie godziny na peronie petersburskiego dworca na spóźniony pociąg i jedzie teraz do domu, do Worynia osobowym, który nieznośnie często się zatrzymuje – cóż, kiedy w innym nie było już miejsca. Fiedia jest zrozpaczony, przewraca się na wąskiej kuszetce i ponownie zapada w sen. Śni mu się Nastazja, jak się szykuje, by ogromnymi nożycami uciąć mu głowę, bo jego ojciec jej nie kocha, a ta dziewczyna chodzi do niej przynajmniej sprzątać.

Kiedy pociąg zbliża się do Worynia, Fiedia jednak myśli już tylko o Elwirze, o niczym innym. Jak tylko przyjedzie do domu, zadzwoni do niej i natychmiast się z nią umówi. Ona

powie mu, kiedy ma przyjechać, a on zrobi jej niespodziankę i przyjedzie kilka dni wcześniej. Szefowie niech sobie myślą, że jest w Petersburgu, byłoby dziwnym przypadkiem, gdyby się dowiedzieli, jak jest z tym naprawdę. A zresztą, gdyby nawet. Co jest dla niego na pierwszym miejscu? No co?

Ale wtedy Fiedia nie wiedział jeszcze, co tymczasem zdarzyło się w Woryniu. Nie bez racji mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. Jakby swoje szczęśliwe czasy Fiedia już wykorzystał podczas tych kilku miesięcy, gdyż Elwirą krążyli tam i z powrotem po magistrali transsyberyjskiej, a teraz wszystko jakby zmówiło się przeciw niemu.

Umarła Fila Miedosjewa. Kiedy był w Petersburgu, użądliła ją chora pszczoła. Wyganiała przed obiadem muchy przez kuchenne okno, gdy nagle do mieszkania wleciała pszczoła. W ciągu dwóch godzin Fila spuchła jak bania i gdy Oleg Abramowicz wrócił z lekarzem, było już po niej. Fiedia nigdy nie przestał myśleć, że Fila mogłaby być jego drugą matką, gdyby przestali się z ojcem wstydzic i powiedzieli mu o tym, co on od dawna czuł i o czym wszyscy szeptali. Ale tak się nie stało. Fila nauczyła go pisać, czytać i rachować, na jej lekcjach nauczył się – z wyjątkiem zawodu *przewodnika* – wszystkiego, co umiał.

Oleg Abramowicz przedłużył sobie urlop, który wziął z powodu śmierci Nastazji. Śmiercią swej matki nie chciał się zajmować, by uniknąć podróży i kłopotów z urzędami; na to, by organizować pogrzeb Fili, nie miał siły. Od dnia jej zgonu znów zaczął się uskarżać na ranę odniesioną w młodości, na nogę, o której trzydzieści lat nie wspominał, a bibliotekę wielokrotnie obiecywał znów otworzyć „w następny poniedziałek”. W końcu do pracy przy książkach przyjęty został – jak mówił – „taki gołowąs”. Oleg Abramowicz powłóczył niesprawną nogą, chodził tam, by skontrolować gołowąsa, póki sobie nie uświadomił, że w bibliotece wcale go nie potrzebują.

Pogrzeb Fili ostatecznie pod kierunkiem Fiedi zorganizowali jej byli uczniowie. Jemu samemu już drugi raz w ciągu tych trzech miesięcy przyszło zajmować się rzeczami pozostałymi po nieboszczce. Fila przechowywała rysunki swych ulubionych uczniów, zeszyty z wzorową kaligrafią, "wypracowania tych kilku z Worynia, którzy dostali się na *wyższe* uczelnie, przedmioty skonfiskowane podczas lekcji. Fiedia wszystko to powyrzucał. Następna szuflada pełna była korespondencji. Obok banalnych widokówek Fiedia znalazł tam również stosik nieotwartych listów w kopertach zaadresowanych smukłym, eleganckim pismem. Po chwili wahania dorzucił to wszystko do pozostałych rupiec.

Razem z innymi uczniami Fili Fiedia złożył się na trzy metry jednego z tańszych gatunków białego płótna i wspólnie owinęli w nie nauczycielkę; dzień leżała w rogu swojej sypialni, a potem, tak samo jak Welor z Hablundem ojca idiotki, Fiedia i Oleg wzięli ją na ramiona i wynieśli za Woryń. Na miejscu wiecznie otoczonym przez ludożercze ptaki położyli ją obok innych białych opakowań. Oleg nie mógł inaczej, na pierwszą noc został tam przy niej.

W miejscu między czterema drzewami, z którego rozciągał się widok na całą wieś, całą noc walczył Oleg z ptakami, mimo że bardzo dobrze wiedział, że zgodnie z miejscowymi zwyczajami nie wolno mu tego robić. Ale miał to gdzieś. Do diaska, w końcu był z Leningradu, naprawdę nigdy nie chciał znaleźć się tutaj i nie dopuścił tej nocy, żeby choć jeden ptak zagłębił szpony w ciało Fili.

Wyjazd do Elwiry Fiedia odłożył po raz drugi. Czy może już trzeci? Głos mu drżał, kiedy usłyszawszy Elwirę, na drugim końcu kabla chłodnym, urzędowym tonem podającą na powitanie numer charyńskiej poczty, znów musiał prosić ją o wybaczenie. W słuchawce dał się słyszeć suchy trzask. Elwira zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Źle jest – pomyślał Fiedia. Lecz ona wysłuchała jego przeprosin i zdawało się, że rozumie. Sama zachęcała go potem, żeby powiedział jej coś więcej o Fili, więc się rozgadał. Opowiedział, jak pierwszego dnia przyszedł do szkoły bez ołówka, ale Fila nie gniewała się, ponieważ on jeden

nie miał mamy, wyglądało więc na to, że w domu nikt się nim nie zajmuje. Wybaczała mu mnóstwo rzeczy. Początkowo. Brak pracy domowej, brudne ręce... Przez pierwsze dwa lata był jej pupilkiem, ale kiedy zaczął odwiedzać ją jego ojciec, nagle zrobiła się surowsza. Największy wstyd? Siedzenie w jednej ławce ze śmierzącym Waską. Musiał przesiąść się do niego tylko za to, że na geometrii niechcący złamał linijkę.

– Myślała, że coś zmyślam, kiedy mówiłem prawdę. Gdy ją przeproszałem, że nie zdążyłem się nauczyć wierszyka Puszkina, bo ojciec cały wieczór czytał mi na głos coś innego.

Później Fila już Fiedia wierzyła. Później już się z tego śmiała. A gdy był w Irkucku w szkole kolejowej, pisała mu, co nowego zdarzyło się w Woryniu, ale o ojcu nigdy. Zawsze tylko dokładała swój list do jego paczki, jakby przypadkiem korzystała z okazji. Wszystko to pozostało jedynie między nimi.

– Spytaj go o to, słyszysz? Obiecuj mi, że spytasz o to ojca – Elwira na to. – Interesuje mnie to. Zrób to dla mnie.

Mówiła i namawiała, i Fiedia cieszył się, że tak długo może słuchać jej głosu. Zupełnie mu to wystarczało. Samo to, że stojąc na drugim końcu kabła, słucha jej, jak się do czegoś tak zapaliła. Nie zgadzał się z nią, tylko po to, by jej jeszcze przez chwilę słuchać, jak żarliwie go przekonuje, a następnie przytakiwał, by zrobić jej przyjemność. Umówili się na dzień i godzinę, kiedy będzie czekać na niego na dworcu w Charyniu. Fiedia znał już numer pociągu oraz wagon i gdy rozmowa dobiegła końca, czuł się lekko jak obłoczek na niebie.

Oleg Abramowicz wiedział o Elwirze od syna od samego początku. Najbardziej się obawiał, żeby nie przynieść Fiedie wstydu. Obiecywał mu, że zanim przyjadą do niego do Worynia, kupi sobie na te okazję nową koszulę i da do naprawy buty, i pytał, czy Elwira lubi czytać. Odpowiedź Fiedie spodobała mu się. Od razu zaczął się cieszyć, że pozna młodą kobietę, no i wnuka, ma się rozumieć – później, gdy będzie można sensownie z nim porozmawiać.

Wreszcie Fiedia doczekał się dnia wyjazdu. Nie chciał opuszczać ojca, ale nie było rady. Oszklił mu jeszcze okno w kuchni, zalepione od czasu, kiedy szybę wybiły piłką dzieci sąsiadów, pomalował płótek przed mieszkaniem, wyprał zasłony i wystarał się o jakieś nasiona, żeby ojciec mógł sobie posadzić kwiaty. Nie powiedział tego, ale wszystko, co przedtem robiła Fila, teraz ojciec powinien robić sam, bo inaczej zarośnie brudem przed ekranem telewizora lub nad książkami, co na jedno wychodzi.

Kiedy pytał ojca, co będzie robić, ten machnął ręką.

– Dam buty do naprawy – odpowiedział i zamiast go objąć, uściśnął mu tylko rękę, jakby Fiedia nie wyjeżdżał z Worynia, tylko szedł coś załatwić, i nie był jego synem, tylko jakimś dalekim znajomym.

O ile całą podróż do Petersburga, jak i z powrotem Fiedia przespał, to z Worynia do Charynia jechał jak na szpilkach. Dla Kawarycza miał papierośnicę. Nie wiedział, czy pali, zapomniał spytać o to Elwirę, lecz ta papierośnica była pięknym przedmiotem sama w sobie. Z błyszczącego czarnego kamienia, gładka, poręczna i przy otwieraniu zawsze robiła takie ładne „klap”. To „klap” ostatecznie przekonało Fiedię, żeby ją wziąć. Dla Tamary miał jasnyniebieskie pantofle wyszywane srebrną nicią. Rozmiaru nogi pani Kawaryczowej nie znał, kupił takie same, jakie kupiłby dla Elwiry, w przypadku pantofli centymetr mniej czy więcej nie gra roli. Dla Elwiry wiózł siebie i na dodatek zapinkę do włosów, lusterko, grzebień i saszetkę, taki komplet produkcji chińskiej, zestaw rosyjski nie był taki ładny i kosztował dwa razy tyle. O Sierioży omal nie zapomniał. Ostatecznie dla niego też coś kupił. Jakiś drobiazg, bo pieniądze mu się kończyły.

A potem siedział w pociągu, nie mógł się doczekać, a zarazem miał tremę. Rozmów z pasażerami miał po uszy w swej pracy, ale teraz chciał zapomnieć o własnym niepokoju, więc wdawał się w rozmowę z każdym.

Mężczyzna, który Fiedię zaciekał, gdy tylko wszedł, był stary i nieładny. Cerę miał ciemniejszą niż pozostali, a ręce pomarszczone, jakby chował pod skórą zmiętą gazetę; nie mógł być wiele młodszy od babci Nastazji. Podczas kiedy inni podróżni, gdy tylko znaleźli swoje miejsca, zaraz zaczynali wyjmować coś z walizek, wstawali i znów siadali, a gdy brali się do rozwiązywania krzyżówek, zawsze zniechęcali się po dwóch, trzech wyrazach i znów zaczynali się wiercić, i jedli, i paplali, i otwierali okna – ten człowiek, kiedy usiadł, natychmiast zrosł się ze swoim miejscem i już się nie poruszył. Siedział naprzeciw Fiedzi, twarz miał jak z kory drzewa, włosy z filcu, a gdy położył żyłaste ręce na stoliku przed sobą, przykrył nimi cały niewielki jego blat.

Fiedia takich milczących pasażerów znał ze swoich dyżurów. Przychodzili, odsiadali te swoje paręset kilometrów i znikali. Tubylcy. Jako dziecko czytał o Indianach, nim ojciec mu powiedział, że jakieś plemię żyje zaledwie kilka kilometrów za wsią. Początkowo patrzył na niego pełen zachwytu, ale wnet pojął, że tych ludzi zna. Smagłych oberwańców, którzy zjawiali się czasem w sklepie – i przestało go to interesować. Również w Woryniu niektórzy mieli ciemniejszą skórę. Ale od dawna już mieszkali w domach i byli normalni. Niemal każdy w Woryniu oprócz niego samego i jego ojca miał jakichś autochtonów wśród swoich przodków, ale to się nie liczyło. Prawdziwi autochtoni mignęli tylko czasem gdzieś na obrzeżach wsi, albo i to nie. Niektórzy mieszkańcy Worynia straszili nimi swoje dzieci; było to coś, co Oleg Abramowicz uważał za obskurantyzm. Są przecież jedynie skamieniałą przeszłością człowieka radzieckiego. I Fiedia sądził tak samo. Nie było się nad czym zastanawiać. Niech sobie gdzieś tam żyją na swój sposób, z czasem i tak przeniosą się do domów. To piękne, że z pewnością lepiej niż ludzie w domach rozumieją przyrodę. Jego tajgę. To Fiedia umiał docenić.

Stary człowiek naprzeciw Fiedzi wyglądał przez okno. Tajga płynęła obok pociągu w różnych odcieniach zieleni z brązowymi i żółtymi plamami – zaczynała się jesień.

– Dokąd pan jedzie?

– Do Charynia, a pan?

Zaczął się to jak z każdym, lecz kiedy się skończyło, Fiedzi kręciło się w głowie. *Prowodnik* musiał go szturchnąć, że już jest na miejscu, inaczej całkiem zapomniaby wysiąść. Starzec zniknął. Fiedia zszedł chwiejnym krokiem ze schodków, a gdy ujrzał całą rodzinę Kawaryczów biegnącą do niego na peronie, pociemniało mu w oczach.

Nazywają mnie Izykił i wiem, co pan za jeden. Pan włóczy się z Elwirą Kawaryczów. Widziałem, jak we dwójkę sprzątacie wagon i zbieracie pościel. Słyszałem, że zerwaliście ze sobą – powiedział stary.

Fiedzi nic o tym nie mówiła. Włóczą się! Nie podobało mu się, jak mówił o Elwirze, a tymczasem tamten znów się odezwał. Zdziwiło go to.

– Czy był pan już w Charyniu?

A gdy Fiedia pokręcił głową, ten człowiek kiwnął swoją i rzekł:

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Coś panu powiem i z góry mówię, że z tym u Kawaryczów nic pan nie wskóra. I na tajgę, którą kocha pan tak jak ja, choć nic pan o niej nie wie, przysięgam, nic nie zmyślam.

Zmieszał ich z błotem. Rodzina starego Kawarycza to bolszewickie bękarty. Najgorsze z najgorszych, bo kolaborowali z postępowcami, którzy przynieśli elektryczność, i myśleli, że wszyscy będą się im z tego powodu kłaniać.

– Nazywał się Buro. Ojciec Kekego Kawarycza. Specjalnie niech pan zapyta starego Kawarycza, jak to jest, że otrzymał takie imię. Brzmi chyba tak samo z rosyjska jak moje. Będą opowiadali panu o tych swoich sławnych pionierach. Na pewno już pierwszego wieczoru będą chcieli zrobić na panu wrażenie. Jak to w siedemnastym roku ich przodkowie szli dwieście wiorst w kompletnej głuszy, z latarkami w jednej ręce, żeby nie potykać się o

korzenie, drugą trzymali za rączki dzieci i całkiem z niczego wytupali z ziemi miasto. Gołymi rękami, powiedzą panu, i miasto, jak sobie wmawiają. Powiadają, że jest tam pięknie. Nie, dostali to na mocy rozkazu, a nieposłuszeństwo oznaczałoby śmierć. Tak się odkrywało Syberię. Co prawda, entuzjastów też było między nimi sporo. Niestety. Wierzyli, że jak grzyby po deszczu wyrosną wzdłuż magistrali miasta. Tutaj zupełnie oszaleli. Rydle, łopaty, traktory, które słycać było na całe kilometry. Rozwój.

Fiedia nie był pewny, czy ma ochotę tego słuchać.

– Buro się nazywał. A wie pan, czemu panu to wszystko opowiadam? Bo to oznaczało nasz koniec.

O tym Fiedia wiedział coś niecoś ogólnikowo również od Fili Miedosjewej. O plemionach zniszczonych przez alkohol, który im Rosjanie dawali za skórki soboli. Jedną butelkę za pięć nieuszkodzonych futer. A potem ponoć także rozmaite choroby. Nie mieli antidotum. Przecież całkiem niedawno zaczęła się ochrona tego, co przetrwało. Tworzy się skanseny, z Moskwy przychodzą dotacje, podobno nawet jakieś z zagranicy. Ażeby chronić różnorodność. Ale co to ma wspólnego z Kawaryczami? Starzec potrzebuje się wygadać...

– Najsprytniejsi zaczęli się kurwić. A wie pan dlaczego? Bo życie Karów nie jest nic warte. My byliśmy przyzwyczajeni łowić fok, a wodę przez dziewięć miesięcy uzyskiwać z roztopianego lodu, a potem nasi przodkowie ruszyli na południe i skończyliśmy tam, gdzie ileś lat później zaczęto układać tory. Szybę za szyną, podkłady, na które poszły wszystkie okoliczne drzewa. My im trochę ustąpiliśmy, czemu nie, byliśmy do tego przyzwyczajeni. Umieliśmy zwinąć osadę w pół dnia i po następnej połowie dnia być dwadzieścia wiorst stąd. Tyle hałasu. Zaczęli przybywać. Sklecieli coś z drewna, potem się to rozpadło, nie przeżyli zimy, wyginęli, ale zaraz potem przyszli następni. Podobały się im nasze kobiety. Ale co gorsza, oni podobali się im. Wysocy mężczyźni. Wysocy mężczyźni od zawsze podobają się kobietom, tylko że ci nie byli od nas. Niektórzy z tych nowych byli prześladowani, ale co nam do tego? Jednego złapałem. Dziesięć lat siedział w łagrze, a jak tylko go wypuścili, ukradł mi żonę. Przyłożyłem mu nóż do gardła, a on bajdurzył, że moja żona przywróciła mu sens życia. Te suki miały u nich jak u Pana Boga za piecem...

Buro... to było dopiero potem. Był tylko jednym z wielu, którzy się do nich przyłączyli. Zalali betonem kawał tajgi, zrobili tam lotnisko. Oczywiście beton zaraz popękał. Więc tak to zostawili. Zrobili kołchoz. Dali spokój, bo świniaki, co je tam przywieźli, nie przetrzymały zimy. W następnym roku ogrzewali im chlewnię. W tej chlewni razem z nimi przeczekala zimę cała wieś. Parzyli się tam między sobą, najbliższej jesieni urodzili się pierwsi debile. Ma pan synka, mówił pan... będzie z niego półdebel, zobaczy pan. Ponieważ Buro...

– Buro co?

– Mówię o nim, bo jeśli dobrze rozumiem, chce pan wejść do jego rodziny... właściwie nie wyróżniał się niczym prócz swoich szybkich nóg i umiejętności przystosowywania się. To tylko przykład, jeden z wielu. Karowie, nasze plemię, dostali w ten sposób to, na co sobie zasłużyli.

– Myślałem, że nie mieliście wielkiego wyboru.

– Nie mieliśmy. Gdyby nie było tego dekla, pokazałbym ci, gdzie tam w górze jest to zapisane – powiedział starzec, wskazując na sufit wagonu. – Jeszcze kiedy tam na północy polowaliśmy na fok i wyciągaliśmy z nor śnieżnobiałe lisięta, już było zapisane, jak skończymy. I szamani o tym wiedzieli.

– Ja szamanom nie wierzę. W Woryniu też jeden był. Pił i wyciągał z ludzi pieniądze.

– Pańskie poglądy w tej sprawie znaczą dla mnie o, tyle – powiedział starzec i pstryknął palcami. – Pewnie. Szarlatani byli i będą. Tylko teraz ludzie łatwiej się dają oszukać, gdy zupełnie nie rozumieją, czego się mogą spodziewać. Charyń był założony w roku 1917 i te pierwsze chałupy zostały poświęcone przez szamana. Szast-prast, odtańczył swoje i poszedł z powrotem do swoich, do nas, do Czewapiki. Jacyś mądrale myśleli, że Rosjanie i Karowie

będą żyć razem. Jedna chałupa tych, druga tych. I że Karowie będą słuchać i kształcić się.

– Ale wy nie chcieliście mieszkać w chałupach, tylko że my was do tego zmuszaliśmy.

– My... Kto wie, kim jesteś. Sam nie wiesz... Rosjanin, Tatar, Polak, Niemiec... Sowiet. Nie chodziło o przymus. Na bolszewickie szkolenia kichaliśmy, do szkoły także nikt dzieci nie chciał posyłać, ale mimo wszystko jakoś ich podziwialiśmy. To, co mieli, i tak dalej. Jak będziemy to mieć, damy im spokój – mówiło się. A oni dadzą spokój nam albo zobaczą. Myśleliśmy, że jesteśmy silni. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Bardzo długo w ogóle nie mogliśmy tego zrozumieć. Nie chcieliśmy mieszkać z nimi, a i tak w końcu z nimi mieszkaliśmy. Część wsi taka, część siaka. Nadal chodziliśmy na polowania i od nich kupowaliśmy baterijki do radia, i prowadziliśmy ich do tajgi tropić zwierzęta, oni strzelali do nich więcej niż my. A potem zwierzęta się skończyły i część naszych chciała wrócić do tajgi. Spalili domy. Ale część nie. Większość kobiet chciała zostać. Widziałem w telewizji program o mużłmankach. Są posłuszne swoim mężczyznom. Nasze kobiety zawsze robiły, co chciały. Gdyby nasze kobiety były mużłmankami, Karowie mogliby dziś coś znaczyć. Ciągnęło je do Sowietów, przynosiły wstyd nam wszystkim. Pewnego razu na przykład odeszło pięć sióstr. Chwyciły się za ręce, szły i szły, a we wsi już się nie trzymały, oni rozdzielili je między siebie. Nasi mężczyźni brali ich kobiety tylko przemocą. Czasami. Tylko gdy się Sowietka o to prosiła. Gruzinka, dajmy na to. Ich kobiety brzydziły się naszymi mężczyznami. No i nie mieliśmy radia. Potem mieliśmy, ale nie mieliśmy telewizji. Teraz mamy również ją. Ale czegoś zawsze nie mamy. Poza tym radzieckie kobiety słuchały radzieckich mężczyzn. Nie wolno im było iść do nas, i już, nie jak nasze kobiety, które robiły, co im strzeliło do głowy...

Buro był z tych, co wrócili do Charynia potem, gdy większość odeszła z powrotem do Czewapiki. Później miał także auto, więc udało mu się też znaleźć sobie rosyjską kobietę. Larysę. Nie mieszkali razem, ale Kekego Kawarycza zrobił jej on, to wiadomo. Keke to było imię ojca Bura, a Kawarycz nazwisko tej Larysy. Buro był dumny z tego, że ma Rosjankę. Potrafił przejść w tajdze nawet pięćdziesiąt kilometrów dziennie. Szedł, biegł, szedł, biegł. Nosił każdemu, kto mu zapłacił. Pracownikom leśnym, ścinającym drzewa dla kombinatu, nosił mąkę, ryż, worki kartofli. Myśliwym naboje, robotnikom kolejowym wódkę i cebulę. Wiedział, i to dokładnie, co gdzie Sowietci w lesie mają. Również gdzie są łagry, tam także nosił. Komendom łagrów coś lepszego do jedzenia. Naszych miał gdzieś. Przez śnieżne zasy nosił zapasy myśliwym, którzy wystrzelali ostatnie syberyjskie kuny. Dźwigał bochny chleba drwalom, którzy ścinali drzewa stanowiące siedziby naszych duchów. I duchy nas opuściły, bo już nie miały dokąd wrócić. Ich drzewa nagle znikły, więc odleciały... W czasach Bura w Charyniu zjadano ludzi.

Fiedia aż krzyknął.

– W zimie. Tych słabszych albo tych, co o tym nie wiedzieli. Kiedy już kończyły się zapasy żywności, nie ot tak sobie. Podobno ich to nawet tak bardzo nie bolało.

Fiedia pobiegł do ubikacji, a starzec znów wyglądał przez okno.

Tajga przez tę godzinę jakby znów trochę zżółkła. Już niedługo będą w Charyniu. Kiedy przyjdą pierwsze zimne wiatry, pociągi zaczną przejeżdżać bez zatrzymania. W zimie małe stacyjki są martwe. Przejeżdżający przez nie pociąg często zwalnia, ale nie zatrzymuje się, jedzie dalej...

Fiedia był przerażony. To kilkaset kilometrów od jego rodzinnego Worynia zjadano ludzi? Ale Izykił, gdy tylko Fiedia wrócił, podjął swą opowieść:

– Keke nigdy nie wiedział, gdzie należy. Buro przyszedł z nim parę razy do Czewapiki pochwalić się silnym chłopcem, którego urodziła mu Rosjanka, ale Keke z nikim się tam nie bawił.

– Skąd pan to wie?

Fiedia nie kupi od starca byle jakiej bujdy.

– Byłem tam. Pamiętam Kawarycza z czasów, gdy był o, taki – powiedział Izykił,

trzymając dłoń na wysokości blatu stolika. – Trzymał się ojca jak rzep psiego ogona. Bał się nas, ale wyglądał jak my. Zobaczysz. Potem Buro przestał brać go ze sobą, ale sam nadal przychodził. Miał nas gdzieś, a my jego, ale co jakiś czas się pokazywał, nie wytrzymał bez tego. Larysa nie przyszła nigdy. Mieszkała z chłopcem sama. Nie wyszła za Bura. Chyba nigdy nie przestała się go wstydzić. Dlatego musiał jej nadskakiwać. Kupował jej różne rzeczy, dla chłopca wciąż coś strugał. Kekego oboje rozpieszczali. Dlatego teraz jest takim zrzędą. Też zobaczysz. Nic przeciw niemu nie mam. Tylko że gdyby Buro nie musiał sobie udowadniać, że może mieć Rosjankę, a jeszcze lepiej, gdyby w ogóle nie wracał do Charynia, Keke wiedziałaby, kim jest.

Teraz stary Kawarycz już o tym zapomniał, niby tego nie wie, ale tylko udaje. Zauważ, jak mało przyjać ma w Charyniu... Nic do niego nie mam, a w końcu także do jego zasranej żony, w końcu do ciebie też nie, ale jak masz należeć do ich rodziny, to żebyś wiedział...

Zanim Fiedia się zdecydował, czy powinien podziękować starcowi, czy udawać, że słuchał tylko jednym uchem, stary Kar zaczął mówić dalej:

– Kawaryczowa także jest pół na pół. Bękarty zawsze jakoś na siebie trafią, choć w Kawaryczu mogła widzieć tylko kawał pięknego chłopca. Tamara Kawaryczowa jest córką doktora i dziewczuchy z Czewapiki. Doktora Welora Josifowicza przysłali do Charynia za karę, za jakąś politykę, tę dziewczynę upatrzył sobie niedługo po przyjeździe. Lub ona jego. Podobno chodziła za nim jak cielę za krową. Raz tylko zostawił drzwi otwarte i już miał ją w chałupie na stałe. Wkrótce urodziła się im Tamara, owoc wybryku, jak ją podobno w Charyniu nazywano. Nam w Czewapice mówiła o tym jej matka, ta dziewczyna, którą Welor sobie wybrał. Przychodziła do nas tak samo jak Buro z Kekem, tyle że sama jedna. Wtedy wiedzieliśmy o wszystkim, co się działo w Charyniu, nic nie zostawiała dla siebie.

– Jak się nazywała?

– Nikt w Charyniu nie mówi o niej inaczej niż jako o idiotce.

– Dlaczego?

Starzec machnął tylko ręką.

– O, tak trzymałem Tamarę za włosy, kiedy weszła mi do szalasu, a ja leżałem tam z Berylą. Tamara była zwinna jak jaszczurka, a przy tym także ładna. W Czewapice myślało się o niej, ale skoro kobieta była jedną nogą u Sowietów, mężczyzny od nas sobie nie wybrała. A tymczasem wszystko szło ku gorszemu. We wsi im dalej, tym bardziej zaczęli nas oczerniać. Już wiedzieli, że nigdy nie będziemy tacy jak oni, już wiedzieli, że nawet nie spoglądamy na nich tak jak na początku, tylko nasze kobiety... Niektórzy już wiedzieli także, ile się tego napsuło. Ze kołchoz wypuszcza nieczystości do potoku i potem nasze niemowlęta umierają na biegunkę. Wszystkie te sprawy, o których mówić zaczęło się później. Wywozili gnój na nasze święte miejsca. Ten smród także nie służył naszym duchom. W dodatku niektórzy Karowie przestali w nie wierzyć. Zagubiliśmy się, jako plemię zapadaliśmy się w coś. Wstydziliśmy się przed naszymi własnymi przodkami, przed sobą oraz przed Sowietami, a jednocześnie chełpiliśmy się jak nigdy przedtem. Przywozili do nas szmelc, to, czego w Charyniu nie potrzebowali, a my dawaliśmy im za to łapcie, które wyplatają nasze kobiety, czarne jagody, futerka ostatnich kun, wszystko. Była to choroba. Nie wiedzieliśmy tego. W całej tajdze wokół nas wybieraliśmy brusznice – poszły za pierwsze telewizory. Z lasu zniknęły duże zwierzęta, potem także małe. A my oglądaliśmy telewizję i opychaliśmy się mąką, którą wyprosililiśmy w Charyniu, mieszałyśmy ją z wodą i jedliśmy na surowo, kobiety nie chciały stracić ani kawałeczka programu. Również jeść zaczęliśmy inaczej. I prosić. Wzrokiem i z wyciągniętymi rękami. Dzieci. To dopiero potem. Nie były temu winne, a dorośli stracili rozum. Idiotka Josifowiczowa myślała – i to naprawdę było idiotyczne – że nam pomaga. Ze jest naszą komendantką w Charyniu, czy co. Że posłaliśmy ją tam, żeby nas do tego wszystkiego zaciągnęła za sobą. Brała do siebie dzieci. Spały u Josifowiczów, jadły u nich, trzymała je u siebie przez ileś dni, jej mężowi było to obojętne. Uczyła je radzieckich

zwyczajów. Wychowywała pokolenie Karów, które już nie wiedziało. W Czewapice tańczyło się wtedy dokoła pierwszego radia, w domu u Josifowiczowej wódka lała się strumieniami, nasze dzieci zaczęły chodzić w Charyniu do szkoły. Nikt tego nie chciał, ani my, ani Sowieci, ale przyszło skądś zarządzenie. A wie pan, jak idiotka skończyła? Wygnali ją kopniakiem, skąd przysła. Jak psa, mówimy. Co do tego wszyscy u nas są zgodni. Nie zasłużyła sobie na to. Chyba rzeczywiście była przygłupia, ale nikogo nigdy nie chciała skrzywdzić. Za tego swojego Welora Josifowicza dałaby się pokrajać. Bo też poza nim nikogo nie miała. W końcu ją wypędzili. Po śmierci Welora wypędziła ją własna córka, żeby w zimie wieśniacy jej nie zżarli. Będą udawać... pokażą ci bibliotekę... zawsze wtedy sobie o tym pomyśl.

Fiedia pomyślał o ojcu. Książki... Gdyby tak ojciec słyszał, w co się pakuje... A może Izykił to tylko wariat?

– Teraz Czewapika wygląda inaczej. Zajrzyj tam, ale bez Elwiry, a zobaczysz. Ta twoja Elwira ukradła pracę naszej Pszele, a wiesz, co jest w tym najsmutniejsze? Ze u nas wszyscy mówili jej od samego początku, że choćby nie wiem jak się o nią starała, i tak jej nie dostanie, ponieważ jest buraczarką. Teraz nasi się z niej śmieją. Wiedzieli, jak to się skończy. Sens ma tylko całkowita samodzielność. Już jest z tym lepiej, już jest o wiele lepiej... Buraki dają nam siłę. Przedtem potrzebowaliśmy jej bardzo wiele. I nawet to nie wystarczało. Chcąc mieć pola, my również pustoszyliśmy tajgę. Teraz dla wszystkich wystarcza tylko parę kilo dziennie. Mamy własne ciepło i co jeść. Gdyby to było dawniej, postawilibyśmy dokoła obozowiska drewniany płot i gotowe. Chcesz coś usłyszeć?

Fiedia nie chciał nic słyszeć, ale skinął głową.

– Pogrobowcy Beryli wciąż jeszcze gdzieś się chowają. Czyszczą amunicję, krążą dokoła, szykują się do ataku. Jak będziesz leżeć w domu w łóżku, mimo tego gwizdania i wycia wiatru może uda ci się coś usłyszeć. Chciałem powiedzieć: uważaj na tę rodzinę. A Elwirze możesz przekazać, że mogłaby łaskawie wpaść czasami do babci. A Dimę i Waškę niech Kawarycz zostawi w spokoju, bo Pszeła opiekuje się jego teściową...

Starzec umilkł, wyjrzał przez okno i znowu zauważył, że żółtych drzew jest trochę więcej niż przed chwilą i trawa jest znów trochę bardziej zmęczona. Godziny są czasem miesiącami. Godziny mogą być latami...

A potem już Fiedią potrząsał *przewodnik*.

– Niech pan wstaje, halo!

Ech, znał to. Szarpanie śpiochów i pijaków, sam robił to niechętnie. W jednej chwili był na nogach i wyskoczył na peron. Pociąg już niemal ruszał.

Hablund

Usiadł, zapalił świeczkę na stołku przy łóżku, znalazł papier, wygładził go dłonią i zamiast szykować się do snu, zaczął pisać. Temperatura na dworze wynosiła parę stopni powyżej zera, za kilka tygodni tej czarnej jak smoła ciemności będzie towarzyszyć trzaskający mróz, lecz na razie w izbie wciąż można było jeszcze wytrzymać tylko w dwóch parach getrów, w swetrze i w czapce, choć od pieca wiał chłód jak od zewnętrznej strony okiennej szyby.

„Kochana Mariane...”

Po napisaniu zalewie kilku zdań Hablund poczuł, jak drętwieje mu ręka. Odwykł od pisania. Przypomniały mu się listy ludzi osadzonych w więzieniu. Ścisłej – książki, w których o tym czytał. Szyfry i zakodowane informacje, gdzie „słońce zagłąda mi do celi” znaczyło „paskudnie się rozchorowałem”, a „jedzenie jest przyzwoite” – „już długo tu nie wytrzymam”. Hablund bowiem pisał szyfrem, chociaż nie miał takiego zamiaru, lecz należycie zrozumieć tego, co napisał, nie mógł nawet on sam. Nie dość, że okropnie bazgrolił, to jeszcze opis wsi był tak bezbarwny i nudny, że zanim doczytał swój list do końca, omal nie zasnął. Wszystko to jakoś nie odpowiadało prawdzie. Na końcu dodał parę zdań z wykrzyknikiem, żeby epistołę ożywić, lecz nie był pewny, czy mu się to udało. Zawsze lepsze to niż straszenie Mariane – pomyślał. Do listu dołożył gałązkę macierzanki, to się Mariane spodoba, zakleił kopertę i poszedł spać.

Nie wiedzieli, co z nim począć, bo nie mieli pojęcia, kim Hablund Doran właściwie jest. Jego listy polecające – nic z tego nie wyglądało tak jak dokumenty, *bumażki*, zaświadczenia, które Sowietci zawsze mieli przy sobie, *bumażki*, zaświadczenia, do jakich charyniacy przywykli. Pieczątki z rojnikiem, przystawionej przez duński klub botaników, nigdy nie widzieli, tak samo jak papieru z nagłówkiem kopenhaskiego Klubu Przyjaciół ZSRR. Żadnego wrażenia to na nich nie zrobiło. Wszystkie jego rzeczy najpierw przejrział Buro, potem również Larysa, a także Welor Josifowicz.

Buro po paru tygodniach miał już Hablunda dosyć. Nieprzypadkowo jego zaczął drażnić pierwszego. Żył go u siebie przez miesiąc, a porządnie niczego się o nim nie dowiedział. Z wielką pompą obwieścił im ten Duńczyk koniec wojny, a sam nie miał ani jednej przygody z karabinem, z dywizją pancerną, nie miał nawet żadnej blizny. Że niby w tym ichnim *Kopiengagienie* niczego takiego nie było. Przez Charyń także nie przewaliły się żadne armie. Ale Charyń był przynajmniej przyzwoitym zapleczem i pracował na eksport. Kobiety rodziły jak najęte, żeby zrównoważyć straty na froncie, a ciężkie wagony magistrali transsyberyjskiej, jadąc w kierunku wschodnim, wiozły ludzi, w zachodnim zaś – starannie okorowane kłody, niewymagające precyzyjnej obróbki części karabinów maszynowych oraz konie kawaleryjskie, wiązane po cztery, żeby się w wagonach nie pogryzły ani nie pokopały.

Cztery lata temu, kiedy szalała wojna, Buro był jeszcze chłopcem. Dojrzał w ciągu tych powojennych miesięcy. I parę włosów mu w tym czasie zbiałało. Nagle. Kilka razy brał nawet udział w obławach na jeńców, którzy uciekli z łagrów. Tak często jak za cara im się to wprawdzie nie udawało, ale zawsze... Strażnicy otwierali bramę, żeby wpuścić do środka dwustu nowych, których właśnie przywiozły bydłce wagony, a dwudziestu więźniów brało w tym czasie nogi za pas. Strzelano do nich, padali jak ulęgałki, ale tu i ówdzie komuś udawało się uciec.

Buro wniósł więc swój wkład w zwycięstwo, czuł to i z tego powodu uważał się za Sowietę. Tego w Czewapice nikt nie potrafił zrozumieć. Nie widzieli dalej niż czubek własnego nosa, historyczne wydarzenia nic im w ogóle nie mówiły. Nie mieli najmniejszego poczucia wspólnoty. Na to, żeby być częścią czegoś większego niż to, co hodowca buraków obejdzie w ciągu dwóch dni, rozumu im nie starczało. Tak jak i Hablundowi – pomyślał Buro. Zamiast słuchać i w ten sposób dowiedzieć się czegoś o życiu, Duńczyk chciał widzieć obrzędy, o których podobno pisano w jakimś tam „Naszym Świecie”, piśmidle najwyraźniej niewartym funta kłaków.

Buro znał jedynie biuletyn, który odbijano na powielaczu w Pstrugach. O targu, o skupie futer, o osiągnięciach pięciolatki, o wrogach ludu, zamieszczano tam też wykazy tych, którzy zbiegli z łagrów. Za niektórych wypłacano nawet nagrodę pieniężną temu, kto dostarczy ich żywych lub martwych albo wskaże, gdzie się ukrywają.

Na tym można było nieźle dodatkowo zarobić. Dróg, którymi mogli uciekać, nie było wiele. Przeważały moczary, których tak bardzo nie pilnowano. Tam, gdzie nie było osad, także na nich czekano. Omawiało się to w *sielsowiecie*. Po kryjomu. Ściany też mają uszy. Lepiej uważać niż narażać się na to, że ktoś przyjedzie i wywiezie połowę chłopów do jakichś kopalń, w których wyzioną ducha.

Pośród zbiegów – szeptano – czasem trafiali się podobno również ludzie przyzwoici. Ale Buro o tym nie wiedział i nie ciekawiło go to. Tę pierwszą puścił, bo prosiła go na kolanach, a on nie wiedzieć czemu pomyślał o Larysie. Tego drugiego i potem wszystkich następnych odprowadził z powrotem prosto do ich obozu, ponieważ tak ma być, a poza tym – bał się. Musiałby całkiem zgłupieć. Mogliby go skazać i potem rąbałby las razem z nimi. Jeśli w ogóle.

Hablund jednakże żadnym zbiegiem nie był. Przyjechał z prezentami i z kamerą, i z rzeczami w opakowaniach, które same musiały sporo kosztować, i rozdawał je wszystkim dookoła. O jego *Kopiengagienie* nikt nie słyszał. Podobno to takie miasto, ale kto wie? Buro wiedział, że Hablund ma grube ramiona, ale nie ma w nich ani trochę siły. Ręce się mu trzęsły już wtedy, kiedy dłużej trzymał w nich ten swój aparat, w tajdze daleko by nie zaszedł. Dlaczego tak bardzo chce się tam wybrać? Podobno Welor też zaczyna go mieć u siebie dosyć. Parę dni temu prosił Bura, żeby przyniósł z tajgi jakąś zabawkę dla idiotki. Młodą sarenkę albo małego wilczka, żeby miała się czym bawić. Wtedy przestanie zwracać uwagę na Hablunda. Znowu go komuś dadzą i zobaczymy.

Zapytani o coś wprost – zauważył Hablund – charyniacy nie odpowiadają. Kiedy nie mają ochoty, po prostu milczą i udają, że nie słyszeli. Pytał na przykład Welora, jak to jest z tymi wysłużonymi samolotami z demobilu, które widział, gdy lądowały koło kołchozu, załadowane marchwią. A Welor zaczął mu opowiadać o nowym urządzeniu do dojenia, czymś w rodzaju uruchamianej pedałem gumowej rękawicy, mającej chronić ręce dojarek przed odciskami. Gdy spytał po raz drugi, doktor rozgadał się o realizacji planu. Ze już trzeci rok przekraczają go o ponad sto procent, ale Hablundowi wydawało się, że przy tym mruga na niego, a rozbiegane oczy świadczą o strachu.

Myśli – tłumaczył sobie jego zachowanie Hablund – że jestem politrukiem, który w przebraniu podróżuje po osadach i niby to chce się zaprzyjaźnić, żeby potem w mieście złożyć na niego donos. Zapewnienia, że może mu zaufać, mijały się z celem, bo kiedy Hablund zapytał o te samoloty trzeci raz, Welor powiedział, że jest zmęczony, poszedł spać i zostawił Hablunda z Josifowiczową. Do tego też już się przyzwyczaił. Jak i do tego, że również Josifowiczowie czasem go zamykali. Nie był wprawdzie zamknięty stale, jak u Bura, ale czasem, gdy chciał wyjść na dwór, stwierdzał, że nie może. Kopał w drzwi, lecz nie dawały się otworzyć.

Hablund zdany był na to, co widział, oraz na tę odrobinę, która się komuś wypnęła.

Wyobrażał sobie, że będzie przy ogniskach, czerwonych watach, rozjaśniających tajgę od wewnątrz jak światło rozświetla twarz ukochanej kobiety, że będzie fotografować sceny z życia, filmować swą kamerą podskakujące w ekstatycznym tańcu dziewczyny i dyskutować ze starszymi rodu o tym, dokąd pójdą ich dusze, gdy już opuszczą ciała. W co się tutaj w ogóle wierzy?

Ci ludzie nie byli przecież zaharowanymi kolekcjonerami czerwonej gwiazdy. Mieli swoje pieśni, wieczorami dochodzące do niego z chałup, słyszał je, lecz do środka nigdy go nie zaprosili, a Josifowiczowa była najbardziej przesadną kobietą, jaką w swym życiu poznał. Nosila po kieszeniach najrozmaitsze przedmioty. Kawałeczki kości, ale także napoczęte cukierki, które chowała na później, wilczy kiel i kawałek wąsa Welora. I różne inne rzeczy. I mimo że z ciężkimi kieszeniami czasem ledwie wlokła się przez wieś, za nic na świecie niczego z tych swoich skarbów by się nie pozbyła. Była leniwa, co do tego Welor miał rację, gdy pierwszego wieczora obmawiał ją przed Habludem, mimo to jednak co wieczór, bez względu na pogodę, starannie układała przed domem w rządek kilka małych kamieni, a rano, zanim jeszcze ktokolwiek wyszedł z chałupy, znowu je rozrzuciła. Często spała jeszcze, kiedy Welor wychodził, ale przedtem, chyba o świtanie, musiała się obudzić i wyjść, żeby kamienie porozrzucić, bo Hablund, bez względu na to, jak wcześnie wyszedł na dwór, rano nie widział ich równiutko ułożonych. W określone dni nigdy się też nie myła i nic nie mogło jej odwieść od tego zwyczaju. Welur nalegał, grzał wodę nie tylko dla siebie i Hablunda, ale idiotka kręciła głową, przyciskała Tamarę do piersi i nie miała zamiaru umoczyć nawet jednego palca.

Gdy mowa o jej zwyczajach, Josifowiczowa bez szemrania wykonywała nawet zbyteczne prace. Taszczyła wtedy wodę sama, zaciskając wargi, i nie chciała, żeby jej Hablund pomógł. Kilka razy zdarzyło się, że właśnie w chwili kiedy drewniane niecki były już pełne parującej wody, idiotka zaczynała się rozbierać i gdy Hablund chciał wyjść, nagle okazywało się, że drzwi są zamknięte. Perswazja nie pomagała, robiła to umyślnie. Zaraz zaczynała uskarżać się na plecy, chciała, żeby Hablund siadł koło niej i nacierał je gąbką z porostów, a jeśli prosiła go, żeby jej coś podał, zawsze pamiętała o tym, by gdy odwracał się do niej, siedzieć nago, piersiami w jego stronę. Zanim nauczył się uważać, parę razy przyciągnęły go do siebie. Wpadał wtedy do niej do wody jak worek kartofli. Ona śmiała się i piszczala, a Hablund wyobrażał sobie, jak drzwi się otwierają i staje w nich Welor z wycelowaną w oboje strzelbą, albo coś w tym rodzaju. Nie wiedział, co Josifowicz wie. Może naprawdę było mu to obojętne, w przeciwnym razie nie zostawiałby go nieustannie sam na sam z nią. Im dalej, tym częściej dochodził do przekonania, że Welor trzyma go tu, żeby pilnował mu idiotki. Ze będąc z Habludem, nie robi jakiegoś głupstwa, bo on będzie na nią uważać. Z czasem się uodpornił, przestał zwracać uwagę na umizgi idiotki, a i nad swoim pożądaniem zdołał zapanować. Wracało tylko przed zaśnięciem, ale gdy chciał, mógł zamiast ciała idiotki wyobrazić sobie ciało którejś z jej przyjaciółek, chociażby Saszki, to także przynosiło właściwy efekt.

Dziwne to, ale o Mariane w takich chwilach nie myślał. To była jego żona, udręczona czekaniem, a nie jakaś tam zdzira. Obraz Mariane – to był medalik, któremu dawał całusa na dobranoc i w powietrzu, na skrzydłach, przesyłał jej pieszczotę, tym smutniejszą, im dłużej nie mógł się do niej dodzwonić i im bardziej był niezadowolony ze swych listów, w których, jak mu się wydawało, Charyń był całkiem inny niż w rzeczywistości.

O tym, czemu właściwie wtedy, dawno temu, towarzysze ze Smoleńska posłali Welora do Charynia, Josifowiczowa nic nie wiedziała. Pewnego razu, gdy znowu byli sami we dwoje w domu, Hablund ją spytał – przecież Welor musiał jej coś na ten temat powiedzieć. Czy jej rozbłysły i sięgnęła do pudła w kącie, gdzie nigdy się po nic nie chodziło. Wyglądało na to, że już, już Hablund czegoś się dowie, ale w pudle leżały tylko medale przodownika pracy, starannie uporządkowane w specjalnych pudełeczkach. „Za wykonanie dwustu procent

normy” – tak było na nich napisane. Na jednym nawet, że pięciuset, na innym zaś: „Wybitnemu bojownikowi o kołchozowe żniwa”. Ten miał również złote brzegi i wstążkę.

Idiotka śmiała się, chciała, żeby Hablund przypiął sobie medale Welora do koszuli. Trzepnęła ją po ręku. Cofnęła się i ze szczególnym wyrazem twarzy spoglądała na niego z kąta izby, podczas gdy medale potoczyły się w różne strony po podłodze.

Gdyby Hablund był bardziej spostrzegawczy, zauważyłby te gromadzące się chmury. Ten stryczek, który powoli zaciska mu się na szyi, swoją własną bezsilność. Ale na razie można było powiedzieć, że to ciągle tylko takie gadanie. Czekanie i *bumażki*, kto by się też po Sowietach spodziewał czegoś innego.

Stara Irina na poczcie miała strapioną minę, już wchodząc w drzwi, Hablund nie musiał nawet pytać. Kabel telefoniczny wciąż nie był naprawiony. Z pobliskimi wsiami można było rozmawiać, ale z *Kopiengagieniem*, jak miasto tego Duńczyka wraz z innymi nazywała również Irina, wciąż nie. Początkowo Hablund czekał niecierpliwie, potem ze złością, a w końcu z coraz większą obojętnością. Już, już zanosilo się na to, że oswoi się z czekaniem jak czystej krwi Sowiet i spaceru na pocztę wciągnie na listę swych codziennych bezskutecznych czynności (taką listę miał każdy normalny charyniak), gdy przyszło mu do głowy coś zupełnie prostego, mianowicie żeby stąd wyjechać i zadzwonić z innego miejsca.

Starano się mu to odradzić. Że awaria kabla nie nastąpiła w Charyniu, że będzie to strata czasu, bo wcale nie jest pewne, czy nie powróci z niczym, lecz Hablund wiedział, że tutaj nic mu nie ucieknie, a Mariane w Kopenhadze mimo listów pewnie szaleje ze strachu.

Prace budowlane na stacji kolejowej znajdowały się, z grubsza biorąc, na tym samym etapie, co wtedy, gdy przyjechał. Kasa wciąż mieściła się w prowizorycznej budce na peronie. Najpierw trzeba było zapukać do mieszkającej w pobliskiej chałupie kasjerki, a potem czekać, aż się kobieta ubierze, zawiąże chustkę i przyczłapie do budy, by sprzedać bilet. Ale Hablundowi go nie sprzedała.

– Towarzyszu Doran, nie macie niezbędnych dokumentów.

Według Hablunda zdanie to brzmiało dosłownie tak. Tak przynajmniej czarno na białym stało w protokole z zebrania charyńskiego *sielsowietu*, który w sześćdziesiąt lat później przeczytał Erske. W papierach tych zapisano, że pracownica charyńskiej placówki radzieckiej transsyberyjskiej magistrali kolejowej (nazwisko nieczytelne) oznajmiła Hablundowi, że w takiej sytuacji sprzedać mu biletu nie może, po czym zatrasnęła okienko i opuściła budkę.

Chciała widzieć nie tylko paszport Hablunda, ale także bilet kolejowy, na który przyjechał do Charynia, i zezwolenie na poruszanie się po ściśle określonym terenie.

– Przyjechaliście tu, no to macie być tutaj – powiedziała mu wtedy, jak zapisano w protokole.

Hablund nie tylko nie dostrzegł tych gromadzących się chmur, tej olbrzymiej pierzyny, która go z wolna przygniatała, ale nawet nieprzyjemność na stacji nauczyła go tak niewiele, że gdy tylko wrócił do domu, wziął kamerę i ruszył z powrotem, by sfilmować przypominającą gołębnik kasę. Chciał później dodać do tego komentarz, jaka to niewiarygodna historia właśnie tu mu się przydarzyła – to dopiero przyjaciele w Kopenhadze będą wybałuszali oczy! Obchodził właśnie z kamerą budkę, kiedy w kadrze zobaczył tych dwóch mężczyzn. Dwóch mężczyzn w obszarpanych roboczych waciakach, w szerokich spodniach, w płóciennych czapkach, z twarzami popryskanymi zaprawą. Gdy tylko zauważyli, że Hablund ich filmuje, natychmiast znowu zniknęli za murem budowanego dworca.

Hablund przypomniał sobie, co o tych ludziach opowiadał Welor Josifowicz. Są to krewni tych buraczarzy, którzy zgodzili się, żeby doktor Bownik powybił im zęby, byle tylko dostać pozwolenie na pójście do szpitala, i nigdy już nie wrócili. Ci tutaj pokutują za to, że ich krewniacy opuścili Charyń, mimo że właściwie nikt im niczego nie zabrania. Wyłączył

kamerę, schował ją do torby, żeby ich nie wystraszyć, i podszedł, by przyjrzeć się im z bliska. Już się nie dziwił, że w ciągu trzech miesięcy, które tu spędził, budowa stacji niewiele się posunęła. Tak budowano w średniowieczu – pomyślał, gdy zobaczył, jakimi narzędziami się tu pracuje.

Pięć kobiet i pięciu mężczyzn mordowało się z drewnianymi łopatami, drewnianymi dłutami i uszkodzonym drewnianym wielokrążkiem. Jedna kobieta wozila tam i z powrotem gruz, dwie zbierały kamienie. Na słońcu, które już dawno nie grzało, Hablund zobaczył suszące się jakieś bezkształtne cegły i zasychającą w wiadrze farbę, którą dwaj mężczyźni malowali kawałek właśnie wzniesionej ściany. Na pierwszy rzut oka widać było, że ci ludzie nie mieli żadnego doświadczenia w budowaniu domów i że nikt nimi nie kieruje. Jedna ściana się sypała, tymczasowo podparto ją belkami, oczywiście nie można było zrobić nic innego, jak tylko zbudować całą na nowo. Gdyby to przynajmniej nie była taka harówka – myślał Hablund, przypatrując się niewydarzonej budowie, i pierwszy raz przyszło mu do głowy, że z charyńskim *sielsowietem* nie wszystko jest w porządku, jeśli sprawując nadzór, nie zdążył w ciągu tych kilku miesięcy zauważyć, że ci biedacy wykończą się tu, gdyż nie mają pojęcia o budownictwie.

Przedstawił się kilku pracującym, ale ci przestraszeni pokazali mu plecy. Stał więc tylko i przypatrywał się. Niektórzy z nich byli buraczarzami. Zaofiarował się przynieść im coś do jedzenia i wodę, minęło już południe, a było całkiem możliwe, że od rana nie mieli nic w ustach, ale żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Zbili się w zwartą grupkę i Hablundowi wydawało się, że naradzają się na miga, co z nim począć. Mieli zakaz rozmów z cudzoziemcami.

Ostatecznie skończyło się to tak, że Hablund mówił im, co, gdzie i jak mają robić. Nigdy nie uważał się za obdarzonego zdolnościami manualnymi, ale zorientował się, że cegiel nie powinno się kłaść tak, by fugi znajdowały się jedna nad drugą, a że cement szybko twardnieje, to też wiedział. Zaraz trochę odżyli, widząc, jak zgrabnie idzie im robota. Został z nimi aż do szóstej wieczór, kiedy przyszedł ten człowiek, żeby ich policzyć i odprowadzić. Bownik. Więźniowie prosili Hablunda, żeby zniknął, zanim Bownik się zjawi. Kiedy przyszedł i zobaczył, jak Hablund im pomaga, nie wierzył własnym oczom. Na to nikt z miejscowych by się nie odważył.

Więźniowie mieszkali wszyscy razem, tylko mężczyźni i kobiety osobno.

– Żeby ci dranie nie uciekli i żeby rano wszyscy zaczęli pracować, jak usłyszą mój gong – wyjaśnił Bownik, gdy Hablund spytał, dlaczego nawet na noc nie puszcza się ich do chałup.

Przez wieś aż do *sielsowietu* szli dwójkami, przy czym jak najprawdziwsi łagiernicy trzymali się za ręce i przez cały czas nie podnosili głów. Charyniacy nie zwracali na nich uwagi. Czasem tylko ktoś wskazał na nich palcem i roześmiał się, ale tylko dwa, trzy razy przez całą drogę do cel, bo chodzili już tędy wiele miesięcy i mało kogo to jeszcze interesowało.

Ci pilni pracownicy mieszkali w budynku *sielsowietu*, po drugiej stronie korytarza niż sala posiedzeń, po pięć osób w dwóch zakratowanych celach, które nazywano aresztem. Wszelka działalność penitencjarna w Charyniu ograniczała się wówczas do pracy dla *posiołka*.

Hablund nigdy przedtem w *sielsowiecie* nie był. Sklep wtedy jeszcze nie istniał i *sielsowiet* obok zabudowań kolchozu oraz poczty był jednym z głównych budynków we wsi. Gdzie się znajduje, to w każdej wsi wiedziały nawet czteroletnie dzieci.

Wszystkiego towarzyszą w Moskwie mówić nie musimy – zwrócił się do Hablunda uśmiechnięty Bownik, kiedy już zamknął więźniów w celach.

Hablund miał ochotę pozbyć się go, nie podobał mu się, lecz po namyśle zmienił zdanie. Z ludźmi z *sielsowietu* potrzebował teraz być dobrze.

– Jesteście z komitetu?

– Jeśli macie na myśli komitet do spraw imigrantów z Danii, to dzięki wam jesteśmy w

nim teraz wszyscy. Nie chcielibyście przyjść na posiedzenie? Mówienie o was bez was nie byłoby uczciwe, a uczciwość to podstawa naszej działalności. Pozdrówcie ode mnie Welora i powiedzcie mu, żeby wziął was kiedyś ze sobą na posiedzenie.

W trzy dni później Hablund pierwszy raz wybrał się do buraczarzy. Strzępki różowej mgły wiatr przywiewał czasem aż do Charynia. Kiedy się to zdarzało, charyńscy patrioci spluwali z obrzydzeniem i rzucali piętrowe radzieckie przekleństwa w stronę, skąd te skrawki mgły przybyły.

Hablundowi podobała się różowa mgła. Nie czuł w ustach jej rzekomo wstrętnego posmaku, a dzięki swej różowości robiła na nim miłe wrażenie. Gdyby do Charynia płynęły z Czewapiki chmury czarne jak pył z jakichś odkrywkowych kopalń lub niebieskie z fabryki nawozów sztucznych, buraczarze podobałoby mu się znacznie mniej. Tak czy inaczej, chciał przekonać się osobiście, jak to jest z tą przypisywaną im paskudną naturą. Coś mu mówiło, że przyczyną wrogości charyniaków może być tylko różnica poglądów. Przeczynał, że to naród znacznie bliższy przyrodzie, i był ciekaw, jak wygląda ten ich buraczany kombinat. Za pierwszym razem kamerę zostawił w domu, żeby mu jej ktoś w Czewapice nie uszkodził. Weźmie ją, gdy buraczarze sami zrozumieją, że mogą mu pozwolić się filmować, bo to rzecz całkiem zwyczajna, a on sam dzięki nawiązanym tam znajomościom zacznie czuć się u nich jak w domu.

Sześćdziesiąt lat przed przyjazdem Eerskiego Hablund w Czewapice dogadywał się jeszcze po rosyjsku bez problemów. Wszystkie dzieci buraczarzy chodziły obowiązkowo do szkoły, uczniów można też było w Czewapice rozpoznać na pierwszy rzut oka. Suszące się po praniu zielone koszule z czerwonymi gwiazdkami, które dzieci nosiły w szkole, powiewały jak zwycięskie sztandary nad czewapickimi namiotami i szałasami, poza tym, odmiennie niż ich rodzice, dzieci uczęszczające do szkoły miały krótko obcięte włosy. Szkoła była okienkiem do Związku Radzieckiego, przez które dzieci należące do miejscowych plemion miały obowiązek zaglądać do środka. Po ukończeniu szkoły okienko dla większości z nich się zamykało, co mało kogo martwiło. Byli też oczywiście tacy, którzy w radzieckiej bluzie, czapce leninówce i w *galstuku* wspinali się wyżej – a niektórzy nawet i bez nich. Na przykład Buro. Hablund nazywał to pogardliwie dobrowolną rezygnacją z własnej kultury, chociaż tajgę Buro znał lepiej niżli ktokolwiek inny nie tylko w Charyniu, ale i w Czewapice, i zimą chodził w futrach, a latem w skórze renifera. Izykił nazwałby go stosownie, oportunistą, ale dodałby, że ci, którymi Hablund w Czewapice za ich radziecki wygląd nieco gardził, zazwyczaj zaliczali się do najinteligentniejszych. Po prostu tak było, i już.

Prócz kręcących się między szałasami i chałupami mniej lub bardziej zsovietyzowanych buraczarzy, których było bardzo niewielu, dlatego tak rzucali się w oczy, najbardziej zaciekały Hablunda ogromne sterty, przypominające hałdy wydobytych na powierzchnię skał płonnych. Tony buraków, które – uprzednio pokrojone na cienkie plasterki – suszyły się, poukładane na olbrzymich blatach, przypominających coś między gigantycznymi ramami do wyrobu papieru czerpanego a przedwiecznymi poprzednikami paneli słonecznych. Na powierzchni stert wolno pęzały migoczące ogniki. Brzegi tych kopców wydawały się chłodniejsze, ale w części środkowej można się było domyślać prawdziwego żaru. Systemem rurek, owiniętych szmatami, żeby jak najmniej energii uchodziło w powietrze, ciepło doprowadzane było do kilku blaszanych bud, które obsługiwał Izykił, w owym czasie najmłodszy członek bractwa najściślejszego kręgu, ze swoimi towarzyszami. Samego Izykiła zobaczył Hablund pierwszy raz dopiero kilka tygodni później, na uroczystości przed pierwszym zimowym polowaniem, ale to imię posłyszał już wtedy w Czewapice. Imię wypowiedane z szacunkiem.

Hablund wybrał się do Czewapiki tylko w czapce i z podniesionym kołnierzem, toteż stał chwilę przy stertach, by się ogrzać, i obserwował kobiety owijające rurki szmatami.

Praca ta zdawała się nie mieć końca, bo kiedy owinęły już kilku metrów rurek, w części owiniętej wcześniej żar zdążył szmaty przepalić i trzeba było ten kawałek owijać na nowo. Z rękami w kieszeniach Hablund przestępował chwilę pod stertą z nogi na nogę, zastanawiając się, jak by tu nawiązać z kimś znajomość. Wyglądało na to, że wszyscy są tutaj dostatecznie zajęci obsługiwaniem buraczanej maszynierii, naprawą szafasów i chatynek albo gapieniem się, w tym również gapieniem się na niego, ale zamiast podejść do nich i wdać się w rozmowę z mężczyznami, czuł się nieswojo i z bezradności wyciągnął w końcu tubę, którą przyniósł w plecaku.

– Nazywam się Hablund Doran i chciałbym się z wami zapoznać.

Teraz patrzyło się w niego całe plemię. Zapadła taka cisza, że nawet szept wydawałby się rykiem. Skończywszy swą przemowę, Hablund przystąpił do rozdawania cukierków. Mruczał coś przy tym cichuteńko po duńsku, miał poczucie, że nie mogło to wypaść gorzej. Zwłaszcza kiedy po chwili cukierki się skończyły i wyciągane po nie ręce musiały opaść próżne. Chyba brak mi talentu – przemknęło mu przez głowę. Umiejętności niewymuszonego zaprzyjaźniania się.

Następnego dnia Saszka zapewniała go, że wszystko to ma, i to jeszcze jak. O, taaak. Jakby recytowała jakiś pełen patosu wiersz o urodzajnych łąkach, na których szumi radzieckie zboże, jakby Hablund był utalentowany nie tylko tak, ale nawet znacznie bardziej.

Z Saszką poznał się przez Josifowiczową.

Przyszło mu na myśl, że idiotka przychodziła z Larysą pod chałupę Bura tylko dlatego, że w środku zamknięty był on, bo później nigdy już tych dwóch kobiet razem nie widział. Teraz coraz częściej, gdziekolwiek spojrzął, płątała się Saszka. Czyżby też z jego powodu?

W protokołach *sielsowietu* Saszka po raz pierwszy wymieniona jest już jako żona Hablunda.

O ile Josifowiczową była buraczarką, to Saszka Pawliczówna była stuprocentową Rosjanką. Jej ojciec, Pawka Pawlicz, przyjaźnił się z Welorem, stąd również Saszka poznała się z Josifowiczową. Welor i Pawka zaliczali się bowiem do charyńskiej elity. Choć społeczeństwo Charynia było, co z dumą podkreślano, bezklasowe, a *sielsowiet* nigdy nie omieszkął przypominać tego na cotygodniowych niedzielnych zgromadzeniach, wszyscy, mężczyźni i kobiety, utrzymywali stosunki głównie z podobnymi do siebie. Kołchoźnicy z kołchoźnikami, ci, których raz albo więcej razy ukarano za to, że ktoś z ich rodziny opuścił Charyń, między sobą, kierowcy z kierowcami, myśliwi z myśliwymi, a z buraczarzami nikt, kto nie musiał albo nie potrzebował. Welor był wprawdzie kołchoźnikiem, codziennie pracującym w budce przy swojej wadze, ale jego umiejętności lekarskie były na tyle dobrze znane, że w charyńskiej hierarchii zajmował pozycję o szczebel wyższą, niż wynikałoby to z charakteru jego oficjalnej pracy. Wielu zawdzięczało mu zdrowie, toteż na jego grzeszki polityczne, za które przed laty został tutaj przysłany, patrzono z wyrozumiałością.

– Ale w razie potrzeby wyciągnęliby to przeciw niemu bez wahania – powiedziała pewnego dnia Saszka Hablundowi, a był to ten dzień, kiedy zabrała go ze sobą na uroczystość ostatniego w sezonie polowania bez buraczarzy i sanek, dzień, kiedy pierwszy raz się nią zainteresował.

Ten poranek Hablund zapamiętał do końca życia. Na trawie lśniła rosa, patrzył na nią przez okno i zastanawiał się, co właściwie tu robi. Fale zapachu ogarniały go i opadały, sam często nie rozumiał dlaczego. O tym dniu mówiło się już na długo przedtem. Ze nie wolno mu go przegapić. Ubierał się w takim pośpiechu, że zamiast swoich włożył spodnie Welora, co rozśmieszyło potem idiotkę oraz Sazkę.

Wyruszyli we trójkę i doszli aż na plac zgromadzeń z czaszkami wołów na gęsto wbitych w ziemię żerdziach i z czerwoną gwiazdą na drucie między słupami nad nimi, na to odległe miejsce na końcu wsi, gdzie Hablund był już raz z Welorem. Na dole, na stercie pod

czaszkami, gdzie Welor rzucił wtedy guzik (od tej pory Hablund zawsze nosił jeden przy sobie, ale nigdy już tu nie dotarł), tam, gdzie przedtem leżały kawałki rurek i podeszwy, teraz piętrzyły się kości dużych zwierząt.

Pewnego razu, kiedy Hablund akurat nie był w nastroju, Josifowiczowa chciała wyciągnąć go z domu i przyjść z nim tutaj, ale wtedy chodziło o *wystawki* płodów rolnych wyhodowanych w charyńskim kołchozie. Hablund znał takie wystawy osiągnięć rolników duńskich, te święta warzyw zawsze go nudziły. W dodatku słowo *wystawka* brzmiało mu zbyt radziecko. Pozostał wtedy w domu, bo o żadnej ceremonii nikt mu nie wspomniał.

Kiedy spytał idiotkę, co robią tam te kości, odparła, że ceremonia ich układania przeszła im koło nosa, a potem zauważył, że kości leżące na placu zgromadzeń są oznaczone numerami, jak eksponaty w jakimś szkolnym gabinecie przyrodniczym.

– Dbaj o nie *sielsowiet*, chodzi o to, żeby nie zginęły – powiedziała idiotka, widząc, że Hablund się im przygląda. – Kości przez cały rok leżą schowane w *szkafu*. w sali posiedzeń, żeby się nie kurzyły. Za rok użyje się ich znowu. Myszkina przetrze je ścierką, a ten, o, tam, w krawacie, sprawdzi ich numery.

Hablund zrozumiał tylko tyle, że charyniacy wybierają się do tajgi, i to ostatni raz sami, a więc bez buraczarzy i bez sanek, zima dopiero się zbliżała, ale jeszcze się nie zaczęła. W zimie nie obejdują się bez jednych ani bez drugich.

Lato i zima to w Charyniu dwie główne pory roku. Wiosna i jesień trwają zaledwie parę dni. Wystarczy zostać na tydzień w chałupie, a jest pewne, że jedna albo druga przejdzie niezauważona, bo przemknie za oknami, zanim się kto spostrzeże. Z latem ani zimą nic takiego stać się nie może, a co się tyczy zimy, wielu charyniaków z pewnością westchnęłoby, że to wielka szkoda.

Dokoła kości wznoszono radosne okrzyki, pito bydlęcą krew, śpiewano przyśpiewki, a idiotka jeździła dokoła sterty kości na łaciatej kozie, dopóki Welor Josifowicz nie nadbiegł i nie odciągnął jej na bok. Hablund był ciekaw, czy Welor znowu rzuci na stos swój guzik, ale nie rzucił. Potem przy ołtarzu pojawił się funkcjonariusz *sielsowietu*, hałas ucichł, ten człowiek wykrzykiwał imiona i nazwiska, a ludzie się zgłaszali. Sprawdzano obecność.

Duńczyk zakładał się sam ze sobą, czy ten człowiek zawoła też „Hablund Doran”. Bo jeśli tak, to w tym tygodniu porozmawia przez telefon z Mariane. Jeśli nie, to rozmawiać z nią nie będzie. Czekał do samego końca, ale jego imię nie padło. Posmutniał. Od kiedy jest taki przesądny? Ale niezależnie od tego gniewało go, że dla wsi jakby nie istniał. A tylu wieśniaków ma w swoich domach otrzymane od niego prezenty, kosztowało go to kupę pieniędzy. Człowiek, który sprawdzał obecność, z pewnością był jednym z tych niewielu, dla których nie starczyło. Lub nie potrafi odczytać imienia Hablunda i wstydzi się tej nieznamośności duńskiej wymowy. Hablund zdecydował się podejść do niego i przedstawić się osobiście. Przepchnął się przez gromadę ludzi i wyciągnął do niego rękę.

– Hablund Doran, bardzo mi przyjemnie.

Tamten zmierzył go wzrokiem, po czym z pudłem kości oddalił się bez słowa. Inni ludzie zgromadzili się kawałek dalej i Hablund został sam.

Nie był głupi, czuł, że się coś dzieje. Potem myślał, jak by to wyglądało, gdyby zeszli się z Saszką później. Kiedy już lekceważenia go przez wieśniaków trudno było nie zauważyć. Nie wiedział. Tak jednak myślał zaledwie parę chwil przed ostatecznym końcem.

Saszka była pierwszą osobą, która w obecności Hablunda wymówiła imię idiotki. Jowaka. Doradzała Saszce przede wszystkim, żeby się nie spieszyła – i radziła jej to dobrze. Będzie obserwować tych dwoje, jak się prowadzą. Będzie ją to cieszyło, będzie śmiać się z Hablunda, a kiedy wieczorem Welora nie będzie w domu, będzie mówić: „Ja jestem Saszka” i będzie pakować się do niego pod kołdrę.

Gdyby choć raz jej uległ, natychmiast pobiegłaby do Szaszki, żeby opowiedzieć jej to jako

wspaniały kawał. Czemu właśnie te dwie się przyjaźniły, nie rozumieli ani Welor, ani Pawka Pawlicz. Gdy nudzili się na posiedzeniach *sielsowietu*, a od czasu do czasu zdarza się to na wszelkich zebraniach, dym z papierosów układał się we wzorki nad stołem, połowa plenum zaś przycupnęła w ubikacji, Welor pytał, jak się wiedzie Saszce, a Pawka na to:

– Dobrze, a tej twojej jak?

Takimi byli ci dwaj przyjaciółmi i takimi przyjaciółmi byli w *sielsowiecie* właściwie wszyscy.

Działalność klubów i stowarzyszeń była, rzecz jasna, zabroniona. Oficjalnym powodem stał się kiedyś dawno program zbliżania kultur. Charyniacy mieli wówczas dwa stowarzyszenia, publicznie głoszące potrzebę zlikwidowania Czewapiki razem z jej mieszkańcami. Jedno powoływało się na względy natury higienicznej, drugie – czysto oświatowej, i dopiero pod presją grona nauczycielskiego, w tym czasie składającego się z żon dwóch członków *sielsowietu*, działalność tych towarzystw została zawieszona. Matki buraczarki bały się bowiem posyłać swoje dzieci do charyńskiej szkoły i pojawiła się groźba, że z powodu małej liczby uczniów zostanie ona zamknięta. Programem zbliżania kultur objęto w końcu wszystkie dziedziny życia społecznego, ponieważ do tego, żeby jedno stowarzyszenia były zakazane, a inne dozwolone, w takiej dziurze należałoby rozbudować aparat urzędniczy, a tymczasem *sielsowiet* i tak mógł jako tako funkcjonować jedynie dlatego, że nie płacił za nadgodziny. Działo się to pod koniec lat dwudziestych, Welora miano skierować ze Smoleńska do Charynia dopiero za kilka lat, a Pawka Pawlicz był młodym chłopcem szlifującym swe czerwone ostrogi wśród małolatów noszących czerwone chusty i mających zebrania w drewnianej chatce, na której miejscu w parę lat później wzniesiono budynek *sielsowietu*.

Zakazu działalności klubów teraz co prawda przestrzegano, ale matki buraczarki już znowu posyłały swoje dzieci do szkoły, bo obie nauczycielki już odeszły i jakaś rozrywka się dzieciakom należała.

Właściwie można by powiedzieć, że Saszka tym pytaniem trafiła w samo sedno.

– Nudzicie się tu, prawda?

Chociaż Hablund nauczył się już mówić „nie” idiotce, kiedy przychodziła do niego z którymś ze swych szalonych pomysłów, mimo wszystko pozostało w nim jeszcze coś z duńskiego dżentelmena i w owej chwili nie mógł postąpić inaczej, niż tylko szczerze skłamać.

– Ze ja miałbym się nudzić? Wiecie, ile tu mam co dzień pracy z kamerą? *Ginące światy*. Właśnie wczoraj przyszedł mi do głowy ten tytuł. Będą to wyświetlali jako dodatek przed właściwym filmem we wszystkich lepszych duńskich kinach.

W kinie Saszka nigdy nie była, ale to się jej spodobało. Spodobało się, gdyż wyczuła, że Jowace Hablund nigdy tego nie powiedział, i miała rację. Bo on ma do kobiet podejście indywidualne – pomyślała. W Charyniu nie było wtedy wielu ludzi, którzy potrafiliby użyć takiego słowa lub użyli go już choćby jeden raz w życiu. No pewnie. Prowadzono kampanię przeciw indywidualistom, ale to było zupełnie co innego. To byli ludzie, którzy nie chcieli wcześniej wstawać i uczestniczyć w organizowanych co niedziela przez *sielsowiet* apelach pod pomnikiem bohaterów lub którzy jako kułacy ukrywali w komórce własną, prywatną krowę, ale tych ostatnich było już mało, powywożono ich. Skoro nie potrafili pojąć, że w swoim własnym gospodarstwie nie powinni mieć prywatnej krowy, konia czy łąnu owsa, to zasłużyli sobie na wywózkę już choćby tylko z powodu tak niskiego poziomu inteligencji.

Tak naprawdę to Hablund trochę się nudził. Do tego, że w Charyniu zazwyczaj dawał się komuś prowadzić, zdołał się już przyzwyczaić. Welor zaprowadził go kilka razy do swej pracy, zaprowadził go też na pocztę, a idiotka zaprowadziła go do ich domu. Ilekroć usiłował zrobić coś samodzielnie, na przykład kupić sobie na stacji bilet, nie udawało mu się to.

W Charyniu sfilmował już: Welora ratującego tę małą dziewczynkę, Welora biorącego łapę psa w łubki i zakładającego zwierzęciu opatrunek, pogrążoną we śnie Josifowiczową, i to

nawet wiele razy, krowy przechodzące koło ich domu, trochę Bura, kiedy wybierał się do tajgi i wyglądał jak transporter opancerzony oraz tragarz bagaży w jednej osobie, ludzi schodzących się w niedzielę na placyku, żeby wysłuchać cotygodniowego komunikatu *sielsowietu*, i jeszcze parę rzeczy, nic porządnego by jednak z tego nie zmontował. Buraczarze nie chcieli dać się filmować. Ukrywali twarze i chowali się w tych swoich płóciennych chatynkach, ale musi zejść do Czewapiki jeszcze raz. Także po to, żeby zaprezentowali mu swoje tańce. Może na dzień którejś z toreb znalazłby jeszcze dla nich mały prezent.

Wąleając się z Saszką, nie miał nawet ze sobą kamery, liczył na to, że Saszka nie zmyśla, a Towarzystwo Miłośników Tradycji rzeczywiście istnieje, bo mimo niepogody włóczyli się już po wsi ładny kawałek czasu i Hablund miał wrażenie, że tylko kręcą się w kółko. A może Saszka po prostu specjalnie chce się z nim pokazać ludziom? Stawał się podejrzliwy wobec wszystkich, nie było tu nikogo, komu by mógł zaufać. Żał mu było samego siebie i myślał, że czasem takim kimś mogłaby być właśnie ta dziewczyna.

– To tutaj – w pewnej chwili powiedziała raźno Saszka i zatrzymała się. – Jowaka mówiła, że was takie rzeczy interesują. Tam, o, tam jest cmentarz, na którym leży mój stryj Wiaczesław.

I Saszka zaczęła opowiadać również o Wiaczesławie drugim, wuju, który pewnego razu został wezwany do Irkucka, skąd nigdy już nie wrócił, i o tym, jak pies Pietrusz czekał na niego na stacji tak długo, aż w końcu zdechł z głodu.

Jest młoda i niezbyt pewna, czy naprawdę zakochała się w tym Duńczyku. Czy powodem jej drżenia jest jedynie ta zima, która puka już do drzwi, czy to tylko ten przedwieczorny chłód? Przecież to nie może być tak, że dziewczyna dogaduje się ze swą przyjaciółką, a ta odstępuje jej tego, kogo sama nie może mieć. Czy może Jowaka uważała to tylko za żart, co?

Saszka jest romantyczna, jak gdyby nieustannie chodziła do kina. A przecież nie była w nim ani razu i prawie nic nie czyta. No, ten wydawany w Pstrugach biuletyn, ten sam, który czytuje Buro, to owszem. Lecz na przykład Oleg Abramowicz z pewnością czegoś takiego żadną lekturą by nie nazwał. Czy może Hablundowi Saszka wydawała się inteligentna tylko z tego powodu, że podczas tych miesięcy spędzonych w radzieckiej głuszy do reszty stracił rozum? Lub przeciwnie, wyzbył się przesądów i stwierdził, że inteligencja nie ma związku z książkami ani filmami? Czyżby tak szybko zmienił poglądy? Mariane przecież zaopatrywał w książki właśnie po to, żeby stała się bardziej kulturalna. Taka postawa cechowała go zawsze, a jego żona też uznała ją za swoją.

Nagle Hablund zapragnął, żeby go Saszka zbeształa. Żeby zanim wyzna, że za nim szaleje, rzeczywiście mu to wyjaśniła. Nagle tego zapragnął. Czegoś takiego z Jowaką nigdy nie przeżył. Gdyby Saszka go zwymyślała, sam przed sobą jakoś łatwiej by to wszystko usprawiedliwił. A także wobec Mariane.

Ale mówić, że się jej ktoś podoba, Saszka nie ma w zwyczaju. Mężczyźni podobają się Jowace. Saszka wstydy się tych swoich wymarzonych i podziwia ich po cichutku. I dopiero kiedy tego podziwu już nie można wytrzymać, staje się to. Trzask-prask! Jestem twoja na wieczne czasy. Tego jednak nikomu jeszcze nie powiedziała. Ten podziw zawsze można było wytrzymać, a potem sam przez się zaczynał powoli ustępować i po pewnym czasie było po nim.

Dziewczyna jak łania. Ze wspaniałymi nogami. Pawka Pawlicz nie obawiał się, że Saszka nikogo sobie nie znajdzie, chociaż wszystkie jej rówieśnice już kogoś miały.

Na cmentarz szło się w tę stronę, w którą Saszka niedbale machnęła ręką, lecz to nie cmentarz chciała Hablundowi pokazać. Obiecała mu pokazać Towarzystwo Miłośników Tradycji – i oto byli na miejscu. Nie zmyślała i nie krążyła z Hablundem po wsi, był wobec niej niesprawiedliwy.

Przed nimi rozpościerała się równina, na której roily się najprzedziwniejsze postaci.

Zbrojni w pałki mężczyźni w strojach z chodników ze swych sionek i ze szmat pozszywanych przez żony skradali się po łące, co chwila walczyli w grupkach o zmiennym składzie i z rozdzierającymi serce okrzykami padali na ziemię. Tłukli się wzajemnie po plecach, jęczeli, po czym znowu się obejmowali, pociągali z pustych butelek, rękami niby coś rysowali w powietrzu, podskakiwali, znikali w gąszczu i znów wracali, chwyтали się za brzuchy, kładli się na ziemi, poklepywali wzajemnie po ramionach i odrzucali daleko przed siebie dzidy.

Trwało chwilę, nim Hablund pojął, co rozgrywa się tutaj na jego oczach. Była to historia Charynia, taka, jak miejscowi ją sobie wyobrażali. Na grupy pokojowo nastawionych osadników, którzy napływają w bezludne okolice późniejszego Charynia, napadają bandy niszczących wszystko tubylców, próby nawiązania z nimi dobrosąsiedzkich stosunków do niczego nie prowadzą. Dopiero silna ręka i łaskawość z pozycji silniejszego przynoszą – wraz z rozwojem oświaty – upragnione owoce pokoju, obie grupy zawierają rozejm, najpierw tymczasowy, a potem na wieczne czasy, następują masowe, wspólne wybuchy radości, zaczyna panować powszechna przyjaźń każdego z każdym, coś, czego Hablund w stosunkach między charyniakami a buraczarzami nigdy nie zauważył.

Towarzystwo Miłośników Tradycji odradzało się co roku przed zimą. Wiosną podupadało, a w lecie spotkania jego członków się nie odbywały. Były one częścią przygotowań do zimy. To wtedy właśnie nacierano skórzane spodnie tłuszczem, szyto nowe rękawice, odgrywano sceny minionych walk. Bo też zimą z powodu łowów stosunki między charyniakami a buraczarzami stawały się bardziej napięte niż kiedykolwiek w ciągu roku i bez pobudzenia własnej dumy mogłoby się zdarzyć, że charyniacy z powodu swojej zimowej zależności od Czewapiki upadliby na duchu, a taki upadek zimą jest tym samym, co wybranie się latem w daleką podróż bez zapasu wody. To koniec.

Członkami Towarzystwa Miłośników Tradycji byli także Welor Josifowicz i Pawka Pawlicz, ojciec Saszki.

Saszka członkinią towarzystwa nie była, ponieważ kobiet w owym czasie nie przyjmowano. Pawka nic przeciw udziałowi kobiet nie miał, ale Welor bał się, że po Saszce zaraz zgłosiłaby się jego żona, która z poważnej sprawy zrobiłaby komedię. A przecież towarzystwo miało kilka poważnych celów: ożywienie w charyniakach świadomości ich własnych dziejów, przeszkolenie rozhukanej młodzieży i umocnienie więzów przyjaźni między towarzyszami, gdyż tu wszystko opierało się na wzajemnej przyjaźni. Na przykład zawsze należało zawczasu uzgodnić, kto kogo będzie grał, i mężnie pogodzić się z tym, że nie zawsze przypada człowiekowi rola bohatera, a łajdaka koniecznie trzeba grać z takim samym zapałem i wiernością. Bez tego bowiem towarzystwo służyłoby tylko zabawie, a nie o to chodziło. Jeśli kogoś ta rekonstrukcja historyczna bawiła, tym lepiej dla niej, ale towarzystwa nie zakładano dla zabawy. Sensem jego istnienia było rozpowszechnianie prawdy, bo inaczej ten i ów z młodych mógłby uwierzyć w buraczarskie bajdy, że wszystko wyglądało całkiem inaczej.

Z Pawką Pawliczem, swym przyszłym teściem, po raz pierwszy spotkał się Hablund na posiedzeniu *sielsowietu*, na które zabrał go Welor, kiedy Duńczyk przekazał mu pozdrowienia od Bownika wraz z propozycją, żeby Josifowicz przyprowadził go ze sobą. Przy tej okazji Welor sam przypomniał Hablundowi drobnostkę sprzed kilku dni, zakończoną niepowodzeniem próbę kupna biletu, i powiedział, że należałoby to omówić. Ta uprzejmość i zainteresowanie czymś, co Welora osobiście w ogóle nie dotyczyło, ucieszyło Hablunda.

Od zewnątrz drzwi do sali posiedzeń *sielsowietu* Hablund już widział – wtedy gdy zaglądał do cel, w których tymczasowo mieszkali pilni pracownicy odbywający karę za dezercję kogoś z rodziny.

Co też robią tam teraz? Był wieczór, już wrócili z pracy. Może grają w karty? A czy w

ogóle im wolno? Teraz Hablund zmierzał gdzie indziej. Naprzeciwko, do sali za drzwiami obitymi czarną blachą. W ZSRR takie drzwi stosowano powszechnie, lecz w Charyniu, gdzie wszystko było z drewna, sygnalizowały powagę pomieszczenia, do którego prowadziły.

Gdy tylko weszli, przypomniał sobie to pudło z ponumerowanymi kośćmi, o którym idiotka mówiła, że w ciągu roku stoi na szafie w tylnej części sali posiedzeń. Szafy pod ścianą były tam rzeczywiście, ale głównym meblem był duży stół, zestawiony z dwóch mniejszych, przy którym stało sześć zupełnie jednakowych krzeseł. Tyle jednakowych mebli było w Charyniu czymś całkiem wyjątkowym. Zazwyczaj różne przedmioty kompletowano tu byle jak i zestawiano razem, do kupy, czy chodziło właśnie o krzesła, czy też o zastawy stołowe, bieliznę pościelową albo ramy okienne. Sześć jednakowych czarnych krzeseł wokół dużego stołu, za obitymi blachą czarnymi drzwiami akurat naprzeciwko aresztu, wzbudziło w Hablundle chęć posłuchania i podporządkowania się czemuś, co ma swój regulamin i autorytet moralny. W owej chwili nie było mu ani trochę do śmiechu. Pięciu towarzyszy, towarzyszka oraz Hablund powiesili swe okrycia i czapki na wieszaku, i wszyscy prócz Hablunda usiedli. Po chwili zakłopotania Hablund przeprosił zebranych, wyskoczył na dwór i w najbliższej chałupie wyprosił dla siebie stołek. Siedział niżej niż wszyscy pozostali i nie mógł się oprzeć. Zastanawiał się, czy to, że nie mieli dla niego miejsca, było zamierzone.

Dzięki wstawiennictwu Welora bilet stał się pierwszym punktem programu. Hablund miał całą sprawę przedstawić z najdrobniejszymi szczegółami.

Zauważył, że jest potulny jak baranek. Czyżby sprawiały to te na pół mundurowe kurtki towarzyszy? Jakby ze swoją sprawą miał szansę teraz lub nigdy.

– Tak, trzeba przyznać, że reakcja kasjerki była przesadna.

Po tych słowach zasiadającej w *sielsowiecie* towarzyszki Hablund odzyskał rezon.

– Z telefonowaniem nie ma problemu, ale skąd mamy wiedzieć, że chcecie wyjechać właśnie w tym celu? Welor Josifowicz jest osobą godną zaufania i z pewnością poręczyłby za was, ale... Macie dla nas jakieś gwarancje?

Szaleńczą myśl, by ożenić się z Saszka, wbiła mu do głowy strzała pijanego Kupidyna właśnie w owym momencie i odpowiedzialność za nią spadła na towarzyszkę, która zadała mu to pytanie:

– Może chcielibyście powiedzieć, że jesteście tu z własnej woli i nic nam do tego, dokąd jedziecie, co?

Dosłownie czytała w jego myślach.

– To oczywiście wiemy – uśmiechnęła się do niego.

Szturchnął łokciem Welora.

– Jak się ta kobieta nazywa?

Doktor wyrwał kartkę z notesu, napisał na niej: „towarzyszka Myszkińska” i podał ją Hablundowi.

„Ale imię, jak ma na imię!” – naskrobał Hablund i zwrócił papierek Welorowi.

Welor zgniół świstek i wrzucił go do popielniczki. Hablund słyszał, jak przy tym nerwowo syczy.

Rozpatrywanie punktu „Bilet” zostało odroczone. Jednogłośnie uchwalono upomnienie dla kasjerki. Myszkińska oznajmiła, że jutro do niej pójdzie, a nad sprawą będzie się dalej pracować.

– Towarzysz Doran oczywiście może jeździć, dokąd chce, jeżeli tylko jest to zgodne z jego dokumentami podróży – oświadczyła Myszkińska i sprawę uznano za zakończoną.

Punktem numer dwa była zima. Hablund ziewnął, o tym mówiło się od rana do wieczora. Ocieplanie, zaopatrzenie, dostateczny zapas karmy dla zwierząt, lament nad tym, że wieś nie jest zelektryfikowana, chociaż jak by to wyglądało, gdyby była, starsi ludzie bali się tego bardziej niż gołoledzi po zmroku, nie potrafili wyobrazić sobie takiego mnóstwa światła. Rozświetlony Charyń byłoby widać z daleka, co niepotrzebnie przyciągałoby uwagę. Czyją?

Wilków? Irkuckich politruków? Myślał tak również ówczesny *sielsowiet*, mimo że pod niektórymi względami naprawdę był postępowy. Cotygodniowe apele na przykład to on właśnie zaczął organizować pod pomnikiem bohaterów, a nie przy byczych czaszkach na żelaznych drągach, w miejscu, gdzie zwoływano je przedtem. Hablundowi również to miejsce wydawało się nieco barbarzyńskie. Gdyby stały tam chociaż drewniane pale, ale żeby wały korbowe od traktorów? Zwłaszcza że z mechanizacją nie było w Charyniu najlepiej.

Zastanawiał się nad tym, kiedy na posiedzeniu *sielsowietu* omawiano tę zimę. Zapory przeciwnieźne, które trzeba będzie, jak co roku, ustawić koło chałup na skraju wsi. Śnieg niesiony przez mroźny wiatr przeważnie z północy lub ze wschodu, który bezlitośnie skazywał te chałupy na warunki o wiele gorsze niż w środku wsi, zatrzymywały wielkie drewniane trójnogi z żebrowaniem. Co więcej, na tych żebrach śnieg zbijał się w ogromne płaty i stanowił przyjemną osłonę, chroniącą domy przed wiatrem. Dawniej mieszkańców północnego i wschodniego obrzeża Charynia wiosną odznaczano za wysiłek związany z zimą w trudniejszych warunkach medalami Czerwonej Gwiazdy pierwszej klasy. Jednak ludzie nadal zrzedzili i spośród marznących mieszkańców owych chałup wywodziło się najwięcej tych, którzy potem opuszczali Charyń, za co ich krewni musieli harować na rzecz gminy. Z odznaczeń nikt nie cieszył się tak jak z trójnogów, które zaczęto ustawiać pięć lat temu. Docenili to również charyniacy mieszkający w centrum. Dzięki śniegowi nawianemu z obrzeży, gdy przyszło co do czego, nad wsią w najcięższych miesiącach tworzyło się coś w rodzaju kopuły izolacyjnej, która utrzymywała znośną temperaturę i chroniła ludzi przed wiatrem. Na zebraniu Welor na użytek Hablunda przyrównał to do wielkiego igloo, nic trafniejszego nie przyszło mu na myśl, chociaż zdaniem Myszkinej zbyt ściśle to nie było.

Prócz trójnogów było w planie urządzenie ślizgawki, skontrolowanie całego stanowiącego własność państwa sprzętu myśliwskiego, a przede wszystkim postanowiono na następnym zwołanym przez *sielsowiet* apelu stanowczo wezwać wszystkich, którzy tego jeszcze nie uczynili, żeby zaopatrzyli się w kozuchy, a ci, którzy mają zdarte buty, przyszyli do nich nowe podeszwy, żeby obejrzeni swoje czapki, czy nie pogryzły ich szkodniki (w takim wypadku należy postarać się o nową). Dla najuboższych przy *sielsowiecie* istniał fundusz pomocy zimowej, pomyślano również o tym. Na zebraniu zastanawiano się, czym można by zabłysnąć w oczach mieszkańców, jak pięć lat temu tym pomysłem z trójnogami, nad tym tego wieczoru najbardziej łamano sobie głowy. Dym z papierosów spowijał każdą z sześciu głów członków kierownictwa wsi w obłok, z którego od czasu do czasu wyłaniał się notatnik lub wydobywało się westchnienie strudzonego człowieka.

Nie był to żaden piknik z wódką i cukierkami, o co Hablund *sielsowiet* podejrzewał. To nie byli aparatczycy zabawiający się kosztem swych podopiecznych, tu się naprawdę pracowało. Dookoła stołu, licząc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, siedzieli obok siebie: Welor Josifowicz, Hablund, Pawka Pawlicz, Pietia Bownik, Jurij Głaznikow i Daria Myszkina.

Do obowiązków Pawki należał przede wszystkim nadzór nad młodzieżą. Urządzenie ślizgawki było jego pomysłem, tak samo jak opłacany z budżetu wóz z końmi, który codziennie woził czewapickie dzieci do szkoły w Charyniu i z powrotem. Młodzież to przyszłość. W Czewapice rosła jak drzewa w lesie, toteż trzeba było dbać o jej rozwój. Ciąła więc hartowały się na porannej gimnastyce, między budynkiem szkolnym a stacją co dzień biegła w szyku trójkowym cała szkoła, dyrektora nie wyłączając.

Pietię Bownika Hablund znał z terenu budowanej stacji. Doktora, który wybija ludziom zęby i zarabia niezłe pieniądze na pozwoleniach wyjazdu. Prócz praktyki lekarskiej i codziennego wyprowadzania więźniów z cel na budowę, a wieczorem z powrotem, Bownik odpowiadał za gładki przebieg zimowych polowań i sporządzał protokoły z posiedzeń.

Ostatnim z towarzyszy był Jurij Głaznikow. Sympatyczny rudy mężczyzna, przypominający Hablundowi nauczyciela gimnastyki z kopenhaskiej szkoły średniej, któremu

podlegała kwestia przestrzegania prawa oraz problematyka zbiegów z łagrów, gdyby jakiś pojawił się w Charyniu i trzeba by było wziąć go w obroty. Krótko mówiąc, poważne sprawy, wymagające twardej ręki.

Pozostawała już tylko Daria. Daria Myszkina. Ona jedyna ze wszystkich na posiedzeniu podała Hablundowi rękę. Uścisk miała jak stalowe imadło, zimny i silny. Hablund zatrzepotał dłonią, złapał łyk powietrza, a Myszkina zacisnęła i rozciągnęła usta jak przy pięćdziesiątym piątym oficjalnym uśmiechu na zebraniu partyjnym. Oznajmiła mu, ale tak, żeby wszyscy to usłyszeli, że ona jest ludzką twarzą tego bractwa piastujących kierownicze stanowiska tetryków, którzy muszą się troszczyć o tyle spraw, że nie przysłoby im do głowy, by przynieść na posiedzenie świeże kwiaty – przy czym wskazała na wazon kwiatów na stole.

W to, że Myszkina jest subtelną kwiaciarką, Hablund jednak nie wierzył. Patrząc na jej owalnie opiłowane paznokcie, przeczuwał, że są one wysuwanyymi w razie potrzeby szponami. Nie zdziwiłoby go, gdyby to właśnie ona rozkazywała wszystkim pozostałym. Miała taki sam płowy kok jak Fila Miedosjewa, ale o ile schludność Fili była życzliwa, świadczyła o jej zamiłowaniu do porządku i powściągliwej postawie wobec egzaltacji, kok Darii Myszkiny był kulą armatnią z zapalnikiem. Ani jednego swobodnie zwisającego pasma, ani jednego włosa, który by miał szansę się zbuntować, szare oczy zaś bynajmniej nie były oczyma sarny, tylko wilczycy, która dobrze się zastanowi, nim zada cios. Ubrana była w kostium. Welor powiedział później Hablundowi, że starała się zrobić na nim wrażenie, Hablund jednak czuł raczej więcej od niej mróz.

Mariane

Było tych tygodni tyle, że Mariane przestała je liczyć. Na początku знаła również dokładną liczbę godzin. Dwieście trzydzieści cztery naliczyła pewnego ranka w czasie napełniania wanny. Hablund wyjechał z Kopenhagi dwieście trzydzieści cztery godziny temu. W końcu przestała liczyć dni i tygodnie, bo mijały miesiące, a nie dostała od niego ani jednej wiadomości.

Dziwne, że po fali paniki w kilku pierwszych tygodniach, kiedy Lora musiała jej nieustannie powtarzać, żeby pozwoliła Hablundowi odetchnąć i dała mu czas, by się trochę rozejrzał w obcym środowisku, przyszło uspokojenie, które utrzymywało się stosunkowo długo. Na ścianie pod żółto-czarną maską powiesiła narysowaną kredkami mapkę Charynia z mnóstwem zieleni i jeziorkiem, tak jak wyobrażała sobie tę wieś, i jeździła po tym obrazku palcem, kiedy nie miała w domu nic do roboty.

– Dzień dobry, panie Doran, jak się pan ma?

– Całkiem nieźle, Wasiliju Pietrowczu – mówiła sama do siebie z palcem przyciśniętym do mapy, przypominając sobie imiona, które znała z rosyjskich powieści.

Wasilij Pietrowicz miał laskę i czarny melonik, którego zawsze uchylał, spotykając Hablunda.

Złościł też Mariane całkowity brak listów. Gdyby je otrzymywała, i to długie, odżyłoby coś z dawno minionego pożądanego, znowu byłoby sobie bliscy. O firmie pisywałyby do Hablunda zawsze tylko skrótowo, całe listy byłyby przede wszystkim o nich dwojgu. Owszem, pisała. Ale piętrzyło się to tylko w szufladzie, po pięciu miesiącach już trzeciej. Hablund mówił, że powinien wrócić za trzy miesiące, lecz kilkakrotnie sam nie wykluczał, że może to również trwać znacznie dłużej. Wszystko zależy od tego, jak mu tam pójdzie, a tego nie można z góry przewidzieć.

Badanie, czym jest ten Charyń, kiedy teraz Mariane wiedziała już mniej więcej, gdzie ta miejscowość leży, przebiegało całkiem nieźle. Niedaleko stamtąd w tajdze znajdowały się podobno źródła kilku wielkich rzek, region rzekomo był bardzo czysty, z niezniszczoną florą i z fauną, która przeniosła się tu z okolic, gdzie utrudniały jej życie wielkie radzieckie obiekty gospodarki wodnej i kompleksy metalurgiczne, przed laty można tam było spotkać również parę tygrysów ussuryjskich, a w zimie nawet jednego białego niedźwiedzia, którego Sowietnicy wypłoszyli z północy, budując jakąś stację polarną. Mariane zbierała informacje, jak się dało. Miała już swoją legitymację wszystkich większych kopenhaskich bibliotek, była również w kilku innych duńskich miastach i parę razy jeździła nawet do Sztokholmu, ponieważ w Kopenhadze powiedziano jej, że tam na uniwersytecie mają bibliotekę gromadzącą wyłącznie książki o Syberii, a Mariane znała szwedzki.

Najbardziej beznadziejne były niedokładne dane dotyczące miejscowości. O Syberii w ogóle informacji było niewiele, a gdy już coś konkretnego znalazła, nie była pewna, czy Charyń nie jest od danej miejscowości odległy, dajmy na to, o kilkaset kilometrów, a zatem jej odkrycie może w ogóle go nie dotyczyć.

Mariane potrafiłaby już bezbłędnie recytować z pamięci, jakie przeciętne temperatury panują na Syberii w poszczególnych miesiącach, jakie drzewa tam rosną i jakie ssaki żyją w tajdze. Wiedziała również, czym tajga różni się od tundry, którądy biegnie na mapie magistrała transsyberyjska i że jezioro Bajkał znajduje się na północ od niej, a nie na południe, jak uprzednio myślała. Ale umieć wyobrazić sobie zwyczajne życie – to coś innego.

Długo szukała też czegoś bliższego o funkcjonowaniu rosyjskiej poczty i o tamtejszej łączności telefonicznej. Może tam niczego takiego nie ma? – zastanawiała się. Parę kilometrów za Moskwą rozwozi listy jakiś tramwaj konny, a dalej wiadomości przechodzą z ust do ust, tylko bolszewickie depesze wożą ponure czarne samochody marki zis.

Znalazła wprawdzie w archiwum jakąś liczącą sobie parę lat dysertację duńskiej studentki Marty Vestergaard o roli rosyjskich pociągów pocztowych w zasiedlaniu Syberii, ale o tym, czy w Charyniu jest skrzynka pocztowa oraz czy list stamtąd dojdzie do Kopenhagi w czasie krótszym niż rok, niczego tam nie było, nic innego zaś raczej nie było w stanie Mariane przekonać. Nie chciała dać się zniechęcić. Gdyby bowiem Hablund się nie odzywał, mimo że z technicznego punktu widzenia mógłby, znaczyłoby to, że stało mu się albo coś poważnego, albo jeszcze poważniejszego. A o tym Mariane nie chciała nawet myśleć.

Hablund stał się dla Mariane dniem pracy. Wyszukiwanie wszelkich informacji, które by mogły wyjaśnić, czemu nie daje znaku życia, obejmowało również obserwowanie całej rosyjskiej polityki i wydarzeń w Rosji w ogóle. Lecz duńska prasa pisała o Rosji jedynie w związku z komunizmem i debatami o możliwym odrzuceniu planu Marshalla. O Syberii ani słowa.

Od czasu do czasu dzwoniли do Mariane współpracownicy Hablunda, których zadaniem było pod nieobecność szefa służyć jej przy odpowiednich okazjach swoim towarzystwem; z niektórymi z nich niekiedy gdzieś się wybrała, lecz o Hablundzie rozmawiać z nimi nie mogła. Przy tym z Lorą na jego temat potrafiła nawet żartować. Ze się nie odzywa, bo przy swoim roztargnieniu zapomniał zapisać sobie numer ich domowego telefonu lub nieustannie myli trzecią i czwartą jego cyfrę, jak tyle razy zdarzało mu się w Kopenhadze. Kiedy jednak pytał o niego ktoś inny, Mariane czuła się, jakby czyjaś ręka przyduszała jej gardło. Jakby także Hablund był przy tym, krążył w powietrzu dokoła niej i złościł się. On przecież nie jest żadną sprawą. To, czy gdzieś się zapodział, czy nie kocha jej dostatecznie lub czy Rosja to średniowiecze, czarna dziura, w której ludzie giną bez wieści, to przecież nie ich, tych facetów, interes. A więc nie jest to też interes tego kolegi z pracy, do którego przyszła do domu, żeby podpisać za Hablunda jakieś papiery.

– Ma się dobrze – skłamała.

Wprawdzie czasami do niej dzwoni, lecz kosztuje to kupę pieniędzy. Poczta do najbliższego miasta, gdzie jest lotnisko, co dwa tygodnie wozi ze wsi wóz zaprzężony w długowłose kucyki, lecz jeśli któryś z nich złamie sobie na lodzie nogę, przeciąga się to o całe dwa następne tygodnie, a przez dziesięć miesięcy w roku panuje tam sroga zima.

– Doprawdy? – zdziwił się.

– Tak. Wczoraj po całym mieście szukałam dla Hablunda ciepłych rękawic z jednym palcem, ale nie mieli jego rozmiaru. Ma łapy jak niedźwiedź.

Mariane zauważyła, że jej rozmówca rzucił okiem na własne dłonie. Miał takie delikatne ręce z długimi palcami i nabrzmiętymi żyłami. Kiedyś zdawało się jej, że wyglądają szlachetnie, jak u młodego pianisty, ale teraz miała wrażenie, że świadczą o zniewieściałości tego człowieka.

– Szukałam także jakiejś dobrej maszynki do golenia. Broda mu rośnie tak szybko i zarost ma taki twardy, że wszystkie żyłki bardzo prędko się mu łamią. W dodatku wszystkie te, które zabrał ze sobą, już porozdawał.

– Porozdawał?

– Porozdawał, bo podobno sam naczelnik nie może niczego mieć na własność.

– To Hablund jest naczelnikiem?

– Czymś w tym rodzaju. Podobno sami go wybrali i mianowali, chociaż w ogóle o to nie zabiegał.

Współpracownik męża roześmiał się i Mariane poczuła ulgę. Jak gdyby Hablundowi

groziło coś strasznego, a ona go przed tym czymś uratowała. Niczego nie musi się wstydzić.

Współpracownik męża był rozbawiony.

Mariane zastanawiała się, jak stąd wyjść, by nie wyglądało to na ucieczkę. Gdyby teraz chciał tutaj powalić ją na ziemię, nie czułaby się zaskoczona. Tak samo jak tym, jak na nią patrzył. Chciała tylko na chwileczkę zapomnieć, że jest sama. Chwyliła torebkę i rażnym krokiem ruszyła do drzwi. Nie były zamknięte. „Ty dziwko!” – zdawało się jej, że wołał za nią, gdy zbiegała po schodach, ale na to z pewnością by sobie nie pozwolił.

Czego się spodziewała? Że będzie zrywać z niej tę jej staropanieńską podniszczoną sukienkę? Że mężczyźni to zwierzęta, gotowe do skoku, kiedy tylko zwabią kobietę do mieszkania? Był pewien, że pragnęła go tak samo jak on jej, ale to zakończenie wizyty jakoś specjalnie go nie rozzłościło.

Mariane wahała się, a potem pomyślała, że Lora z pewnością powiedziała by jej, że kobieta zamężna nie traci czasu na takie rzeczy.

W miarę jak upływały dni, uświadamiała sobie, że jest sama w inny sposób niż przedtem. Przedtem „czuć się samą” znaczyło, że nie ma z kim rozmawiać i nikogo nie interesuje, jak się jej wiedzie. Obecnie „czuć się samą” znaczyło dodatkowo, że nie tylko wszystko jej jedno, czy wygląda schludnie, ale że obojętne są jej własne piersi, obojętne są rozpaczliwe myśli o macierzyństwie, obgryzione paznokcie, jej czułość, która wspinała się gdzieś i wiedła, wszystko to było jej obojętne. Wszystko to miało bowiem sens, kiedy był tu ktoś drugi. Choćby jedynie w myślach i nieosiągalny, ale jako obraz, z powodu którego kobieta sama o siebie dba. Babrze się w kobiecości, a potem z mężczyzną zamieni to na opiekę i uznanie. Nie lubił tych jej broszurek o emancypacji, *Małego doradcy kobiety dwudziestego wieku* i innych takich, ale ponieważ na Mariane nie miało to raczej żadnego praktycznego wpływu, zachowywał swe uwagi dla siebie. Była to jej rozrywka, która wcale nie zakłócała istniejącego porządku rzeczy. Bo Mariane przyjemnie było wiedzieć, gdzie jest jej miejsce, a Hablund potrafił to docenić.

Od czasu gdy ostatni raz odwiedziła tego współpracownika męża i była pewna, że więcej nigdy się z nim nie spotka, z Mariane zaczęło być coraz gorzej. Matka i ojciec mieszkali daleko, rodzeństwa nie miała, a Lora miała własną rodzinę i mało czasu.

Początkowo Hablund był dla Mariane dniem pracy, po którym mogła odetchnąć i zatopić się w marzeniach o swoim własnym życiu z nim i z dziećmi, z innym mężczyzną i z dziećmi lub o upiększaniu czekającego na Hablunda mieszkania, a pozostałego czasu było tak mało, że łatwo było go zabić książką albo gazetą. Pięć miesięcy po swym wyjeździe Hablund stał się jedynym, co nadawało dniu Mariane jakiś sens, choć jednocześnie coraz słabiej wierzyła w jego rzeczywisty powrót. Pragnienie dociekania i dowiadywania się coraz więcej stawało się nawykiem, a potem rutyną, ratującą Mariane Doran w mieszkaniu przy ulicy Hansena przed ostatecznym załamaniem.

Już nie tylko śledziła, co się w ZSRR dzieje, ale rozpoczynała dzień od lektury wszystkich kopenhaskich gazet, systematycznie szukała wszelkich wiadomości dotyczących Rosji i na niewielkich fiszkach robiła sobie wypisy. Z jednej z szaf ubraniowych usunęła całą odzież i urządziła kartotekę. Pod A na przykład Aleksander II, Amu-daria, Archangielsk, pod B – Bajkalsko-Amurska Magistrała, białogwardziści, bolszewizm, pod C – Charyń. Czarne pudło było pełne zupełnie niepotrzebnych jej informacji. Manfred, mąż Lory, przez kogoś znajomego załatwił Mariane codzienne obiady w stołówce Wydziału Filozoficznego. Wyobrażała sobie, że a nuż spotka tam specjalistów, którzy będą mogli jej pomóc. Ulegając presji rodziców, którzy chcieli, żeby przede wszystkim zarabiała pieniądze i znalazła solidnego kandydata na męża, nigdy nie studiowała i zapukać gdzieś, ot tak sobie, do drzwi obcego człowieka z tytułem naukowym, nigdy by się nie odważyła.

Po obiedzie i krótkim spacerze chodziła do bibliotek, w poniedziałek i wtorek do głównej kopenhaskiej, w środę i w czwartek do uniwersyteckiej, a w piątek do jakiejś innej lub snuła

się po mieście i kupowała książki. Po kolacji przychodziła kolej na czytanie w łóżku, w pokoju piętrzył się pod oknem cały stos książek. W kilku gazetach ogólnokrajowych Mariane zamieściła też ogłoszenie, że kupuje książki na temat Syberii. Reagowali na nie przeważnie ludzie dość osobliwi.

Gdy zadzwoniła ta pierwsza kobieta, Mariane właśnie zamierzała się położyć. W ciągu tych kilku minut między zamknięciem książki a snem przesunęło się jej przez głowę wszystko, czego się tego dnia dowiedziała. Chaotyczna mieszanina dat, wykazów zakładów przemysłowych, opisów krajobrazów, zwierząt oraz traktatów politycznych. Cieszyła ją świadomość, że znów wie nieco więcej, chociaż nie była pewna, do czego właściwie może się to przydać. Był to zbyt wielki groch z kapustą, by mogła nazwać to mozaiką i wierzyć, że kiedyś będzie mogła ją uporządkować. Jej sny również były tego rodzaju. Widziała w nich Hablunda na carskim dworze, w czapce z soboli, Hablunda pędzącego psim zaprzęgiem, Hablunda aresztowanego przez Sowieców jako szpieg, dalszego ciągu wolała nie oglądać, budziła się ogarnięta strachem.

Kobieta dzwoniąca tego wieczoru zalała ją potokiem tytułów książek o Syberii we wszystkich możliwych językach, które rzekomo ma, ale nie sprzedaje ich, tylko za opłatą pożyczy. Gdy Mariane powiedziała jej bez owijania w bawełnę, że właściwie interesuje ją jedynie region, w którym od pięciu miesięcy przebywa jej mąż i nie wraca, kobieta natychmiast odparła, że wie, co mu się stało, i że chyba muszą się spotkać.

Mariane, roztrzęsiona bardziej, niż gdyby musiała zapukać do drzwi jakiegoś pana z tytułem naukowym, spotkała się z nią już nazajutrz i stwierdziła, że wszystko, co ta znawczyni przedmiotu chciała jej powiedzieć, to tyle, że szanse Hablunda na powrót są mniej więcej równe zeru. Na pytania, które sama zadawała, Mariane nie potrafiła odpowiedzieć. Czy wie coś o liniach indukcji magnetycznej, przemieszczeniach płyt kontynentalnych i tunelach czasoprzestrzennych? Nie wiedziała. O niewyjaśnionym dotychczas zniknięciu przed trzydziestoma laty statku „Cyclops” w zachodniej części Atlantyku kiedyś wprawdzie słyszała, ale nigdy jej to nie interesowało.

– A właśnie powinno – powiedziała kobieta i dodała, że nie należy lekceważyć rzeczy o tak zasadniczym znaczeniu, jak fakt, że w okolicy, do której pojechał mąż Mariane, nie byłby pierwszym ani ostatnim, o kim już nikt nigdy więcej nie słyszał. Gdzie się coś na Syberii wydobywa i jakie ptactwo tam świergocze, to przecież wcale nie jest istotne, tu chodzi o pęcherzyki, które gdy człowieka wessą, to już nigdy się z nich nie wydostanie. Czegoś takiego ta część Syberii jest ponoć pełna, tak samo jak pogranicze Zatoki Meksykańskiej i zachodniego Atlantyku. Mariane podziękowała kobiecie za informacje, zrobić z nimi nie można było zupełnie nic, ale przynajmniej niczego nie zaniedbała.

Następnym dzwoniącym był młody mężczyzna, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia siedem lat. Student, który rozpaczliwie potrzebował pieniędzy i przypadkowo odkrył w bibliotece rodziców jedną niemiecką książkę o syberyjskiej florze i gotów jest, jak powiedział, odstąpić ją na bardzo dogodnych warunkach. Kiedy Mariane powiedziała mu, że chodzi jej przede wszystkim o coś, co pomogłoby odnaleźć jej zaginionego męża, zbeształ ją tak samo jak kobieta, która dzwoniła przed nim. Czytanie książek nikomu przecież nigdy nie pomogło wrócić do domu. Co przyjdzie jej mężowi z tego, że ona czyta w Kopenhadze książki? Musi po prostu jechać do niego i przywieźć go z powrotem. To jasne jak słońce.

Stanowczość młodego człowieka zawstydziła Mariane. Coś takiego w ogóle nie przyszło jej do głowy. Zaoferował nawet gotowość pojechania razem z nią. Egzaminami odłożyłby na następny semestr i od przyszłego tygodnia mogliby zacząć planować. Wahała się chwilę, czy to nie jest właśnie to, co powinna zrobić, ale potem się rozmyśliła. Brzmiało to nazbyt szaleńczo. A co, jeśli Hablundowi w końcu nie wiedzie się tak źle? Może tej możliwości mimo wszystko nie powinna wykluczać.

Przez kilka następnych tygodni nie odezwał się nikt, dopiero potem znów pewnego

popołudnia. Kobięcy głos, który Mariane musiała już gdzieś słyszeć. Że czytała ogłoszenie o kupnie tych książek i chętnie by do Mariane wstąpiła. Entuzjazm, który przeżywała przy pierwszym telefonie, znikł bezpowrotnie, ale czemu nie, głos kobiety brzmiał przyjemniej niż obydwaj poprzednie, a Mariane miała czas i mogła spotkać się z nią o dowolnej porze.

Przedstawiła się jako Tania Krasnoludkowa i od razu się jej spodobała. Tania miała stragan na targu niedaleko ulicy Hansena, gdzie Mariane chodziła po warzywa, mleko, sery i czasem świeże kwiaty. Głos Tani zdawał się jej znajomy, ale twarzy nie pamiętała. A podobno kupowała u niej ileś razy. Tania wymieniła jej jarzyny, które kupiła ostatnio, ale nawet wtedy jej twarz nie stała się bardziej znajoma. Zaabsorbowana problematyką syberyjską, Mariane chyba nie zwracała uwagi na nic poza kartką z listą zakupów. Dały temu spokój. Spodobały się sobie. Właściwie dlaczego?

Tania była smuklejsza, miała ciemniejszą cerę i wyglądała o parę lat młodziej niż Mariane. Miała krótko ostrzyżone włosy, małą głowę i długą szyję. Mariane przyszło na myśl, że Tania przypomina pestkę na szypułce. W Kopenhadze mieszkała niedaleko ulicy Hansena, w małym pokoiku u starszej pani, a zadzwoniła do Mariane, bo była z tamtych właśnie stron. Nie z Charynia, ale z Obolunia, małej wioski około czterystu kilometrów na południe od Jakucka. Wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie. Do Danii Tania uciekła podobno dlatego, że tam nie można było wytrzymać. W Oboluniu zostawiła ojca i matkę, męża oraz małą córeczkę. Uciekła zaraz po wojnie, całkiem sama, i przez obozy dla uchodźców dotarła aż do Kopenhagi. Miała tu jakichś dalekich krewnych, którzy jej pomogli, ale rzadko się z nimi widywała.

Co prawda żadnych książek o Syberii nie ma, ale pełno tego ma tutaj – popukała się w głowę i roześmiała się. Jej śmiech był podobny do odgłosu, jaki wydają małe przedmioty chroboczące w pudełeczku. Jeżeli Mariane chce czegoś się dowiedzieć, niewykluczone, że ona mogłaby okazać się najwłaściwszą informatorką. Urodziła się na Syberii i mieszkała tam aż do dwudziestego czwartego roku życia. W Danii jest dopiero trzeci rok. Jej duński był niemal doskonały.

Mariane zaraz opowiedziała Tani całą historię Hablunda i dodała, że minęło już ponad pięć miesięcy, od kiedy nic o nim nie wie. Mówiła o tym tyle razy, że z wolna stawało się to dla niej historią kogoś innego. Przygodą z filmu, który wszyscy już przecież znają. Czują przy tym niewiele. Uczucia ogarniały ją kiedy indziej. Gdy jechała przez miasto, kiedy na targu kupowała jabłka, wzbierała w niej jakaś wewnętrzna fala, która chciała zbić ją z nóg i zmieść, jeśli Mariane choć na chwilę użali się nad sobą.

Kiedy skończyła swą opowieść, Tania nadal siedziała, milcząc. Po czym wstała i objęła ją. Można by napisać: „obydwu łzy napłynęły do oczu”, gdyby to uchodziło. Gdyby to nie był ten film, który wszyscy znają i który nikogo już nie wzrusza. Mamo. Tato. W owej chwili Tania była tym wszystkim i w Mariane znów wybuchła rozpacz, której się nauczyła nie słuchać, pękł pancierz, wszystko wypłynęło na zewnątrz, podnosiło się aż do szyi jak woda. A przecież jeszcze wczoraj dowcipkowały sobie z Lorą na temat Hablunda przez telefon, jak też się prezentuje w tej eleganckiej kurtce z foczej skóry, którą uszyła mu jego nowa żona, i czy nie marznie w tych półbutach z kopenhaskiej wyprzedaży. Tylko że teraz wszystko to skłaniało Mariane do płaczu. I płakała, i płakała, aż oczy miała czerwone jak angorski królik, róż na policzkach jak klaun, a pod oczami sińce jak kobieta, którą ktoś pobił. Wkrótce zmyło to i tę szminkę, i resztkę cieni pod oczami, a na twarzy Mariane pozostała jedynie opuchlizna dziewczynki, której spuszczone łanie i która potem długo rozcierała sobie policzki. Tania przyniosła jej lusterko i chusteczkę i Mariane wytarła nos. Chusteczka, cała przemoczona śluzem i łzami, spadła na płytki, którymi wyłożona była podłoga w przedpokoju mieszkania przy ulicy Hansena, a Tania i Mariane obejmowały się, Tania głaskała Mariane po włosach i Mariane na chwilę położyła głowę na jej ramieniu. Potem nastąpiła zmiana: Mariane głaskała

włosy Tani, która tuliła się do niej niczym małe szczeniátko albo kotek. Nie było to nic, co by znały, nic, o czym następnego dnia Mariane opowiadałaby przez telefon Lorze.

Tego oczekiwała Mariane od tych wszystkich zagrających mieszkanie różowych poduszeczek, kocyków i zwierzątek ze szklanych kuleczek. Tego uczucia. Znów myślała o Hablundzie i zaraz znów o Tani, stały, obejmując się, i co robiła jedna, po chwili robiła druga, jak lustrzane odbicie, jak coś, co człowiek robi sam ze sobą, z tą jedynie różnicą, że teraz staje się on właśnie kimś innym. Z Hablundem ich cielesność wyrażała się w jednoznacznie odmiennych zadaniach jednego i drugiego. Ona poddawała się sile, upajało ją, że tę siłę w nim budzi i że on jednocześnie jest tym, kto o tę siłę w tej chwili prosi. Słowem, weźże mnie, siło, twoja radość jest również moja, choć troszkę mniejsza. I siła brała ją, a Mariane sprawiało to przyjemność. Czasem zaś bywało odwrotnie. To ona miała być siłą i chcieć go, i mieć go tak, jak chciała. To również Mariane potrafiła. On był tym, ona owym – lub odwrotnie. Czasem miała na to ochotę, kiedy indziej nie. Lecz ponieważ głównym zadaniem ich obojga było spłodzenie dziecka, wszystko inne nie wydawało się takie ważne.

Najtrudniejsze było, co robić i mówić potem. Ten płacz i te objęcia mogły trwać kwadrans, nie dłużej. Mariane myślała, że po nich Tania prędko sobie pójdzie. Ze będzie tak, jakby tego nigdy nie było – chciała, żeby stało się tak, i zarazem nie chciała. Co by było, gdyby nie?

– Mogę opowiedzieć ci wszystko, co pamiętam. Jak to u nas wygląda. Wszystko jest tam wielkie, ale wszędzie bywa dosyć podobnie. Nie wiem, czy mogłoby ci to jakoś pomóc, ale może razem na coś wpadniemy – zaproponowała Tania, gdy Mariane uspokoiła się i osuszyła twarz.

Mariane przytakiwała, nic lepszego sama nie potrafiłaby wymyślić. Zauważyła, że Tania ma odrobinę skośne oczy i nos, jakby ktoś jej go lekko rozpląszczył. Na pierwszy rzut oka nie było tego widać.

– Mogę go dotknąć?

– Oczywiście.

I Mariane dotknęła nosa Tani, i przejechała palcem wokół jej oczu. Tania drgnęła i odchyliła głowę.

– Mam nadzieję, że jest dla ciebie jasne, że nie będę ci opowiadać o żadnych przygodach. Jak uciekałam i ukrywałam się, jak żyło mi się z mężem, a następnie bez niego, i co przydarzyło mi się w drodze z Obolunia tutaj. Powiem ci, co Hablund widzi, gdy się budzi rano, co czuje, co pewnie je na śniadanie. Z okna swojej milutkiej, zapleśniałej chatynki.

– Ja czytałam, że tam jest raczej sucho, bo to daleko od morza.

– Jak chcesz. No to z okna swojej nędznej rudery z jedną izbą, może z jedną, i z przybudówką, i z psią budą, w której mieszka wiecznie senny i warczący na ludzi pies. Po pierwsze, od rana jest tam zupełnie cicho. Teraz już chyba także o tym nie wie, bo się przyzwyczaił, ale na pewno przynajmniej na początku bolała go wskutek tego głowa. Otwierasz oczy – i jakbyś się obudziła we własnym grobie. Zwłaszcza zimą. To śnieg jeszcze wszystko ścisza jak przekrecona w lewo gałka aparatu radiowego i głos każdego, kto się w chałupie odezwie, brzmi przeraźliwie jasno i głośno. Jeśli Hablunda od tej ciszy nie boli już rano głowa, a myślę, że po pięciu miesiącach przywykł, to być może po przebudzeniu jest nawet przez chwilę szczęśliwy.

– Ale przecież uciekaś stamtąd. Myślałam, że dlatego, że ci się tam nie podobało.

– Jasne. Uciekałam stamtąd, ale też tych momentów porannego szczęścia bez żadnej przyczyny tutaj nie miewam. Specjalnie powiedziałam o czymś, co będzie wydawało mu się tam dobre, żebyś i ty się uspokoiła, nie wiem dlaczego miejsce, z którego się ucieka, ma być czarnym kotłem, w którym nic nie jest dobre. Z wami, Duńczykami, jest tak zawsze. Jak powiem, że uciekałam, a potem coś pochwalę, to zaraz się czuję, jakby mnie przyłapali na kradzieży bułki w sklepie albo na czymś w tym rodzaju.

– Dobrze. Przepraszam.

– A ty to znasz, te chwile wielkiego szczęścia bez żadnej przyczyny? I że nie ma to żadnego związku z mężczyzną! Zupełnie bez przyczyny.

– Nie wiem.

– Ja wiem. Kiedy patrzysz rano na te swoje zasłony, przez które prześwituje słońce, przeciągasz się jak kotka i nie brak ci absolutnie niczego, ponieważ jesteś w domu, prawda? Mimo że twój mąż gdzieś zaginął. Ponieważ rano zawsze musi upłynąć jakaś chwila, zanim sobie to przypominasz.

– Być może.

– W zimowy ranek w syberyjskiej chałupie świeże powietrze po prostu zwała cię z nóg. Fiuuu! Słońce oślepia cię igłami swych promieni, bo odbijają się od kryształków śniegu i są jeszcze dziesięć razy ostrzejsze. Szrrr! Przez całe ciało przebiega ci dreszcz, bo to powietrze natychmiast wywiewa przez okno całe ciepło, tak pracowicie wytworzone w nocy. Teraz to plotę trzy po trzy – roześmiała się Tania. – A wiesz dlaczego?

Rozchichotała się jeszcze bardziej.

– Bo w zimie nie otwiera się okien. Są obetkane mchem, gazetami, zalane smołą, wszystkim, czym się tylko da. Więc kiedy wejdiesz w zimie do chałupy, poczujesz straszny smród. Tylko że w nocy się przyzwyczajasz i rano nic nie czujesz. Już lepszy smród niż zimno. Ale to Hablund na pewno też już wie. I wie także, że ludzie wcale nie mówią sobie rano „dzień dobry”, bo każdy wstaje o innej porze i albo sam już wyszedł, albo budzisz się i widzisz, że wyszli już wszyscy inni. A wiesz, po czym poznasz, że cię szanują?

– Po tym że nie robią rano hałasu?

Tania znowu się roześmiała.

– Hałas robią wszyscy. Jak się ktoś wskutek tego obudzi, to jego sprawa. Jeżeli cię szanują, to kiedy się obudzisz, pali się już w piecu, a najlepiej, kiedy jeszcze do tego na stole stoi śmietana z jagodami. Gdybyś miała czarodziejski telefon i mogła zadzwonić do Hablunda, o to powinnaś go zapytać na samym początku. Żebyś wiedziała, jak się tam biedakowi pośród nich wiedzie.

– Dlaczego zaraz biedakowi?

– Bo mu tam, do licha, ciężko. A jak myślisz? Myślisz, że ten piękny poranek wystarczy ci na cały dzień? Dlatego nigdzie indziej nie zdarzały mi się takie momenty szczęścia, bo to nigdzie nie było takie straszne. A mężczyźni jest chyba jeszcze trudniej. Duńczykowi na pewno. Czekają na jakikolwiek jego błąd, żeby potem mogli czuć swoją wyższość.

– Dlaczego?

– Bo się go boją. Bo nie wiedzą, kto to taki.

– Myślę, że Hablund na pewno im to powiedział, kiedy tylko przyjechał. Skąd przybył i co go tam sprowadza.

– Żeby nie wiem co, nikt w te jego bajdy nie wierzy. „Czczeka” nazywa się to u nas na wsi. Dosłownie: gadanie cudzoziemca. To znaczy – taka tam paplanina. Myślisz, że oni mówiliby prawdę gdzie indziej niż wśród swoich? Myślisz, że ja większości ludzi tutaj mówię prawdę? I dlatego tam z góry przyjmują, że z nim również jest inaczej, niż im to przedstawia. Sądzą według siebie. Hablund także. I dlatego przeżywa tam takie trudne chwile.

– Mówisz tak, jakbyś to wiedziała.

– Nie mówię, że nie żyje, powinnaś być zadowolona.

Mariane znowu miała łzy w oczach.

– No tak. Wolnego, wolnego. Ja tylko mówię, że tam życie nie płynie po różach, jak tobie tutaj – powiedziała Tania i wykręciła piruet.

Mariane nie wiedziała, czy Tania kpi sobie z niej, mając na myśli jej mieszkanie, czy tylko tak się jej powiedziało.

– Czarne lasy. Jakby ciężarówkami zwożono do nich całą ciemność. Ciemnozielone, z

polanami porośniętymi wiecznie mokrą trawą tam, gdzie słońce nigdy nie dochodzi.

Krople rosy na jodłach, jakby ronily łyzy. Przyjeżdża radziecki buldożer i drzewa padają. Zawsze co najmniej dziesięć razy zakleszcza im się piła. Sowietom. Także dlatego że robią to ludzie niemający pojęcia o tej pracy.

– To nie mają tam specjalistów od pracy w lesie?

– Specjalistami od tej pracy są wszyscy, którzy odbywają karę w obozach. Przestępcy i niemogące wyjść ze zdumienia paniusie, które wiedzą jedynie, jak trzymać szklankę z herbatą, gdy się siedzi przy samowarze. Teraz kiblują za udział w spisku przeciwko państwu, a drzewa ścinają tak, żeby to ich roślinne cierpienie trwało możliwie jak najdłużej.

– Czytałam, że w Rosji jest wielu więźniów, ale nie wiedziałam, że to również kobiety.

– Ba. Kobiety, dzieci... Staruchy co rano wozili przez naszą wieś do roboty do lasu, od kiedy tylko pamiętam.

– Staruchy?

– Po pięciu latach tej harówki robią się z nich staruchy. Pewnego razu jako dziecko rzuciłam w jedną kamieniem i ojciec spuścił mi lanie. Bałam się ich. To były straszdyła. Ta kobieta pobeczkała się, choć pięcioletnia dziewczynka nie mogła zadać jej bólu.

– Dużo ich było?

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. Łagrów, w których są osadzeni, jest w tajdze od groma i trochę. Zwierzęta zostały wypłoszone. Wszędzie jakieś druty kolczaste. Uciekłam stamtąd także z tego powodu. Wciąż wisi ci to przed nosem. Wzajemnie sprzeczne zarządzenia. Jak zechcą, to zawsze znajdą jakiś powód, by posłać cię do łagru.

– Czyli te słowa o ustroju sprawiedliwości społecznej to są w rzeczywistości tylko same wymysły?

– Są, nie są, niektórym żyje się lepiej. Raz przyjechało do nas kino objazdowe. Było to wielkie wydarzenie. Wystroiliśmy się. Tych, co na ten seans nie przyszli, wywieziono potem wielkimi ciężarówkami. Ludzi, którzy byli chorzy, i tych, co schowali się pod łózkami. Najgorsze, że ludzie na wsi nie wiedzieli, co będzie jutro. Wciąż były jakieś obchody. Nie rozumieliśmy tego. Przywozili różne rzeczy. Na przykład podniszczone szkolne ławki. U nas jednak żadnej szkoły nie było. Poszły na wielkie ognisko, było nam strasznie zimno – i znów z tego powodu powywozili ludzi. Machali, zawsze machali. Jak byłam jeszcze małą dziewczynką, najważniejsze było nie być głodnym. To znaczy ukryć, co się miało. Tylko że potem sąsiad nagadał o tym gdzie nie trzeba i wywieźli dziadka. A później wywieźli tego sąsiada. Wyczuli, że śmierdzi u niego mięso. Miał na strychu dwie krowy. Łapał do wiadra krew, co kapała z sufitu między deskami. Jego żona przekonywała ich na kolanach, że on jest wariat, ale że ona nic nie wiedziała. Dali jej spokój. Potem powiesiła się razem z dziećmi.

– Taniu, przecież to horror!

– To jest normalne. Chcieli nas ucywilizować. Przyjechali ochotnicy, że niby będą nas uczyć. Ja miałam wtedy siedemnaście lat, oni też. Pozbierano ich z wielkich miast, mieli głośniki i z samochodów, którymi przyjechali, grała muzyka. Rozdawali dzieciom zabawki, przywieźli też mąkę i fasolę w puszkach. Nigdy przedtem nie jadłam czegoś równie dobrego. Delikatnego i w gęstym sosie. Była tam dziewczyna, która mi się podobała. Miała długie, jasne włosy, jak ty. Nie pamiętam już, jak się nazywała. Wymieniłyśmy się adresami, miały się nawiązywać przyjaźnie. Nauczyła mnie szydełkować okrągłe podkładki pod garnki. Potem je rozdawałam, jak ktoś przychodził do nas do domu. Ludzie przybijali je sobie gwoździami na ścianie jako obrazki.

– Nie chodziłaś do żadnej szkoły?

– U nas nic takiego nie było. Rodzice powinni gdzieś mnie wysłać, ale nie chcieli, więc zostałam w domu. Parę razy przyjeżdżał ktoś do nas na kontrolę. Zwoływano wszystkie dzieci i musieliśmy głośno czytać i rachować. Połowa nic nie umiała. Rodzice otrzymali naganę i polecenie natychmiastowego posłania dzieci do szkoły, po czym kontrolerzy sobie pojechali.

Czytać nauczyła mnie ta dziewczyna między jednym szydełkowaniem a drugim. Z podręcznika dla małych dzieci. Szło mi to dobrze. Potem czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce. Zimą. Przywieźli nam książki. Wszystkie były takie same, w czerwonych okładkach. Przemówienia. „Szanowni towarzysze i towarzyszki...” – kilka z nich umiałam na pamięć. W chałupie było zimą zawsze ciepło. Jem, potem czytam, a potem śpię. Przez okna nic nie widać, bo są na dwa palce zarośnięte śniegiem, palimy sobie świeczkę. Piec chrupie drwa, kopci, jesteśmy wszyscy razem i mamy pełne brzuchy. Początkowo mieliśmy tylko palenisko, piecyk był o wiele lepszy. Albo pierożki. Także od Rosjan. Nauczyli nas je robić przyjezdni. Mieli zbudować sobie własne chałupy, tylko że przywieziono ich w zimie. Zrobiliśmy dla nich miejsce w swoich. Część z nas z tego powodu mieszkała jedynie pod skórą, była to jedna z najgorszych zim. Dzieci spały na plecach dorosłych, było nas osiemnaścioro w jednej izbie. Paru Rosjan tej zimy nie przeżyło. Nie byli do tego przyzwyczajeni, a dwoje z nich nasi zabili. Ze złości, że tyłu ich przyjechało, a nas nikt nie zapytał.

Tania roześmiała się.

– Czemu się śmiejesz?

– Bo jak nas potem pytali, spodziewaliśmy się jakiegoś podstępu. Nie pytali prawie nigdy. Nauczyliśmy się.

– Czego?

– Być niewidoczni. Na trzy lata zupełnie o nas zapomnieli. Żyliśmy po swojemu. Ja żałowałam, bo podobało mi się, jak przywozili do nas różne rzeczy. Musieliśmy znowu jadać jak dawniej, polować, garbować skóry, bo połowę samic reniferów nam zabrali, ale z wolna przestawaliśmy się bać. Myśleli, że zostaliśmy wysiedleni. Że Oboluń już nie istnieje. Ktoś przegapił nas w papierzyskach. Odkryli nas przez przypadek więźniowie, którzy pracowali niedaleko w tajdze. Wydali nas. Potem już żadnemu z nich nigdy nie pomogliśmy. Elegancko przekazywaliśmy ich zawsze Rosjanom, był za to worek cukru.

– Przecież to nie była ich wina.

– Większość z nich to i tak byli kryminaliści. Fakt. Skośnookich nie zgłaszaliśmy. Wiedzieli o tym. Czasem przychodzili też do nas, żeby się najeść, zanim uciekną dalej. Było to głównie w lecie. Wiecie były komary i grzęzawiska, w których zapadały się również źle zbudowane chałupy. Ale znów było ciepło, mogli spać na dworze. Zimą można było biec po wodzie, po mokradłach, po wszystkim. Ale jak jest minus czterdzieści, jeśli dwa razy nie uda ci się rozniecić ognia, trzeci raz już go zgrabiałymi palcami nie rozniecisz. Tych znajdowaliśmy potem skurczonych w bryłach lodu albo już rozmrożonych, bez twarzy, dopiero wiosną. Przeważnie jednak zimą. Uciekali po szlakach już wydeptanych, a były to nasze ścieżki. Ścieżki naszych myśliwych. Jak było polowanie, zostawały u nas jedynie kobiety z dziećmi i starcy. Tańczyliśmy. Żeby przynieśli dużo upolowanej zwierzyny. Ale o tym nie wolno było mówić.

– Dlaczego?

– Jeśli Hablund także będzie zadawać tak niemądre pytania, to mu nawet duch tajgi nie pomoże.

– Dlaczego?

– Bo będzie uznany nie tylko za podejrzanego, ale i za głupca. Zwierząt nie wolno przecież spłoszyć. Samochwalstwo to gwarancja nieudanego polowania. Dlatego trzeba udawać, że niby nic. Szacunek dla naszych miejsc to tak, ale ani mru-mru. Żuk powie to wiewiórce, wiewiórka klakunowi, a klakun reniferom, i one pójdą gdzie indziej, nie tam, gdzie będą zaczajeni mężczyźni, jeśli chcesz wyjaśnić to po waszemu.

– I ty też wierzysz w takie rzeczy?

– Wierzę, nie wierzę, takie rzeczy istnieją. Przynajmniej tam. Możesz się ze mnie śmiać, tutaj to wszystko jedno, ale Hablundowi bym tego nie zalecała. A jak spytasz dlaczego, to będę milczeć jak grób, żeby on sam nie wpadł przez to w jakieś tarapaty. Czy ja wiem w

jakie? Czy ja wiem, gdzie on jest? Może jest gdzieś z Ruskimi już piąty miesiąc pijany i wyśmiałyby mnie tak samo jak ty.

– Ja się z ciebie nie śmieję.

– Ależ śmiejesz się. Nie wierzysz nawet w połowę tego, co ci mówię.

– Wierzę.

– A gdybym ci powiedziała, że zjadali małe dzieci? I że szaman może zmienić się w wilka, przekląć cię i udusić twoją rodzinę? I że jeśli będziesz wymyślać duchowi tajgi, to pewnego dnia w niej zaginiesz? I że kiedy uciekniesz tak jak ja, czasami będziesz tęsknić tak bardzo, że będziesz chciała obejmować i całować obcą kobietę tylko dlatego, że kogoś ci przypomniała?

– Tę, co nauczyła cię szydełkować podkładki pod garnki i czytać?

– Tę. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię na targu, szłaś kupować warzywa na drugi koniec targowiska, strasznie pragnęłam, żebyś podeszła do mnie. I ty nagle odwróciłaś się i ruszyłaś przez cały targ prosto do mojego straganu.

– Zapewne pomyślałam, że tam, na tym drugim końcu, mają zwiędnięte.

– Zwiędnięte to mam ja. To najgorsze warzywa na całym targowisku. Połowa jest spleśniała i pomarszczona jak ręce starego człowieka.

Tania znowu się roześmiała.

Mariane była wyraźnie rozgoryczona.

– Oszukujesz.

– Na wierzchu zawsze kładę coś ładnego.

Tania podeszła do lodówki i z satysfakcją wyjęła z niej pęczek marchwi.

– Te są kupione u mnie. Ta jest spleśniała, a wszystkie z wyjątkiem tych trzech są miękkie jak z gumy. Tylko mi się tu znów nie rozbecz. Jak chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć tego twojego, to nie możesz być z cukru. Taki pęczek marchwi w Oboluniu znaczy, że jak jutro znowu staniesz na nogach, to nie będą ci drżały. Hablund mógłby ci opowiedzieć. Jak wróci, to już my się za ciebie weźmiemy.

– Naprawdę myślisz, że wróci?

– Nie wiem, ale na pewno warto spróbować go stamtąd wyciągnąć.

– Jechać do Charynia?

– A pociągi się tam w ogóle zatrzymują? Do Obolunia na przykład nawet torów żadnych nie ma. Tam musiałabyś w Jakucku znaleźć kogoś z samochodem, kto za opłatą zabrałby cię na południe, i jechać zimą, bo latem są tam bagniska.

– Sama?

– Albo z kimś, czy ja wiem? Ale ze mną byłoby raczej trudno, skoro stamtąd uciekłam. Pomaszerowałabym do łagru, jak tylko pierwszy raz zajrzeliby mi w dokumenty. W takich sprawach w Związku Radzieckim mają znakomity porządek.

Tego wieczoru Tania została u Mariane na noc. Włożyła piżamę Hablunda, żeby, jak powiedziała, lepiej się jej o tym myślało, i nie chciała spać nigdzie indziej niż tylko na połowie łóżka, na której sypiał on.

Mariane chciała dowiedzieć się czegoś o tym, czy Tania tu kogoś ma i jak to jest, kiedy zostawi się tak daleko swoje dziecko, ale Tania tylko warknęła, że z Maszą rozmawia, kiedy tylko ma ochotę, a co do mężczyzn, to niech Mariane nie wtrąca się w jej życie – i natychmiast zasnęła. Mariane przewracała się z boku na bok, zasypiała i znowu się budziła. Obok niej oddychała piżama Hablunda, podczas gdy on był gdzieś tam, skąd przyjechała ta kobieta. Ledwo umie czytać i rachować – westchnęła. Klientów na targowisku na pewno oszukuje przy wydawaniu reszty, a w domu cieszy się, że ich tak przechytrzyła. Ostrożnie objęła Tanię w pasie i przytuliła nos do jej szyi. Czuła się jakoś dziwnie.

Erske

Elwira ucieszyła się z mydła „Lotos”. Poczowała się lepiej. Raz na jakiś czas musiała się wyplakać, jak w sklepie u Myszkinej, a potem znów mogła czekać. Jest to coś takiego jak generalne sprzątanie. Sama czuła się potem tak, jakby leżała w łóżku zasłanym czystą pościelą i znów przez jakąś chwilę mogła czekać na Fiedię z większym spokojem. Parę tygodni. To tak jak kolejne zmiany pór roku – powiedziała Erskemu. Myślał, że powie mu więcej. Ale nawet po paru tygodniach niczego więcej się nie dowiedział. Ot, jakiś Fiedia, ojciec Sierioży i jak wszystko wskazuje – nicpoń.

Była zima. Uderzyła nagle i niespodziewanie, dokładnie tak, jak ludzie ostrzegali Erskiego. Jednego dnia spacerował po ulicy w lekkim swetrze, brnął przez liście, które w porywach wiatru opadały tuż przed nim, a nazajutrz rano chałupa była zasypana śniegiem. W ciągu kilku następnym dni śnieg stopniał, ale ten, który spadł potem, nie zniknął aż do wiosny. Erske przywiózł z domu maść przeciw odmrożeniom ze świetnym filtrem przeciwsłonecznym, ale po paru dniach i tak zaczął smarować się tym, co charyniacy. Śmierdziało to, ale grunt, że potem policzki go tak nie bolały. Początkowo wkładał tylko jedną parę rękawiczek i szal. Potem czapkę, drugą parę rękawic na te pierwsze i jeszcze jeden szalik, którym owijał twarz. Tu chodziły tak małe dzieci. Opatulone, ze smarkami spływającymi na szal. Niektórzy mężczyźni nie nosili szalików niemal nigdy i aż do listopada w ciągu dnia, gdy tylko słońce zaczynało przygrzewać, rozpinali kurtki i chodzili tak, póki nie zaszło. Erske, choć chciał robić dobre wrażenie, nie mógł ich naśladować. Zamarzłby. A przecież zima dopiero się zaczynała.

Chodził teraz często do buraczarzy. Waśka i Dima znali parę słów po rosyjsku, kilku innych ludzi, jak się okazało, także. Przedtem mówić po rosyjsku umieli wszyscy. Podobno chcieli być jak Rosjanie. Jeść słodki, miękki chleb i posążki przodków rzeźbić na kształt matroszek. Robili wszystko, co Rosjanie chcieli. Ale później odkryli własne możliwości. Nad Czewapiką zaczęła się unosić czerwona mgła, podobano się to starym charyńskim komunistom. Ten kolor. Erske wyobrażał sobie, jak też to musiało wyglądać, gdy w Charyniu ktoś pierwszy raz zauważył ten czerwony obłok. Kopciło z Czewapiki, w Charyniu świętowano kolejny szczebel do ostatecznego zwycięstwa i wydawało się, że syberyjskie plemiona, tak jak proletariusze, pomaszerają ręką w rękę za jasnym słońcem, lecz nie trwało to długo. „To jakieś czary – zaczęto wkrótce pomrukiwać w Charyniu. Dzieło szatana oraz kontrrewolucji”. Starzy żegnali się po kryjomu znakiem krzyża, młodzi zaklinali się na Lenina, ale wszystko na próżno. Czewapika dymiała burakami, a charyniacy nie potrafili tego dziwnego zjawiska naśladować. Wiele lat później, gdy umarł Welor, buraczarze dostali od idiotki pierwszy telewizor. Złe języki twierdzą, że po to, żeby się im nie udało. W tym pudle Rosjanie potrafią przecież wyczyniać tyle przedziwnych rzeczy. To właśnie wtedy rozpoczęła się druga fala wielkiej emigracji. Świadkiem pierwszej był Hablund. Chodzono wtedy do Bownika, dawano wybić sobie zęby, żeby dostać zezwolenie na wyjazd, ludzie łamali sobie wzajemnie kości.

Erske wiedział o tym od Pszeły. Waśka i Dima zaprowadzili go do niej, wiedzieli, że matka mówi po rosyjsku. Pobiegli gdzieś w głąb buraczanej mgły i zaraz zjawili się z powrotem. Rękami w rękawicach przyciętych tak, żeby można w nich było obsługiwać maszynę do buraków, wzięli Erskiego za palce i potykając się, ruszyli do matki przez sterty poobijanych baniek leżących przy nieczynnym już agregacie.

Pszela przeczuwała, że Erske w końcu się u niej zjawi. Że Waśka z Dimą będą chcieli się pochwalić swoją matką, jak przystoi dobrze wychowanemu synowi.

– Ostatecznie skończyliśmy w czymś w rodzaju zespołu estradowego – powiedziała. – Mniej więcej dwadzieścia lat temu.

Na głowie Pszela miała futrzaną czapkę z długimi frędzlami, pod płócienną spódnicą skórzane spodnie z niebiesko-zielonym śniegułami, na to skórzaną kamizelę z kapturem, siedziała na balii przed chałupą, pacnęła dłonią koło siebie, żeby się przysiadła.

– Wykombinował to wtedy Kawarycz – ciągnęła po krótkiej pauzie. – Zauważyłeś, że niczego nie robi porządnie? No, może tylko to, co wymyśli sam. Zapalił się do tego, bo sądził, że dostanie pieniądze od towarzyszy. Że jeździlibyśmy po garnizonach wojskowych, wszędzie tam, gdzie ludzie się nudzą i są wdzięczni za wszystko. Miał on jeździć z grupą buraczarzy, już nawet nie wiem, jak to wszystko wtedy nazwał. Umówił się z góry z czterema garnizonami, wszystko załatwił telefonicznie, stale był tutaj, u nas.

Dawał się nosić na rękach, kumał się, z kim się dało. W garnizonach pokazywaliby czerwoną mgłę, na ich oczach buraczarze naładowaliby im baterie do radiodbiorników i akumulatory do samochodów. I Kawarycz myślał, że sam w tym czasie podpatrzy, na czym te czary polegają. Ale przyjechali do pierwszego garnizonu – i nic. Buraczarze chlapanęli sobie przed występem parę głębszych na wzmocnienie, a potem leżeli pijani jak kłody, występ Kawarycz musiał z wielkim wstydem odwołać. Kiedy powtórzyło się to trzy razy, Kawarycz wsadził ich wszystkich do pociągu i ze wstydem pojechali do domu. Od tej pory do Czewapiki nawet nie zajrzał. Spryziuka, który myśli o sobie Bóg wie co, a rzadko kiedy coś się mu uda... Kiedy dali mi znać, że pracę na poczcie zamiast mnie dostanie Elwira, myślałam, że znów maczał w tym swoje brudne paluchy, ale tym razem zadecydowały zasługi jej nieżyjącego dziadka.

Erske o dostaniu przez Elwirę posady w związku z zasługami Welora nic nie wiedział. I nawet nie miał ochoty wiedzieć. Już i tak usłyszał aż za wiele. A w dodatku coś mu się tu wydawało podejrzanym. Że niby w Czewapice dokonano wynalazku, nad którym w Charyniu na próżno łamią sobie głowę? W Czewapice, gdzie połowa buraczarzy nie umie czytać ani pisać?

Spyta Kawarycza, co on o tym myśli. Kiedy pojedą wreszcie do jakiegoś łagru i po drodze będą mieć sporo czasu. Skombinuje ten samochód. I pójdzie do tego nauczyciela, bo o tym, że mógłby uczyć w szkole, już jakoś zapomniano. Potrzebuje czasu – i powodu, żeby tutaj przebywać. Charyniacy zaczynają być podejrzliwi. To, że zajmuje się badaniem obcych kultur, zupełnie ich nie obchodzi. Nie wierzą mu ani trochę. Może lepiej będzie mówić jedynie, że jest antropologiem. Lecz nie jest to odpowiedź na pytanie, co tutaj robi. Że szuka kogoś, kto zniknął sześćdziesiąt lat temu? Wyśmieją go albo wszystkim im jak na rozkaz skamienieją twarze i nic już z nich nie wyciągnie.

Erske postanowił poradzić się matki. Jej może powiedzieć wszystko, nie przestraszy jej. Teraz to raczej ona straszyla jego. Namawiała, żeby dał sobie spokój i wracał. Nie podobało się jej, że dotykają jego rąk. Przeważnie starzy ludzie. Podchodzili do niego i sprawdzali, ile też mogą ważyć jego ramiona. Erske czuł się przy tym nieswojo, ale oni uśmiechali się tylko bezzębnymi ustami i z zadowoleniem kiwali głową. Odnotował ten zwyczaj w swoim notesie.

Matka straszyla, że widziała coś o tych plemionach w internecie. Nie chciała powiedzieć co. Może to, że tu, gdy jest sroga zima, ludzie gotują i zjadają swe buty. Zima Erskego przerażała. Matka pytała, gdzie spadł meteoryt tunguski, bo tam podobno znów zarejestrowano promieniowanie. Ludziom w okolicy wypadają włosy i rodzą się sześcioraczki. Zapewnił ją, że to daleko na północ od Charynia. Tam zimy nie przeżyłby nawet przez przypadek. Już teraz nie miał nic więcej do włożenia na siebie. Będzie musiał pojechać na ten targ do Pstrug, o którym wszyscy mówią. Uzgodni to z Elwirą.

Samochód pożyczył im w końcu Udiej. Pojechali Erske i nauczyciel, Udiej siedział za kierownicą, Elwira ani Kawaryczowie jechać nie chcieli, bo i po co. Samochód Udieja był to stary radziecki uaz bez okien. Jadących nim smagały gałęzie, prószył do środka śnieg, nauczyciel siedział koło Udieja z przodu, a Erske, opatulony w kurtkę, kulił się z tyłu, z prowiantem. Butelki z wódką, kilo miękkiej kiełbasy od Myszkinej, parę konserw – pobrzękiwało to na siedzeniu obok niego, podczas gdy z przodu ci dwaj śmiali się, Erske nie wiedział z czego. Co chwila walił głową w sufit, trzymał się oburącz siedzenia, a potem zasnął.

Z przodu nauczyciel opowiadał Udiejowi o Fili Miedosjewej. Tę historię wszyscy znali, zanudzał nią każdego. o tym, że kiedy jeszcze był młody, przysłano do Charynia tę godną zaufania towarzyszkę, żeby mu przez pierwszy rok pomagała, zanim nauczy się sam radzić sobie ze wszystkim. Fila uczyła już wiele lat w podobnej głuchej dziurze i wiedziała, jak to jest w klasach zbiorczych. Jak trzeba porozdzielać zadania między uczniów w różnym wieku, żeby sobie wzajem nie przeszkadzali i żeby można było do końca roku szkolnego przerobić cały materiał. Tak mu to wyjaśnili w *sielsowiecie*. W rzeczywistości chodziło przede wszystkim o nadzór ideologiczny. Czy należycie mebluje uczniowskie głowy, nie zapominając o naukach Lenina. Mówiło się, że w drugim półroczu, zanim ją odwołali tam, skąd przysłała, prowadzili również wspólne gospodarstwo domowe. Ona chodziła do pracy w obcisłej zielonej spódnicy i kurtce, jakby była oficerem, a nauczyciel dreptał za nią z rękami pełnymi pomocy naukowych, podręczników, wypchanych normików i kawałków kredy, które ze zdenerwowania upuszczał przed tablicą na ziemię.

– Gdyby tylko mógł sobie pan wyobrazić...

Udiej palił papierosa, uważał na drogę i nie słuchał go.

– Te metody...

Gdy towarzyszka wyjechała, nauczyciel już z nikim w Charyniu się nie związał. Mówiono, że on podobno też zawrócił jej w głowie, że po powrocie w swoje strony nikogo już nie miała. E, takie tam gadanie – pomyślał Udiej. O istnieniu przewiązanych sznureczkiem nieotwartych listów, które Fiedia wyrzucił po śmierci Fili, nikt nie miał najmniejszego pojęcia.

Erske ocknął się, gdy w południe Udiej na chwileczkę przystanął, i zaraz znowu zasnął. Obudził się, kiedy słońce świeciło z ukosa, zbliżał się wieczór. Byli na miejscu. Z samochodu widział dokoła tylko obrośnięte zielenią betonowe ściany. Ściany bez dachów, pozbawioną dachu wieżę strażniczą z przerdzewiałymi schodkami, popękany betonowy placyk – tam wysiedli. Zza szczerbatych murów przebłyskiwały między drzewami resztki podłużnych drewnianych baraków, raczej ruiny niż domy. Przed na pół rozwalonym najbliższym murem stała świeżo pomalowana na niebiesko budka z otwartym okienkiem, jak kasa przed omszałym letnim kinem. Dwaj Koreańczycy i jedna Japonka czekali tam na bilety. Cały teren byłego łagru F576 ogrodzony był drutem kolczastym, żeby miejscowa ludność nie porozbijala murów i nie użyła ich do naprawy swoich domów, jak powiedział im mężczyzna w kasie, gdy po mniej więcej dwudziestu minutach wrócił skądś i wszystkim im sprzedał bilety po pięćdziesiąt rubli. Do każdego dołączona była marnie odbita na ksero, niemal zupełnie nieczytelna ulotka z historią łagru. Następnie mężczyzna zamknął budkę i poprowadził ich dokoła dawnego obozu. Japonka fotografowała, jeden z Koreańczyków popłakiwał, mówił, że jego ojciec był tu trzymany po wojnie jako japoński szpieg, drugi włókł się z tyłu; od czasu do czasu podnosił z ziemi jakiś kamyk i pakował go do woreczka, który miał w kieszeni.

Udiej i nauczyciel nie uczestniczyli w zwiedzaniu. Wsiedli do zaparkowanego na placyku przed kasą samochodu, słuchali radia i pogryzali kiełbasę. Erske zwrócił się jeszcze do dozorczy o pozwolenie i gdy inni odeszli, wdrapał się na wieżę i siadł tam na kamieniach. Było już ciemno. Słyszał radio z samochodu, poza tym nic. Dozorca, przyświecając sobie latarką, przeliczył przed budką pieniądze, po czym już tylko czekał, kiedy będzie mógł obiekt

zamknąć.

Erske wyobrażał sobie, jak też musiało tu wyglądać. Snujący się chudzielcy, szykany, wszy, wyczerpanie. Jednak naprawdę wystraszył się dopiero wtedy, kiedy schodził po schodkach w dół, a jeden się pod nim załamał. Dozorca poprosił Udieja, by podrzucili go samochodem do domu, mieszkał niedaleko. Udiej zgodził się i zaproponował, żeby zostali tu gdzieś w pobliżu na noc. Wszystko, czego potrzebowali, mieli ze sobą. Koło ciemnej budy wysadzili dozorcę i zaczęli szukać miejsca na nocleg. Udiejowi nic się nie podobało. To mówił, że tu wieje, to że tam widział wilcze ślady, zawsze coś. Już dawno zjechali z drogi. Erske myślał, że z Udieja jest większy zuch. Że gdzie się położą, tam śpi, zwłaszcza że od rana prowadził wóz. Lecz nic nie mówił. Nie orientował się, gdzie mogą być dzikie zwierzęta ani gdzie może dmuchać wiatr, a nauczyciel milczał. W samochodzie, gdy odwozili dozorcę do domu, nauczyciel ni z tego, ni z owego sam się rozgadał o tym, że z prowadzenia lekcji przez Erskego nici. Że niby wie o tym od Kawaryczowej, przyszła do niego, żeby go przyjął do pracy, ale kierownictwo było temu przeciwne.

– Sami najlepiej wiedzą, kogo potrzebują – oświadczył nauczyciel, patrząc przy tym gdzieś w bok.

Udiej roześmiał się.

– Lepiej, nauczycielu, powiedz, że jesteś tchórzem. Tak samo jak ja, tyle że ja nie robię z tego tajemnicy.

Zatrzymali się w miejscu, które wyglądało tak samo jak wszystkie inne, tylko dalej już samochodem nie można było jechać. Karimata Erskego wywołała burzę śmiechu. Oni sami wypakowali śpiwory, folię i koce. Udiej rozpałił ogień, dookoła którego stanęły pudełka z żywnością i pozostałe jeszcze cztery butelki wódki.

Erske nie był tym zachwycony. W taki sposób w tajdze jeszcze z nikim nie pił. Udiej poszturchiwał go w bok i ręką w rękawicy podsuwał mu butelkę.

– Pij, pij, Świnio jedna. I opowiadaj nam o Elwirze. U mnie w domu była tylko raz, a i to dawno temu. Jeszcze zanim spotkała tego swojego Fiedię. Ale o was dwojgu mówi cały Charyń. Nauczyciel kilka razy podpatrzył was nad glinianką, jak przychodziliście tam w lecie. My tutaj za bardzo pływać nie umiemy. Mnie osobiście do wody nikt nie zaciągnie. Umiemy inne rzeczy. Śpiewaj. Teraz każdy zaśpiewa.

Nauczyciel zaśpiewał falsetem jakąś szkolną piosenkę patriotyczną. Udiej mruknął coś z aprobatą.

– Teraz ty – szturchnął Erskego. – Najlepiej coś o mamie. Nie przyjedzie z wizytą? Chętnie bym ją u siebie przyjął. Powiedz jej, niech weźmie te dobre duńskie słodycze, co przywiozłeś. Już się nam w *posiołku* skończyły. Ale ty te piękne historie o nas pewnie zostawiłeś dla siebie, co? Co jej wciąż mówisz? Ze zimno ci w mokrych skarpetach? Że my żremy rękami? Że z Duńczykami mamy złe doświadczenia?

– To było już dawno – powiedział nauczyciel i napił się.

Udiej i Erske również pociągnęli z butelki.

– No tak, dawno – przytaknął Udiej. – I ani ja, ani nauczyciel nic o tym Duńczyku nie wiemy. Jasne?

– Nas wtedy nie było jeszcze na świecie, no nie?

– Jasne, nauczyciel ma rację. Więc uważaj, żebyś władzom tam u was nie naplótł jakichś głupot. *Gablund* wyjechał i więcej nikt już o nim nie słyszał. Właściwie ciągle tu na niego czekamy. Przynajmniej Saszka. Żeby nam wreszcie puścił ten swój film. Bardzo chcielibyśmy zobaczyć, jak też wyglądało tu w dawnych czasach. Cha, cha.

– Tylko pojechał gdzieś, żeby mu go tam wywołali.

– Tak, właśnie. Od razu widać, że nasz nauczyciel to człek uczoney.

Udiej poklepał nauczyciela po plecach.

– Śpiewaj!

– Kiedy ja nic nie umiem.

Rzucony przez Udieja nóż świsnął Erskemu koło ucha i wbił się w pień.

– Bzdury. No, to powtarzaj za mną.

– Dobrze.

– Żeby mi tak matka umarła, jeśli choć słówko pisnę.

– Żeby mi tak matka umarła, jeśli choć słówko pisnę. Trzecia pusta butelka poturlała się do ogniska i w minutę później wszyscy trzej już chrapali, co słychać było szeroko i daleko.

Tej nocy sypał śnieg. Sypał gęsto i długo, a tymczasem każdy z tych trzech śnił swój sen. Udiejowi śniły się kobiety. Wdowa po Doranie, jak popijają sobie razem przed jej domem i, jak zwykle, wspólnie psioczą na Hablunda, Elwira, ten wieczór, kiedy oboje byli w sztok pijani, i gdzieś w tych snach była również matka Erskiego, do której ten fajtłapa ciągle wydzwania: wielka śnieżnobiała kobieta z czerwonymi wargami, na pół bogini, na pół najpiękniejsza nadmuchiwana lalka.

Nauczycielowi było zimno. Śpiwór miał stary, od dawna już zleżały, do spania na śniegu też nie przywykł. Stało się coś niedobrego, lecz już niemal nikt tego nie pamięta. W duchy nie wierzył, to by mu dopiero Fila Miedosjewa dała...

Obudzony rano, Erske nie wierzył własnym oczom. Ta jasność. I ta cisza. I radość, gdy pomyślał o wczorajszym wieczorze. Co tam gburowatość Udieja, czort z nim, najważniejsze, że trafił na trop Hablunda. Przez te miesiące niejednym razem omal nie puściły mu nerwy, ale jakoś wytrzymał. Czekał pół roku. Opłaciło się. Wystarczyło we właściwej chwili wychylić z tymi ludźmi trzy flaszki i nagle Hablund był tu razem z nimi. Jakieś pieniądze jeszcze ma, teraz już tylko chwycić ten trop i nie puszczać. Buraczarze, uczeni, łagry – wszystko to schodzi na bok. I tak go nie chcą jako nauczyciela, jeden łagier wczoraj widział, a buraczarze to przedstawiciele gatunku *homo sovieticus* skrzyżowanego z tutejszym plemieniem... Wybuchnął śmiechem, ale zaraz pomyślał, że może tamci dwaj jeszcze śpią. Prawdopodobnie całkiem ich zasypało. A potem uświadomił sobie, że nie widzi samochodu Udieja. Zerwał się i zaczął biegać dokoła jak szalony, ale nigdzie nikogo nie zobaczył. Pewnie pojechali po coś i nie chcieli mnie budzić – pocieszał się, zawiązując sznurowadła. Ale zanim skończył się pakować, pojął, że go tu zostawili. Udiej obudził się i pomyślał, że to będzie świetny dowcip. Zbudził nauczyciela, który jako człowiek o słabym charakterze nie zdobył się na nic więcej niżli na odrobinę nieczystego sumienia, jadąc samochodem do Charynia. Specjalnie ululali go wódką. Jak to możliwe, że ich nie słyszał, gdy odjeżdżali? Ta cisza... Sięgnął do uszu. W każdym miał koreczek z polistyrenu, z termosu, w którym mieli jedzenie. Zabezpieczyli się. Bydlęta! Im to należałby się łagier, świniom – zdołał jeszcze pomyśleć Erske, zanim sparaliżował go strach. Nie mógł oddychać, jakby klatkę piersiową ścisnął mu jakiś pasek, jakby poza tym ktoś rąbnął go pałą. Wszystko mu się mieszało. Drzewa, z których sypał się śnieg, białe jak one chmury, skrawki błękitnego nieba niczym splątana szachownica. Szybkim krokiem ruszył po słabo widocznych śladach kół wozu Udieja, było mu zimno, nie powinien przystawać. Żeby chociaż udało mu się dojść do chaty dozorczy. Nie pamiętał, jak długo wczoraj jechali od niej do miejsca noclegu, bo wtedy podrzemywał. Teraz nie wiedział, jak iść. Nie chciał zbytnio się nad tym zastanawiać, żeby ostatecznie nie wpaść w panikę. Gdyby to było w lecie, znalazłby wodę i szedł wzdłuż strumienia. Ślady wozu im dalej, tym mniej były czytelne. Gdyby trafił na tropy zwierząt, poszedłby po nich, ale żadnych nie widział. Wiedział, że nie zorientowałby się, gdyby zaczął krążyć w kółko, bo ślady zasypywał śnieg. W końcu postanowił iść tam, gdzie było najwięcej miejsca między drzewami. Jechali zapewne tamtędy, gdzie było najszerzej.

Zawsze o tym jedynie czytał. Ktoś zabłądził, jest zima, nie wie, w którą stronę powinien iść. Może nawet, dureń, sam podświadomie pragnął znaleźć się w takiej sytuacji. Ma, czego chciał. W Charyniu ci spirytyści powiedzieliby mu, że stało mu się to właśnie dlatego, że tego

chciał. Po to przecież postanowił zostać antropologiem, ten grubasek w okularach, któremu na gimnastyce nigdy nic się nie udawało. Spróbować, jak to jest być prawdziwym mężczyzną. W końcu również ramiona mu zmeźniały, a zamiast okularów zaczął nosić szkła kontaktowe. W Charyniu zawsze co drugi dzień po kryjomu zmieniał je za którąś z chałup na nowe. Sam nie wiedział, dlaczego się tego wstydził. A teraz tu czeka go koniec. Całkiem jak Hablunda Dorana – pomyślał.

Powinien był wczoraj wieczorem wycisnąć z tych dwóch coś więcej o Hablundzie. Wyręby to teraz nożem na kawałku kory, który ściszałby w dłoni, kiedy znaleźliby go złodowacięgo, a stara pani Krasnoludkowa wreszcie mogłaby się w spokoju wyspać. Poczłuzł w oczach. Tylko nie to! Palce miał już tak zgrabiłe, że żadnej kory i tak by w rękę nie utrzymał. Iść. Iść i nie zatrzymywać się.

Dozorca początkowo nie widział nic. Wyszedł na dwór, żeby nabić fajkę tytoniem. W domu było gorąco. Trochę się przewietrzy, nawdycha świeżego powietrza. Albo marzną mu nogi, albo w chałupie panuje taki upał, że można się udusić. Gdy jako młody człowiek pracował jeszcze w obozie jako więzień, w barakach było tak samo. Tyle że przeważnie bywało zimno, gorąco rzadko kiedy. Palili w piecyku starymi onucami, skwierczały gumowe podeszwy, z więźniów lał się pot, ale i tak tłoczyli się wokół ognia, jakby chcieli to ciepło zgromadzić na później. Tym ostrzejszy wydawał im się potem mróz. Za karę.

Pewnego razu udało mu się uciec. Razem z dwoma innymi zdobyli zaufanie strażników i wypuszczono ich za bramę, żeby przynieśli drewna na opał. Strażnicy nasłuchiwali, czy w łągrze słychać odgłos siekier, to była taka kontrola. Tymczasem oni szli coraz dalej, po drodze ociosując mijane drzewa. Potem rozbiegli się, każdy w inną stronę, i tyle ich widziano.

Dozorca jeszcze raz nabił fajkę, wydawało mu się, że daleko między drzewami coś mignęło. Ale znikło. Znow zaczął padać śnieg.

Wtedy, podczas ucieczki, klęczał za drzewem. Drzemał w kucki, odpoczywał, zdawało mu się, że dostatecznie uważa, gdy nagle ktoś od tyłu złapał go za gardło. Nazywał się Buro. Miał karabin. Przedstawił mu się, a następnie wymienił go na worek cukru i pochwałę z ust komendanta łągru. Tubylec zawszony, płaski pysk. Tacy nie rozumieli niczego, ich uświadomienie polityczne równało się zeru. Póki nie dało się czegoś na tym zyskać. Worek cukru od bolszewików. Worek cukru i pochwała z ust komendanta łągru – to wszystko, co ten łąjdał Buro za niego dostał. Bładź.

Szara kropka, którą dozorca przed chwilą zauważył, to był jakiś mężczyzna. Zbliżał się. Co chwila przewracał się na śnieg, znow wstawał, ledwie powłóczył nogami, musiał iść kilka dni.

Trzy dni i trzy noce dochodził do siebie Erske u dozorcy. Karmiony gorącą zupą zasypiał, budził się w nocy, a wewnątrz chaty napełniało go przerażeniem. Księżyc oświetlał szeregi poobtłukiwanych blaszanych menażek, wiszących jedne pod drugimi, na półkach stały dziesiątki odrapanych misek z łyżkami, na ścianach, niczym zdarte z dzików skóry w myśliwskiej restauracji, wisiły resztki podartych więziennych kufajek, w kącie stało kilka starych, połamanych motyk. Dozorca sypiał ze strzelbą, a Erskemu obiecywał, że nic nikomu nie powie. Pssst. Myślał, że Erske jest zbiegiem. Pomylenie. Na dalszą drogę dał mu jedną z tych okropnych obozowych misek, łyżkę, menażkę, trochę jedzenia i kompas wyglądający jakby wydobyto go z wraku statku, szkiełko miał tak zapyziałe, że igła była ledwo widoczna.

– Nie mogę się stąd ruszyć – powiedział Erskemu dozorca.

Nawet nie odprowadził go za próg.

Erske ruszył w drogę z płócienną torbą, w której przy każdym kroku grzechotały obozowe naczynia. Po paru chwilach domek dozorcy przestał dla niego istnieć. Był stanowczo zdecydowany nie oglądać się ani razu za siebie, żeby bez przyczyny nie panikować. Serce tłukło mu się w piersiach, puls walił w skroniach jak szalony, a tajga szumiała prosto w uszy jak wielka morska muszla. Nie zwracał uwagi na zimno. Starał się nie myśleć o niczym

innym, jak tylko o czekającym go najbliższym kroku. Szedł, póki się nie ściemniło, i znowu był na nogach, gdy zaczynało świtać. Ręce były mu wiosłami, nogi – odrzucającymi śnieg łopatkami, mózg – maszynką myślącą tylko o marszu naprzód. Drzewa nabierały koloru pomarańczowego, dookoła płąsały wszystkie leśne istoty. Śnieg stawał się to diamentową równiną, to znów powierzchnią wody, do której pragnął skoczyć i zlać się z nią na wieki, niespodziewanie robiło mu się tak gorąco, że miał ochotę zerwać czapkę i rękawice, i tylko resztki rozsądku mu na to nie pozwalały. Przez pierwsze trzy dni marzył. Niby nic, aż tu nagle z przerażeniem stwierdził, że ręce kończą się mu przy nadgarstkach, a nogi pod kolanami. Dalej czuł już tylko słabe swędzenie. Mógłby użyć swych kończyn jako deseczek do krajania otrzymanej od dozorczy słoniny, tak mało było w nich czucia. Chciał się roześmiać na myśl o czymś tak nonsensownym, lecz nie panował nad ustami. Jakby mu je ktoś tylko namalował na twarzy, dwie nieruchome, niebieskawe kreski. Dotykał ich, a przy tym patrzył na siebie z góry. Z wierzchołków drzew, na których osiadła jego własna głowa, każąca mu iść naprzód, nie zatrzymywać się, i obojętnie obserwująca go, Erskego, człowieka żuczka, wędrującego przez tajgę do Charynia.

Do Lili telefonował przy tym w duchu chyba z tysiąc razy. Jest trzydziestoletnim mężczyzną, który najbardziej na świecie kocha swą matkę, czy to normalne? W Arhus nie przysłoby mu do głowy, że zakończy życie tak śmiesznie. Umrze tylko dlatego, że na chwilę przystanie, by odpocząć. Życie wyfrunie z niego jak kuchenne zapachy oknem, jak pierdnięcie. Śmierć z głupoty. Od czwartego dnia rozbrzmiewało to Erskemu w głowie wraz z rozkazem, żeby ciągle iść naprzód. Przy każdym słowie „śmierć” zawsze zrób jeden krok, inaczej się stąd nie wydostaniesz.

Hablund w tej chwili jest Erskemu zupełnie obojętny. Komu i czego on, Erske, chciał dowieść? Przypodobać się starej babie, która kto wie, czy nie jest morderczynią? A co, jeśli wysłała go tutaj tylko po to, żeby on sam przypadkiem nie wpadł na trop czegoś, na co policja nie zwróciła uwagi? Czy aby w jednej z waliz, które ta stara rosyjska lesba trzymała na pawlaczu w przedpokoju nad wielką fotografią Hablunda, nie spoczywa skrępowany, skurczony szkielet Marian e?

To było odkrycie. Że człowiek zmarznięty i wyczerpany zachowuje się jak pod wpływem alkoholu. Że ma ochotę tańczyć na leżąco i jak dziecko chce wrócić jak najprędzej do domu. Był już na pół przytomny, więc do tego, co ujrzał, odnosił się z rezerwą. Hablund Doran? Z pewnością. Ten stuletni starzec spokojnie mógłby przechodzić tędy w nocnej koszuli i wdać się z nim w rozmowę. Czemu nie? Przynajmniej ktoś dotrzymywałby mu towarzystwa. Erske spytałby go, jak też za dawnych czasów bywało w Kopenhadze, słuchałby opowieści o tej jego głupiej fabryczce materiałów opatrunkowych...

W palcach nie miał czucia, musiał więc po korze tego drzewa przejechać własną twarzą. Policzek czuł te nacięcia, ten napis: „Hablund Doran”, który po sześćdziesięciu latach, tak zniekształcony, że niemal nieczytelny, nie zniknął. W dziupli nad tym napisem Erske znalazł aparat fotograficzny. Wyciągnął go, pomagając sobie patykiem. Przed drzewem pozostał również krzyż. Erske padł na ziemię i rękami zaczął wściekle odgarniać śnieg.

Chyba oszalał. Czuł to. Zwrotnica, którą miał w głowie, szczęknięta, przeskoczyła i tramwaj jego myśli bez motorniczego popędu w ciemność. Przez dziuplę tego drzewa, przez tunel – do nieświadomości. Kiedy Erske był mały, pytał Lili, czemu na całym świecie on ma jedynie ją, a ona tylko jego. Lili dała mu wtedy klapsa i rozplakała się. Pytała, czy mu tego mało, i obiecywała angorskiego kota, wielki dziecinny pokój i pójście do cukierni...

Teraz Erske rozgrzebywał śnieg jak szalony. Śnieg sypał mu się za kołnierz, ziębił twarz, po obu stronach piętrzył się coraz wyżej.

Amok minął mniej więcej po kwadransie. Otrząsnął się jak pies, ustalił kierunek według kompasu i ruszył dalej. Naprzód. Nogi jak śnieżne łopaty, ręce jak wiosła, mózg pterozaura. Człowiek żuczek wykonujący ważną misję, który się na chwilę zapomniał, lecz teraz już

znów jest przy zdrowych zmysłach. W ręku płócienna torba z obozowymi naczyniami, a na szyi stary, liczący sobie sześćdziesiąt lat, należący do Hablunda, aparat fotograficzny marki Graflex.

Hablund

Ostatecznie była to wielka uroczystość, chociaż Hablund sam nie był pewny, czy aby trochę nie zbzikował. Żenić się z Saszką Pawliczówną po to, żeby móc wyjechać stąd i zatelefonować do Mariane, to przecież szaleństwo. A może nie?

Zaczynała się zima, a to był zawsze w Charyniu okres ślubów. Bynajmniej nie byli jedyni. Ludzie łączyli się w pary, żeby było komu ogrzewać chałupę, kiedy tego drugiego nie ma w domu, żeby mężczyźni nosili drwa, a kobiety co rano na kuchennej płycie zaparzały herbatę. Wiosną niektórzy na pewien czas się rozchodzili, ale gdy pogoda się psuła, znów do siebie wracali, rozwody nie były potrzebne.

Kiedy spadł pierwszy śnieg, zaczęto wyciągać karpie, wysokie futrzane czapki, mufki, buty nad kolana, Hablund zwracał na siebie uwagę swoim europejskim ekwipunkiem. Mariane przyszyła mu do rękawa kawałek czerwonego materiału, żeby na śniegu było go z daleka widać. Zanim pójdzie z mężczyznami na polowanie do tajgi, Saszka będzie musiała mu to odpruć, żeby nie płoszył im reniferów.

Do ślubu oczywiście nie doszło od razu. Najpierw ze sobą tylko chodzili. Tu i tam po wsi. Jowaka i Pawka Pawlicz byli im przychylni, a i innym ulżyło, że o Hablundzie można już było powiedzieć przynajmniej tyle, że zaleca się do Szaszki. Do czasu ślubu ciągle mieszkał u Josifowiczów i coraz częściej zamykano go na klucz. Działo się tak co najmniej w połowie przypadków, gdy ktoś wychodził z domu. Złościło go to, zwłaszcza kiedy był umówiony na randkę z Saszką. Wściekle kopał w drzwi, ale wybić szybę się bał. Cała woda w kubłach natychmiast zamarzłaby, mleko także, do domu nawiałoby śniegu, to by się nie opłacało. Również charyńscy nałogowi pijacy w zimie poczynali sobie rozsądniej. Nie wychodzili z butelką dalej niż przed drzwi chałupy, żeby w drodze powrotnej nie zabłądzić, nie przewrócić się i nie zasnąć na śniegu. Gdy Saszka dowiedziała się, że Hablunda zamykają, wpadła w złość. Welor odciągnął ją na bok i coś jej wyjaśniał, Hablund był przy tym, ale nie słyszał, co mówią, a ona potem nie chciała mu tego powiedzieć.

Ludzie zaczęli częściej zatrzymywać Hablunda i dotykać jego ramion. Najczęściej u kogoś w domu, gdy był w samej koszuli, ale również przez te wszystkie zimowe pałta, waciaki i zrobione na drutach duńskie swetry. Na weselu dotykało go tak co najmniej dwudziestu ludzi.

Welor mówił, że to taki tutejszy zwyczaj, a kiedy Hablund zaprotestował, że przecież z nikim innym tak nie postępują, oświadczył, że w ten sposób przyjmują go między siebie i powinien to sobie cenić.

Hablundowi coś zaświtało. Jeśli bowiem to dotykanie naprawdę oznaczało, że w ten sposób staje się jednym z nich, zapachniało to jak nic Kawaszi. Rytualem, o którym opowiadał w „Naszym Świecie” artykuł, dzięki któremu zaczął się interesować Charyniem. Pisano w nim, że obecnie z czymś podobnym można spotkać się jedynie w paru odległych punktach puszczy amazońskiej i w kilku dolinach Afryki Wschodniej. Nic bliższego tam nie było. Artykuły zazwyczaj bywały pełne barwnych opisów fryzur, tatuaży i oryginalnych wyrobów koszykarskich, lecz o Kawaszi nie dowiedział się niczego więcej jak tylko tego, że już nieomal zanikło, a udział w nim jest wielkim zaszczytem. Hablund napisał wtedy do „Naszego Świata” list, że chciałby poznać szczegóły, ale mu nie odpowiedzieli.

Welor zauważył, że Hablund jest w rozterce. Przypomniał sobie swój własny ślub z idiotką i musiał się uśmiechnąć. Wtedy nie sądził jeszcze, że do Smoleńska, do Nadzieży

nigdy nie wróci. Ze wbrew swej woli zapanuje tu korzenie i potem nie zechce już stąd wyjeżdżać.

Saszka stała po drugiej stronie sali posiedzeń, cała czerwona z przejęcia. Czekala, kiedy przyprowadzą do niej Hablunda. Welor z własnej inicjatywy podjął się roli ojca pana młodego i nie odstępował go na krok. Napominał Hablunda, pilnował, żeby zachowywał się jak należy.

– Podciągnij rąbek koszuli! Nie obchodź pieca od prawej strony! Do nikogo nie odwracaj się plecami!

A Hablund się starał. Obracał się dookoła, żeby do każdego stać przodem, aż zakręciło mu się w głowie. Potem przyszła kolej na toasty wznoszone przez wszystkich ważnych charyńskich urzędników.

Myszkina wręczyła Saszce komplet ścierek, a Hablundowi futrzaną wkładkę do rękawic, Pawka Pawlicz podarował młodej parze kuchenny stółek, Pietia Bownik przyniósł kilka wielkich butli samogonu, a Jurij Głaznikow ofiarował Hablundowi całkiem nowe skórzane spodnie.

– Są po kimś nowym, kogo przywieźli do łagru, Jurij zna się tam z nimi i tanio od nich kupuje – szepnęła Saszka do Hablunda, ale on w tej wrzawie nie dosłyszał i tylko uśmiechnął się z wdzięcznością; bo i kto nie byłby dumny z takiej nowej żony?

O dokumentacji Hablund oczywiście też myślał. Całe jedno popołudnie zajęło mu wyjaśnianie idiotce, jak ma trzymać kamerę, gdzie się ją włącza i wyłącza. Poprosił stanowczo, żeby w żadnych okolicznościach nie zdejmowała jej z szyi ani nie odpinała rzemyka, żeby kamera nie upadła na ziemię. Ze statywu ostatecznie zrezygnował, bo tylko potraçałaby nim gości.

Świętowano cztery dni i cztery noce. Tyle żywności, ile było na tym weselu, Hablund nigdy przedtem w Charyniu nie widział. Kotły wołowiny, sterty gotowanej marchwi, kubły kapusty, blachy słodkich i tłustych kul z ciasta i stopy cukierków.

Jedli, dopóki mogli, po czym kobiety zaczęły wnosić i nalewać do misek zupę z igliwia, żeby weselnicy oczyścili sobie żołądki i mogli kontynuować ucztę.

Cała uroczystość odbywała się w lokalu *sielsowietu*. Stół, przy którym przedtem siedzieli towarzysze członkowie rady, podpierając utrudzone głowy, ugiął się pod ciężarem jedzenia. Saszka co chwilę wybiegała, zanosila poszczególne weselne potrawy również więźniom zamkniętym w celach naprzeciwko, skoro bezpośredniego udziału w przyjęciu im zabroniono. Hablund próbował wstawić się za nimi u Myszkinej, lecz ona była nieugięta. Porządek musi być. Tak samo, z pewnymi wyjątkami, nie pozwolono przyjść buraczarzom. Byli jedynie Buro oraz idiotka. Jowaka plątała się pośród weselnych gości z dyndającą na rzemyku kamerą. Hablund zwracał jej kilka razy uwagę, że trzyma ją odwrotnie. Była roztargniona. Chciała ściągnąć na wesele jak najwięcej buraczarskich krewnych i dzieci, żeby sobie pobalowali, wychodziła na dwór i wracała z brudnymi dzieciakami schowanymi pod spódnica, tu i tam udało się jej również przepchnąć kogoś z dorosłych.

Hablundowi to się nie podobało. Towarzystwo Miłośników Tradycji kończy przecież swoje imprezy powszechnym brataniem się, więc dlaczego nie można by zacząć od tego, żeby na jego wesele mógł przyjść każdy, kogo on i Saszka zaproszą? W końcu to przecież ich wesele. Obszedł z tym pomysłem wszystkich członków *sielsowietu*, jednego po drugim, ale żadnego nie udało się mu przekonać.

Welor dodał, żeby wziął pod uwagę, że odbywa się to nie w domu, tylko w sali posiedzeń, a Myszkina nie omieszkala przypomnieć, że większą część kosztów tego przyjęcia ponosi *sielsowiet* i Hablund powinien być mu za to wdzięczny. I tak jednak kilkoro buraczarzy dostało się do środka i potem wynosiło potrawy kilkorgu innym, czekającym z tobołkami przy wejściu; ci biegli ze smakołykami aż do Czewapiki i z pustymi torbami znów z powrotem.

Buro przez cały czas stał zachmurzony w kącie sali i przyglądał się zabawie. Miał rosyjską kobietę, a poza tym to dzięki niemu ludzie pracujący w tajdze mieli co jeść. Był buraczarzem, lecz już nie jednym z nich i obszarpańcy ładujący sobie jedzenie do kieszeni budzili w nim wstręt. Małemu Kekemu Kawaryczowi nie wolno było tak się zachowywać. Larysa wycierała mu buzię po każdym zjedzonym ciastku. Wraz z Tamarą idiotki bawił się w rogu pod stołem.

Tych dwoje, którzy w ileś lat później staną się małżeństwem, na weselu Hablunda wyszarpywało sobie należącego do Kekego malowanego konika.

Saszka była nieprzytomna ze szczęścia. „Saszka Doran” – przedstawiała się wszystkim nowym nazwiskiem, żeby jak najszybciej się do niego przyzwyczaili. Będą mieli z Habludem własny dom, jak tylko zbudują go im krewni jakichś buraczarskich lub charyńskich uciekinierów, a ona zostanie gwiazdą nakręconego przez męża filmowego cyklu *Ginące światy*, który będzie wyświetlany w całej Danii. Może nawet kiedyś razem się tam wybiorą. Do tego *Kopiengagena*. Gdy pytała Hablunda, jak też jest tam w tym *Kopiengagienie*, mówił, że jej by się tam nie podobało, ale nie wyjaśnił dlaczego.

DORANOWIE. Hablund chciał mieć tylko taką małą tabliczkę, jaką miał na drzwiach mieszkania przy ulicy Hansena, ale Pawka Pawlicz przyniósł deskę wielkości szkolnej tablicy, każda litera była na niej wielka jak przedramię od nadgarstka po łokieć. Bo i była to szkolna tablica. Pawka Pawlicz zajmował się w *sielsowiecie* młodzieżą, tak więc gdy z zaprzyjaźnionego miasta Chabarowska przysłano nową czarną tablicę, zamiast powiesić ją w którejś z klas, wyłobił na niej dłutem ogromne nazwisko nowej rodziny. Zresztą wcale nie było to brzydkie. Kiedy Hablund przechodził koło domu, gdzie mieszkał z Saszką i Pawicą, i mijał tę wielką dechę, zaczynał wreszcie czuć się w Charyniu jak ktoś ważny.

Udawał, że to obmacywanie ramion, jakby był wieprzem przeznaczonym do rzeźni, i zamykanie, jakby miał siedem lat, mu nie przeszkadza, bo protestami nic by nie wskórał, ale czasami solidnie go to złościło.

– Kiedy zasiejesz ziarno, zaraz przestaną sobie na to pozwalać – mówił z chichotem Pawlicz.

Obserwował swą córkę, co wieczorem robi z Habludem, bo na razie mieszkali wszyscy troje razem w domu Pawliczów.

Hablund nie miał zamiaru zbytnio się starać. Nie był pewien, kiedy wyjedzie. Jak zdążył zauważyć, matki, które same wychowywały swoje dzieci, a także ojcowie z dziećmi bez żon, nie byli w Charyniu niczym wyjątkowym i korzystali z opieki, jaką zapewniał im fundusz utworzony przez *sielsowiet* z rzeczy skonfiskowanych ludziom, którzy stąd uciekli. Saszcze mógłby przysyłać coś również z Danii, ale co, gdyby źle oszacował możliwości tutejszego transportu i ubranka, zanim by tu dotarli, byłyby dla dziecka za małe lub gdyby nie podobały mu się duńskie zabawki? Lepiej niczego tutaj po sobie nie zostawiać. Pamiętał o tym, spółkując z Saszką, ale nie zawsze zdążał na czas. W dodatku niełatwo było robić to tak, żeby Saszka niczego nie zauważyła.

Uczestniczyli też obydwójce w rozmaitych pracach związanych z zimą. On w ustawianiu przeciwnieźnych trójnogów na obrzeżach Charynia w miejscach ściśle wyznaczonych na posiedzeniu *sielsowietu*, Saszka pomagała wielodzietnym rodzinom łątać odzież, ze sprutych zimowych skarpet Hablunda zrobiła też na drutach czapeczki dla charyńskich niemowląt. Hablund zauważył, że w kącie izby mają takie samo pudełko jak to, które idiotka pokazywała mu u Josifowiczów. Zauważył, że po zakończeniu każdej z tych prac społecznych Saszka starannie wkłada do niego swoją odznakę. Sam także taką dostał, Bownik przyniósł mu ją w kopercie do domu. Napis na odznace głosił: „Podziękowanie od sportów zimowych”, bo Hablund pomagał przy urządzeniu ślizgawki. Potem dostał jeszcze jedną, za swój wniosek

racjonalizatorski.

Łyżwy w Charyniu składały się bowiem ze starych, powykrzywianych butów i przymocowanych do nich wyostrzonych kości renifera. Wytrzymały najwyżej jeden sezon, a i to nie zawsze, bo naostrzona krawędź prędko się tępiła. Zszywanie grubą igłą butów z łyżwami i odpowiednie łączenie ich w pary było przy tym jednym z zamówień, które pozwalały buraczarzom polepszać swoją sytuację materialną w okresie zimy. Sterty kości stale leżały na skraju Czewapiki. W lecie oblepione rojem much, w zimie podobne do przerażających gór; dzieci wdrapywały się na nie i gdy znalazły się na szczycie, wpadały do środka sterty, nazywano to „morna”. Hablund zaproponował, żeby kości zastąpić starymi nożami, które tak samo jak kości można byłoby przywiązywać do butów sznurkami oraz drutem – takie łyżwy mogłyby wytrzymać co najmniej o jeden sezon dłużej. Pomysł się przyjął. Buraczarze początkowo wściekali się, że stracili pracę, ale Hablund namówił *sielsowiet* do wydania rozporządzenia, że tylko oni mogą przytwierdzać noże do butów, i zatarg zażegnano. Również *sielsowietowi* zależało na tym, żeby z buraczarzami pozostawać w dobrych stosunkach, zwłaszcza w zimie, a po weselu Hablunda niejedna rzecz wymagała naprawy.

Pewnego wieczoru, gdy się do siebie przytulali, Saszka wyjaśniła to Hablundowi. Powiedziała, że kiedy wyganiano buraczarzy z sali posiedzeń, nie chodziło o żadne zasady, tylko o ilość jedzenia. *Sielsowiet* wydał za dużo pieniędzy, Charyń uszczuplił swe zapasy, więc obawiano się, że tego, co zostało, nie wystarczy.

– A i tak będzie głód – oświadczyła, nawijając na palec pukiel długich kasztanowych włosów. – Będzie głód.

Od uroczystości na cześć ostatniego polowania przed zimą, kiedy to Hablund pierwszy raz był sam z Saszką na dworze, minęły dokładnie dwa miesiące. W końcową fazę weszły przygotowania do pierwszego wielkiego polowania zimowego.

Welor codziennie chodził do swojej budki, żeby tam w ramach ewidencjonowania zapasów na zimę ważyć paszę, rośliny strączkowe, pszenicę oraz marchew, ale w zimie priorytetowa rola przypadała nie kołchozowi, dumnie wypinającemu pierś w czasie charyńskiego lata, lecz tajdze z jej obfitością zwierzyny łownej.

Jak to dokładnie jest z tymi dwupłatowcami, które miały małe lądowisko tuż za budynkami kołchozu i przylatywały zwykle kilka razy w miesiącu, Hablund nie wiedział. Welor, smoleński lekarz, w ogóle miał swoje tajemnice. Hablund myślał, że z czasem sam mu powie, czemu go tu zesłali, ale im bardziej nalegał, z tym większym uporem Welor pograżał się w milczeniu. Może się bał, że Hablund wykorzysta jego relację w filmie i ambasada radziecka w *Kopiengagienie* sprawi, że przyjadą po niego do Charynia wysłannicy któregoś z łagrów. I to wcale nie pobliskiego, gdzie Buro mógłby przez znajomych regularnie zostawiać dla niego u strażników paczki z żywnością, ale gdzieś na Sachalinie lub Kamczatce, skąd już nigdy żaden list nie dotarłby nawet do Nadzieży.

– Dajmy na to, że nie zrobiłem zupełnie nic – grzmotnął pięścią w stół Welor, gdy już obaj byli trochę pod gazem. – Dajmy na to, że dobrze się tu czuję i dziękuję partii za tę pomyłkę.

– Wszyscy jej dziękujemy. – Hablund grzmotnął pięścią w stół. – Co byśmy tu, towarzyszu, zrobili bez ciebie?

Obaj pierwszy raz po radziecku padli sobie w objęcia i Hablund miał poczucie, że Welora rozumie. Jakby mi się ta moja duńska dusza przekształcała w radziecką – pomyślał. – Tę wielką, w której jest pełno miejsca na szczodrość i dwie rodziny oraz dwa miejsca zamieszkania, taką samą jak twoja, mój Welorze. Mariane i Saszkę mogę przecież kochać jednocześnie, tak jak Welor idiotkę i Nadzieję. Każda ma w jego sercu swoje miejsce i nawet tam się ze sobą nie stykają. O żadnej rywalizacji i zazdrości nie może tu być mowy, tak samo jak o zdradzie. Wiara. Przyszło mu na myśl, że właściwie chętnie wstąpiłby do kościoła,

ukląkł tam i w świetle świecy do czegoś by się przyznał, czemuś się pokłonił.

W Kopenhadze takich pomysłów nigdy nie miał. Zaczynał nazywać ją *Kopiengagien*, tak samo jak miejscowi. Za chwilę sam już nie będzie wiedział, która z tych nazw jest prawdziwa. Lecz kościoła w Charyniu nie ma. W co właściwie ci charyniacy wierzą? Było to pytanie, od którego Hablund nie umiał się uwolnić. W partię ani w tajgę nie. W ducha tajgi wierzą buraczarze, a w partię wierzy się w Moskwie. Kiedy zapytał o to Saszkę, westchnęła, że od razu to po nim widać.

– Piłeś z tatą! – wrzasnęła na niego.

– Nie, z Welorem. – Zaśmiał się, chwycił ją w tali i zawirował z nią po pokoju.

Nagle wydało mu się, że żyje tu już mnóstwo lat, a te jego pytania zadaje skądś z daleka ktoś obcy, ktoś, kto nic, ale to nic z tego nie rozumie.

Welor wieczorem pił, bo od rana aż do zachodu słońca był w ciągłym ruchu i na parę godzin musiał szybko od wszystkiego odpocząć. Zimą bywało więcej chorych, a tu jeszcze ta nieszczęsna ewidencja zapasów, robiło się ją o tej porze co roku. Za kołchozowymi oborami, hangarami dla bydła, którego Hablund nigdy w nich nie widział, był wielki spichlerz, poprzedzielany wysokimi przegrodami na boksy do przechowywania poszczególnych płodów rolnych. O ile w lecie wszystko się tam wwoziło, to w zimie wywoziło – był to główny magazyn charyńskich zapasów. Również tam na początku zimy Hablund chodził pomagać. Ziemię w oborach wyłożono płachtami wydawanego w Pstrugach biuletynu, żeby niczego nie zabrudzić, a całą zawartość spichlerza wywożono do obór, żeby potem na powrót ją wwozić; w drodze powrotnej odbywało się liczenie.

Błędem było, że do pracy przy taczkach kierowano ludzi, na których niezbyt można było polegać, jakby praca fizyczna nie wymagała uczciwości. Konsekwencje ponieśli wszyscy. Najbardziej Welor, bo to on był odpowiedzialny za liczenie, a różnicę widać było gołym okiem. Zapasy marchwi sięgały o dwadzieścia centymetrów niżej niż zwykle, odsłaniając pas brudnych ścian, pszenicy o dziesięć centymetrów, jęczmienia o piętnaście – i tak było ze wszystkim.

Ktoś, i to niejeden, musiał przywłaszczyć sobie ładunek z iluś tam taczek.

Welor przybladł, ze zdenerwowania wyskoczyły mu plamy na skroniach. Takiego Hablund jeszcze go nie oglądał, nawet gdy stan któregoś z pacjentów nagle się pogarszał. Spodziewano się kontroli zapasów. Przyjedzie zespół rewidentów z miasta obwodowego, rowki, do których winny sięgać zapasy, były dodatkowo oznaczone rzędami czerwonych kropek. Kontrolę zapasów przeprowadzano po to, by Welor mógł dokładnie powiedzieć, o ile procent znowu przekroczono plan. Do swego pudełeczka mógłby potem dołożyć jeszcze jeden medal – i chyba o tym także myślał, choć Hablundowi zawsze wydawał się ponad sprawy tego rodzaju. Teraz jednak chodziło mu o własną reputację, a Charyniowi o zapasy na zimę. Oskarżenie o rozkradanie mienia społecznego było jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogły się człowiekowi przydarzyć. Może nie w wielkich miastach, gdzie więcej niż złodziei własności socjalistycznej było elementów prawicowych, wspieranych przez zachodnich imperialistów, zakazanych publikacji i ugrupowań nacjonalistycznych, lecz w mniejszych miejscowościach, gdzie ludzie zdani są jeden na drugiego, gdzie w zimie pomoc z zewnątrz odległa jest nie o kilometry, ale o całe lata świetlne, złodziei mienia społecznego uważano za największych szkodników. Welor ze swoim grzechem z przeszłości raczej nie mógłby spodziewać się niczego innego niż osadzenia w łagrze. I co teraz?

Na początek najważniejsze było, by sprawa nie nabrała rozgłosu. Klucz od spichlerza miał Welor, który zaraz go zamknął. Ci, którzy płody rolne wozili, raczej nie zwracali na nic uwagi, o istnieniu jakiegoś rowka prawdopodobnie nie mieli pojęcia, ci zaś, którzy z dobra wspólnego coś sobie przywłaszczyli, na pewno głośno mówić o tym nie będą. Lista ludzi, którzy uczestniczyli w tej pracy, była powszechnie znana.

Hablund zaproponował przeprowadzenie kontroli w każdym domu. Skradzione dobra znajdą się, a winowajca zostanie ukarany. Ale Welor się bał. Buraczarze mają schowki w lesie i z pewnością już to tam wywieźli. Nikomu niczego się nie udowodni, wszystko spadnie na niego, a ci, którym będzie się szperać w domach, mu tego nie zapomną.

Słabą stroną planu, który Hablund i Welor na koniec zdecydowali się wprowadzić w życie, było to, że musieli wtajemniczyć jeszcze kogoś trzeciego. Bura. Potrzebne im były długie drewniane stoły, palety czy coś w tym rodzaju, które można by nadsztukować po bokach, po jednym w każdej części spichlerza. Gdy ukryją je w środku, poziom przechowywanych płodów rolnych podniesie się aż do rowka lub nawet odrobinę wyżej.

Jakieś drewno we wsi było, lecz zbijanie z niego na miejscu tak ogromnych konstrukcji wzbudziłoby ciekawość, a jeżdżenie z drewnem do tajgi także. W nocy może nikt by tego nie zauważył, ale gdyby jednak? Ryzyko było zbyt wielkie.

Buro w sprawie tej pracy umówi się z kimś z tych, którym nosi żywność do lasu, z jakąś brygadą drwali, która nie zna Charynia ani Charyń jej, albo z którymś strażnikiem z łagru, który zleci jej wykonanie więźniom, a całe wynagrodzenie trafi do jego kieszeni. Welor zapłaci, ile trzeba.

Buro nic nie powiedział oprócz tego, że zapytał, co Welor robi, jeśli w zimie sprawa się wyda.

– Nie wyda się. Gdy kontrola odjedzie, drewno usuniemy.

– Myślę – Buro na to – że wszystko się wyda, jak nie będziemy mieli co zreć.

Welor machnął ręką. Kto wie, co będzie, a jeżeli polowanie się uda, jadła będziemy mieć pod dostatkiem – pomyślał, i co się tyczy polowania, miał rację. Kiedy się udawało, to i tak tych wypuszczających pędy, pokurczonych kartofli i placków z grubej mąki w drugiej połowie zimy nikt już nie chciał nawet brać do ust.

Dwa tygodnie Welor trząsł się ze strachu, bo dzień przyjazdu kontroli nigdy nie był zawczasu znany. Wykonane w tajdze drewniane stoły odpowiedniej wielkości pewnej listopadowej nocy Buro przywiózł pod tylne drzwi spichlerza. Welor i Hablund już tam na niego czekali.

Wszystko szło dobrze. Nikt im nie przeszkodził, długość i szerokość stołów była świetnie dopasowana do rozmiarów poszczególnych boksów, ale gdy przysypali je marchwią i zbożem, okazało się, że są za wysokie – zapasy w każdym boksie piętrzyły się co najmniej na pół metra nad rowkiem. Na ten widok Buro dostał ataku śmiechu, zakłopotany Hablund przestępował z nogi na nogę, a Welor usiadł na ziemi i kłął. Świtało. Następnej nocy wszystkie nogi tych stołów skrócą, Welor był nawet za tym, żeby przyciąć je precyzyjnie, żadnego planu przekraczać już w tym roku nie chciał, grunt, żeby to mieli z głowy. Buro obiecał przynieść dobrą piłę. Jednak następnego dnia rano przyjechała sławetna kontrola, wyprzedziła ich o kilka godzin.

Welor dostał odznakę z trzema wstążkami za tak wielkie przekroczenie normy, jakiego nikt z kontrolerów jeszcze w życiu nie widział. Odbyło się to bardzo uroczyście.

Sielsowiet zwołał cały Charyń na placyk przed pomnikiem bohaterów, wzywając przez megafon, żeby każdy przyniósł co najmniej jeden pusty worek, bo część tej olbrzymiej nadwyżki zostanie rozdana poszczególnym rodzinom. Wszystkie rodziny wzięły co najmniej po dwa worki i natychmiast zaczęły się szerzyć plotki. Kto z wieśniaków zamierza handlować tą nadwyżką, a nawet z kim, za ile, i którego łagru pilnują potencjalni nabywcy.

– Kto zostanie przyłapany na niedozwolonym bogaceniu się, temu przydział z charyńskich zasobów aż do końca zimy będą zmniejszone o połowę... – grzmiał megafon, podczas gdy upoważnieni ludzie łopatami ładowali obywatelom worki. Było tego tyle, że potem, pod wieczór, dzieci zbierały jeszcze na placyku głowy kapusty i kartofle, które powypadały z dziurawych worków.

– Jesteś członkiem *sielsowietu* – zwrócił się Hablund do Welora – więc powiedz im to.

Ale Welor, całkiem jak mały chłopiec, uparł się, że nie ma mowy.

Przygotowania do wielkiego polowania zimowego to nie byle co. Dla starszych oznaczają przede wszystkim ból głowy, bo oni już wiedzą, ile wiąże się z tym zapału, oczekiwań i niespełnionych nadziei. Zwłaszcza wtedy gdy oczekiwania są zbyt wielkie, a ostateczny rezultat łowów bynajmniej ich nie spełnia. W Charyniu zimą naprawdę panuje czasem głód. Głód. Ludzie napychają się śniegiem i jedzą mydło, ponieważ gotuje się je z kości, a wszystkie kości w *posiołku* w owym czasie są już zjedzone, również ta góra „morna” w Czewapice, z której dzieci zjeżdżają w dół – tak więc wtedy nie mają już z czego. Ludzie przeważnie już tylko siedzą, tacy są osłabieni. Może się to zdarzyć również w *posiołku* Charyń, odznaczonym trzykrotnie Czerwoną Gwiazdą i dwa razy Orderem Pracy, zaprzyjaźnionym z miastem Chabarowsk, a istniejącym zaledwie niecałe trzydzieści lat.

Dlatego wielkie polowanie zimowe jest takie ważne. Ewentualne jego niepowodzenie iluś tam ludzi przypląciłoby bowiem życiem.

W *sielsowiecie* nadzór nad polowaniem leżał w kompetencjach Pieti Bownika. Będąc z zawodu lekarzem, choćby nawet byle jakim, sprawy ciała znał lepiej niż inni. Miał też, jako jeden z niewielu, zegarek z sekundnikiem, dzięki czemu mógł mierzyć czas mężczyznom, którzy przygotowywali się do polowania, biegając z taczkami dokoła wsi, do tajgi i z powrotem. Bieganie z ładunkiem drewna, biegi na bosaka po śniegu, bieg parami z trzymaniem się przy tym za ręce, wszystko to należało do przygotowań, tak samo jak mające na celu wzmocnienie ramion podnoszenie ciężkich pni geryszy i strzelanie do celu. Buraczarzom wydawało się to śmieszne, sami nie brali w tym udziału. Dla nich, zahartowanych dzięki przebywaniu przez cały rok w nędznych szałasach i lepiankach, gdzie nigdy nie było tak ciepło i bezwietrznie jak w drewnianych chałupach, najlepszym treningiem było codzienne życie.

Buraczarze, niżsi i bardziej żyłaści od charyniaków, na ogół górowali nad nimi sprawnością fizyczną. Wystarczy, że będą uczestniczyć w polowaniu, to było ich główne zadanie; w okresie przygotowań wystarczy jedynie, że uroczyście to obiecują. A także że odprawią niektóre z obrzędów, w których skuteczność w Charyniu i tak nie wierzono w stopniu, w jakim by na to zasługiwały. Charyniacy byli równie przesądni jak mieszkańcy Czewapiki, brakowało im tylko jakiegoś całościowego systemu wierzeń. Między innymi – wiary w ducha tajgi. Śmiali się z niego. Śmiali się tak, że aż boki zrywali. Naturalnie tylko do chwili kiedy sami znaleźli się w opałach.

Bownik stał przed swoją chałupą w walonkach, w które wpuścił skórzane spodnie, i w futrzanej czapce z czerwoną gwiazdą. Zimą takie nakrycie głowy nosili wszyscy członkowie *sielsowietu*, przy organizowaniu różnych przedsięwzięć było to bardzo praktyczne. Dzięki temu od razu było wiadomo, gdzie w danej chwili znajduje się ktoś z kierownictwa. Bownik stał, skrobał się wsuniętym pod czapkę palcem i mierzył czas wszystkim mężczyznom biegającym w kółko dokoła niego. Z *sielsowietu* byli tam wszyscy, jako członkowie kierownictwa musieli świecić przykładem. Pawka Pawlicz pukał do wszystkich drzwi, wyganiał młodzież z chałup na mróz, Jurij Głaznikow w nowej dubeltowej kurtce z wyhaftowanym napisem „Charyń” jako reprezentant futbolu biegał już od wczesnych godzin rannych, Welor biegał tylko w przepoconym swetrze, po przygodzie ze spichlerzem był wzorowy pod każdym względem, a Myszkina w butach na niskich obcasach podbechtywała wszystkich przebiegających koło niej, była jedną z nielicznych kobiet, które brały w tym udział. Większość z nich stała z boku i przyglądała się, jak to mężczyznom idzie. Zony dopingowały mężów i z owiniętych futrem garnków każdemu, kto zrobił okrążenie, nalewały herbatę oraz wręczały kostkę cukru. Niektórzy mężczyźni przeklinali – to ci, którym od zeszłego roku znów trochę obniżyła się kondycja i od lata na próżno obiecywali sobie, że

zaczną się hartować. Hablund pałętał się pośród najpowolniejszych i odetchnął z ulgą, kiedy Bownik uderzył pałką w czajnik, dając znak, że na dzisiaj koniec.

Potem wszyscy razem poszli jeszcze nad gliniankę.

Co rano któraś z rodzin wyrąbywała w zamrzniętym stawku przerębel, był to obywatelski obowiązek przechodzący z jednej chałupy na drugą, a mężczyźni po treningu, zanim rozbiegli się do domów, rozebrawszy się, wskakiwali do wody. Saszka na prośbę Hablunda odliczała, zanim skoczył, od dziesięciu do zera. Na brzeg leciały kawałki lodu i chlustała śmierząca rybami czarna woda. Hablund nie był przyzwyczajony do ćwiczeń, jego kondycja martwiła Saszkcę. Chyba nawet przytył. Z uwagi na mróz było to nawet dobre, ale na torze przeszkód, pełnym drewna i wyniesionych z chałup krzeseł, zajął ostatnie miejsce.

– Trzeba się hartować hartować, towarzyszu! – wołał do niego z daleka Bownik, wobec czego Hablund specjalnie wskoczył do glinianki dwa razy, ale prócz Saszki nikt tego nie docenił.

Ćwiczył jeszcze nazajutrz i trzeciego dnia, a potem zdecydował się wyjechać i zadzwonić do Mariane. Należy teraz do Saszki, ma tu zobowiązania, bilet już mu sprzedadzą. Bownik napomniiał go tylko, żeby prędko wracał, ponieważ na polowanie wyruszają za parę dni, i pożegnał się z nim, poklepując go po bratersku.

Saszka prosiła, żeby tego nie robił.

A bo to źle im tutaj ze sobą?

Przed odjazdem męża nagotowała mnóstwo jedzenia, żeby nabrał sił przed podróżą lub by przejadł się tak, że w końcu telefonowanie znów odłoży, bo nie wytoczy się z chałupy.

W domu zapanowała duszna atmosfera. Saszka wciąż domagała się od niego, żeby spełniał małżeńskie obowiązki. Całowała go w szyję i szeptała, że wyjadą razem. Bez sprzeciwu gotowa jest być w *Kopiengagienie* żoną numer dwa, jak bywało u buraczarzy, póki Sowieni im tego nie zakazali. Hablund powinien czuć coś więcej, ale czuł tylko zamęt w głowie. Kiedy szedł już na stację, zaczął padać śnieg.

Zapukał do drzwi domku, w którym mieszkała kasjerka, wyszła cała rozmamłana, jakby nie było to w godzinach jej pracy, a gdy poprosił ją o bilet, wyglądała na równie zaskoczoną, jak zeszłym razem.

– Czyście, *Gablund*, zgłupieli?

Dotknęła jego ramienia i uszczypnęła go, zanim zdążył odskoczyć. Ostatecznie jednak poszła z nim do kasy, mimo śniegu w samych pantoflach i wyraźnie niezadowolona. Zdjęła z półki skórzaną torbę z mnóstwem przegródek i przebierała w niej palcami, jakby to był katalog jakiejś okręgowej biblioteki.

– Jeden tu jeszcze mam. Na jutro po południu, aż do końca trasy. – Podała Hablundowi wygnieciony papierek z numerem wagonu i miejsca. – Pociąg jest towarowy.

Hablundowi było wszystko jedno. Nie miał ochoty wracać teraz do domu. Znowu musiałby przekonywać Saszkę i kto wie, czy tym razem by go puściła. Będąc mężem Saszki, nie mógł uderzyć jej i odejść, zostawiając ją zapłakaną.

Bał się filmować stację po raz drugi. Budynek należący do magistrali to nie gromadka wieśniaków czy zabawa ludowa. Siedziby instytucji filmują tylko szpiedzy, a jaka groziła za to kara według radzieckiego kodeksu, powiedział mu Bownik poprzednim razem, i Hablund dobrze to sobie zapamiętał. Jak też przerażenie i złość doktora w drodze ze stacji do cel, że w ogóle ośmielił się zamienić parę słów z więźniami. Teraz tylko stał tam, przestępując z nogi na nogę. Unoszone przez wiatr tuż nad ziemią kłęby śniegu wyglądały jak tumany kurzu, kawałek dalej trzepotała pomarańczowa chorągiewka sygnalizacyjna i stały dwa betonowe sześciany – tam gdzie więźniowie, jak sami mu mówili, chodzą, żeby wypalić w spokoju papierosa, a ludzie ze wsi, żeby się pogzić.

Prace budowlane wciąż jeszcze nie były zakończone. Hablund ruszył w stronę brygady kocmołuchów, która mimo niepogody stała tam ze swoimi drewnianymi wózkami. Od czasu

kiedy Welor wziął go na posiedzenie *sielsowietu*, nie był już byle kim, jak wtedy gdy spotkał się tu z Bownikiem i mógł rozmawiać w Charyniu, z kim tylko chciał.

Witali go, jakby tu na niego czekali. Boria i Mitia, tych dwóch zapamiętał od tamtego razu nawet z imienia, oraz Wasylisa, kobieta o pobrużdżonej twarzy i figurze dziewczynki, również teraz przynosili z miejsca na miejsce drewniane szafliki z kawałkami starych cegieł, które potem czyszczono dłutami, by zbudować z nich ścianę.

Boria i Mitia uściskali go, Wasylisa podała mu rękę. Powiedzieli, że w celach mają na ziemi pół cała wody, na ścianie pod oknem lodową szadź, a brei dostają tylko pół porcji, bo kończą pracę o dwie godziny wcześniej, bo teraz wcześniej robi się ciemno. Przez pierwsze dwa tygodnie sam Bownik osobiście przyświecał im łuczywem, ale kiedy zaczęły się przygotowania do polowania, nie ma już na to czasu. Rozpalać ognia nie mogą, bo niby nie chciałoby się im od niego odchodzić i praca w ogóle by się nie posuwała. Muszą ją zakończyć na Nowy Rok, ponieważ na ten czas planuje się uroczyste otwarcie stacji, podobno zaproszono już ważne figury z okolicznych *posiołków*. Nie dadzą rady zdążyć, to Hablund widział. W dodatku Wasylisa była ponoć w ciąży z Bownikiem.

Boria szepnął mu to, gdy znajdowała się trochę dalej od nich. Inne kobiety już wypuścili, została w celi sama, chodził tam do niej, słyszeli to.

„Praca najlepszym lekiem na ciągoty antyspołeczne” – takie hasło widniało na tablicy z drążkami, którą zawsze rano i wieczorem nosili, idąc dwójkami przez wieś, a która teraz stała oparta o mur kawałek dalej. Hablund również tym razem im pomagał.

Boria, chłopak z nastroszoną czarną czupryną i małymi, błyszczącymi, rozbieganymi oczami, był buraczarzem. Mitia był Rosjaninem, a w każdym razie Sowietem. Barczysty, rumiany, na mocnych nogach, kierował całą brygadą, ale będąc tokarzem, on też na budownictwie się nie znał. Jeżeli podczas noworocznej uroczystości to się zawali, nie będą temu winni – pomyślał Hablund. Wszystko się w nim gotowało. O ich przestępstwach w gruncie rzeczy nic nie wiedział. Uciekł ktoś z ich rodziny. Ale właściwie dokąd i dlaczego?

Mitia patrzył na Hablunda, trzymając ręce w kieszeniach i kołysząc się przy tym prowokacyjnie na piętach.

– Żeby ta twoja Saszka nie przyłączyła się do nas pewnego razu – zaśmiał się Boria. – Ty już masz tu wszystkiego wyżej uszu, nie?

– Jadę tylko, żeby zatelefonować.

Wszyscy, co do jednego, parsknęli śmiechem i Hablund się zaczerwienił.

– A z poczty ci nie dają?

– Coś się stało z kablem i tam, gdzie chcę zadzwonić, nie ma stąd połączenia.

Więźniowie znów coś tam majstrowali, zamruczeli unisono, a Wasylisa spytała, kiedy ma pociąg.

– Jutro wieczorem.

– W takim razie idziesz jutro z nami po cegły. Chodzimy po nie do opuszczonego łagru. Bownik nas tam czasem posyła, jak się kończą. *Sielsowiet* nie ma ochoty płacić za nowe. Woli zgarnąć forszę dla siebie, a nas posłać do tajgi, żebyśmy tam coś zbierali, nie?

Czyżby *sielsowiet* był tylko bandą łajdaków? – pomyślał Hablund, lecz głośno tego nie powiedział.

Obiecał im, że nazajutrz przyjdzie. Ponieważ zbliżała się godzina, o której Bownik przychodził po więźniów, skrył się za pobliskim drzewem i stamtąd patrzył, jak Bownik przyszedł, policzył ich i jak powoli dwójkami odchodzili. W końcu gapił się w pustkę, bo ich już tam nie było, i na ruinę, jaką była stacja „w budowie” – sam nie wiedział dlaczego. Scen z jakiegoś prawdziwego życia tubylców nakręcił dotychczas bardzo mało. Czego właściwie tu jeszcze szuka? Racja, dałoby się tu kilka rzeczy ulepszyć, a poza tym ten zimowy sezon łowiecki obiecywał parę interesujących zdjęć. Na polowanie weźmie aparat, nie będzie ciągnąć z sobą ciężkiej kamery.

Hablund stał na opustoszałym peronie. Lśniły szyny, płonęły gwiazdy, był mróz, większego chyba tu jeszcze nie zaznał. Przyszło mu na myśl, żeby pójść pod okno *sielsowietu* i posłuchać, o czym tam mówią – akurat dzisiejszego wieczoru mieli mieć posiedzenie. Kucnąłby tam, nikt by go nie zobaczył. Zazwyczaj po przerwie okno zostawia się otwarte, bo jest tam tak nadymione, że spod jednej ściany nie widać drugiej, słyszałyby więc każde słowo. Albo mógłby iść pod okno kobiecej celi i posłuchać, czy Bownik przyjdzie do Wasylisy. W tej chwili zatęsknił za Mariane – czy może tylko na moment zatrzęsła nim złość? Czemu, do diaska, tak mało chce mu się wracać? Na co czeka? Aż Saszka zajdzie w ciążę, żeby mógł jej z Danii przysłać najprawdziwsze, aksamitne śpioszki od Bleya? Stał tam i chciał być przy niej – przy jednej lub przy drugiej. W ciepłe. Ale już postanowił, że dziś do Saszki nie wróci, a gdy Hablund się uprze, to mowy nie ma, by sam sobie ustąpił. I wtedy go zobaczył. Po drugiej stronie torów, patrzył mu prosto w oczy. Olbrzymi wilk samotnik ze srebrnoszarą sierścią.

– Wrrrr! – warknął.

– Wrrrr! – odpowiedział mu Hablund, choć był ledwie żywy ze strachu.

Wilk potrząsnął łbem, machnął ogonem i z godnością wrócił do lasu. Czy dodało to Hablundowi odwagi, czy też może z zimna do reszty stracił rozum, w każdym razie zdecydował się spędzić tę noc na dworze, na skraju tajgi przy torach.

Już od czasu, gdy mieszkał u Josifowiczów, nauczył się zawsze mieć przy sobie zapalki. Przydawały się. Dzięki temu w każdej chwili mógł podać komuś ogień do papierosa, lecz ogniska na śniegu nigdy dotychczas nie rozpałał. W tym artykule o Kawaszi w „Naszym Świecie” pisano coś również o wygrzebywaniu jam w śniegu. Hablund usiłował to sobie przypomnieć, ale przy minus dziesięciu stopniach szło mu to równie wolno, jak wyjęcie rąk z rękawiczek, by wytrzeć sobie nos. Pisano tam, że robią to w taki sam sposób jak psy. Nic więcej nie pamiętał.

Ogień rozniecił zadziwiająco łatwo. Drewna było dokoła pod dostatkiem, a dolne gałęzie drzew, schowane pod koroną, były zupełnie suche, bez śniegu. Rozgrzebał sypki śnieg, wyścielił ziemię gałęziami, postarał się wydłubać jakąś niszę, żeby zapewniła mu ciepło, i wsunął się do niej. Z przodu przyjemnie grzał go ogień.

Było to nierozsądne. Przy odrobinie pecha w postaci nieco silniejszego mrozu lub wilka, który wróciłby w nocy, byłoby już po Hablundzie i Saszka daremnie czekać na powrót męża zaczęłaby o kilka miesięcy wcześniej. Lecz Hablund Doran, obudziwszy się rano, ku własnemu zdumieniu czuł się rześko jak rybka. Zmarzył mu jedynie nos i zdrętwiała noga, ale nos po roztarciu odzyskał czucie, a zdrętwiałą nogę usprawniło kilka podskoków. Czuł się dobrze i był w świetnym nastroju. Pomoże więźniom przy ceglach. Wyruszyli wczesnym rankiem.

Trzy pary ludzi niosły szafliki, w tajdze z taczkami mogłyby być kłopoty. Mitia, Boria, Wasylisa, dwaj inni oraz Hablund – akurat wyszła z tego liczba parzystą.

Łagier, opuszczony zaledwie kilka lat temu, robił wrażenie czegoś, co chyba nigdy nie mogło funkcjonować. Rozwalone ściany poprzerały drzewa i gdyby nie tych kilka wybetonowanych placyków oraz sterczące tu i ówdzie poskręcane druty, Hablund łatwo uwierzyłby, że to jakieś dawno opuszczone osiedle carskich pionierów-osadników. Mitia mówił, że obóz zlikwidowano, bo za bardzo rzucał się ludziom w oczy, a nowy, oznaczony numerem F576, utworzono kawałek głębiej w tajdze. Dokoła stoją wieże strażnicze, obóz jest obliczony na większą liczbę łągierników i pod każdym względem nowocześniejszy. Boria upierał się, że to z ich powodu, z powodu Karów przeniesiono obóz w inne miejsce.

– Iluś tam naszym ludziom pomogliśmy w ucieczce – chwalił się. – W nocy podkopali się pod ogrodzenie, a Buro przekupił dwóch strażników.

Mitia oponował, twierdził, że stąd nikt nigdy nie uciekł, a Boria złościł się, że mówi tak dlatego, że jest Sowietem i uważa, że Karom nic nie może się udać.

Wasylisie co chwila robiło się niedobrze, skarżyła się na brzuch, w drodze powrotnej musieli kilka razy przystawać, ale na dworcu przystąpiła do pracy wraz z innymi.

Biorąc narzędzia, rozmawiali.

– Starsza nie miała wtedy nawet trzech lat – poinformował Hablunda Boria.

– Wtedy jak uciekła od niego żona, siostra Wasylisy – mruknął Mitia.

– Chciała, żebym pokaleczył ją piłą, ale nie chciałem, więc poszła do Bownika. Nawet nie wiem, co jej zrobił, zaraz potem stąd wyjechała, dzieci mi zostawiła na karku. Podobno na peronie została po niej kałuża krwi, kiedy czekała tam na pociąg, ale ja tego nie widziałem. Zadzwoiła raz do Iriny, na pocztę, podyktowała jej przez telefon liścik do mnie, ale Irina go zgubiła. My naszych kobiet siłą nie trzymamy, mogą sobie iść, gdzie chcą. Do Sowietów zawsze coś je ciągnęło albo ot tak, jak ta moja. Przedtem nigdy nigdzie nie wyjeżdżała. Ze niby tu nie było dla niej życia.

– Twoja Beryla poszła tam, gdzie myślała, że będzie jej lepiej.

Boria chwycił łopatę i grzmotnął nią Mitię w plecy.

– Baby lecą na forszę.

– A ty tutaj harujesz, bo jesteś idealista, co? Bo towarzysze nie zrozumieli twoich wniosków racjonalizatorskich?

Hablund zauważył, że Wasylisa znów się źle czuje. Pójdą szybko, zaprowadzi ją do *sielsowietu*, kogoś tam chyba zastanie, i jeszcze zdąży wrócić na pociąg. Wziął ją pod rękę i poszli.

– Moja siostra mieszka w Czycie, wszyscy to wiedzą – szepnęła do Hablunda, gdy tylko uszli kilka kroków. – Tam ucieka większość Karów, za Czytą mamy swoją osadę. Chcą nas wyzwolić, żeby wszystko było jak w dawnych czasach. Beryla wszystkim kieruje ze swego wózka. Straciła nogi. Po tych ranach, które zadał jej Bownik, wdało się zakażenie, do żadnego szpitala i tak by jej nie przyjęli. Nie istnieje, nie ma *bumażki*. Jak się urodziłyśmy, byłam zrośnięta z Berylą kawałkiem nogi – podciągnęła nogawkę i Hablund zobaczył zygzakowaną bliznę. – Mówi się, że kto się tak urodzi, swoim bliskim przynosi tylko pecha. Beryli przynajmniej pomagamy z Borią na odległość.

Po czym Wasylisa znowu złapała się za brzuch.

– Już ja wiem, Bownik powie, że urodziłam martwe dziecko.

Wybuchnęła płaczem.

– A wiesz, co mówi moja mama?

– Co?

– Ze jak kobieta w ciąży płacze, to potem dziecko rodzi się okropnie piegowate. Tyle ma piegów, ile przelała łez.

Wasylisa zachmurzyła się.

– A wy w tym *Kopiengagienie* także macie szamanki?

– Nie, ale tak się mówi.

Wasylisa znowu zaczęła płakać.

– On jest tak strasznie piegowaty.

– No widzisz.

Hablund nie wiedział, co powiedzieć.

– Ty to wiesz?

– Boria mi to powiedział.

– Ach, ta Świnia...

Hablund musiał obiecać, że będzie milczeć.

– Bownik to zły duch – powiedziała jeszcze Wasylisa, zanim się pożegnali. – Nie będzie chciał, żeby to, co mi zrobił, coś mu przypominało.

W sali posiedzeń Myszkińa wypełniała jakieś papiery. Wpuściła ich do środka, zdziwiona,

co tu robi Hablund.

– Idę na pociąg – powiedział, a ponieważ przypomniał sobie widzianego wczoraj olbrzymiego wilka, jak leż tę odważnie spędzoną na dworze noc, głos nawet mu przy tym nie zadrżał.

Pociąg przyjechał punktualnie co do minuty i był towarowy, ale to Hablund wiedział już od kasjerki. Składał się z czterech bydłych wagonów, ale w Charyniu tylko w jednym otworzyły się drzwi. Hablund sprawdził numer na swym bilecie – tak, to ten. Tam, gdzie wsiadł, wewnątrz wagonu wyglądało następująco: w narożach pod sufitem wisiały na drutach cztery mrugające żarówki, mętnie oświetlające około dwudziestu pasażerów siedzących na długich ławkach bez oparcia, za to z tabliczkami, na których wypisane były numery miejsc. Pod obu długimi ścianami wagonu ciągnęły się szerokie na pół metra półki na bagaże, pełne worków i toreb, a pośrodku między ławkami stał stół, przy którym grano w karty. Każdy wagon różnił się czymś od pozostałych. Na przykład sąsiedni nie miał żadnego stołu, ludzie siedzieli tam na gołej podłodze obok swoich tobołów i napchało się ich tam znacznie więcej niż do tego pierwszego. Wszystko to byli smagli oberwańcy, popłakiwały małe dzieci, cuchnęło krowim łajnem i zimnym potem dawno niemytych ciał, Hablund przemknął się tamtędy przyciśnięty brzuchem do ściany, siedzący ludzie bez słowa skupili się jeszcze bardziej, żeby umożliwić mu przejście, tak samo chodził tędy również *proownik*, drągał w granatowym mundurze, jedynie on prezentował się jak należy. Hablund postanowił zobaczyć, jak to wszystko wygląda.

W następnym wagonie nie było nawet żarówki. W całkowitych ciemnościach, rozjaśnionych tylko promykiem światła z przejścia, kiedy Hablund otworzył zasuwane drzwi, siedzieli na podłodze cisi, skuleni, przygarbieni ludzie, jeden przy drugim. Widać nie było tam niemal nic, skądś ciągnęło zimno, w promieniu światła wirowały płatki śniegu – czarna, mroźna dziura, trzecia klasa dla najuboższych.

Pociąg stawał co chwila, nie zawsze jednak zjawiał się *proownik*, żeby odsunąć na bok przeraźliwie skrzypiące drzwi. Zazwyczaj wsiadał albo wysiadał przez nie jeden człowiek, najwyżej dwaj, ale z łatwością zmieściłaby się w nich para wołów. Przez jasny kwadrat, rozświetlający na chwilę cały wagon, wiatr nawiewał do środka śnieg. Hablund za każdym razem się otrzepywał, lecz z tej odrobiny świeżego powietrza był zadowolony. Miał zamiar wysiąść, gdy zobaczy jakiś porządny dworzec, a nie tylko ten jasny kwadrat prowadzący donikąd, a za nim rząd zaśnieżonych drzew, lecz pociąg właśnie te większe stacje jakby umyślnie mijał albo też dookoła Charynia tak długo niczego porządnego nie było. Kolejny wagon wyglądał na zamknięty. Daremnie Hablund szarpał drzwi i już chciał zrezygnować, kiedy nagle się otworzyły. Wagon, w którym się znalazł, wyglądał jak szkolna klasa. Fiedia powiedziałby, że pierwsza, a Hablundowi nawet bez kolejarskiego przygotowania przyszło na myśl mniej więcej to samo. Na przysrubowanych do podłogi i ustawionych jedna za drugą w dwóch rzędach ławkach siedzieli ludzie ubrani przyzwoiciej niż gdzie indziej, Sowici i członkowie miejscowych plemion, każdy wyglądał na skoncentrowanego nad swoją pracą. Kartkowali książki lub przeglądali jakieś papiery, widać było, że nawet jadąc pociągiem, nie chcą marnować czasu. Hablund pomyślał, że tym wagonem niewątpliwie podróżowałby na jakąś sesję wyjazdową również charyński *sielsowiet*. Ludzie ważni, to można było zgadnąć natychmiast. Mimo że wpadając tam, Hablund omal się nie przewrócił, tak mocno szarpał przedtem te drzwi, nikt nawet nie podniósł głowy znad swojej pracy.

Po chwili gapienia się Hablund cicho się wycofał. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nie dziwił się, z zadowoleniem uświadomił sobie, że najwyraźniej nie wyróżnia się już wyglądem od otoczenia. Większość odzieży przywiezionej przez niego z Danii podarła się wskutek codziennego noszenia, pozostało parę sztuk, przeważnie zreperowanych przez Saszkę, a worek podróżny, który miał ze sobą, śmierdział smażonymi czesapami tak samo, jak worki innych.

Wysiadł w końcu tam, gdzie wysiadło więcej ludzi niż gdzie indziej.

– Kuromary – powiedział mu jeden z podróżnych, gdy Hablund spytał, co to za stacja.

Gdyby nie to, że całkowicie brakowało jej wdzięku, stacyjka była taka, jakby zrobiono ją dla lalek. Budynek wyglądał jak nieco większy domek dla ptaków lub wygódka, nazwy stacji na nim nie było. Podnoszone okienko było zamknięte, choć według widniejących nad nim godzin urzędowania powinno być otwarte. Brakowało paru minut do szóstej wieczór.

Gdy Hablund powiedział, że chce zatelefonować, zamiast odesłać go gdzieś indziej lub po prostu wyśmiać ten zwariowany pomysł, mężczyzna w budce powiedział:

– Chwileczkę, już się robi.

Jakby nie było to na Dalekim Wschodzie, tylko na poczcie głównej w Kopenhadze. Kiedy Hablund dodał, że dzwonić chce za granicę, mężczyzna trochę się zdziwił, ale nie zachmurzył się ani nie spojrzął nieufnie, tylko zamiast słuchawki, którą już trzymał w ręku, podał mu inną, nieco nowocześniejszą. Starych słuchawek Hablund i tak nie lubił. Zalatywały cudzym oddechem i dymem tytoniowym. Nową wziął chętnie i podyktował urzędnikowi numer.

Nikt dobrze nie wie, jak Hablund się wtedy czuł. Nikt nie wie nawet, co się w słuchawce odezwało. Hablund trzymał słuchawkę i z niedowierzaniem słuchał. Między zdaniem następowywały krótkie przerwy, najwyraźniej czas na to, żeby dzwoniący odpowiedział, ale Hablund podał słuchawkę urzędnikowi. Lecz urzędnik, choć wyraźnie pochlebiał mu taki dowód zaufania, pokręcił przecząco głową.

– Nie wolno mi słuchać cudzych rozmów. Ochrona prywatności – szepnął i uśmiechnął się filuternie, jakby właśnie ze szczerej sympatii zdradził coś ze swej tajemnicy zawodowej.

– Czy mogę o coś spytać? Odpowiadać mi, rzecz jasna, nie musicie. To naprawdę było po duńsku? – spytał potem jeszcze, gdy Hablund zwracał słuchawkę, i wydawał się zadowolony, kiedy Duńczyk przytaknął. – Bo wiecie, człowiek nigdy nie wie – powiedział, nim zasunął służbowe okienko. – Pociąg z powrotem macie za dwie godziny.

Życząc Hablundowi szczęśliwej podróży, poczęstował go jeszcze karmelkiem ze stojącego tam słoja.

Hablund w żadnym razie nie chciał pochopnie wyciągać wniosków. Przejżdżał więc pociągiem jedynie kilka stacji, wysiadał i próbował raz jeszcze. Telefonować można było przeważnie wprost z dworca albo z poczty. Nie wszędzie mieli telefon, ale tam, gdzie był, kończyło się to tak samo jak za pierwszym razem. Próbował również dzwonić do firmy, ale z podobnym skutkiem. Była to zawczasu zastawiona pułapka. Po kilku minutach tekst zaczynał się znów od początku, za każdą minutę oczywiście trzeba było zapłacić.

Przez cały czas jazdy do Charynia zastanawiał się, jak też mu to stara Irina na poczcie wytłumaczy.

Powitała go jak matka cudem odnalezionego syna.

– Więc już wróciliście, towarzyszu Doran. A wiecie, że już zaczęliśmy się bać, że nie zdążycie na polowanie? A Saszka płakała mi tu całe dwa dni. To kobieta, która nie tylko się o was troszczy, ale ponadto rzeczywiście was kocha. Założę się, że próbowaliście dzwonić gdzie indziej. Mówiłam Saszce, że z was filut, który nie słucha dobrych rad. Tak długo będziecie walić głową w mur, aż powysypują się wam z niej wszystkie wasze piękne myśli i przestaniecie już być takim sympatycznym młodym człowiekiem.

Gdy Hablund opowiedział, jak było z tym telefonowaniem, Irina skomentowała:

– No i widzicie. Przetelefonowaliście furę pieniędzy, co?

– To wy o tym cały czas wiedzieliście?

– Każdy wie. Ale gdyby ktoś wam to powiedział, nie wierzylibyście ani mnie, ani Saszce i byście się niepotrzebnie żołądkowali.

Hablund zaczerwienił się i odszedł bez słowa.

Ostatni raz zdarzyło mu się to, gdy Mariane kupiła do mieszkania przy ulicy Hansena

pianino, w ogóle się go przedtem nie radząc. Przyszedł do domu, a pianino stało na jedynym wolnym miejscu w pokoju. Zaczerwienił się wtedy i zupełnie tak samo wściekły wyszedł z mieszkania.

Na polowanie został Hablundowi ostatni film. Sfotografuje wszystko, co wiąże się z polowaniem, i pojedzie do domu. Życie tutejszego plemienia było skażone bolszewizmem, a sam bolszewizm też był tu dość niezwykły. Jedna rzecz to czerwone gwiazdy i te represje, które od zawsze wiernie towarzyszą dobrym zamiarom, zanim w końcu wszystko popsują. Ale inna rzecz to przygody, które jakby mu się jedynie śniły. Czy w kraju ktoś mu uwierzy? Nawet gdyby wszystko sfilmował, uznają to za wyborny dowcip.

Już widział, jak poklepywaliby go po plecach i ktoś na to konto postawiłby mu kolejne piwo. Teraz chętnie by się go napił. Przynajmniej zabiłoby niesmak po chesapach i całej tej śmietanie, którą Saszka znów mu przyszykowała. Swoich ramion tym razem Hablund dotknął sam. Grubsze niż przed niewielu dniami być nie mogły, bo w czasie całej tej telefonicznej wycieczki niemal nic nie jadł.

Szybko przebrał się w strój sportowy, Bownik już pukał w szybę. W ostatnim dniu treningu musi ćwiczyć z innymi, żeby zakwalifikować się na jutrzejsze polowanie.

W wieczornych obrzędach buraczarzy, które miały zapewnić pomyślny rezultat polowania, charyniakom nie wolno było uczestniczyć, podobnie jak mniej liberalne plemiona nie wpuszczają na nie kobiet i dzieci albo kobiet mających właśnie okres. Ale Hablund miał już w Charyniu znajomych, wśród nich zaś osobę w przypadku buraczarskich obrzędów najbardziej kompetentną. Tę, która jedyna z całego Charynia miała prawo brać w nich udział. Josifowiczowa nawet nie pytała dlaczego. Była buraczarką i pomagała Karom we wsi, jak się dało. Będzie wieczór, w tym tłumie ludzi Hablunda może nikt nie zauważy. Dała mu jakieś łachy, by się przebrał, i postawiła warunek, że kamerę może wyjąć jedynie gdzieś za drzewem – inaczej przeszkadzałby, a co więcej, przez niego wszystko mogłoby się nie udać.

Po prostu idiotka miała do niego, do tego Hablunda, słabość. A poza tym była na pół charynianką i buraczarskich zwyczajów oraz zakazów nie brała sobie tak bardzo do serca.

Saszka wcale nie była z tego wszystkiego zadowolona. Bała się, że jej najlepsza przyjaciółka będzie gdzieś w ciemnościach i ścisku trzymać Hablunda za rękę i z gorącym oddechem przy jego uchu objaśniać mu rzeczy, których ona sama nie rozumiała.

– Dostają za to niezłe wynagrodzenie – mówiła Hablundowi, pewnie żeby pomniejszyć znaczenie całej sprawy, ale Hablund również z „Naszego Świata” wiedział, że obrzędy mogą być odprawiane na zamówienie, co w żaden sposób nie umniejsza ich prawdziwości i mocy. Na przykład buddyjskim michom płaci się gotówką z góry, a szamani także dostają kawał mięsa lub nowe pióra do pióropusza czy turkusowe paciorki. Zanim wyszedł, spełnił jeszcze obowiązek małżeński, lecz nasienie szybko pochwycił w dłoń. Kiedy wychodził do idiotki, Saszka już spała. Czy ją kocha? Chyba tak.

Josifowiczowa czekała już na Hablunda przed domem.

Chóralne śpiewy słyhać było daleko od Czewapiki. Głębokiemu, gardłowemu buczeniu mężczyzn i nieco wyższemu pomrukiwaniu kobiet towarzyszył rytmiczny akompaniament. Walono w stare plemienne bębny oraz w kawałki blachy. Obszarpańcy z nogami w walonkach, futrzanych człapakach i boso tańczyli dokoła ognia w kręgu wyznaczonym przez wysoki na metr i na metr szeroki wał z czerwonych buraków. W świętym kręgu – jak szepnęła Hablundowi idiotka, chwytając go za rękę. Przewidywania Saszki okazały się trafne.

Był tam też Buro, przynajmniej Hablundowi wydawało się, że w jednej z poczernionych twarzy zobaczył jego oczy, oczy buraczarza, któremu powiodło się najlepiej z nich wszystkich, buraczarza, który zdaniem Izykiła kolaborował z Sowietami, bo związał się z Rosjanką i żył z jej pieniędzy, a tutaj wzywały go z Charynia głos plemienia, nieczyste

sumienie albo wyrachowanie. Być może potem za stosowną sumkę będzie opowiadać w *posiołku*, co się działo na uroczystości buraczarzy, a potęgę całego rytuału diabli wezmą. Tym jednak Buro by się nie przejmował, jeśli bowiem w *posiołku* będzie głód, on jeden prócz Hablunda wie, że to skutek oszustwa popełnionego przez Welora w spichlerzu, a taka wiedza ma wartość dwudziestu reniferów albo trzech całkiem nowych ciężarówek z terenowymi oponami. Lecz Izykił o oszustwie Welora nie wie, tak więc mówić tego nie może. Może jedynie Bura wysłać tam, skąd przyszedł, bo na dwóch stołkach siedzieć nie można, a wszystko, o co mu chodzi, jest tam, u nich, ponieważ nigdy nie był dumny z tego, że jest Karem. I Izykiłowi jest przykro, gdyż on sam w gruncie rzeczy też z tego, że jest Karem, nigdy nie był tak dumny, jak chciałby, tak dumny, jak zapewne byli jego przodkowie.

Ale stara się i ten obrzęd niech będzie ucieleśnieniem wszystkiego, co to ubogie plemię jeszcze potrafi. Jest tam. Izykił, który jako starzec sześćdziesiąt lat później podczas podróży do Charynia opowie Fiedi o Karach i ostrzeże go przed Kawaryczami, stoi teraz niedaleko Hablunda i w skupieniu wpatruje się w ogień. Fiedi nie powie, że szamanem był od czasu, kiedy skończył piętnaście lat, bo od pierwszej chwili będzie wiedział, że ten natychmiast przestałby traktować go poważnie. Że uznałby jego słowa jedynie za głupie metafory czegoś, co jego samego nie dotyczy, zamiast widzieć w nich fakty, które powinien koniecznie znać, zanim pierwszy raz pójdzie z wizytą do rodziny swojej kobiety.

Izykił, młodzieniec zaledwie dwudziestoletni, stara się wraz z innymi na uroczystości ku czci polowania czytać z ognia. Zmusić go, by zaczął przemawiać obrazami przyszłości, na które, gdy staną się widoczne, będzie można wywierać wpływ już teraz. Uczesać głowę boga tajgi grzebieniem, słoje na pniach markeszów tutaj rozgarnąć, a tam ścieśnić, sprawić, by dzień i noc śpiewały odmienne pieśni. Każdy może to sobie nazywać, jak chce. Izykił prosił renifery, żeby w ostatniej chwili nie zmieniły planów i szły tym samym szlakiem co zwykle, żeby nie bały się myśliwych, bo myśliwi to właściwie tylko troszeczkę inne renifery, a reniferowi-łowcy, jeśli to tak ujmijemy, nie chodzi o upolowanie jednych przez drugich, tylko o wielkie uczczenie życia.

Izykił był tylko jednym z kręgu. Z najściślejszego kręgu wokół ognia, z tych, których życzenia, jak uważano, mają największą moc, i którzy z tego powodu mieli zaszczyt tworzyć wewnętrzny krąg, wokół którego krążyły pozostałe. Postępujący tuż za nimi karmiciele ognia podsuwali płomieniom smakołyki – starali się w ten sposób zapewnić najściślejszemu kręgowi ich życzliwość, ażeby te płomienie ukazały mu jak najwięcej z przyszłości. Gdyż kiedy ogień milczał, siła życzeń niezależnie od swej intensywności pozbawiona była zwierciadła spodziewanych wydarzeń, które by się w nim odbijały, nie miała gdzie się zwracać i zawisała nieruchomo między najściślejszym kręgiem wyrażających życzenia a pomarańczowymi płomieniami, jak ptak w tym jedynym punkcie bezruchu, zanim przesyty strzałą albo trafiony kulą zacznie spadać na ziemię. Za karmicielami ognia rozciągał się szerszy krąg śpiewaków i doboszy, kilkurzędowy wąż trzymający w pysku własny ogon, falujący, skowyczący i mrużący w zależności od tego, w jakim był akurat nastroju. W miarę jak robiło się coraz później, ruchy buraczarzy przechodziły w regularne falowanie, obejmujące poszczególne ich kręgi, jakby ten wąż pożarł jajo i teraz jego ciało zmagало się z nim w konwulsyjnych porывach.

Idiotka przycisnęła się mocniej do Hablunda, trzymała go za udo, on trzymał tak samo ją, znajdowali się gdzieś pośrodku węzowego kręgu śpiewaków, idiotka mrużwała razem z nimi, Hablund zastanawiał się, w jaki sposób wyjąć kamerę, żeby nikt tego nie zauważył, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Za nimi był już tylko zewnętrzny wał z buraków, które w ciemnościach wyglądały jak główki dzieci, tyle że w niespodziewanych miejscach pełne wgniecia i narośli. Hablund przypomniał sobie słowa Welora o krzyżujących się tu między sobą osobnikach na granicy demencji, wypowiedziane w dniu, gdy pierwszy raz odwiedził Josifowiczów i zaskoczony był bezdusnością tej wypowiedzi. Od tego czasu zdarzyło mu się

widzieć tu już iluś tam upośledzonych umysłowo, ale gdyby nie te okrągłe buraki, nawet by sobie tego nie uświadomił.

Zdawało się, że ogień jest buraczarzom przychylny. Izykił i inni tworzący wraz z nim najściślejszy krąg rozmawiali już żywo z płomieniami. Niektórzy dziko wymachiwali rękami, inni zdawali się płomienie pouczać lub o czymś przekonywać, krąg tancerzy falował, miotając się konwulsyjnie, uroczystość osiągała punkt kulminacyjny, kiedy nagle stało się coś nieoczekiwanego.

Z gałęzi wysokiego gerysza, pod którym znajdowało się ognisko, zsunęła się wielka bryła śniegu – i spadła prosto w ogień. Wszyscy zamilkli. Zapanowała cisza i chłód. Ogień nie walczył, nie syczał ani się nie tlił, został pokonany jednym zamaszystym gestem ducha tajgi, który przyniósł mu zagładę i w mgnieniu oka odszedł, skąd przybył.

– Czujesz to? – szepnęła idiotka do Hablunda.

– Co?

– Odór ducha tajgi.

– Jak to można poznać?

– Ten zapach przyszedł w porywie chłodu. Jak wtedy gdy rozlejesz na stole herbatę i wypłuczesz w niej wilczą łapę. I te liście skądś tam. Jakby na chwilę było o jedną porę roku mniej. Duch tajgi robi to często, kiedy się ukazuje. Na chwilę zawraca całą jedną porę roku.

Podczas gdy idiotka trajkotała Hablundowi do ucha, inni siedzieli w osłupieniu, a potem wszyscy jednocześnie, jakby na czyjeś pstryknięcie palcami, wybuchnęli żalobnym płaczem.

Płacz żalobny łatwo poznać po tym, że biorą w nim udział wszyscy, którzy w danym czasie są razem, wybuchają nim wspólnie i kończą go również jakby na komendę. Ten wydał się Hablundowi nieznośnie długi. Idiotka przyłączyła się także i chwyciła rękę Hablunda w żelazny uścisk, żeby nie mógł zatykać sobie nimi uszu.

– Ma boleć. To musi boleć – powiedziała mu później. – Jak odłamek w ciele, jak szrama po ranie zadanej przez niedźwiedzia, jak postrzał.

W końcu jemu też z oczu zaczęły płynąć łzy, chociaż tak bardzo starał się panować nad sobą. Płakał na myśl o Mariane. Już pół roku nic o niej nie wie i przed samym sobą udaje, że to nic. Nagle poczuł, że oddałby całe jutrzejsze polowanie za to, by wiedzieć, jakie nowe ozdóbki pod jego nieobecność kupiła do ich mieszkania. Jasnoniebieską pościel w złocenie? Szklaną kulę z gwiazdkami, które migoczą w środku, gdy patrzy się na nie pod światło? Nową pieprzniczkę i solniczkę? Naraz to pojął: jest bezbronna jak Wasylisa, kiedy do jej celi przyjdzie wieczorem Bownik. W Kopenhadze powiedziałby: jak dziecko. Lecz to było coś więcej. Wasylisę w tej chwili mocno by do siebie przytulił.

Fiedia

Ze stacji cała rodzina Kawaryczów kroczyła z należytym dostojeństwem. Żeby wszystkie oszczerstwa, które przez tyle miesięcy musiała znosić, jak najszybciej poszły w niepamięć, bo oto ojciec Sierioży już tu jest, a przyczyną tak długiej jego nieobecności były wyłącznie niecierpiące zwłoki obowiązki, gdyż jest to człowiek pod każdym względem odpowiedzialny.

Fiedia prowadził Elwirę, a stary Keke Kawarycz Tamarę, choć było raczej odwrotnie: to Elwira prowadziła Fiedię, a Kawaryczowa Kawarycza, Fiedia bowiem wstydził się, że przyjechał tak późno, a Kawarycza akurat bolał żołądek. Może dlatego od początku był wobec Fiedi taki wyrozumiały. No cóż, żaden z niego wyrwidąb, lecz jeżeli będzie przynosić o domu ruble, to można na niego liczyć – ocenił zięcia. Ku zaskoczeniu Fiedi to, że pracuje na kolei, nawet się Kawaryczowi podobało. Myślał, że teść uzna to zajęcie za babskie, a tymczasem Keke pochwalił Olega Abramowicza, że tak przewidująco zdecydował, żeby syn zdobył zawód o tak pewnej przyszłości, jak praca w kolejnictwie.

– Magistrala przeżyje nas wszystkich – powiedział i natychmiast zaproponował, by mały Siergiej też wyuczył się na *proownika*. – Czas szybko leci – mrucał, kiedy Fiedia podrzucił syna do góry i całował jego białe policzki; chłopiec był beniaminkiem i przedmiotem dumy całej rodziny.

Elwira wyglądała bardzo ładnie. Stała się stuprocentową kobietą. Nosila teraz dłuższe włosy i była szersza w biodrach. To już nie ta podobna do chłopca, zaczytana licealistka, którą Fiedia spotkał dwa lata temu w pociągu – i naprawdę mu się to podobało.

Ślub wzięli pospiesznie podczas jednej z bytności we Władywostoku, gdy Elwira stwierdziła, że jest w ciąży, ale dopiero teraz wszyscy mogli wspólnie to uczcić. Elwira i Tamara podawały do stołu, Fiedia – mimo tak miłego przyjęcia – czuł się jakoś nieswojo, a Kawarycz nieustannie powtarzał, jak bardzo mu przykro, że nie ma z nimi ojca Fiedi. Decyzja Olega, żeby Fiedia został *proownikiem*, naprawdę zrobiła na nim wrażenie, podobnie jak na Tamarze fakt, że Oleg Abramowicz swojego syna od małego wychowywał sam. Wątpiła, by Kawarycz był do czegoś takiego zdolny.

Fiedia czuł się nieswojo, ponieważ myślał o tym, co mówił mu Izykił. Ze Kawaryczowie to buraczarze kolaboranci, a Tamara w dodatku swą własną matkę wypędziła na stare lata z Charynia z powrotem do Czewapiki. Nie wiedział jednak, czy wszystko to nie jest kłamstwem starca pragnącego oczernić znieawidzonych Kawaryczów. Bał się, żeby z tym nie wyskoczyć, kiedy razem z gospodarzami upije się i nie będzie dostatecznie nad sobą panować.

Ostatecznie wszystko wyszło inaczej. Fiedia został członkiem rodziny, wobec czego jeszcze tego popołudnia, zanim zaczęto pić i Fiedia mógł zrobić jakąś niestosowną uwagę, Kawarycz zakomenderował, by pójść na *uczastok* – i wszyscy oprócz Fiedi od razu wiedzieli, co teraz nastąpi.

Elwira o swym bracie nikomu nie mówiła i gdy Erske kiedyś, dawno temu spytał, czy ma rodzeństwo, odpowiedziała bez wahania, że nie, tak dobrze już nauczyła się to ukrywać. Obura przecież już dawno żadnym jej rodzonym bratem nie był.

Z ludzi uważających się za coś lepszego *uczastok* miał teraz w Charyniu prawie każdy. Była to jedna z rzeczy, które tych lepszych charyniaków zrównywały z mieszkańcami wielkich miast, co napawało ich dumą. Bo ich wieś nie była tak całkiem wsią, zabita dechami

wiochą, skoro z chałupy co najmniej dwa razy na tydzień, oczywiście z wyjątkiem zimy, chodziło się do jeszcze jednej wsi, wsi kartoflanych pól oraz zagonów kopru i pietruszki, której ci lepsi nie chcieli mieć koło domu, do strefy ogrodzonych płotami *uczastków*, gdzie uprawiano warzywa, przynoszone stamtąd lub nawet przywożone do domu samochodem. *Uczastki* znajdowały się po drugiej stronie Charynia niż Czewapika, po części przypadkowo, po części zaś – żeby z nich tyle nie kradziono. Przelezenie przez płot jednak nie sprawiłoby Waśce i Dimie trudności i zbiory wszystkich tych warzyw zależały od dobrej woli innych, od tego, czy pozwolą im dojrzeć.

Latem Tamara chodziła tam często, by – jak sama mówiła – odpoczywać. Mądrość tę zawdzięczała takim czasopismom jak „Liza” czy „Chwilka dla Ciebie”, których starsze numery Myszkina kupowała po obniżonej cenie do swojego sklepu. Ponadczasowe porady nie starzeją się i Tamara doczytała się tam, że uprawianie własnych warzyw to forma relaksu jakby stworzona dla kobiet. Wzięła sobie tę poradę do serca, chodziła odpoczywać i harowała przy tym jak koń, od stóp do głów wysmarowana maścią przeciw komarom. O ile jednak inne charynianki chodziły na *uczastki* przede wszystkim po to, żeby okopywać rośliny, plewić chwasty i dźwigać konewki z wodą, Kawaryczowie chodzili tam głównie do Obury. Swoją kawałek ziemi ornej i zagony mieli kawałek dalej niż inni, z drewnianą szopą z narzędziami i ze swym synem.

Obura urodził się, gdy Elwira miała osiem lat. Tamara zorientowała się, że jest w ciąży i przyjęła to jako zrządenie losu. Od kilku lat, od czasu gdy w Charyniu zbudowano cerkiewkę, chodziła do niej chętnie wraz z Kawaryczem, ale dzieci za żadne błogosławieństwo boże nigdy nie uważała. Były czymś, co wypada mieć, podobnie jak mieszkanie, pralkę i odbiornik radiowy, to oczywiste, ale nie czymś, nad czym miałyby się rozpląwać w czułościach. Choć tego nie wiedziała, była to jedna z cech odziedziczonych przez nią po matce. Idiotka latała po wsi, a Tamary pilnowała ta czy owa z sąsiadek. Stara Kawaryczowa siedziała wprawdzie w domu, ale nigdy nie zwracała się do Elwiry jakimś zdrobniałym, dziecięcym imieniem; owszem, przyjemnie było czasem ją pokołysać, a gdy zaczęła mówić, te jej nieporadne próby były zabawne, poza tym jednak odciągała matkę od zajęć domowych i robiła bałagan. Gdy urodził się Obura, dobre było przynajmniej, że to nie następna dziewczynka, choć świat by się od tego nie zawalił. Tamara przyjęła to ze spokojem, ale Kawarycz cieszył się, a jej było z tego powodu miło, zresztą co tam, z dwójką dzieci większość kobiet jakoś sobie radzi. Idiotka w owym czasie nie latała już po wsi, mieszkali we dwoje z Welorem. Dogadzała mu, może w rekompensacie za tych wszystkich mężczyzn, których kusiała w młodości – a ponadto starała się być dobrą babcią Elwiry. Oburą najbardziej cieszyła się właśnie ona. Kiedy przychodził na świat, a był przy tym ktoś by inny, jak nie doktor Welor Josifowicz, idiotka stała na zewnątrz i cały czas stukwała w okno, żeby się dowiedzieć, czy już po wszystkim. Właśnie z powodu tego hałasu, który zawsze robiła, Tamara nie chciała wpuścić jej do środka. Zaraz pchałaby się, żeby objąć główkę dziecka, gdy ciało nie wyszło jeszcze na zewnątrz. Welor złościłby się, gdzie się pcha, a Tamara musiałaby znosić całe to zamieszanie.

Kiedy urodził się Obura, Jowaka niemal całkiem wprowadziła się do młodych, Tamara oraz Keke znowu mieszkali z nią, tak jak krótko po ślubie. Welor został u siebie, a idiotka biegała z domu zięcia do męża i z powrotem. Coś się działo, wszyscy widzieli, jaka była szczęśliwa. Może właśnie dlatego Tamara tak bardzo jej zaufała. Widziała, jaką jej to sprawia przyjemność, i zapomniiała, że to wcale nie świadczy, że starczy jej rozumu, żeby zająć się wszystkim jak trzeba.

Kiedy Elwira była mała, idiotka bynajmniej nie spędzała z nią tyle czasu, a i tak nieźle namieszała. Gdy była sama z wnuczką, garnki się przypalały, talerze spadały z półek, taka opieka nad dzieckiem nie była dla Tamary żadną pomocą. Zostawić je, żeby się razem bawiły, to owszem, ale kiedy trzeba było także wykonać jakąś pracę, nie mogła na swej matce

polegać. Było z nią tak od zawsze. Przez jakiś czas nic złego się nie działo, aż tu nagle głupiała, potrafiła na przykład wyjść na wieś z gołą wnuczką, a Elwira miała już przecież osiem lat. Tamara złościła się potem na córkę, dlaczego sama niczego na siebie nie włożyła, a poza tym na dworze mogła się przeziębici. Na to, że babka zostawiała drzwi otwarte na oścież, nikt już nie zwracał uwagi, ale ściągała do Kawaryczów czort wie jakich buraczarzy, którzy siedzieli również wtedy, gdy ona sama szła spać, nie dostrzegała brudu, kiedy inna kobieta dawno już rozejrzała się za szczotką, pozwalala Elwirze bawić się ciesielskimi gwoździami. Kawarycz mówił o niej po prostu, że jest flejtuchem, lecz utarczki z teściową pozostawiał Tamarze. Sam, jeżeli nie musiał, nie mieszał się do niczego, co uważał za poniżej jego godności.

W przypadku Obury było tak, jakby ktoś skinął czarodziejską różdżką. Jowaka stała się skrupulatniejsza i, o dziwo, sama zaczęła napominać Tamarę, gdy uważała, że się o niego nie troszczy tak, jak powinna. Obura musiał być czysty. Obura musiał zawsze mieć pod ręką grzechotkę, żeby się nią bawić. Oburzę musiało być ciepło i zawsze musiał być najedzony do syta, leżeć mógł jedynie w półcieniu, a jeżeli na słońcu, to koniecznie w kapelusiku. Jeden zrobiła mu sama z pieluchy, wyhaftowała też imię niemowlęcia.

Tak. Kawarycz mówił, że należy uważać. Że teściowej może się coś przestawić w mózgowicy i nieszczęście gotowe. Kawarycz od początku nie ufał idiotce i jeśli ktoś absolutnie nie jest winien nieszczęścia, które przydarzyło się im z Oburą, to właśnie on. Tamara również tak o sobie mówi, ale idiotka była przecież jej matką, powinna była uważać. Elwira jest zadowolona, że jej nikt niczego nie wypomina, była jeszcze mała, przynajmniej coś w rodzinie stało się bez jej udziału.

Chyba go upuściła, takie rzeczy się zdarzają. Welor mówił później, że jego żona musiała upuścić dziecko kilka razy albo że raczej biegła gdzieś i nieostroźnie rąbnęła nim o futrynę drzwi czy coś w tym rodzaju. Chłopczyk zawsze miał gdzieś na głowie niewielkiego siniaka. Była zima, więc goiły się, ukryte pod czapeczką. Właściwie nikt o nich nie wiedział aż do chwili, gdy Obura zaczął wykazywać opóźnienie w rozwoju. Chodził, ale źle, i nigdy nie nauczył się mówić więcej niż swoje dziecięce słowa. Tamara myślała, że z czasem się to poprawi, w rodzinie mieli przecież doktora, ale Welor nic nie poradził i Kawarycz zaczął się syna wstydzić. Udawał, że nie dostrzega jego obecności w domu. Niech się wygłupia i robi te swoje grymasy gdzie indziej. Tarzał się przy nich po ziemi, co nie było przyjemne. Dla rodziny ta sytuacja stawała się po prostu nie do zniesienia. Takie dzieci rodzą się ludziom pozostającym w związkach kazirodczych, alkoholikom i biedakom, którzy żywią się korzonkami, może buraczarom, ale żeby Kawaryczom? Oni przecież mimo swego na pół buraczarskiego pochodzenia nigdy w Czewapice nie mieszkali.

Gdy pierwszy raz ukryli Oburę w szopie na *uczastku*, zrobili to tylko na chwilę. Przyjechał wtedy do nich w odwiedzin Buro, ojciec Kawarycza. Nie mieszkał już wówczas w Charyniu, tylko w Chabarowsku. Wkrótce po przejściu na emeryturę przeniósł się do domu dla zasłużonych rencistów. Emeryturę miał przyzwoitą, bo roznosząc przesyłki po tajdze, poznał wszystkich ważnych towarzyszy z okolicznych łagrów, bez znajomości takie rzeczy się nie zdarzają. Z Kawaryczami nie widywał się często, lecz zawsze, gdy przyjeżdżał, jego syn tracił pewność siebie. Nigdy nie wyzbył się poczucia, że w oczach ojca jest niedojdą. Trudno powiedzieć dlaczego. Miał rodzinę, dom, dobrze się prezentował, był charyniakiem i nie było w nim nic z buraczarza, a więc osiągnął to, o co jego ojciec zabiegał, lecz nigdy mu się to nie udawało, bo były inne czasy, wszystko to Keke, jego jedyny syn, miał, a mimo to w obecności ojca zawsze czuł się niepewnie.

Czy dlatego, że Buro nigdy z nim porządnie nie porozmawiał? Ojcowie przecież przeważnie wiele nie mówią. Krótko mówiąc, było nie do pomyślenia, żeby przy ojcu pełzało po podłodze to niewydarzone stworzenie. Buro był człowiekiem tajgi. Całe życie chodził z plecakiem, w największy upał, w czasie burzy, w śniegu, nieudaczników i słabeuszy nie

znosił. „Zaciśnij zęby – mawiał zawsze małemu Kelcemu. Zaciśnij zęby, bo jak nie, to wyniosą cię w nich inni”. Tego Kawarycz przynigdy nie zapomni, choć w odróżnieniu od ojca nie musiał stosować się do tej nauki równie często, jak on. Keke bowiem nie spotkał się w swym życiu z większymi trudnościami, a w dodatku był przystojny. Dlatego też wpadł wtedy w oko Tamarze. Z tego dobrego wyglądu korzystał w życiu jak niejedna kobieta, z tą różnicą, że jemu urody wystarczało na całe życie. Wiedział o tym. Ze dla Tamary jest niczym piękny serwis do herbaty, którym może chwalić się przed sąsiadkami – a dlaczego nie? Na czas wizyty ojca musiał jednak stać się człowiekiem czynu. Słabeusza Buro by nie szanował, on zresztą też. Toteż pierwszy raz od długiego czasu wziął Oburę w ramiona i sam wyniósł go do tej szopy, zanim z całą rodziną wyszedł, by powitać ojca na stacji.

Okazje do usuwania Obury potem zaczęły już nadarzać się same. Gdy ktokolwiek miał przyjść do nich do chałupy, a wreszcie również wtedy, kiedy po prostu chcieli mieć w domu spokój. Tak więc Obura został w szopie. Zdaniem rodziny wcale nie miał się tam zresztą źle. Jedzenie i picie mu nosili, kibełek też wylewali, polepę przykryli starym dywanem, żeby było tam ciepłej, a od przedostatniej zimy miał nawet piecyk elektryczny, nie musieli mu więc co dzień palić w piecu. Zainstalowali nawet w szopie mały telewizor. Poprosili znajomego złotą rączkę w Pstrugach, żeby przegrał im na kasety ileś tam ośmiomilimetrowych filmów, które znaleźli wśród domowych rupieci. Ze niby Kawarycz chce zobaczyć, co na nich jest. Ostatecznie razem ze znoszonym ubraniem i kiwającym się stolikiem skończyły u Obury, Kawarycz wcale ich nie oglądał. Zmieniali kanały, zawsze coś tam było, w dodatku w kolorze, a zresztą nie mieli czasu. Obura kanałów nie przełączał. Zwracać na szopę uwagę, zakładając antenę – jeszcze czego? Wystarczy, że Udiej podłączył szopę do gminnej sieci elektrycznej. Był jedynym obcym, który wiedział o Oburze. Dla innych chłopiec zmarł w następstwie jakiejś paskudnej, ale krótkiej choroby. W owym czasie w Charyniu było mnóstwo infekcji. Podobno wyciekło coś do wody z zakładów papierniczych koło Ałdanu i z nurtem rzeki przypłynęło aż do *posiołka*, nikogo to nawet nie zaskoczyło. Dobrze przynajmniej, że nie chorował długo – składały Tamarze kondolencje sąsiadki z rękami upapranymi ziemią i znów schylone wracały do plewienia chwastów, podczas gdy Obura czekał zamknięty w szopie i cieszył się, że wnet po niego przyjdą i wróci wreszcie do domu.

Idąc na *uczastok* z Fiedią o niczym z tych rzeczy nie mówiono. Tamara chwaliła tegoroczny urodzaj pomidorów. Fiedia koniecznie musi skosztować jej przecieru – a czemu by nie dzisiaj, na kolację ugotuje pomidorową z ryżem, Kawarycz zaś wyjaśniał, jak trudno było ogrodzić cały *uczastok* i zbudować szopę, bo drewno było wtedy na przydział, a on nie chciał, jak niektórzy wandale, pełzać po tajdze i kraść.

– No, to jest właśnie to, o czym mówię, jesteśmy na miejscu – rzeczowo oznajmił Kawarycz i z dumą wskazał na *uczastok*, o który wystarał się dla swej rodziny, a przede wszystkim dla Tamary (mówiąc to, poklepał ją po ręce).

– I jeszcze coś. Żebyś, Fiedia, wiedział, bo przed tobą nic nie chcemy ukrywać, otóż w tej szopie...

Twarz Fiedi była biała jak ściana. W szopie leżał mniej więcej dwudziestoletni nieduży młody człowiek, opuchnięty i pogryziony przez komary, z ciemnymi plamami na ramionach. Ubrany był jedynie w luźne spodenki gimnastyczne i spał. Gromada much brzęczała nad miską pełną owsianej kaszy, w smugach światła wirował w szopie kurz. Narzędzia były w przybudówce obok.

– Nie budźcie go bez potrzeby – rzekł Kawarycz. – W końcu przyszliśmy tu tylko po szpadel. Obura niekiedy lubi spać cały dzień, niejeden mógłby mu pozazdrościć.

Przez cały ten czas Elwira trzymała Fiedię za rękę i ścisnęła ją delikatnie, od tego także robiło mu się niedobrze.

– To możemy już iść – oznajmiła po chwili Kawaryczowa. – O, tu masz, co ci

przyniosłam.

Wyjęła z kieszeni kilka śliwek i popękany palcami wgniotła je w owsiankę, podczas gdy Elwira ciągnęła Fiedię za rękę, by jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Tu jest mu lepiej – szepnęła mu do ucha i pogłaskała go po włosach, potem zdawało mu się, że pogłaskała też Oburę, ale wtedy był już jedną nogą na dworze i nie chciał oglądać się za siebie.

Po tak długiej rozłące musiało upłynąć trochę czasu, zanim znów nauczyli się żyć razem. Tych parę miesięcy, choć raczej można mówić o tygodniach, gdy jeździli razem pociągiem i komórka Fiedi była ich jedynym wspólnym pomieszczeniem, wszystko to było przecież tylko taką zabawą, zdawało mu się teraz. On był jej *bogatyrem*, a ona jego *carewną*, całkiem jak małe dzieci. Biegali razem po wagonie, parzyli pasażerom herbatę, rozdawali im pościel, a potem pędzili przez korytarz i zamykali się w ustępie na krótkie chwile gorących pocałunków.

Właściwie dobrze, że trwało to tak krótko. W takich warunkach i tak nigdy by się nie dowiedział, jaka jest naprawdę.

Niby nie czuł się zawiedziony, lecz w gruncie rzeczy był. Jego żona miała brata i nigdy mu o tym nie powiedziała. Miała brata i chodziła przez wieś, by go karmić, jakby był zwierzęciem gospodarskim, miała brata i przez wszystkie te lata się nie zbuntowała.

– Miałam jedenaście lat – broniła się.

– No i co?

– Gdybyś wiedział, jak ojciec go traktował...

Początkowo nie rozmawiali o niczym innym. Mieszkali w przybudówce, Kawarycz przeniósł się do dużego pokoju, do Tamary. Przybudówka została dla młodych, spali tam wraz z Sieriożą w jednym łóżku i do późnej nocy rozmawiali o Oburzę. Elwira prosiła o zrozumienie, a Fiedia zrozumieć jej nie tylko nie potrafił, ale i nie chciał. I nawet przez to nie mógł nic z nią mieć. Leżała przed nim naga, z włosami na poduszce, Sieriożą wreszcie usnął, lecz Fiedia cmoknęła ją tylko w policzek i dobranoc.

W końcu obiecała mu, że wezmą go do siebie, jak będą mieć w Charyniu własny dom. Będą mówili, że to krewny Fiedi, może nawet brat, czemu nie, kiedy teraz niemal nim był. Kawarycza o nic pytać nie będą, a gdy rzecz się rozniesie, nie będzie można się wycofać.

Najwięcej radości sprawiał im Sierioża. Fiedia zajmował się nim, kiedy Elwira była w pracy; Tamara mówiła sobie, że tę umiejętność postępowania z małym Fiedia ma z pewnością po swoim ojcu, patrzyła na niego z przyjemnością. Ona sama preferowała przystojniaków i takiego mężczyzny nawet by nie zauważyła, nawet gdyby wpadli na siebie, a dokoła nie było nikogo innego, ale Elwirze mówić o tym nie będzie. Najważniejsze, że córka jest szczęśliwa i – jak powiada Kawarycz – mężczyzna przynosi do domu ruble. Ale właśnie z tym był kłopot. Fiedia nie miał już żadnych pieniędzy.

W pracy nie był już od kilku miesięcy. Najpierw był w Petersburgu, potem zmarła Fila Miedosjewa, w dodatku przyszły jeszcze wydatki związane z pogrzebem. Ojciec Fiedi żył od pierwszego do pierwszego, żadnych oszczędności nie miał; gdy Fiedia był ostatnim razem w Woryniu, również jemu zostawił jakąś sumkę, by się lepiej odżywił, a po kupnie prezentów dla swej nowej rodziny nie miał prawie nic. Niebawem będzie musiał znów jechać i zostawić Elwirę samą. Miała wtedy zaledwie jedenaście lat, ma rację, czasem po prostu czasu nie można cofnąć. Nie był pewien, czy coś sobie wmawia, czy też troszeczkę zmadrał, bo ta głucha złość wreszcie mu minęła. Trzeba brać sprawy takimi, jakie są. Oburę wezmą do siebie zaraz, jak tylko będzie to możliwe.

Kiedy Kawaryczowi przeszedł ból żołądka, który trapił go w pierwszych dniach, Fiedia już nie wydawał mu się taką świetną partią. Dzieci z takim niewysokim, szczupłym mężczyzną Elwira będzie miała małe, nie będzie to nic pięknego – myślał, patrząc, jak Fiedia bawi się ze swym synem. Już ten pierwszy będzie niski, w końcu nie przyjmą go na inne

stanowisko, co najwyżej może być *przewodnikiem*. Zawsze właściwa Kawaryczowi chimeryczność poróżniła go z Fiedią, I Oburą. Jaką hańbą jest takie dziecko dla ojca, tego zięć absolutnie nie potrafi zrozumieć. Kawarycz poskarżył się na to Elwirze, aż za dobrze zauważył spojrzenie, którym obrzucił go Fiedia, kiedy opuszczali *uczastok*.

– Jestem nieludzki, zgoda. Ale z czym on sam kiedykolwiek musiał się zmagać? Tego, że umarła mu matka, dzięki swemu nadzwyczajnemu ojcu nawet nie zdążył zauważyć. Nawet jej nie pamięta.

W przeciwieństwie do Kawaryczowej, takiego ojca Elwira dotąd nie знаła. Ale teraz była kobietą zamezną, kuratelę nad nią sprawował kto inny, nie Kawarycz, więc mógł uzalać się również jej. Była już przecież dorosła i wiedział, że niejedno zniesie. Był z niej dumny, choć na głos by tego nie powiedział. Miała pracę, której jej zazdrozczono, była pilna i staranna i nigdy mu się nie sprzeciwiała. Zasługiwała na kogoś lepszego niż ten, z którym on sam chyba do końca życia będzie drzeć koty. Czy on, Kawarycz, nigdy nie był małym chłopcem? Wtedy przecież, jako mały Keke, przeżył niejedno i teraz ma prawo do odrobiny spokoju.

O swoim dzieciństwie Kawarycz w obecności Elwiry nigdy przedtem wiele nie mówił, ale Tamara znała to na pamięć. W końcu było coś w tym, co Izykił w pociągu mówił Fiedii. Oboje byli mieszającami. Niewątpliwie. Kawarycz był przystojny i dał się złapać w sprytnie zastawione przez Tamarę sidła, jednak samo to by nie wystarczyło. Te szersze nosy i odmienne twarze, jakże by tego mogli nie zauważyć już jako dzieci? W dodatku ich rodzice byli znani. Przecież bawili się razem już jako pędraki na weselu Hablunda. Poklepywali się po tych nosach rączkami i niezmiernie ich to śmieszyło. Tamara, dziecko dziczy, jak ją nazywano, ponieważ gdy popłakując, szukała po wsi matki, biegła przy tym z jednego końca wsi na drugi, jak ona. W Czewapice była stałym gościem. Zajrzała do szałasów Izykiła, kiedy właśnie spał tam z kobietą. Z Berylą z włosami jak końskie włosie i nogami samicy renifera, z Berylą, która wyszła za Borię i z drewnianego wózka dowodziła rewoltą w Czycie.

Buraczarzy Tamara się nie bała. Z matką, jeśli ta wzięła ją ze sobą, chodziła do Czewapiki na pogaduszki, a z ojcem do chorych. Obydwoje byli swego czasu kimś i nawet mała dziewczynka mogła się tego domyślić, widząc, z jakim szacunkiem odnoszą się ludzie do jej rodziców. Była dzieckiem, przed którym wszystkie drzwi stały otworem.

Dopiero później zorientowała się, że charyniacy z jej matki sobie kpią. Ze w innych rodzinach gotuje się codziennie, że w innych rodzinach kobiety kręcą się dokoła swoich mężów i jeżeli nie muszą, nie włóczą się same po wsi, że inne kobiety nie zapraszają wieczorami do domu hałaśliwego towarzystwa i że inne małe dziewczynki chodzą spać, kiedy każe się im pójść do łóżka, a nie wtedy gdy same zechcą. Zetknęła się z tym w szkole. Z odtrącaniem, niech idzie, skąd przyszła jej matka – i wiedziała już, że za nic w świecie. Ze Czewapika jest na wycieczki, ale w nędznej chałupie żyć nie chce i nie będzie, bo znajdzie sobie męża jak matka, wśród Sowietów. Bo Czewapika oznaczała przeciwstawianie się czasowi, a ludzie nowych czasów kierują wzrok ku przyszłości. Człowiek radziecki dawno już opuścił nędzną chałupinę i teraz znajduje się na wyższym stopniu rozwoju. Na najwyższym, gdy tak się na to spojrzy.

W taki sposób podsumowałyby Tamara szkolne lekcje historii. Wygłupy z buraczarzami bawiły ją, gdy była młoda, ale tajgi zawsze się bała. W Czewapice, pośród nędznych chałup, wykopanych buraków, złomu, kości oraz dymiących ognisk, czuła się jak w domu, ale tajga budziła w niej strach, od którego tamtejsi mieszkańcy byli wolni. Duchy! Przerazało ją to. Nie mogła śmiać się z tego jak charyniacy, ale nie mogła też odnosić się do tych stworów z respektem, nie mogła nic. Być może to właśnie sprawiło, że nigdy nie próbowała tam zamieszkać. Wtedy nic nie stało temu na przeszkodzie. Znano ją tam i nikt z miejscowych się z niej nie wyśmiewał. A z Kekego – owszem.

W przeciwieństwie do Tamary Kelce Kawarycz był dzieckiem rozpieszczanym, wyperfumowanym syneczkiem Larysi. Sam Buro musiał chcieć, by był taki. Przecież gdyby

było inaczej, targałby mu włosy, miętosiłby go na trawie, chciałby, żeby chodził na bosaka i co tam jeszcze. Stary Kawarycz sądzi, że mały Sierioża tę swoją wstydlivość ma po ojcu, lecz ma ją po nim, po dziadku. Po Fiedi odziedziczył tylko to, że jest drobnej budowy, ale wstydzi się tak samo jak Keke, gdy był mały, kiedy ojciec zabierał go ze sobą do buraczarzy. Z Tamarą się tam wtedy nie widywali, to on sam jej później o tym wszystkim opowiedział. O tym że nie umiał nic z tego, co umiały tamtejsze dzieci, ponieważ nigdy nie mieszkał z ojcem. Przychodził tylko do niego z matką, a rodzice nigdy mu nie wyjaśnili, dlaczego właściwie nie mieszkają razem. Buro o silnych nogach, Buro piechur z nogami z żelaza, Buro, co jak nikt inny miał w tajdze znajomych w łagrach, strugał tylko dla Kekego zabawki, które zostawiał mu w pudełku pod darnią przed swoim domem i nigdy, kiedy syn był mały, nie wziął go ze sobą w leśną głuszę. Jeśli się to przegapi, człowiek zawsze już w tajdze będzie jedynie gościem. Nawet wtedy, kiedy potrafi zabić renifera i spać na korzeniach, czuje niepokój, a w nocy zamiast spać, lęka się leśnych odgłosów, jak charyniacy.

W ciągu niewielu dni Elwira zapoznała Fiedię ze wszystkimi mieszkańcami wsi. Wystarczało, że w godzinach jej pracy kilka razy siedział za ladą na poczcie, a wszyscy sami przed nim przedefilowali. Myszkina przyszła z małą Oleśką, aby kuzynce w Permie posłać życzenia imieninowe, Udiej zjawił się, żeby spytać, jak sprawuje się piecyk u Obury, stara Saszka przyczłapała, żeby obejrzyć Fiedię, Waśka z Dimą, przebiegając przed pocztą, rzucili w okno kamieniem.

– Ty nicponiu! – Fiedia wyskoczył z poczty, schwytał Waśkę, i choć miał on dopiero cztery lata, walnął go w głowę tak, że aż mu czapka spadła.

– Czyi oni są?

– Buraczarzy, Pszeły i nie wiem kogo – powiedziała Elwira. – Ledwie się Dima i Waśka urodzili, a już wbiła im Pszeła do głowy, że jestem baba-jędza, bo chciała dostać tę pracę zamiast mnie. A przecież zanim Pszeła przeczyta jedną kartkę, upłynie cała wieczność, a ona cała się spoci. Myśli, że świetnie zna rosyjski, ale nie zna. A listy, które trzeba segregować i wrzucać do worków według adresów? Stale by się myliła. A i tak myśli, że wyrządzono jej krzywdę, ponieważ jest buraczarką, a buraczarze uważają, że ciągle są krzywdzeni.

Fiedia słyszał w głowie głos Izykiła, jakby stał przy nim i znów mu szeptał do ucha: „...Elwirze możesz przekazać, że mogłaby łaskawie wpaść czasami do babki. A Dimę i Waśkę niech Kawarycz zostawi w spokoju, bo Pszeła opiekuje się jego teściową...”.

– Jak tu jechałem, to w pociągu spotkałem jednego buraczarza. Pogadaliśmy sobie.

– Opowiadał, jakie to ciężkie życie mają buraczarze? Jak Sowieni je im tutaj skurwili? Kiedy Welor, mój dziadek, przyjechał, była tutaj bardzo wysoka śmiertelność dzieci. Gdyby chciał, mógłby być znacznie bogatszy. Gotowi byli dać mu wszystko. Tony buraków, futra, szamańskie czary, kobiety. Żeby je tylko wyleczył. A jak ktoś wspomni jego zasługi, to Pszeła aż się trzęsie ze złości. To prawda, przychodziła do tej kobiety, co była tu przede mną, sprzątała po fajrancie. Tłukła packą muchy. Tylko czy to robota dla sprzątaczk?... – Elwira urwała.

Co właściwie ona sama tu robi? Wypełnia coś, gdzieś to wrzuca, parzy herbatę. Raz na miesiąc bierze z zaplecza, z tej klitki, kołdrę i dwie poduszki, i trzepie je przed budynkiem poczty. To tylko dla babek i dziadków, co to nigdy nosa z Charynia nie wysunęli, jest nieomal szamanką. Jakby to dzięki niej listy fruwały w powietrzu jak jaskółki. Trochę więcej pokory – mówiła Elwirze matka, wracając z cerkwi.

A przecież Elwira mierzyła znacznie wyżej. Kiedy Fiedia pierwszy raz odezwał się do niej w pociągu, co dwa tygodnie jeździła do Chabarowska na kursy prawnicze. A teraz jest urzędniczką. Dobrze byłoby to wszystko tutaj jakoś rozwikłać. Jak to właściwie było. Kto co komu zrobił i kto ma do czego prawo. Bo inaczej Charyń i Czewapika nigdy nie skończą z wzajemnymi oskarżeniami. Z powodu Fiedi machnęła na to ręką. Już taka jest. Zmarnowała

sobie życie. Gdy już coś się między nimi zaczęło, chciała pochwalić się Fiedą, że dla niego rzuciła szkołę, ale potem zmieniała zamiar. Lepiej niech myśli, że jest samodzielna i do czegoś zmierza. Zakochał się w studentce, a ożenił ze zwykłą urzędniczką z poczty.

Ten stary człowiek, co to spotkałem go w pociągu, nazywał się Izykił – odezwał się Fieda.

Elwira milczała, myślała o tym, że właśnie teraz mogłaby zdawać w Chabarowsku egzaminy końcowe.

– Jesteś ciekawa, co mi powiedział?

– Ze charyniacy to banda drani?

– Że powinnaś czasem odwiedzić w Czewapice babcię...

Patrzyła na niego z takim samym niedowierzaniem, jak Fieda na Kawarycza, kiedy powiedział mu o synu, którego jego żona już siedemnaście lat dwa razy na tydzień chodzi karmić do drewnianej szopy.

– Idiotka żyje?

– Nie wiem, czy do dziś, ale tydzień temu żyła. Przynajmniej tak mówił Izykił. I że powinniście dobrze odnosić się do Waśki oraz Dimy, bo to ich matka troszczy się o nią zamiast was.

Elwira zbladła jak ściana i zastygła bez ruchu z otwartymi ustami.

Wieczorem Fieda słyszał kłótnię między Elwirą a jej matką. On został wysłany do Udieja, że niby elektryczny piecyk u Obury nie działa. Chwilę nasłuchiwał przez drzwi, ale słyhać było tylko wrzaski kobiet, słów nie rozumiał. Kawarycz milczał. Fieda wyobraził sobie, jak siedząc na krześle, tylko obserwuje kobiety i myśli swoje. Lecz jakie swoje?

U Udieja świeciło się. Bo i gdzie tak późno by chodził. Już nawet ciepło nie było. Najwyżej za jakieś dwa tygodnie Obura na pewno będzie potrzebował piecyka.

Fieda zapukał w okno i czekał, kiedy w drzwiach ukaże się atletyczna postać Udieja. Zapukał jeszcze raz.

Pewnie ogląda telewizję. Na szóstce co tydzień w środę szedł program estradowy. Kawarycz z pewnością trafia szlag, że przez te babskie wrzaski nie będzie mógł go oglądać.

Udziej przez okno zrobił do Fiedy minę oznaczającą, że może wejść. Siedział za telewizorem i majstrował wewnątrz jego skrzyni.

– U was się kłóca, co? – powiedział tak, jakby było to zrozumiałe samo przez się. – Te gromy i błyskawice nad waszym domem słyhać i widać aż tutaj.

Fieda wyjrzał przez okno. Z chałupy Kawaryczów dostrzegł tylko kawałek, którego nie zasłaniała inna, poza tym w ciemnościach czarne szczyty domów były nie do odróżnienia.

Udziej uśmiechnął się.

– Twoim głównym problemem jest to, że we wszystko wierzysz. Masz własną głowę, ale wygląda na to, że jej prawie nie używasz. Jak ci się właściwie u nas podoba?

Nie znali się, więc Fieda powiedział, że mu się podoba.

– Gadasz bzdury, ale dobrze ci tak. Kawaryczowie potrzebują tylko spokoju na nocną naradę rodzinną. Znam ich i te ich tajemnice. Byle kogo do nich nie dopuszczają. Jesteś zięciem i mężem, a wysyłają cię nocą na mróz, żebyś im coś załatwił.

– Mówią, że piecyk Obury nie działa. Tamara boi się, że gdy nadejdzie zima...

– Widziałeś go?

Fieda przytaknął.

– Ten chłopak jest najnormalniejszy z całej tej rodziny. He, he, he. Dają mi regularnie pieniądze. Żebym tego nikomu nie powiedział. Mam nadzieję, że ty jesteś już jednym z nich. Kawarycz nic nie robi, a Tamara z tych warzyw i zamatania też wiele nie ma. Ja z tych pieniędzy utrzymuję jeszcze wdowę po Doranie. My, charyniacy, pomagamy sobie. Ty chyba też się dorzucisz?

Fiedia zachmurzył się, żeby było jasne, że będzie robić to, co zechce, i umyślnie zmienił temat.

– Czy wdowa po Doranie nie ma swego własnego imienia i nazwiska?

– Saszka Pawlicz. Moja matka. Wyszła za Hablunda Dorana. Dawno, dawno temu. Ciebie nie było jeszcze na święcie, a mnie właściwie także. Przyjechał tu jako wielki pan, ten Hablund. Chciał tu wszystkim dyrygować. Facet skądś z Danii. Zawrócił Saszce w głowie i odfrunął z powrotem. Po co tu był i co tu robił, nie wiedziała nawet ona. Pakował się ludziom do chałup. Podobno kręcił film. Tyle tylko że Doranowa już ma przeszło osiemdziesiąt lat i nie można jej wierzyć. Jak pójdziesz kiedyś obejrzeć nasz wspaniały dworzec, będzie tam. Siedzi tam i czeka. Kręci palcami młynka i cieszy się na każdy pociąg. Potem przychodzi do mnie i razem sobie popijamy, bo ten łamaga Hablund znów nie przyjechał. Ojciec. He, he, he. Jaki tam ojciec, skoro urodziłem się w jedenaście miesięcy po jego zniknięciu? Podobno właśnie dlatego jestem takim odmieńcem. Bo zostałem przenoszony. Chodzę po drutach jak małpa. Taki jestem. Taki, którego prąd elektryczny nie może porazić. Matka za każdym razem, jak chlapniemy sobie gorzałki, żegna się znakiem krzyża. Ze niby nikogo prócz Hablunda nie miała. A potem nadstawia dłoń, żebym jej coś dał. Żebyś wiedział, te pieniądze za moje milczenie idą na cel dobroczynny. Poza mną matka nikogo innego nie ma. Ten piecyk to sobie obejrzę. A gdybyś chciał kiedyś zerknąć, jak bywa u Obury kiedy indziej, gdy nie czeka się na pana młodego, to ja mam klucz.

Udziej znów się uśmiechnął.

Fiedia zastanawiał się, czy powiedzieć, że mają z Elwirą zamiar wziąć Oburę do siebie, jak tylko będą mieli własne mieszkanie, ale potem się rozmyślił. Nie musi się przed nim tłumaczyć.

Gdy wrócił do chałupy, panowała tam cisza. Tamara spała już lub przynajmniej tak to wyglądało. Kawarycz poszedł pić, a Elwira czekała na Fiedię w łóżku, po brodę przykryta kołdrą. W tej chwili miłszy był mu Sierioża, ale ona zaczęła mu rozpinąć koszulę. Kiedy Fiedia zdejmował spodnie, Sierioża obudził się, ale nadal był cicho. Ze zdziwieniem patrzył w ciemnościach na rodziców. Ojciec i matka kołysali się jak konik na biegunach, czuł płynące od nich ciepło.

Obudzili się w zimną, zachmurzoną sobotę. O tym, co poprzedniego wieczora między nimi zaszło, ani Elwira, ani Tamara nie powiedziały nic, ale rozmawiały ze sobą za jego pośrednictwem:

– Fiedia, moglibyście wpaść z Elwirą do Pstrug, kupić małemu coś do ubrania.

Albo:

– Resztkę tego przecieru pomidorowego matka schowała dla ciebie do lodówki.

Kawarycz odsypiał wieczór niedaleko stołu. Kołdrę miał przerzuconą przez brzuch jak gruby szal, jego obute nogi wystawały poza brzeg łóżka. Zasnął, zanim zdążył się położyć, a teraz chrapał. Przynajmniej nie siedzieli w kompletnej ciszy – pomyślał Fiedia.

Wstali z Elwirą od stołu i wyszli, gdy tylko skończyli jeść. Nie powiedziała nic, lecz Fiedia dobrze wiedział, dokąd pójda. Na jazdę na targ do Pstrug będzie czas kiedy indziej. Zostawili Sieriożę pod opieką Tamary i ruszyli w stronę Czewapiki.

Niedaleko Worynia też znajdowała się osada jednego z zauralskich plemion, ale Fiedia nigdy tam nie był. Nie interesowało go to. Ludzi stamtąd widywał czasami we wsi i to mu wystarczało. Wsiadywali na zdeptanych tekturowych pudłach, paletach po jogurcie i gapili się. Fiedie nie podobało się, jak pokrzykują na swoje kobiety: „Ty zdiro, szmato jedna”. Ale ich dziewczęta także mu się nie podobały. Na głowach ozdóbki, wstążki, ciasne podkoszulki, które omal pękały w szwach. Przychodziły na sobotnie zabawy taneczne, urządzone w ośrodku, gdzie mieściła się również biblioteka Olega Abramowicza. – Tyle, ile ich tu przychodzi kręcić się przy tym łup, łup, łup, nie przyjdzie do biblioteki w ciągu całego roku –

w każdą sobotę pod wieczór mamrotał Oleg, kiedy szyby w ich oknach zaczynały pobrękiwać. Fiedię drażniło to ojcowskie zrządzenie, ale muzyka często też. Przeważnie tylko pił, dziewczyny tańczyły, chłopcy wybierali, którą poderwać, i zakładali się nad wódką, komu z nich się uda. Ci lepsi pili piwo, że niby wódka jest dla alkoholików. Fiedia pił, co mu kto nalał, ale raczej tylko mały łyk. W niedzielę było w Woryniu pusto jak wymiół. Wszyscy spali, również członkowie zauralskiego plemienia w swych lepiankach.

Było w Woryniu muzeum, muzeum etnologiczne regionu, ale Fiedia nigdy nie widział, żeby ktoś z nich się tam kręcił. Nie chodzili tam także woryniacy. Czasem tylko przyjeżdżał autokar, przywożąc klasę uczniów z jakiegoś dalekiego *posiołka*, rozwrzeszczane nastolatki wysypywały się z niego, znikwały w muzeum, a potem odjeżdżały. W dzieciństwie Fiedia chodził tam co roku ze szkołą. Rano w dniu przewidzianym na zwiedzanie zawsze prosił ojca o trzydzieści kopiejek, kładł je następnie na małym talerzyku trzymanym przez kobietę przy wejściu i to, na co najbardziej się cieszył, miał już za sobą. Kiedy chodził do pierwszej klasy, muzeum wzbudzało w nim strach. Później była już tylko nuda. Na wszystkim leżał kurz i Fiedia zastanawiał się, jak mógł dostać się też do gablot, które przecież nigdzie nie miały dziur. Kurz pokrywał znajdujące się w nich wyblakłe, szare przedmioty. Jakies powyginane kawałki drewna, opatrzone tabliczką „Przedmioty kultowe”, blaszany garnek, jaki też mieli w domu, z tabliczką „Blaszany garnek”, buty podobne do ojcowskich, z tabliczką „Obuwieienne”. Był tam również kanister z tabliczką „Kanister” i wypchana kukła z kijem, z tabliczką „Pierwotny mieszkaniec regionu woryńskiego”. Naprzeciw niego stała podobna kukła z tabliczką „Pionierzy postępu”, choć był tam tylko jeden; ale wszyscy i tak zawsze tłoczyli się przy kosmonaucie. W pobliżu Worynia spadł kiedyś mały meteor, jego kawałek był tam eksponowany, a obok niego jeszcze za komuny urządzono w muzeum stałą wystawę radzieckiej kosmonautyki. Dwie rurki do oddychania, które miał Gagarin, hełm, kawałek skafandra i drążek sterowy ze statku kosmicznego. To ci dopiero! Przy kosmonaucie guzdrali się, żeby tego dnia nie było już lekcji, bo potem na zwiedzających czekało już tylko wyjście. Fila Miedosjewa zawsze zawczasu ogłaszała, ile minut mają na kosmonautę, żeby sobie nie myśleli. Ale i tak przeważnie dodawała jeszcze parę.

Prowadzony przez Elwirę za rękę Fiedia od czasu do czasu się potykał. Czy nie mógłby bardziej uważać? W jednym z tych opuszczonych domów, tworzących strefę oddzielającą Charyń od Czewapiki, mogliby kiedyś zamieszkać. Zasadlanie opustoszałych domów przez młode charyńskie rodziny urząd gminny od lat już propagował jako zaszczynną powinność. Podobno obiecuje też jakieś wsparcie finansowe, ale wiele tego raczej nie będzie, bo opuszczonych domów jest coraz więcej albo na jakiś czas wprowadzają się do nich buraczarze, żeby mieszkać, póki chałupa do końca się nie rozsypie – pomyślała Elwira. Nie była także pewna, czy Fiedia ma odpowiednio zręczne ręce. Sieriozę potrafi ubrać w mig, a w wagonie umie raz-dwa rozłożyć oraz złożyć stukilowy samowar, ale czy to wiadomo, jak poradzi sobie z dachem i nowymi oknami?

Fiedia znowu się potknął, Elwira puściła go i schowała rękę do kieszeni.

– Daj mi rękę – poprosił Fiedia, ale bez rezultatu.

Z babami stale coś jest nie tak. Szkoda, że to, co łączyło ich w nocy, już minęło. Wcześniej nocne kochanie się rozświetlało im cały następny dzień od rana do wieczora, niczym żyrandol w dworcowej poczekalni.

– Stało ci się coś?

Elwira uśmiechnęła się wreszcie i pocałowała go w policzek.

– Uf! – Ulżyło mu.

Minęli krzaki gerysza i szkielet zdechłej krowy i znaleźli się w Czewapice. Za parę dni spodziewano się pierwszego śniegu, ale dzieci bawiące się rzucaniem w siebie kośćmi i czaszkami młodych reniferów biegały między chatami boso. Starsze dziewczęta siedziały na

tworzących całkiem wygodne siedzenia, powiązanych ze sobą pękach buraków, i coś sobie szeptały; siedziano również na workach, na pieńkach, na krzesłach o trzech nogach, podpartych kamieniami. Z różowej buraczanej mgły wyłaniał się półwysep buraczarzy z ich nędznymi chałupami, by zaraz znów w niej zniknąć. Przy tak złej widoczności nie można było ogarnąć okiem całej czewapickiej osady. Ale zawodność wzroku hojnie wynagradzał węch. W całej osadzie pachniało pieczonym królikiem. Pośrodku płonął ogień, na blaszanym ruszcie jedno koło drugiego leżały pozbawione skóry długouche stworzenia. Dokoła nich było największe zamieszanie.

Ustawiony pod prowizorycznym daszkiem ze skór i miękkiej blachy olbrzymi agregat buraczanego laboratorium oszołomił Fiedię, jak każdego, kto zobaczył go po raz pierwszy. Maniakalne nagromadzenie telewizorów, o którym opowiedziała mu Elwira, nie było dla niego zaskoczeniem. W Woryniu szczytem postępu było dążenie kilku młodych ludzi do tego, by w miejsce dwóch regałów z literaturą klasyczną urządzić kącik *Computergames*. Wciąż czekano więc na przyłączenie do internetu, który w mieście już działał, choć awarie były na porządku dziennym. Tutaj, u buraczarzy, najwyraźniej nikt na nic nie czekał. W dodatku pośrodku tajgi, bez żadnego zaplecza. Kochał ten zapach tajgi. Szumiące na wietrze gałęzie, sam wiatr, mech i porosty. Ale siedzieć tu i być skazanym na buraki? Stare, żywione od pięciu lat marzenie, że zbuduje sobie w tajdze domek i wszystko – od butów po sanie – zrobi sam, teraz wydało mu się mrzonką z zamierzchłych czasów. Z czasów wczesnej młodości, kiedy jedyną jego miłością była przyroda. Teraz ma zobowiązania. W dodatku w ogóle jeszcze nie wspominał Elwirze o tym petersburskim mieszkaniu.

Elwira przelatowała wzrokiem po grupkach ludzi, nędznych chałupach, po siedzących przed nimi starych kobietach, których zresztą nie było wiele. W Ałtaju ponoć tamtejsze dawne plemiona dożywają późnego wieku. Widziała to w telewizji, była również o tym audycja w radiu. O żwawych dziewięćdziesięcioletnich ałtajskich starcach, których nie widuje się inaczej, jak tylko z papierosem w ustach, a i to w przelocie, bo zaraz uciekają w góry, a po drodze jeszcze zdążają nabierać pełną kobiałkę borówek. W telewizji zaraz potem ukazała się reklama jakiegoś specyfiku na długowieczność, który tam przyrządzają. Wieczorem pija się go przed snem, zamówić może go każdy, kto zapisał pokazany na ekranie numer telefonu.

W Czewapice mało kto dożywał starości. Sądząc po wyglądzie, było tu pełno starych ludzi, ale mieli najwyżej pięćdziesiąt pięć lat. Elwira wiedziała, jak wygląda tu starość. W Charyniu pod tym względem nie było o wiele lepiej. W zimie mróz szczypał kobiety w policzki, mężczyznom zaś od picia już od czterdziestki trzęsły się ręce, a nogi mieli całe w żylakach.

Pszela była tam, gdzie Elwira spodziewała się ją spotkać. Stała przy ruszcie i kijkiem przysuwała do siebie upieczone kawałki królika, drugą ręką odpychając kobietę, która też chciała je wziąć. Elwirę zauważyła natychmiast, nawet nie musiała się odwracać. Jakby czuła na sobie jej wzrok. Młoda para.

– Pasujecie do siebie.

Kilku miejscowych odwróciło się. Widać było, że Elwirę poznają, ale z wyrazu ich twarzy Fiedia nie mógł wywnioskować, co o niej sądzą.

– Nie spodziewałam się, że znajdziesz czas na takie odwiedziny.

Jej cierpki ton nie był dla Elwiry zaskoczeniem.

Zaraz też Pszela zaczęła coś mrużyć sama do siebie, jej zainteresowanie wizytą skończyło się, zanim się zrodziło.

– Przyszłam tu z powodu Jowaki – wyjaśniła po chwili Elwira.

W tym momencie wszyscy stojący koło nich mieszkańcy Czewapiki ucichli. Osada hałasowała jak przedtem, ale wokół Elwiry oraz Fiedi nagle zapadła grobowa cisza.

– Zdaje się, że wszyscy wiedzą, w czym rzecz – szepnął Fiedia.

Nie chciała tego słuchać, powinna była raczej przyjść sama. Wszyscy dokoła patrzyli na

nich. Wsłuchałaby się w głos swojej na pół buraczarskiej krwi, gdyby umiała z nią rozmawiać, ale tego ani matka, ani ojciec jej nie nauczyli.

Chyba już nie pamięta, jak jej babka wygląda – pomyślał Fiedia. Albo jej się wydaje, że tu wokół nikt nie jest do niej podobny. Postanowił poprzyglądać się ludziom, którzy mimo ciszy nie przestali rozmawiać. Jeśli Jowaka jest idiotką, to nie zwróci uwagi na żadne zbiorowe milczenie, a poza tym mając dziewięćdziesiąt lat, od dawna już nie wie, co mówią ludzie znajdujący się dalej niż pięć metrów od niej.

Fiedia rozejrzał się dokoła i zauważył rozmawiające ze sobą dwie stare kobiety. Szturchnął Elwirę łokciem i z nadzieją wskazał na nie. Elwira zachmurzyła się i pokręciła głową.

– Izykił mówił mi, że ten twój Fiedia nie zachowa tego dla siebie, i miał rację...

Pszęła stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wszystko to wydawało się Fiedi ciszą przed burzą, i nie mylił się. Nagle otaczający ich ludzie zaczęli się schylać, podnosić to, co leżało koło nich, i z całej siły tym w nich rzucać. Małe kamienie, części garderoby, miski, kości – wszystko to leciało w stronę Elwiry i Fiedi. Teraz on chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem.

Biegli aż do opuszczonych domów, Elwirze łzy płynęły po policzkach.

– Tobie również to mogło przyjść na myśl.

– Co?

– Że nie powinniśmy iść tam z pustymi rękami. Przez dwadzieścia lat ojciec i matka udawali, że babcia nie istnieje, a my przyszliśmy tam teraz jak gdyby nigdy nic. Poza tym wypadaloby, żeby przyszła matka. To ona babcię wyгнаła, ona powinna przyjść i przeprosić.

– Ale ona nie przyjdzie.

– Nie przyjdzie. My przyjdziemy jeszcze raz, z prezentami. Może powinniśmy byli przedtem wybrać się do Pstrug na targ, jak rano powiedziała matka. Najmądrzejsze rzeczy mówi wtedy, kiedy w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy.

Za drugim razem zabrali ze sobą dwa duże garnki i cztery małe, dwanaście ręczników, dziesięć ścierek, nową suknię dla Pszęły i dwie dla babki, kupę kupionych u Myszkinej igelitowych toreb na namioty i jeden nowoczesny radioodbiornik, na telewizor już Fiedi nie było stać. Został teraz zupełnie bez pieniędzy, ale co było robić, oszczędzać na tym nie mogli. I tak nie było to zbyt wiele za dwadzieścia lat opieki nad Jowaką, a tego wstydu, aż brak właściwego słowa na określenie tego, co zrobiła Tamara Kawaryczowa, tego wstydu nic nie zrównoważy, żeby nie wiem co.

Gdy umarł Welor, idiotka nagle znalazła się bez żadnej opieki. W Charyniu mieszkała czterdzieści lat, miała tam rodzinę, a kto jej w końcu został? Obląkana Saszka Doranowa, która czekała na swojego Hablunda.

– Może wróci razem z Welorem – tłumaczyła idiotce. – Przecież zawsze dobrze się rozumieli. Może Welor wyjechał tylko po to, by pomóc Hablundowi z tym jego filmem, i tym samym pociągami powrócą obaj razem. Chodź!

I ciągnęła idiotkę na dworzec, żeby czekały tam razem, lecz Josifowiczowa się jej wyrwała. Zwłoki swego Welora widziała na własne oczy.

Saszka chciała jedynie, żeby Jowaka nie przegapiła tej chwili, to wszystko. Mężowi jest przykro, gdy przyjeżdża, a żona na niego nie czeka. I może jej nawet za to przyłożyć. Że znów gdzieś się włoczyła, zamiast wyjść mu naprzeciw. A poza tym czekanie to najłatwiejsza rzecz na świecie. Grałyby przy tym w kości, czas by się im nie dłużył.

Lecz Josifowiczowa wiedziała, że Welor nie powróci. Owinięto go w płótno i wyniesiono za Charyń, w miejsce, gdzie ptaki oddają nieboszczykom ostatnią posługę. Och, jak skrzeczały, gdy ujrzaly Welora. Były tam tylko jedne zwłoki spowite w płótno, już stare, Welora nieśli tam nocą, żeby nikt ich nie widział. Na inną formę pochówku męża Jowaka by

nie pozwoliła. *Sielsowiet* ogłosił wprawdzie, że to jest barbarzyństwo. Nagle. Kiedy od tylu lat robiono to właśnie po to, żeby zapewnić ludzkim duszom spokój. Ptaki rzuciły się na Welora jak szalone. Na jego oczy, nos, usta. Idiotka odwróciła głowę, zostawili ją tam z nim samą.

Myślała, że będzie mieszkać z wnukami. Z Oburą, którego przed jej wizytą już po raz drugi gdzieś zamknęli. Takie grzeczne dziecko. Dotychczas najbardziej dbała o niego ona, ale już jej nie chcą. Będzie na niego przynajmniej patrzeć, czemu nie.

Od Welora wróciła dopiero po dwóch dniach. Była wymięta i pokaleczona, z ramion spływała jej krew, we włosach miała patyki i brudną trawę. Welor zaczął jej coś opowiadać, dlatego tam została, a potem nie mogła znaleźć własnego domu. Nie miał już nosa ani ust, a opowiadał.

Jej mąż. Nie miał już nawet uszu i palców u rąk, a opowiadał jej o Smoleńsku. O promenadzie, o fontannie w parku, o cichej ulicy ze szpalerem drzew, o stojącym przy niej domu, w którym mieszkał z Nadieżdą i wspólnie z nią przez osiem lat wychowywał swoje dzieci...

– Już całkiem jej odbiło – powiedział na to wszystko Kawarycz, podczas gdy Elwira myślała babcię i myjką ścierała jej zaschniętą krew z łokci. Nikt inny prócz Welora nigdy idiotki nie opatrywał, więc również tę jej rękę musieli zostawić bez opatrunku. Ugryzła Elwirę, kiedy ta chciała ją zabandażować. Tego już było za wiele, nawet dla Tamary i Kawarycza. Ta stara baba miała na sumieniu ich jedyne go syna, a gdy jej to mówili, płakała, jakby dopuszczali się wobec niej bezprawia. Od jakiegoś tam uderzenia nic wielkiego przecież dziecku stać się nie mogło. W Czewapice, kiedy dzieci są małe, to...

– Ślepa jesteś? – Kawarycz brutalnie szturchnął dziecko palcem.

Obura zakwilił i zwinął się w kłębek. Elwira schowała głowę pod poduszkę.

– Nie masz prawa tak robić, słyszysz! – Tamara rzuciła się na męża z pięściami.

Kawarycz stał bez ruchu i nadstawiał dłonie, by jej ciosy trafiały tylko w nie.

Josifowiczową przestano w Charyniu widywać. Nikt o nią nawet nie pytał. Była stara, a starzy znikali niezauważenie. Charyń nie był osadą prymitywnego plemienia, żeby ktoś się przejmował staruchami. A już wtedy idiotka była i tak starsza niż większość pozostałych.

Elwirze matka powiedziała, że babcia odeszła do swoich. Teraz Elwira do końca życia będzie robić sobie wyrzuty, że nigdy nie przyszło jej do głowy się z nią zobaczyć. Jedynie raz. Mniej więcej w rok po jej odejściu. Ma to przed oczami, jakby działo się wczoraj. Było lato, miała wakacje, nudziła się i nagle ją sobie przypomniała. Z babcią była kupa zabawy. Już ona by coś wymyśliła. Dziewczynka poszła do matki i spytała, czy nie poszłaby z nią w odwiedzinach do babci. Matka gotowała, ojciec z radiem przy uchu jadł chleb ze słoniną. Nie słyszał ich. Matka musiała postukać kilka razy w to radio, zanim w ogóle zwrócił na nią uwagę. Następnie pochyliła się nad nim i zaczęła mu coś szeptać. Elwira w tym czasie końcem warkocza jak pędzlem łaskotała się w policzek; gdy była dzieckiem, miała taki zwyczaj.

Potem Kawarycz szepnął coś do Tamary, ta popatrzyła na Elwirę, powiedziała: „umarła”, i wzruszyła ramionami. Zaraz wróciła też do gotowania, a ojciec znów włączył swoje radyjko. Tylko przez krótką chwilę Elwira widziała ich zaskoczenie, chwilę, która skończyła się prędzej, niż się oboje spodziewali. Małą dziewczynkę łatwo zbyć byle czym. Elwira wyszła przed dom i zaczęła się bawić. Jediną rzeczą, której teraz nie może sobie przypomnieć, są jej własne uczucia. Czy zrobiło się jej żal? Czy płakała? Czy zaraz wyleciało jej to z głowy? Nie wie. Między teraz i wtedy jest dwadzieścia lat ciszy, gdy o idiotce mówiono bardzo rzadko.

Dziś, ciągnąc razem z Fiedią wózek z prezentami, Elwira nie była pewna, czy aby nie woleli, żeby babki naprawdę tam nie było. Co jej powie?

Chatynkę Pszely znaleźli szybko. Pokazano im ją, nawet nie musieli pytać. Odgarnęli

zastępującą drzwi płachtę.

W środku było pełno starych kobiet. W kącie stał włączony telewizor, ale wydawało się, że nie zwracają na niego uwagi. Jedna trzymała drugą na kolanach i obie gładziły się nawzajem po włosach, inna rysowała coś patykiem na udeptanej polepie, jeszcze inna poklepywała się po kolanach i podśpiewywała jakąś rymowanąkę, a ostatnia trzymała róg płachty, żeby się nie majtał, i siedziała cicho jak posąg. Na ziemi wały się porozrzucone zabawki i mały garnek pełen kamyków – przedszkole dla staruszek.

– Właśnie w tym Jowaka jest ze wszystkich najlepsza – odezwał się głos za plecami Elwiry. – W odróżnieniu od innych odwali jeszcze kawał roboty, no nie, babko?

Staruszka trzymająca płachtę uśmiechnęła się nieśmiało do Pszeły.

– Poznajesz ją?

Jowaka zwróciła twarz w stronę poblądłej Elwiry. Oczy staruszki przesłaniała niebieskawa błonka, była półślepa. Uśmiechnęła się do wnuczki tak samo, jak przedtem do Pszeły, i to było wszystko.

– To ja, Elwira.

Jowaka znowu się uśmiechnęła, ale nadal siedziała równie cicho jak przedtem.

– Tylko nie rób mi tutaj żadnej sceny. Babki potem kwiczą, źle to na nie działa.

Pszeła wyszła na dwór zobaczyć, co jej przywieźli. Zdejmowała rzeczy z wózka i jedną po drugiej oglądała uważnie pod światło.

– Weź ją za rękę – szepnął Fiedia.

Elwira ujęła dłoń babki, Jowaka zacisnęła pięść. Wnuczka objęła ją za ramiona, a Jowaka znieruchomiała, sztywno wyprostowana. Ostatecznie Elwira tylko lekko głaskała jej kolana; zdawało się, że to staruszce nie przeszkadza.

– Jak chcesz coś przynieść, to możesz przyjść, kiedy zechcesz – zaaprobowała Pszeła dary przywiezione przez Elwirę i Fiedię.

Pożegnali się, zabrali pusty wózek i ruszyli w drogę powrotną. Wychodzili już z Czewapiki, gdy usłyszeli wołanie Pszeły.

– Pieluchy! – krzyczała. – Najbardziej ze wszystkiego babki potrzebują pieluch!

Mariane

Czas płynął tak szybko, że Mariane ledwo nadszła ze zrywaniem kartek z kalendarza. Kiedy nie znała jeszcze Tani, wszystko trwało straszliwie długo. Zanim w bibliotece przynieśli zamówione przez nią książki, zanim je przeczytała, zanim przepełnionym tramwajem dojechała do przystanku, na którym chciała wysiąść, zanim pieszo doszła do domu. Jakby stale musiała pchać czas przed sobą, i to pod górę, po schodach. Kolejny dzień, kolejny tydzień czekania. Przy Tani czas pędził, przeciekał przez palce i to robiło jej dobrze, jak poranny gorący prysznic w mieszkaniu przy Hansena. Po nocy, gdy spały biodro w biodro. Gdy ich nogi przylegały do siebie ściśle jak w układance. Kiedy Tania podkurczała swoje, kolana leżącej za jej plecami Mariane z matematyczną wprost dokładnością wsuwały się pod jej uda.

Hablund je ze sobą połączył i z Hablundem żyły również przy ulicy Hansena. Tania wciąż chciała czegoś się o nim dowiadywać. Mówiła, że jest to jej potrzebne, żeby – jeśli wyruszą go szukać – nie wróciły z pustymi rękami. Mariane do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wiele wie o Hablundzie. Przedtem, kiedy ktoś ją o niego pytał, odpowiadała kilku zdaniem i uważała sprawę za załatwioną. A przy tym wiedziała, kim chciał być, kiedy miał osiem lat, co od piętnastu już lat chce dostać na Gwiazdkę, jakie sny napawają go przerażeniem, co podoba mu się w kobietach i dokąd nigdy nie wybrałby się na spacer po niedzielnym obiedzie. I nie tylko to. Znała go. Mariane znała Hablunda jak własną kieszeń. Nigdy nie słyszała nikogo mówiącego to na głos, a sam Hablund też tak nie myślał.

Tylu różnych rzeczy w swym życiu próbowała, a o tym, w czym była doskonała, musiała dowiedzieć się od Tani. Również to przynosiło jej ulgę. Hablund nie był już tym ciężkim głazem, który z sobą nosiła, i z trudem się powstrzymywała, gdy usiłował doprowadzić ją do płaczu. Teraz był jej i Tani językiem, ich poważną grą, ich wspólnym mężczyzną tam daleko – i Mariane nie była zazdrosna, bo poza tym mężczyźni Tanię drażnili i, jak sama mówiła, jeśli Hablunda znajdą, on z pewnością także będzie ją denerwować.

Wkrótce po tym, jak Mariane i Tania zamieszkały razem, na ulicę Hansena przyszedł list od Hablunda, jedyny, który dotarł od niego do Europy. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo ten list poruszył obie kobiety.

Do skrzynki zaglądały codziennie, gdy jedna albo druga wracała z zakupów ze świeżym pieczywem i gazetą. Tego ranka, kiedy przyszedł list od Hablunda, z zakupami wracała Tania. Niosąc torby pełne bułek i rogalików z dżemem malinowym, a pod pachą dziennik „Dagens Nyheter”, omal nie zapomniała o skrzynce. Była już na schodach i początkowo pomyślała, że już się o tych parę kroków nie cofnie. Ze nic nie mówiąc, zajrzy do skrzynki jutro. Ale w końcu oparła torby z pieczywem o poręcz i zesłała tych parę kroków. Jakby list w jakiś sposób szeptał cicho z tej skrzynki: „Wyjmij mnie teraz, zaraz!” Lub przez blaszane drzwiczki wysyłał jakieś potrafiące mówić promieniowanie. Bardzo dobrze wiedziała, jak wyglądają koperty w Rosji, więc na chwilę wstrzymała oddech.

Mariane drżały ręce. Ta koperta nawet pachniała inaczej. Tur-tur, tur-tur, tur-tur, wszystkie te wagony pocztowe, co ją wiozły... ileż to razy musiał się list Hablunda przesiadać, aż dziw, że nie zaginął. Mariane ogarnęła zgroza, gdy wyobraziła sobie worek z listem Hablunda, który w ostatniej chwili ktoś wrzuca w otwarte drzwi ruszającego wagonu. Jak gdyby nie trzymała już tego listu w rękach, jakby jego los ciągle jeszcze wisiał na włosku.

– Na co czekasz?

Cała Tania. Wszystko by załatwiała natychmiast. Mariane tak prędko nie może. Jest przecież bliska omdlenia. To, co musiał trzymać w ręku również on, teraz obraca w swych palcach ona. Zadał o to, żeby list nigdzie niepotrzebnie nie leżał, znała to jego roztargnienie. By nie porwał go wiatr, żeby mu gdzieś nie upadł. Może chował go wprost na ciele, a tu oto palcami zaklejał kopertę, delikatnie ściskając jej brzegi. Mariane dobrze wie jak. Jak zalepiał tę kopertę i jak wydymał usta, pisząc adres. Ach, Boże, ty jesteś. Ty jesteś, jesteś, jesteś.

Ostatecznie list otworzyła Tania, Mariane nawet po półgodzinie nie potrafiła się na to zdecydować. Przyszło jej bowiem na myśl, że wewnątrz może też być coś złego i że listu wcale nie musiał pisać Hablund, lecz ktoś inny, kogo do tego upoważnił na wypadek, gdyby coś mu się stało.

Tania wyjęła papier z koperty, jakby była to najzwyczajniejsza koperta z najzwyczajniejszym listem, a Mariane czytała.

Czytała raz, czytała dwa razy, patrzyła, czy list nie ma dalszego ciągu, zapomnianego wewnątrz, ale to było wszystko. Odetchnęła, że on żyje. Josifowiczowie, u których, jak pisał, mieszkał, niezbyt się jej podobali. Przede wszystkim to, że czasami go zamykają. Czasami! Co to ma znaczyć? Nie wyglądało na to, żeby zamykanie jakoś szczególnie Hablundowi przeszkadzało, i to zirykowało ją najbardziej.

– Pisz, że gotuje im kaszę i że nauczył się rozpalać ogień w piecu – poinformowała Tanię, która obierała pomarańczę. – Wygląda to tam jak jakiś wycwaniony obóz skautów.

W sumie nie dowiedziała się nic z tego, co interesowałoby ją najbardziej. Co on, na Boga, po całych dniach tam robi?

– Nie kręci tego filmu?

– Właśnie nic o tym tutaj nie pisze.

– Tęskni?

– O tym też nie ma tu ani słowa. Pisz, że o mnie myśli. Ale na przykład ja myślę o tysiącu rzeczy naraz.

– Może on nie.

Mariane skrzywiła się. Tego rana nie nęciły jej pomarańcze ani rogaliki z dżemem malinowym. Wróciła do łóżka i została w nim aż do obiadu.

Z powodu tego jedyne listu od Hablunda wszystko znacznie się przeciągnęło. Mariane wiedziała, że Hablund żyje, wiedziała, że nie dzieje mu się nic złego, chociaż całe to zamykanie i cała rodzina Josifowiczów, i tonąca w brudzie wieś zbyt wielkiego zaufania nie budziły, wiedziała też, że z powrotem w najbliższym czasie się nie wybiera. Żadnym szefem tam nie był. Sama zaczęła to sobie wyobrażać od czasu, gdy mówiła o tym temu człowiekowi. Że słuchają go tam i noszą w drewnianej lektyce, żeby nie pobrudził sobie szat błotem. Także o zwyczajach ludowych nic w liście nie było. O ręcznie plecionych koszykach i ozdóbkach ze skóry, piór i kamyków, o tym, w jaki sposób ze zboża uzyskuje się mąkę, jakie baśnie opowiada się tam o miejscowych bohaterach. Nic z tych rzeczy. Ale właśnie dlatego, że jakaś pewność mimo tego wszystkiego była, wszystko to tak się przeciągnęło.

Nadal czekały.

Tania przestała pracować, z lokalu, gdzie mieszkała, przywiozła wszystkie swoje rzeczy i starej kobiecie, u której spędziła trzy lata, powiedziała, żeby do swej śmierdzącej komórki znalazła sobie kogoś innego.

Mariane nie musiała jej niczego wyjaśniać, w tym rzecz. To ździebko prac domowych wykonywała raz ona, a raz Tania, raz jedna, raz druga gotowała, prała i robiła zakupy, choć najczęściej wszystko to robiły razem. Płaciła oczywiście Mariane, ale firma prosperowała, do głowy jej nie przyszło, że Tania powinna by do czegoś się dokładać. W końcu nie były to pieniądze Mariane, tylko Hablunda, a on z kolei swoje przedsiębiorstwo rozwinął za pieniądze ojca, który je odziedziczył po matce; Hablund zawsze kładł swej żonie na sercu, że wszystko to jest ich wspólną własnością. Mariane cieszyła się, gdy mogła Tani coś kupić, i nic

ponad to.

Rzeczy, które Tania przyniosła, było załóżnie mało. Kiedy pracowała na targowisku, u starszej pani prała w kółko na zmianę dwie spódnice, dwie pary spodni i dwa sweterki. Pantofli również miała dwie pary, bielizny cztery sztuki, ale oprócz tego już prawie nic. Nawet poduszki i kołdra nie były jej, w starym mieszkaniu wszystkim, co poza odzieżą należało do niej, był zeszyt, w którym prowadziła rachunki, no i przybory toaletowe.

Mariane proponowała, że zamówi samochód w firmie transportowej, żeby nie musiały kilka razy kursować między dotychczasowym mieszkaniem Tani a ulicą Hansena, ale tego samego wieczora Tania zjawiła się u niej z jedną wielką torbą i to było wszystko, co miała. Mariane to wzruszyło. Nie chciała wprawiać Tani w zakłopotanie, więc starała się tego wzruszenia nie okazywać, ale tak często ją tego wieczoru przytulała, że przesiedziały przytulone do siebie, równie długo jak potem za stołem przy obfitej kolacji. Reszta czasu upłynęła im na chodzeniu po mieszkaniu i zastanawianiu się, jak urządzić je teraz na nowo dla nich dwóch.

Co się tyczy urządzania wnętrza, Mariane miała tak wielkie doświadczenie, że gdyby to były inne czasy, mogłaby otworzyć salon poradnictwa. Mieszkanie, w którym mieszkała z Hablundem wcześniej, urządziła trzy razy, a i to, jeśli brać pod uwagę tylko przebudowy związane z kompletnymi przeróbkami wszystkich pokoi, w mieszkaniu zaś przy ulicy Hansena też się już nieźle napracowała.

Mogłoby się wydawać, że Mariane głównie kupowała nowe rzeczy, ale robiła to tylko w chwilach, kiedy musiała się czymś zająć i zrobić sobie przyjemność. Poza tym równie dobrze jak na zakupach znała się także na pomysłowym ustawianiu mebli w odpowiednich miejscach. Jak też na zestawieniach kolorystycznych szaf, podłogi i tapet. Mariane nie była snobką, ale chciała mieć mieszkanie, w którym czułaby się dobrze, a goście od razu wiedzieliby, że mają do czynienia z osobą o wyrobionym smaku. Napawało ją dumą, gdy przy ulicy Hansena mogła powitać Tanię i wszystko jej pokazać. Pomysłowo urządziła kuchnię, w której talerze oraz kubki były zawsze pod ręką, przedpokój z szafami w ścianach, dzięki czemu rupiecie nie rzucały się w oczy, toaletę z kudłatym dywanikiem, żeby nie było zimno w nogi. Lecz dla dwóch kobiet tak zagospodarowane mieszkanie nie było odpowiednie; Tania potrzebowała miejsca dla siebie, wobec czego Mariane urządziła jej kącik w rogu sypialni i odgrodziła go parawanem. Tania trzymała za nim wszystkie drobiazgi, które Mariane jej kupiła. Miała tam kilka doniczek, wieszaki z bluzkami oraz imitację chińskiego stolika, a na nim szkatułkę na kosztowności, prezent od Mariane z okazji trzech miesięcy mieszkania pod jednym dachem.

Tani było to całkiem obojętne. Mieszka się, no to mieszka. Zawsze jakoś jest. Mieszkała już nawet prawie miesiąc w stogu siana. W odstawionym na bocznicy wagonie kolejowym – no i co? O swoim życiu Tania nie miała zamiaru Mariane opowiadać. Powiedziała to wyraźnie już na początku i trzymała się tego. Zawsze starali się wydobyć to z niej wszyscy, z którymi w Danii mieszkała. Wybałuszali oczy. Podziwiali ją, choć możliwe, że budziła w nich także lekki wstręt. Że żyła w takich warunkach, w jakich żyła, że ludzie są tam tacy, jacy są. Związek Radziecki. W Danii nikt o nim nic nie wiedział. Początkowo Tania wygłaszała swoje mądrości, ale potem przestało ją to bawić. Ciągłe w kółko ten brak zrozumienia, te pytania i uprzejmości. Nic jej to nie dawało. Kiedy przestała opowiadać, miała spokój. Mariane pod tym względem była taka sama jak inni. Poza tym lepsza. Znacznie lepsza. Lecz pod tym względem taka sama. Chciałaby, żeby Tania była domem, przez który ona mogłaby przejść od piwnicy aż po strych, wszędzie wetknąć nos, włączyć światło w pokojach, zajrzeć do wszystkich szuflad. I Tania będzie domem. Będzie wszystkim, co Mariane sobie zażyczy. Ale będzie to dom, który ma zaciągnięte rolety, bramę zamkniętą na klucz, dom, którego Tania nikomu nie udostępni.

I jeszcze coś. Tania wolałaby nie wiadomo co, byle nie musiała odpowiadać na pytania o

mężczyzn. Jaki był ten jej chłop, który aktor się jej podoba, czy w Kopenhadze kogoś miała, a jeśli nie, to dlaczego.

Kosztowało ją sporo pracy, nim Mariane od tego oduczyła. Trwało to długo, nie mogła tego zrozumieć. Więc Tania nigdy nikogo nie kochała?

– Mówiłaś, że twój mąż był dobry, ale od niego uciekłaś...

– Nie mam z nimi nic wspólnego, a ty nie zadawaj mi takich pytań – oświadczyła Tania pewnego razu, gdy mówiły o mężczyznach. – Oni przynajmniej zadowolają się tym, co się im powie. Większość kobiet tak nie potrafi.

– Nie wiedziałam, że ciekawość jest czymś niedobrym – powiedziała na to Mariane i westchnęła urażona. – Jeżeli kogoś lubię, to się nim interesuję. Nic na to nie poradzę i ty tego nie zmienisz.

– W takim razie koniec z nami. Zabiorę swoje rzeczy, te manatki, coś mi kupiła, wpakujesz do swojej szafy w ścianie i każda z nas znów pójdzie swoją drogą. Byłoby mi przykro, ale jeżeli nie przestaniesz zachowywać się jak głupia gęś, to tak zrobię.

Mariane była wstrząśnięta, zaczął jej drzeć podbródek. Ordynarne słowa? Nie była przyzwyczajona do takiego zachowania. Nawet Hablund ze swymi przyjaciółmi tak nie mówił. A byli to mężczyźni.

Poczuła się obrażona. Bez słowa wyszła z domu i aż do wieczora przesiadywała po kawiarniach, umyślnie chciała, żeby Tania na nią czekała. Gdy wróci, z pewnością przeprosi ją za to, że była taka niegrzeczna. Wałęsała się po ulicach i dokładała starań, by uraza jej nie minęła. Przyglądała się wystawom sklepów odzieżowych i sobie, noga za nogą chodziła po śródmieściu tam i z powrotem, pielęgnowała swój słuszny gniew, gdy nagle opanował ją strach. Strach większy niż kiedykolwiek. Strach, jaki był jej udziałem jedynie czasem, gdy myślała o swoim mężu. Nie zastanie jej w domu. Wróci, a Tani tam nie będzie. Była przecież dumna, a ona ją poniżyła. Teraz była tego pewna. Biegła pędem do domu. Kiedy ostatni raz tak biegła? Na szkolnych zawodach, jako mała dziewczynka? W snach podczas wojny? Objęła Tanię, jakby właśnie wróciła do niej z końca świata. Tuliła się do niej i prosiła na kolanach. Obiecuje, tak, obiecuje, że już nigdy nie zapyta jej o nic, o czym ona sama nie zechce mówić.

W końcu chęć wypytywania Tani o przeszłość minęła Mariane sama. Zapomniała o swych własnych pytaniach i po pewnym czasie przyjęła do wiadomości również to, że mężczyźni Tani nie interesują. Była nawet zadowolona.

Dokładnie w osiem miesięcy od wyjazdu Hablunda Mariane zdecydowała się zgłosić jego zaginięcie. Trudno jej było wyjaśnić policjantom, dlaczego tak długo zwlekała z powiadomieniem ich i czemu nie odezwał się też żaden z jego przyjaciół, stali się nawet w związku z tym podejrzeni. Najpierw pracownicy Hablunda z firmy, która pod jego nieobecność rozkwitła, a potem również Mariane jako ich współpracowniczka, co było tym bardziej wiarygodne, że gdy pewnego razu policja zjawiała się w mieszkaniu przy Hansena bez zapowiedzi, zastała ją tam z kobietą, był wieczór, obie miały na sobie szlafroki, a pod nimi frywolną bieliznę, na stole zaś stała do połowy opróżniona butelka wina.

Później, kiedy Mariane potwierdziła, że zastana razem z nią Tatiana Krasnoludkowa, rodem z Obolunia w Związku Radzieckim, obecnie z prawem stałego pobytu w Danii, od kilku miesięcy pozostaje z nią we wspólnym gospodarstwie domowym, spreczna z moralnością bliskość obu kobiet wydała się policjantom bardziej niż podejrzana. Jednak brakowało dowodów, więc po kilku przesłuchaniach na policji śledczy wykluczył Mariane z kręgu podejrzanych w sprawie zniknięcia Hablunda Dorana, nie zostali też oskarżeni pracownicy jego firmy.

Pierwszy punkt całej akcji zakończył się pomyślnie. Hablund został formalnie uznany za

zaginionego, teraz przyszła kolej na to, by sprzedać jego firmę i zdobyć pieniądze. Mariane miała od męża pełnomocnictwo upoważniające ją do dokonywania transakcji, więc pod względem prawnym nie było to skomplikowane. W dodatku pozostali udziałowcy od razu wykazali zainteresowanie kupnem prosperującej firmy. Gdy udział został sprzedany i pieniądze znalazły się w banku, Mariane z Tanią napisały pierwsze listy, które mogłyby pomóc. Do Królewskiej Akademii Nauk, Towarzystwa Przyjaciół Syberii, nawet do Komunistycznej Partii Danii, choć Tania była temu przeciwna, mówiąc, że gdyby tylko wyszło na jaw, że Hablund napotkał w Związku Radzieckim jakieś trudności, komuniści będą się trzymać od tej sprawy z daleka. Ale Mariane uważała, że powinny pisać do wszystkich, co do których istnieją choćby nawet niewielkie szanse, że okażą zainteresowanie. Napisały także do katedry antropologii Uniwersytetu Kopenhaskiego, na uniwersytet w Arhus oraz do kilku innych placówek i instytucji interesujących się egzotycznymi plemionami, Związkiem Radzieckim lub filmem, choć od filmu żadnej pomocy się nie spodziewały, w tej branży nikt Hablunda nie znał. Właściwie nie znano go nigdzie. Był tylko wieloletnim prenumeratorem „Naszego Świata”, co – jak Mariane stwierdziła – przed większością stowarzyszeń lepiej było zataić, bo miesięcznik, który Hablund tak podziwiał i z niecierpliwością czekał na każdy nowy jego numer, miał opinię wątpliwej wartości piśmidła, w którym połowa rzeczy jest zmyślona.

Parę pierwszych podań o finansowe i fachowe wsparcie ekspedycji, która próbowałaby odnaleźć Hablunda albo przynajmniej ustalić, co się z nim stało, Mariane napisała sama z siebie. Kilka dni przestawiała meble, z pomocą Tani przerabiając mieszkanie na wielofunkcyjny zakład pracy i biuro, w związku z czym Tania musiała zrezygnować ze swojego kącika za parawanem, a Mariane ze swego, ale i tak wszystko robiły razem i doszły do przekonania, że tak jedna, jak i druga żadnej prywatności dla siebie nie potrzebują, więc poszło to łatwo. Mariane kupiła maszynę do pisania, kalkę i mnóstwo zwyczajnego papieru, koperty, znaczki oraz małą wagę do listów – i zabrała się do pisania. Po paru tygodniach zobaczyła jednak, że na listy osoby prywatnej mało kto odpowiada. Potrzebują jakiejś instytucji, żeby zaczęto traktować je poważnie. W końcu postanowiły zaprosić Lorę z Manfredem. Do Lory Mariane miała zaufanie, a Manfred był jej potrzebny, żeby było ich więcej, w dodatku był prawnikiem, a takie profesje robią na ludziach wrażenie. Zdecydowała o tym sama. Jeszcze z czasów, gdy pracowała jako stenotypistka w komendzie policji, Mariane znała zasady pracy administracyjnej i z pomocą Manfreda naprawdę założyły to stowarzyszenie. Cała czwórka sprzeczała się potem długo, jak powinno się ono nazywać. Lora proponowała nazwy nieprzydatne, długie i pełne patosu, które pasowałyby raczej jako napisy na wstęgach żałobnych wieńców, jak Pamięci Hablunda, Wyjątkowego Męża Wiernej Żony Mariane. Tania chciała, żeby w nazwie wymieniony był Charyń, bo podobało się jej to słowo, a Manfred starał się przeforsować coś o przyjaźni duńsko-radzieckiej, już podczas studiów był lewakiem. Między innymi dzięki niemu w pierwszych powojennych wyborach komuniści dostali całe dwanaście i pół procent, a Zjednoczenie Duńskie tylko niewiele ponad trzy, krótko mówiąc, pomysł Manfreda odpadł.

Mariane chciała, żeby z nazwy jakoś wynikało, że w całej sprawie uczestniczy również Tania, zarówno po to, żeby nie przyszło jej do głowy się wycofać, bo jako byłej obywatelki ZSRR potrzebowali jej ze względu na znajomość środowiska, jak i dlatego, że dzięki Tani stowarzyszenie miało autentyczny charakter międzynarodowy i można było wspominać o tym także w listach przewodnich. Przede wszystkim jednak dlatego, że ją kochała. I choć Lora i Manfred byli członkami rzeczywistymi, była to sprawa przede wszystkim ich dwóch, toteż w końcu stowarzyszenie zostało nazwane Oboluń, jak miejsce urodzenia Tani.

Ze strony Mariane był to taki dowcipny szturchaniec. O jej przeszłości wiedziała niewiele więcej, a im dalej, tym bardziej uświadamiała sobie, że już nigdy się tego nie dowie.

Gdy tylko zaczęły pisać listy w imieniu stowarzyszenia Oboluń, od razu wszystko poszło

lepiej. Mariane opłaciła też całostronicowe ogłoszenie w kilku gazetach, a nawet wykorzystwała parę znajomości Manfreda i w trzech gazetach oraz dwóch czasopismach już w pierwszych miesiącach po założeniu stowarzyszenia ukazały się artykuły o Hablundzie Doranie, człowieku o podwójnym życiu, o człowieku, który mając czterdzieści lat, po długiej, uwieńczonej powodzeniem karierze przedsiębiorcy postanowił rzucić wszystko i wyjechać do dalekiej Azji, aby zrealizować marzenie swego życia, nakręcić film o tajemniczym obrzędzie Kawaszi oraz o życiu ludzi, o których w Danii dotychczas nic nie wiadomo. Artykuły o Hablundzie kończyły się przeważnie konstatacją, że dzieło wielkiego duńskiego filmowca i etnografa czeka na swego odkrywcę, ponieważ wciąż jest ukryte w głębi jego kamery i aparatu fotograficznego, ale tym większe zainteresowanie budzi zarówno wśród fachowców, jak i laików. Pod artykułem, o ile redaktorzy wyrazili na to zgodę, znajdowała się także zwięzła informacja o stowarzyszeniu Oboluń jako strażniku spuścizny Hablunda, chcącym wspierać tych, którzy podjęliby próbę ponownego odkrycia dla świata owej spuścizny oraz zaginionego Hablunda.

Mariane pisała i nawiązywała kontakty, Tania chodziła na pocztę, przeglądała korespondencję przychodzącą, kupowała papier, co miesiąc co najmniej jedną taśmę do maszyny, zajmowała się gospodarstwem domowym.

Mariane kierowała całym stowarzyszeniem Oboluń, Manfred i Lora regularnie otrzymywali od niej tylko informacje o biegu spraw, wszyscy razem spotykali się raz na miesiąc. W powrót Hablunda Lora i Manfred za bardzo nie wierzyli, w to, że się uda zorganizować jakąś ekspedycję, jeszcze mniej. Najważniejsze, że Mariane miała przez cały dzień co robić – mówiła Lora. Jej i Manfreda zdaniem działalność stowarzyszenia Oboluń była użyteczna przede wszystkim dlatego, że Mariane bez dzieci, bez męża, z podejrzaną kobietą na karku nie musiała się kłopotać, co robić z wolnym czasem.

Lora uważała, że Tania jest zwykłym pasożytem. Kobieta, która sprytnie sięga do kieszeni jej przyjaciółki, żeby nie musieć pracować.

– Ona nic nie rozumie – mówiła Tani Mariane o swojej starej przyjaciółce po kolejnej z długich rozmów telefonicznych, kiedy Lora usiłowała ją przekonać, by dla własnego dobra pozbyła się Tani lub przynajmniej zaczęła dzielić z nią wydatki.

Tani te ich telefoniczne rozmowy były zupełnie obojętne.

Dzień pracy w centrali Obolunia miały zaplanowany jak w poważnej firmie i o ile Mariane była szefową biura, to Tania była jej profesjonalną sekretarką. Wstawały o siódmej, jedna z nich szła na zakupy, jadły śniadanie i podczas gdy Tania przeglądała pocztę, Mariane siedziała już przy maszynie i pisała wszędzie, gdzie się dało. Utworzyła również kartotekę, żeby się w tym wszystkim nie pogubiły.

W segregatorach w szafie na ubrania, gdzie przedtem Mariane miała ułożoną w porządku alfabetycznym kartotekę rosyjskich realiów, opracowaną na podstawie książek i prasy codziennej, umieściły, również alfabetycznie, wykaz wszystkich instytucji i osób prywatnych, które im odpowiedziały. Niestety, przeważnie tylko raz, a odpowiedzi absolutnie nie dotyczyły ich sprawy. Mariane nigdy przedtem nie przyszłoby do głowy, że tyle ludzi zaginęło gdzieś w świecie, a krewni daremnie ich szukają. Sądząc po liczbie napływających do Obolunia odpowiedzi, w każdym kwartale domów musiała być co najmniej jedna taka osoba. W Azji, w Afryce, w Ameryce Południowej, ale również w samej Kopenhadze. Pisały do nich żony mężczyzn, którzy wieczorem nie wrócili do domu lub wyskoczyli po obiedzie po papierosy i już nikt nigdy o nich nie słyszał. Tania wykpiwała kobiety, których mężowie gdzieś przepadli, a one prosiły o pomoc lub wsparcie finansowe, żeby móc kupić dzieciom półbuty. Były ich dziesiątki, jedna nawet z ich dzielnicy. Znały ją z widzenia. Rozczochrały kobietę, snującą się nieprzytomnie po ulicach, z twarzą naznaczoną nieszczęściem.

– Pewnie myślisz, że zaglądamy do wszystkich kopenhaskich burdeli – skomentowała Tania jej list z prośbą o pomoc.

Czasami ten jej cynizm stawał się dla Mariane nie do zniesienia. Krowa jedna – powiedziałyby z całym spokojem Tania o takiej kobiecie, dotkniętej przez los, który Mariane naprawdę wydawał się przejmujący. Czasem w trakcie pisania musiała sięgać po chustkę do nosa: „Niestety w żaden sposób nie możemy Pani pomóc”, a pisała to często, bo ubiegających się o jakąś pomoc było znacznie więcej niż ludzi, którzy ją oferowali.

Gdy nie były zajęte pracą, w weekendy lub po kolacji, robiły to, co wszystkie inne pary. Spacerowały, kino, lampka wina gdzieś poza domem, w dzielnicy z wolną zaczęto o nich szeptać, w domu wiedział to już każdy. Dlaczego nie miałyby trzymać się za ręce, jeśli tak im się podobało? Początkowo Mariane się wstydziła, gdy Tania brała ją za rękę, zaraz mówiła, że musi sięgnąć po coś do torebki albo wytrzeć spoconą dłoń o spódnicę, ale stopniowo jej strach mijał. Nauczyła się trzymać Tanię za rękę tak samo, jak nie pytać o nic z jej przeszłości. Niekiedy Tania coś opowiadała, ale musiała sama mieć na to ochotę, a zresztą milkła, widząc, że Mariane zaczyna to zbyt interesować. Mariane powiedziała Tani o sobie wszystko, co się dało. O dzieciństwie, o mężczyznach, o swojej pracy jako stenografki, o tym, jak w szkole języków obcych spotkała Hablunda i potem nigdy już nie nauczyła się przyzwyczajenia angielskiego, o Lorze oraz o człowieku, co krzyczał na nią „Ty dziwko”, o którym Tania powiedziała, że musiał to być kutas nad kutasy. Więcej nie było o czym opowiadać.

Ze swoim uczuciem do Tani Mariane nie umiała sobie poradzić. Bała się też kpin. Żeby Tania nie powiedziała czegoś ostro, żeby nie zadała jej bólu. Mimo że w biurze była szefową i Tania robiła, co jej poleciła, to przecież czuła się przy niej niepewnie. Jakby była młodszą siostrą tej Sybiraczki, choć według dat urodzenia było odwrotnie.

Pewnego razu, szukając *Małego doradcy kobiety dwudziestego wieku*, wśród rzeczy Tani znalazła Mariane list, którego długo szukały. Do tego czasu już o nim zapomniała.

A przy tym leżał w miejscu, które przedtem kilka razy przeszukiwała. Na chwilę przyszło jej na myśl, że Tania list schowała, ale potem zawstydzona się i cała sprawa poszła w zapomnienie.

Czasami na ulicy ktoś na ich widok coś krzyknął. Tania nie krępując się pokazywała takim osobnikom język, Mariane udawała, że nic nie widzi. Uważała, że to, co ośmiały się robić, mogą robić tylko w domu, poza nim godziła się na to jedynie na naleganie Tani. Bądź co bądź opinia to opinia; Mariane nie pojmowała, czemu Tani tak mało zależy na reputacji.

Wieczorem przed snem, kiedy leżały już razem łyżeczki i Tania stopą łaskotała jej nogę, Mariane zastanawiała się, co też powiedziałyby na to Hablund i jak to będzie, kiedy on wróci z Charynia. Czy znajdą sobie większe mieszkanie? Czy zatrudnią Tanię jako pomoc domową i przydzielą jej w tym mieszkaniu jeden mały pokój? A może będzie zatrudniona na przychodnię jako opiekunka do dzieci? Najpierw jednak musieliby z Hablundem te dzieci mieć.

Mijały miesiące i zanosilo się na to, że niebawem dojdzie do ekspedycji mającej znaleźć Hablunda. Ze tak prędko, tego nawet Mariane się nie spodziewała. Szczerze mówiąc, pieniądze ten i ów przysyłał od samego początku, lecz nie liczyła zbyt na to, że ktokolwiek zgodzi się jechać tak daleko.

Ten mężczyzna zgłosił się do nich już po dwóch miesiącach i był to właśnie człowiek, którego Mariane szukała. Nazywał się Hans Schmidt i od razu się jej spodobał. Człowiek czynu. Nieogolony i niedbale ubrany, już na pierwsze spotkanie przyszedł z jasnym planem, jak cała rzecz będzie przebiegać. Był wszędzie. W Afryce polował na lwy, na statku wielorybniczym pomagał sternikowi, podczas wojny był na froncie we Francji, zatrudniony – jak mówił – „w charakterze radiologa”, w Kopenhadze utrzymywał się z oprowadzania

turystów i, jak mówił, na taką okazję czekał od lat. W Związku Radzieckim, jak wyznał, nigdy jeszcze przedtem nie był, ale gdy tylko usłyszał o ewentualnej ekspedycji, załatwił sobie prywatnie naukę rosyjskiego. Mariane rzuciła propozycję, że na dogodniejszych warunkach równie dobrze mogłaby przygotowywać go Tania, która lepiej niż jakiś emigrant z Rosji wie, jakiego zasobu słów będzie potrzebował w Charyniu, ale Tania się od tego wykręciła.

Również to, że Hans Schmidt w Rosji nie był, budziło w Mariane zaufanie. Powiedział to otwarcie i nie chwalił się niezwykłymi syberyjskimi przygodami, o których gdzieś przeczytał. Tani nie przypadł do gustu, ale z mężczyzn Tani nie podobał się żaden, do tego Mariane już się przyzwyczaiła.

Spotykali się później we troje kilka razy na tydzień przy ulicy Hansena i planowali wszystkie szczegóły. Mariane znalazła jeszcze starą listę rzeczy, które kupował na podróż Hablund; stała się ona podstawą przygotowań, do czego doszły doświadczenia Hablunda oraz uwagi Tani. Hans zaproponował nawet, że za bilet do Moskwy zapłaci sam, w tamte strony już i tak od dawna się wybierał, a Oboluń nadaje tylko temu wszystkiemu dodatkowy sens. Dziękował im, jakby to one pomagały jemu, a nie on im, był szarmancki. Zawsze przynosił ze sobą jakiś drobiazg dla kobiet, które tak ofiarnie poświęcały swój czas niezwykłemu mężczyźnie. Cokolwiek ukazało się gdzieś o Hablundzie, wszystko to czytał i zawsze chciał usłyszeć od Mariane na ten temat coś więcej. Jaki był, kiedy żyli ze sobą, co lubił i czy był raczej raptusem, czy też miał chłodną głowę, również to mogło się przydać podczas poszukiwań, żeby on, Hans, mógł sobie wyobrazić, jakie decyzje podejmował Hablund bezpośrednio w terenie.

Najgorzej było z mapami. Mariane wiedziała już o tym z czasów, kiedy chodziła po bibliotekach. Hans będzie musiał postarać się o coś w Moskwie lub zadawać się tym, co mu kto powie na miejscu. Ale zdawało się, że dla Hansa Schmidta nic nie jest tak trudne, by sobie z tym nie poradził. Sam nawet zaproponował, że zawiezie Hablundowi list od Mariane.

– Żeby mi uwierzył, gdy zobaczy takiego drapichrusta, ja sam też bym nie wierzył, gdybym spotkał kogoś takiego jak ja.

I znów zdobył plus u Mariane, że nie jest jakimś tam bufonem, że myśli także o pozornych drobiazgach. Hans powiedział, że pojedzie sam, żeby to wszystko wypadło jak najtaniej, takie podróże to dla niego nie pierwszorzędna, w ten sposób łatwiej zapozna się z tubylcami. Brzmiało to całkiem rozsądnie.

Mariane lubiła jego wizyty. Wszystko to w jakiś sposób pochlebiało również jej osobiście; choć oczywiście nie o nią tu chodziło, ale jednak. Ten sympatyczny Hans, który, jak się spodziewała, przywiezie jej małżonka, a w dodatku przystępuje do dzieła tak ochoczo – to rezultat pracy jej oraz Tani. Już na samym początku postanowiła nie liczyć się z pieniędzmi, sprzedała przecież firmę, by mieć na ekspedycję, a nie po to, żeby kupować następne torebki i pantofle, których i tak miała tyle, że mogłaby je rozdawać. Wszystko, co kupiła na podróż Hansa, było w najlepszym gatunku. Kompas, noże, odzież na okres ciepły i zimowy, sprzęt alpinistyczny, niewielki, ale absolutnie nieprzemakalny namiot, konserwy, a także aparat fotograficzny i karpie (Mariane musiała sprowadzić je pocztą ze Szwecji), duńskie upominki dla miejscowej ludności itd. Ostatecznie było tego więcej, niż początkowo się spodziewano. A im sympatyczniej i skromniej Hans sobie poczynał, tym lepszej jakości rzeczy Mariane miała chęć mu zapewnić.

Tania czasami zachowywała się podczas zakupów jak mruk, kilka razy doszło wskutek tego do scysji między nią a Mariane. Że los Hablunda za mało jej leży na sercu i właściwie najbardziej by jej odpowiadało, gdyby już nigdy nie wrócił. Później Mariane była na siebie zła, że powiedziała jej to tak otwarcie, ale w chwilach gdy Tania wykazywała tak mało zapału, przypominała sobie również, co o niej mówiła Lora. Pasożyt. Nie. Nie mogła w to uwierzyć.

Potem Hans Schmidt wyjechał. Umówili się, że zatelefonuje z Moskwy, kiedy będzie się tam przesiadał, zgodnie z planem miał spędzić tam kilka dni, by wystarać się o rozmaite zezwolenia. Mariane i Tania przesiedziały kilka dni w domu, żeby nie przegapić telefonu. Nie zadzwonił. Nie zadzwonił w pierwszym tygodniu, jak obiecywał, ani w drugim, ani przez miesiąc. Po raz pierwszy od czasu, kiedy z nim rozmawiała, wspomniała kobietę, która opowiadała jej o czasoprzestrzennych tunelach w zachodniej części Atlantyku, gdzie ludzie giną bez śladu, i że z Syberią jest coś podobnego – i nawet w związku z tym miała wyrzuty sumienia. Przecież w końcu to ona go tam wysłała. Po miesiącu Mariane zdecydowała się zadzwonić do jego domu, czy przypadkiem nie dał znać przynajmniej rodzinie, ale taki numer nie istniał. W biurze przewodnickim, gdzie Hans Schmidt miał pracować, nikt go nie znał, a w kopenhaskiej księżce telefonicznej w ogóle takiego nazwiska nie znalazły.

Przychodziły do siebie przez cały następny miesiąc. Mariane nie chciała nawet słyszeć o pracy w swoim biurze. Zamknęły biuro Obolunia przy ulicy Hansena i wyjechały z Tanią na tygodniową wycieczkę do Helsinek.

– Ja ci to mówiłam – powtarzała Tania przez całe siedem dni. – Nie podobał mi się od pierwszej chwili.

W takich momentach Mariane najchętniej skręciłaby jej kark.

Hans Schmidt niestety nie był jedyny. Kiedy Mariane myślała, że przynajmniej ma nauczkę na przyszłość, przez biuro Obolunia takich awanturników przewinęło się jeszcze kilku. Każdy był inny, ale żaden z nich w końcu do Charynia nie pojechał. Tania za każdym razem uważała, że wiedziała to od początku, a Mariane na próżno się głowiła, dlaczego ma takiego pecha.

Erske

W chałupie powiedziano mu, że przez kilka kolejnych nocy podobno wzywał matkę. Jednak nikt tam nie znał duńskiego, więc nie można w to wierzyć. Ale z odmrożeń go wyleczyli. Elwira nacierała mu ramiona i uda mokrą szmatą i tyle razy przewijała go z przepoconych prześcieradeł w świeże, że wobec tej rodziny dawno już przestał wstydić się swej nagości. Drżał z zimna i płonął od gorączki, w końcu jednak znakiem po tej przygodzie były tylko dwa szerniałe palce u nogi. Gdyby matka o tym wiedziała, przypłaciłaby to własnym zdrowiem. Jako chory leżący w chałupie nie mógł nawet zatelefonować do niej z pocztą. Może to i dobrze. Radziłaby mu, żeby jak najszybciej wynosił się z Charynia.

Filmy, które znalazł w dziupli drzewa z wrytym imieniem Hablunda, Kawarycz dał w Pstrugach do wywołania. Zawinięte w serwetkę położył je koło łóżka Erskego, gdy ten bredził jeszcze w malignie. Niech ma.

Tego wieczoru, kiedy Erske wrócił, sypał gęsty śnieg. Ostatkiem sił zastukał do drzwi Kawaryczów i jeszcze zanim zwałił się w chałupie na ziemię, zdążył im powiedzieć o tym drzewie Hablunda. Potem aparat fotograficzny rąbnął o podłogę, a Erske upadł na niego.

Dworzec bez ludzi, ludzie szkielety, ludzie w pętach. Kawarycz twierdził, że pracowali dla gminy i sami byli sobie winni. Kto wie, po co Hablund ich fotografował. Były też zdjęcia słuchawki telefonicznej. Erske zastanawiał się, czy ta ręka, która na zdjęciu trzyma słuchawkę, należała do Hablunda. I jeszcze całe rodziny z twarzami w dłoniach. Ci ludzie nie chcieli się fotografować i ktoś zmusił ich, by wyszli do Hablunda przed chałupę. Tulili się do siebie jak zwierzęta. Niemowlęta z fotografii muszą jeszcze żyć tu gdzieś koło Charynia jako starcy.

Ponoć to wszystko, ta poranna ucieczka Udieja i nauczyciela, miało na celu wystawienie go na próbę czy coś w tym rodzaju. Erske myślał, że się przynajmniej pobiją, ale Kawarycz tylko załamał ręce. Tutaj wszyscy wzajemnie się kryją. Erske za każdym razem, gdy to sobie przypominał, aż trząsał się ze złości. Siedział w chałupie już ileś dni, owinięty w koc, oglądał z Kawaryczem telewizję i garściami brał z miski orzeszki arachidowe. W jeden wieczór we dwóch zjadali trzy lub cztery torebki i Erske dowiedział się przy tym o Kawaryczu więcej niż kiedykolwiek przedtem. Zaczęło się od zespołu złożonego z buraczarzy, z którym chciał jeździć po garnizonach, by przy okazji namawiać generałów do kupna pozyskiwanej z buraków energii elektrycznej, którą rzekomo można by ładować akumulatory, a kończyło się za każdym razem fiaskiem.

– Było to niezłe cymbalstwo – zaczął Kawarycz z ustami pełnymi orzeszków. – Zabrałem się do tego pod wpływem natchnienia, choć wszyscy mi to odradzali. Ale czemu nie mielibyśmy robić za przyzwoite pieniądze tego, co robiliśmy u siebie w Czewapice tylko na swój mizerny użytek? W garnizonach parę rubli rocznie na kulturę zawsze się znajdzie i ma je ten, kto się do tego weźmie. Myślisz, że kto tam jeździ? Wyranżerowane wokalistki z byle jakimi utworami, które zamiast nich śpiewa radio, szarlatani, którzy zamiast królików wyciągają z kapelusza zasmarkane chustki do nosa. Tylko że w odróżnieniu ode mnie mają znajomości – irytował się. – Ja w tym biznesie byłem tylko amatorem-partaczem. Tak zaczynałem i tak samo też skończyłem. Gdyby udało mi się ich w garnizonie uchłać,

mielibyśmy ich w kieszeni. Więc ciągnąłem ze sobą skrzynkę butelek, ręce miałem od tego wyciągnięte jak małpa. Ale dowódca pierwszego garnizonu był niepijący i inni nie ośmielali się przy nim pić. Chlapanęli sobie po secie i byli okropnie krytyczni, a potem już się to za nami wlokło. Głupia historia.

Poza tym przez parę sezonów Kawarycz próbował produkować dżem z czarnych jagód. Jesienią co dzień wyganiał Elwirę i Tamarę do tajgi. Chciał, korzystając z opinii, jaką cieszył się Welor, wmawiać w nabywców, że chodzi o wyrób oparty na jego leczniczej recepturze i pod własną firmą zarobić w Pstrugach kupę forsy. Nie udało się. Tak samo jak z tym serem. Ktoś doradził Kawaryczowi belgijską recepturę i jeszcze kazał sobie za to zapłacić. Pięćdziesiąt kilo tego spleśniało, smród rozchodził się po całym Charyniu, a on poniósł dotkliwą stratę, tak samo jak na prywatyzacji jednej piątej kołchozowego stada, którą odkupił po pierestrojce, ale bydło przepadło. Wersja Kawarycza brzmi, że mu je rozkradziono. Potem próbował zarobić na pocztówkach. Charyń nigdy nie miał własnych widokówek.

Można by wydrukować je w Irkucku i jeszcze zrobiłby na nie stelaż, żeby stał na ladzie na poczcie. Elwira już na miejscu starałaby się je reklamować. Na pewno lepsze to niż hodowla polarnych lisów, na którą namawiał go Udiej. Charyniak, który żyje z cudzego. Z cudzego nieszczęścia – dodałby Kawarycz.

– Zbyt późno zacząłem – westchnął. – Ale przedtem nie wolno było zakładać tutaj prywatnych przedsiębiorstw.

Od telewizji po tych dwóch tygodniach Erskego bolała już głowa. Cała chałupa trzęsa się od telewizyjnego rosyjskiego. Czuł się, jakby bez przerwy uczestniczył w jakimś zjeździe. Irytowało go, że Tamara, kierując się telewizyjnymi reklamami, kupowała wszystko, na co było ją stać. Sprytnie wyżymany mop do mycia podłóg, elastyczne lokówki, ściereczkę do kurzu, której nie trzeba trzepać. Głośno by tego nie powiedział, ale tak myślał. Że nie powinni tak łatwo dać się ogłupiać.

Zanim wyszedł, Erske ściszył tylko trochę dźwięk i cichutko rozsunął kotarę z taśm magnetofonowych, oddzielającą pokój od przedpokoju; ten domowej roboty wytwór ludowej pomysłowości zawsze wydawał mu się śmieszny. Kawarycz z otwartymi ustami przesypiał program o rosyjskiej polityce zagranicznej, na brzuchu miał okruchy, pod krzesłem prawdziwy śmietnik.

Erske znalazł się na dworze pierwszy raz po przeszło dwóch tygodniach i mróz przed chałupą omal nie ściął go z nóg. Temperatura już od miesiąca nie przestawała spadać. Teraz też było zimniej niż wtedy, gdy jechali zobaczyć łagier.

Jeśli pisnę choć jedno słowo, moja mama umrze – Erske przypomniał sobie obietnicę złożoną Udiejowi w tajdze. Niedotrzymywanie obietnic to część pracy archeologa, zwłaszcza po tym, co zrobili mu Udiej i nauczyciel. Z powodu Hablunda jechał kilka tysięcy kilometrów. O tym Duńczyku coś tu wiedz, przynajmniej niektórzy, coś tutaj śmierdzi.

Dwa palce u nogi, które Erskemu szerniały, powoli przestawały już go boleć. Przyzwyczajał się do tego, że ich nie ma. W czubku buta miał dzięki temu większy luz. Teraz szeleściła mu tam zmięta strona gazety, którą wepchnął do buta, zanim wybrał się do Udieja.

Kiedy zbliżył się do jego chałupy, Udiej właśnie z niej wyszedł. Dosłownie przed sekundą, po prostu coś mu podszepnęło „Uwaga” i „Kryj się”. Teraz Erske wiedział już, co nastąpi: Pozwoli Udiejowi przejść i niezauważony będzie go śledzić.

Oburzę już trzeci raz w ciągu miesiąca zepsuł się grzejnik. Chcąc zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy, Udiej kupił taną chińską tandetę i ten piecyk co chwila sam się wyłączał, właśnie wtedy gdy był największy mróz. Udiej szedł więc, by go naprawić. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, uszankę nasunął jak najgłębiej na czoło i mrucał pod nosem, obliczając, jak długo już nie dostał zapłaty za milczenie. Bardzo dobrze wiedział dlaczego. Bo Fiedia znów wyjechał. Ale jego i tak to nie obchodzi. Kawarycz też nie interesuje, że matka

nie ma co do ust włożyć. Że prosi go zawsze, kiedy do niego przyjdzie. Że chociaż plecy ma zgarbione, a ręce pokręcone jak korzenie, co dzień nosi do domu wodę, by ją zagrzać w cebrzyku, ale nie na herbatę, tylko do prania, bo chce, żeby jej chusta zawsze była śnieżnobiała, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że jest flejtuchem. Udiej kupiłby jej pięć nowych, gdyby było go na to stać. Gdyby Kawaryczowie wreszcie wysupłali należne mu pieniądze. W końcu jest przecież jej synem. Choć nikogo nie prosił i nikt go o to nie pytał, dałby matce przynajmniej coś do jedzenia. Ale sam nie ma. Choroba, ani kawałka chleba. Znowu nie będą mieli czym zagryźć wieczornej wódki. Dla żołądka to gorsze niż rano na czczo kubek czarnej kawy.

Erske śledzi Udieja, wolnym krokiem zbliżającego się do *uczastków*. Sam nigdy tam nie był, chociaż u Kawaryczów często się o tym mówi. Tamara i Elwira chodzą tam po pomidory i kartofle, ale Erskemu iść tam z nimi nie wolno. Mówią, że po zdeptaniu przez mężczyzn nie rosłoby tam nic prócz chwastów. Nie to nie. To, że nie musi dźwigać kartofli, wcale mu nie przeszkadza. Dziś w Europie nikt już nie wie, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Właściwie Erskemu podoba się, że w Charyniu nie wstydzą się utrzymywać podziału pracy w zależności od płci, zwyczajnie mają tysiącletnie przyczyny.

Udiej jednak wyraźnie obyczaje ma gdzieś. Oto otworzył furtkę *uczastka* i dróżką między zagonami idzie aż do drewnianej szopy na narzędzia, a Erske stoi schowany za kupą zamrożonego gnoju. Jest mu zimno, ale Udiej w szopie się nie spieszy. Przemarznięty Obura kuli się w kącie, a Udiej doprowadza do porządku grzejnik, jednak Erske nic o tym nie wie. Zdrętwiały wskutek czekania, po półgodzinie odchodzi, zajdzie do Udieja kiedy indziej. Droga powrotna powadzi koło budynku zarządu, owej tajemniczej instytucji, która troszczy się tutaj o tyle spraw, a Erske nigdy nikogo z jej pracowników nie widział. Po trzech miesiącach, podczas których nic się nie działo, doszedł do wniosku, że nie ma na co czekać. Budynek wydawał się martwy, ale Erske zastukał do drzwi.

Ku jego zdumieniu otworzyła Myszkińska. Za spódnicę, tak samo jak w sklepie, trzymała się jej mała Oleska. Rękawiczkami z jednym palcem Erske przetarł twarz, żeby w ogóle móc coś powiedzieć.

Myszkińska zasepiła się, ale zaprosiła go dalej. Gościnność jest w Charyniu tylko jednym ze zwyczajów i sama przez się nic nie oznacza. To Erske wiedział. Czego nie mógł zobaczyć, to tego podobieństwa. Ze Myszkińska, wypisz, wymaluj, wyglądała identycznie jak ta kobieta z kokiem i o takim samym nazwisku, której Hablund podobał się jak tyłu innym, ale w przeciwieństwie do nich nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie dała tego po sobie poznać. „Myszkińska” było to nazwisko, które przechodziło z matki na córkę, ponieważ noszące je kobiety nie wychodziły za mąż. Daria Myszkińska kiedyś dawno była całkowicie oddana partii, najmłodsza Myszkińska wiernie służyła sklepowi spożywczemu, a ponadto, podobnie jak jej matka i babka, opiekowała się charyńskim archiwum. Myszkińskie były kobietami rzutkimi i umiejącymi trzymać język za zębami.

Od Elwiry Myszkińska bardzo dobrze wiedziała, że Erske jest cudakiem. Ze jeśli to możliwe, po każdym posiłku czyści zęby, i że interesują go sprawy od dawna już pokryte kurzem zapomnienia. Obserwowała Erskiego, kiedy przychodził z Elwirą po zakupy, i zakładała się sama ze sobą, ile czasu upłynie, zanim w godzinach urzędowania zapuka do jej drzwi. Miał szczęście. Archiwum przy bibliotece było otwarte tylko dwa razy w tygodniu w godzinach wieczornych, Myszkińska zawsze przybiegała tu zdyszana prosto ze sklepu, gdzie przedtem pocieszała Elwirę, że jej Fiedia niebawem wróci, i wygłaszała kazania do Oleski, żeby od dzieci buraczarzy trzymała się jak najdalej.

Oczywiście, wie o Hablundzie. Protokoły z dawnych posiedzeń *sielsowietu* czytała tyle razy, że całe ich ustępy potrafi wyrecytować z pamięci, a Hablund był z tych, którzy wciąż sprawiają kłopoty. Ileś tam posiedzeń *sielsowietu* z roku czterdziestego ósmego i dziewiątego poświęconych było niemal wyłącznie jemu. I to w czasach, gdy *posiołkowi* groził głód, zima,

jak świadczą protokoły, była najcięższa w owych latach i do drzwi pukało powstanie Beryli, o którym *sielsowiet* ze zrozumiałych względów nie był z góry powiadomiony. Zazwyczaj o knowaniach elementu wywrotowego wiedziało się zawczasu. Przodkowie również mieli gdzie trzeba swoich ludzi. Ale wtedy przyszło to niespodzianie prosto z tajgi, w postaci hordy umorusańców. Hablund był z tym elementem w zмовie.

Myszkina myśli, że to właśnie on zadbał o to, żeby *sielsowiet* nie dowiedział się wcześniej o powstaniu Beryli, i nic jej nie przekona, że tak nie było.

Zaprowadziła Erskiego tam, gdzie akta z obrad *sielsowietu* od roku 1938 aż do roku ubiegłego zajmowały całe dwie ściany sali. Drugie dwie były pełne półek z książkami i czasopismami. Pośrodku sali stał mały stół z lampką – czytelnia dla każdego, kogo Myszkina wpuściła do środka.

Erske ze wzruszeniem wziął z półki protokoły posiedzeń z kilku miesięcy po przyjeździe Hablunda, usiadł przy stoliku i na kilka godzin zagłębił się w lekturze.

Oprzytomniał, gdy stanęła nad nim Myszkina, niecierpliwie pobrzękując kluczami. Do tego pomieszczenia były aż trzy, a drzwi miały trzy palce grubości. Według Myszkinej podobno na wypadek pożaru. Podobno też w niektórych protokołach pół strony bywało nadpalone, a znów innych całkiem brakowało. Erskemu przyszło na myśl, że gdyby schował kilka arkuszy pod sweter, mógłby je stąd wynieść, a Myszkina niczego by nie zauważyła. Ta starsza pani w Kopenhadze ucieszyłaby się. Ta, dla której tu przyjechał, choć swego czasu była podejrzana o morderstwo.

Na dworze było ciemno i Erske całą drogę do Kawaryczów przebył z zadartą głową. Niebo w Charyniu już znał. Na te same gwiazdy spoglądał również Hablund – pomyślał. Ostatnia wzmianka o nim, którą znalazł w protokołach, mówiła o nadaniu mu Orderu Porucznika Chirkowa za udział w obronie wsi. Hablund nie był w tym osamotniony. Wykaz odznaczonych zajmował całe pół strony i była wśród nich również jego żona, Saszka z domu Pawliczówna. Ich ślub też był odnotowany w protokołach. Przydzielono im samodzielną chałupę, rodzina poprzednich mieszkańców została wysiedlona, ale dokąd, tego nie zapisano. O ewentualnym powrocie Hablunda do Danii nic w protokołach nie było. Na posiedzeniu zimą 1949 roku polecono towarzyszowi Głaznikowowi ustalić coś bliższego o *Kopiengagienie* i złożyć stosowne sprawozdanie.

Udiej wyglądał na zmieszanego.

– Spędzenie paru dni w tajdze to dla każdego pożyteczna próba. Wiesz przecież, że bym cię tam nie zostawił.

Ze wszystkimi szykanami przyszlibyśmy ci na ratunek. Okryłbym cię ciepłym kocem, łyknąłbyś sobie kielicha i zaraz byłoby dobrze. Znaleźnym byśmy się podzielili, pół dla ciebie, pół dla mnie – bełkotał podпиты Udiej.

– Przyjechałem tu z powodu Hablunda – powiedział chłodno Erske.

Twarz Udieja wyraźnie się zmieniła. A więc facet tej próby nie zaliczył.

– Zostawiliście go w tajdze?

– Ja nie, mnie nie było jeszcze na świecie. I nikt nigdzie go nie zostawił. To on zostawił tu Sazkę. Jak chcesz się o nim czegoś dowiedzieć, idź do niej i zapytaj, jak to jest od młodości być samą jak palec... I weź ze sobą coś dla niej. Jakieś piwo, fistaszki...

O aparacie fotograficznym pod korą gerysza z wyciętym imieniem Hablunda Udiej nic nie wiedział. W parę minut później niemal wypchnął Erskiego za drzwi.

Czasami Udiej marzył, że dzięki cyklowi filmów zatytułowanemu *Ginące światy* matka stała się w Danii sławna. O tych kawałkach, które Hablund umiejętnie zmontował, a później w *Kopiengagienie* całe pokolenie długonogich mieszkanek tego miasta cesało się tak samo jak charyńska Saszka. Coś pięknego.

Kiedy jest w odwiedzinach u matki, grzebie tam w pudłach z rupieciami. Segreguje te starocie i znów miesza. Będzie w nich przebierać w nieskończoność i czegoś szukać. Żeby matczynym wspominkom poczerwieniały policzki, aby nieboszczycy jeden za drugim podnosili ręce i machali tu, do Charynia: „Pa, pa”. Udiej i Saszka zazwyczaj opróżniają przy tym dwie do czterech butelek. Zależy to również od tego, w jakiej są tego dnia formie, lecz przede wszystkim – czy Udiej ma pieniądze. Czasem udaje, że nie ma. „Skądże znowu, matko”. A potem szpera w wiadrze i niby cudem jedną flaszkę wyciąga.

Na koniec prosi matkę, żeby nie odchodziła, choć równie chętnie dałby tej szarej postaci po łbie, gdy tylko pojawi się w furtce. Po tej jej wielkiej, siwej głowie, całym tym cieniu, co przychodzi, a ich profile są tak strasznie do siebie podobne.

– Zdrowie ojca Hablunda.

Ojca... Jakby był popem lub zakonnikiem, czy co. Wlał w siebie pierwsze dwie szklanki, łyk, łyk, i znów za jego zdrowie, starego lisa, niech ma, co mu się należy.

– Powinniśmy jakoś uczcić jego setne urodziny – powiedział matce parę dni temu.

Trzymał ją w ramionach jak tamtego wieczoru Elwirę. Musiała mu pozwolić, ponieważ w przeciwnym razie roztrąbiłby wiadomość o Oburzę po całym Charyniu. Musiała mu pozwolić robić, co chciał. Pragnął, żeby matka miała to już wreszcie za sobą. Ma już tego pocieszenia po dziurki w nosie. „Wiesz przecież, że wróci. Przecież wiesz, prawda?” Udiej już od lat persadował jej, żeby czasem na któryś z pociągów nie wychodziła. Zmuszał ją. Staruchę. Przytrzymał ją za ręce, wykręcał je, ale zawsze się mu wywijala, biegła zadyszana na dworzec i dopiero kiedy pociąg odjechał, wlokła się smutnie z powrotem.

Erskemu kończyły się pieniądze. Matka przekonywała go zawsze przez telefon, żeby nie płacił za nic z własnej kieszeni, a jak skończą się pieniądze, które mu dała na podróż tamta baba w Kopenhadze, żeby jak najprędzej wracał do domu. Wiele do zrobienia i tak mu już tu nie zostało. Zdecydował się zajść do Saszki, mimo że najprawdopodobniej sensownej rozmowy nie da się z nią nawiązać.

Stara kobieta łuskała na peronie słonecznikowe pestki. Wyjadała z czarnych łupin białe ziarenka, a łupiny wypluwała dokoła siebie. Czekala na pociąg i Erske nie chciał jej przeszkadzać. Ale zapłacono mu za tę pracę i zapłacono także za to, żeby wypytywał ludzi również w sytuacjach, gdy nie będzie miał na to najmniejszej ochoty.

Saszka skrzywiła się, ale papierosem go tym razem poczęstowała.

– Ach, mój Hablund. Pan jest z radia? Niedawno była o nim audycja. O jego filmie *Ginące światy*. Słyszał pan może o tym?

Saszka zaciągnęła się papierosem. Ze niby tego Duńczyka nawet jakoś szczególnie nie kochała? To ośmielił się powiedzieć jej prosto w oczy rodzony syn. Splunęła.

– Ciekawiloby mnie, jak to wtedy było. Oboje byliście tacy młodzi...

Erske zaczął rozwlekle, a Saszce przypomnieli się ci w skórzanych płaszczach i z czerwoną gwiazdą na czapkach. Po odjeździe Beryli zwała się tu ich cała armia. Mnóstwo. Nie wiedziała, gdzie się podział jej mąż. Mogli pytać sto razy, i tak nie wiedziała.

Mówili coś o tym, że chciała ich przechytrzyć. Wysocy mężczyźni w wysokich butach.

– Byliśmy młodzi, to prawda. Nie miał drygu do prac domowych – dodała po chwili.

Obserwowała nadjeżdżający pociąg i w oknie zauważyła Fiedię. Rozmawiał z pasażerem, wyglądał przy tym ogromnie poważnie. On też ją widział. Wiedźmę. Historia, którą tu znali wszyscy.

– Młodość musi się wyszumieć – zaskrzeczała wdowa po Doranie i wybuchnęła śmiechem.

Erske wzruszył ramionami i przez grzeczność też się roześmiał, chociaż nie wiedział z czego.

– Za moich młodych lat zapowiadało się to trochę inaczej. Tam miał powstać wielki

basen. Ślizgawkę mieliśmy, ale basenu nie. Że niby będzie się tam chodzić z dziećmi. Pluskałyby się jak kaczkę. Przychodzi mi do głowy... – zamilkła na chwilę. – Myśli pan, że Hablund już o mnie zapomniał?

Erske miał tylko nadzieję, że na to, by Saszka z czekania na pociąg przerzuciła się na rozwiązywanie krzyżówek, było już za późno.

Milczała tylko chwilę, po czym podjęła:

– Ciężarówka. Przyjechały i w ogóle nic w nich nie było. Pif-paf, strzelali, strach było wyjść z chałupy. Z chałup wali dym. Wołam męża. Śnieg, wystające spod niego kępy trawy i ci w skórzanych płaszczach z ważnymi papierami. Charyń otrzymuje naganę za złe zachowanie.

Znowu umilkła.

– Wie pan, co się Hablundowi podobało? To nasze życie, że jest takie prawdziwe, jak on to nazywał, autentyczne. Mówił, że tutaj wszystko z niego opadło. I wie pan co?

Saszka dała Erskemu znak, żeby nachylił się do niej, i zaczęła szeptać:

– Opowiadał mi baśnie od nich, z północy, z *Kopiengagienu*, i były zupełnie takie same jak te nasze. Myślał, że wróci. Zostawił tu wszystkie swoje rzeczy. Może przez pomyłkę wysiadł gdzie indziej i błądzi tu gdzieś w kółko.

Saszka wyteńczyła uwagę.

– Słyszysz go pan?

Erske widział, że to nic niewarte bajanie. Powiedział staruszce, że życzy jej szczęścia, i właśnie chciał odejść, kiedy Saszka złapała go za sweter i z zadziwiającą siłą przyciągnęła z powrotem. Myślał, że będzie chciała dotknąć jego ramienia, ale ona spytała tylko, czy nie ma czegoś do jedzenia.

W chałupie u Kawaryczów nic się przez ten czas nie zmieniło. Tylko miejsce audycji o polityce zagranicznej zajęła telewizyjna prognoza pogody. W Kijowie jest minus dziesięć, w Rzymie osiemnaście stopni ciepła... Kawarycz spał z otwartymi ustami.

Właściwie tego ich Fiedię całkiem chętnie bym poznał – pomyślał Erske, gdy przy kolacji rozmowa znowu zeszała na jego temat. Tylko że już nie zdąży. Z konduktorem w granatowej kurtce, mającym chorowite dziecko z Elwirą, nigdy już nie wymieni uścisku dłoni. Niech nie zapomni przysłać im z Danii jakichś lekarstw – kładzie mu na sercu Tamara. Przeczuwa, że Erske szykuje się do wyjazdu, jest na pół buraczarką.

– Przyślij lekarstwa dla Sierioży, dużo.

I Erske zaczyna się zastanawiać, czy aby Kawarycz nie będzie ich później sprzedawać, czy to nie będzie kolejny jego biznes. Chłopców i dziewczynek tak mizernych, że prawie przezroczystych, widział na wsi pełno. Kopalnie uranu, które zapomniano zasypać, fabryki w tajdze, w których nie wiadomo gdzie doszło do jakiegoś wybuchu, smrody płynące do Charynia w powietrzu aż skądś z Chin...

Charyńscy złośliwcy twierdzą, że i tak gorsza niż to wszystko razem jest ta diabelska różowa mgła, produkt buraczanego przemysłu z Czewapiki.

Hablund

Sam przed sobą musiał przyznać, że się denerwuje. Wyglądało jednak na to, że wszystko zostało zorganizowane bez zarzutu. Dwie wielkie ciężarówki, pod zielonymi plandekami przewożące zwykle żołnierzy, stały w Charyniu już od rana. Od czasu do czasu kierowcy, kręcąc korbami, uruchamiali silniki, podobno żeby nie zamarzły, ale Hablundowi zdawało się, że raczej chcieli się popisać. Bo i kto by tego dnia nie chciał? Hablund także starał się jakoś zabłysnąć. Zaprawa gimnastyczna pod kierunkiem Bownika, całe to bieganie i hartowanie się, wszystko to było przecież robione ze względu na dzień dzisiejszy oraz dni, które przyjdą po nim. Nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy nastąpi powrót z polowania. Saszka chciała mu zapakować tyle jedzenia, że starczyłoby dla pułku wojska, ale Hablund, odpowiednio poinstruowany, wiedział, że kuchnia będzie wspólna. Saszka stała przed ich domem, przed tą wielką tablicą z napisem „DORANOWIE”, z rozłożonymi rękami, jakby odjeżdżał na zawsze. To wtedy ogarnęła go ta obawa. Ta, którą czuje teraz. Przypomniawszy sobie swoje rozmowy z Saszką z czasów, kiedy ze sobą chodzili. O bolszewizmie, o przyszłości Charynia. Teraz była kobietą z obrazu *Matka żegna syna wyruszającego na front*. Również rysy zrobiły się jej nagle ostre, czoło bardziej kanciaste, wiatr wzdymał jej spódnice. Hablund objął ją i pocałował, musiał już iść z innymi mężczyźnami.

Ciężarówki przyjechały rano, punktualnie o ósmej, jak Bownik obiecywał, i zaraz zaczęły się zapełniać rzeczami ludzi, którzy się koło nich kręcili. Wielu z nich Hablund nie znał, w Charyniu ich nigdy przedtem nie zauważył. Niektórzy mieli ściągnięte pasem ciężkie kurtki z wysokim kołnierzem, uszanki z czerwoną gwiazdą i człapaki, do których przypinali rozmaite znaczki. Hablundowi przypominali czerwoną policję, ale wydawało się, że prócz zastrzeżonych dla członków *sielsowietu* wysokich futrzanych czapek, które Pawlicz, Bownik, Głaznikow i Myszkina mieli na głowach już od rana, każdy wziął z domu tylko to, co mu wpadło w ręce, gdyż żadnej innej różnicy, świadczącej o ich randze, Hablund się nie dopatrzył. Mężczyźni ustawili się w szeregi i jedni rzucali z rąk do rąk bagaże, które w ten sposób docierały na skrzynie samochodów, gdzie zawsze jeden z tych ludzi musiał je równo układać. Były tam zrolowane koce związane sznurkami, materace, wielkie kotły, łyżki, pokrywki, pełne czegoś zawiązane u góry worki, kilka wielkich pak z pudełkami zapalek, kanistry z naftą, krzesła, stoły, rzemienie, płachty, skrzynki nabojów. Hablund stanął w jednym z szeregów, ciągnącym się od magazynu *sielsowietu*, nawet nie wiedział, że za salą posiedzeń znajduje się tak wielkie pomieszczenie pełne różnych rzeczy. Dostrzegł tam w kącie dziesiątki pokrytych kurzem karabinów, chyba jeszcze z czasów rewolucji, wypchanego wilka, sterty starych gazet, kartonowe pudła z fotografiami (twarze tych, którzy po zrobieniu tych zdjęć zniknęli, były zaczerwienione). Z magazynu *sielsowietu* zabierano przede wszystkim książki naukowe. Plan przewidywał, że każdego wieczoru, po dniu spędzonym na polowaniu, trzeba będzie coś z nich przeczytać. Działalność oświatowa w wolnym czasie leżała w gestii Myszkinej, prócz kucharek jedynej kobiety jadącej z nimi. Sama wybierała książki w magazynie i podawała je pierwszemu mężczyźnie w szeregu, było tego kilkadziesiąt tomów.

Inny szereg prowadził do spichrza, tym kierował Welor. Popełnionego przezeń szachrajstwa, jak i tego, że tak mało żywności ma Charyń na zimę, dotychczas nikt nie wykrył. Teraz sam wybierał, co i w jakiej ilości ma być wzięte na polowanie, wszystko, z czego kucharki będą gotować przez cały czas jego trwania. Upolowane renifery w całości należało przywieźć do wsi.

Z powodu nawału zajęć tego dnia nie kontynuowano również budowy stacji. Więźniowie, którzy tam zazwyczaj pracowali, teraz znajdowali się przy samochodach i robili, co kazali im członkowie *sielsowietu*. Czyścili szyby, polerowali błotniki, zamiatali skrzynie, pomagali zaciągać sznury na skrzyni pierwszego, załadowanego już po brzegi wozu. Na ironiczny uśmiezek buraczarzy i pochwałę ze strony Bownika zasłużył sobie Boria, kiedy spytał o zapasowe koła. Niewiele brakowało, a całkiem by o nich zapomniano.

Podczas gdy charyniacy krzatali się przy samochodach, większość buraczarzy leniuchowała dokoła na ziemi, w swych pełnych łat łachmanach, i częstowała tych z Charynia uszczypliwymi uwagami, paliła papierosy, śmiała się głośno i rzucała kamieniami w biegające dokoła psy. Byli tam jednak także inni, którzy siedzieli i milczeli. Można by chyba powiedzieć o nich „stara szkoła”. To członkowie plemienia, którym nie dawało spokoju, że wczorajszego wieczoru masa śniegu zdusiła rytualny ogień.

Ze wszystkich tych ludzi, kręcących się koło samochodów, a mogło ich tam być w sumie co najmniej sześćdziesięcioro, najboleśniej ten wczorajszy nieszczęśliwy wypadek przeżywali buraczarze należący do ścisłego kręgu. Ci, którzy wczoraj ze wszystkich sił starali się wpłynąć na los, zapewnić szczęśliwy przebieg przyszłych wydarzeń, a których ta śnieżna lawina przeraziła. Większość pozostałych wprawdzie również śpiewała wczoraj dawne pieśni, kołysała się w ekstazie, trzymając się za ramiona, a przy ogniu gotowa była oddać życie za swoje plemię, jednak wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dziś – i ta plemienna zasada zdawała się teraz silniejsza niż cokolwiek innego.

Izykił wraz z innymi członkami najściślejszego kręgu trzymał się na uboczu. Nie palili, nie popychali się i nie śmiali się też, kiedy Boria przypominał o zapasowych kołach. Stali cicho, jedynie kolorowe poły ich płaszczy powiewały na wietrze. Ubrani byli po swojemu. Nie na wzór Rosjan i nie jak oberwańcy, lecz zgodnie z przedradzieckimi tradycjami plemienia. Hablund obserwował ich tylko kątem oka, nie wiedział, co o nich myśleć. Ich stroje w tajdze będą przecież zaczepiać o gałęzie, na śniegu materiał nasiąknie wodą, a w dodatku wygląda na tak cienki, że już pierwszego dnia mogą zamarznąć. Tyle że nie było to zmartwienie Hablunda, a wszystko zdawało się wskazywać, że także nie *sielsowietu*, który sprawdzał tylko zaopatrzenie swoich, charyniaków. Czy wszyscy mają całe buty, w kieszeni co najmniej dwie pary zapasowych skarpet, ciepłe gacie i drugą parę rękawic oraz szal.

Ci, których Bownik skontrolował, mogli wspiąć się na skrzynię ciężarówki i znaleźć sobie na czas jazdy w miarę wygodny dołek pośród bagaży. W jednym wozie siedziała już także stłoczona gromadka kobiet, które miały im gotować. Hablund dostrzegł wśród nich Wasylisę. Pozostałe kobiety to pewnie też więźniarki – pomyślał. Pod warstwami odzieży brzuch Wasylisy nie rzucał się tak bardzo w oczy, ponieważ każdy i tak wyglądał już jak antałek. Uśmiechnął się do niej, ale nie zauważyła go, każde siedziało w innym samochodzie.

Hablund znalazł sobie wygodne miejsce między wielką beczką a kanistrem. Teraz chętnie pomachałby Saszce stąd, ze szczytu tej sterty, dumny z siebie. Ale oprócz myśliwych wszyscy już byli w chałupach, takie zasady obowiązywały podczas wyjazdu.

Odjeżdżający machali do buraczarzy, a ci odwzajemniali się im tym samym. Do tajgi, na umówione miejsce, dotrą na własną rękę.

Silniki warczały, samochody podskakiwały, mężczyźni, każdy w swoim dołku, sprawdzali wyposażenie, oglądali się wzajemnie, a następnie zaśpiewali kilka męskich piosenek. Hablund za każdym razem przyłączał się do śpiewających, pomrukując bez słów.

Nie znał zbyt dobrze reguł polowania, toteż nie wiedział, że wszystko, co działo się dotychczas, było tylko przeglądem wojska, niczym więcej niż demonstracyjną paradą. Przyszło mu wprawdzie na myśl, że tak wielkimi samochodami w tajdze daleko nie zajadą, ale zaraz uspokoił sam siebie, że przecież wszystko z pewnością zostało z góry ustalone.

I było. Po dwóch kilometrach terenu nadającego się do jazdy, gdzie w lecie Hablund widywał czasem pasące się krowy albo kozy, pojawiły się pierwsze niskie drzewka i zarośla –

czyli to był koniec trasy. Głaznikow stał już tam w pogotowiu z psami. Padł rozkaz, żeby przenieść ładunek z samochodów na zaprzężone w psy sanie, znów wszyscy stanęli w szeregu i ręce poszły w ruch. W skrzyniach zostały tylko jeden stół, obrusy, kilka sztuk karpli i dwa worki kartofli – wszystko to, co nie zmieściło się na trojgu sań.

Resztę rzeczy obwiązano sznurami, na każdych saniach piętrzył się teraz prowiant na wysokość dobrych dwóch metrów, a żeby ruszyły, psom musiało pomóc kilku mężczyzn. Kierowcy ciężarówek natychmiast rozpalili między wozami ognisko i owinęli się w koce. Hablund domyślał się, że będą tu czekać na powrót myśliwych z polowania.

Bownik zadał w wielki krowi róg, początek polowania został otrąbiony. Ciągnięte przez psy sanie z prowiantem oraz grupa mężczyzn i kobiet powolnym krokiem ruszyły do tajgi. Kiedy zaczną ubywać zapasów, pójdą szybciej. Na razie psy miały z ciężkimi saniami tyle pracy, że szły z szybkością zaledwie dwóch kilometrów na godzinę. Bownik nie był z tego szczególnie zadowolony, ale nic nie można było na to poradzić. W dodatku w pierwszej godzinie marszu jedno sanie się wywróciły. Odpowiedzialnością za to obarczono ludzi, którzy je ładowali, wśród nich Hablunda. Przez dwa dni mieli dostać zmniejszone racje żywnościowe.

Nawet się nie spostrzegli, gdy zapadł wieczór. Przeszli wszystkiego niewiele więcej, niż gdyby pięciokrotnie szli tam i z powrotem przez Charyń, ale Hablund był zmordowany jak pies. Zwierzęta pociągowe zwinęły się zaraz w kłębek i zasnęły. Hablund najchętniej poszedłby w ich ślady, ale Myszkina rozdała książki i podczas gdy Głaznikow czytał, pilnowała, żeby nikt z mężczyzn nie drzemał.

To na tego, to na owego wskazywała trzymanym w rękę kijem, żeby opowiedział, co było w ostatnim akapicie, wybrane strony już przedtem pozakładała kawałkami gazety. Hablund spodziewał się czegoś z przemówień działaczy partyjnych lub z poradnika dla myśliwych, ale okazało się, że był to kalejdoskop ciekawostek z całego Związku Radzieckiego. Fragmenty o spławności Wołgi, o gruzińskim władcy z siedemnastego wieku, Arczylu, o tym, jak obrodziły melony w Azerbejdżanie. Myszkina wybrała te urywki tak, żeby każdy kształcił słuchaczy w innej dziedzinie. Trzeba powiedzieć, że Hablundowi spało się potem jak w raj.

Każdy dzień rozpoczynał się dęciem w róg. Należało to do obowiązków kogoś z *sielowitzu* lub mężczyzny, który poprzedniego dnia czymś się wyróżnił. Na przykład Welor, gdy znalazł świeży ślad renifera, chociaż miejsce, w którym miano zacząć się na zwierzęta, było zawczasu uzgodnione z buraczarzami, wobec czego odkrycie nie miało w danej chwili żadnego praktycznego znaczenia. Ale i tak Welor następnego dnia o siódmej rano dał w róg, co było szacownym wyróżnieniem. Kucharki zaraz potem wzięły się do zbierania śniegu na herbatę. Gotowały ją w wielkim kotle, mężczyźni zawczasu przygotowali im drewno. Herbata była jedyną rzeczą, którą co rano dostawali. Za to jedno z sań wiozły cały wielki marynarski kufer kostek cukru i przynajmniej na początku każdy mógł wziąć ich tyle, ile chciał. Trzymanie w ustach kostki cukru, powoli rozpływającej się na języku pod wpływem strużki gorącej herbaty, stanowiło największą z porannych przyjemności, jakie były tu udziałem Hablunda. Postanowił co dzień rano fotografować, musiał więc wstawać jeszcze wcześniej niż inni, ale i tak z powodu mrozu nie mógł długo utrzymać aparatu w rękach. Toteż zdjęć z pierwszego i jedyne polowania, w którym uczestniczył, zachowało się niewiele. Oprócz brudnych plam, psich kłów i fotografii Wasylisy, jedną ręką podtrzymującej brzuch, a drugą mieszającej w kotle, które udało się znaleźć Erskemu, tego nie było dużo.

Pierwszą wielką próbę przeszli trzeciego dnia pobytu w tajdze. Było późne popołudnie i wszyscy z wolna zaczęli cieszyć się na myśl, że wkrótce rozbiją obóz, kiedy Hablund pierwszy usłyszał wycie. Szedł wtedy na samym końcu, kawałek za innymi, zmęczony mimo wolnego tempa marszu, z aparatem fotograficznym na szyi ledwo dawał sobie radę, tak więc właśnie on to zauważył.

Pobiegł z tym do Welora, który zaraz obiecał mu, że następnego rana będzie w nagrodę mógł zadać w róg, i wkrótce potem myśliwych ogarnęła panika. Wycie nagle zaczęło dobiegać ze wszystkich stron, gdy więc Bownik i Głaznikow polecili zejść z zaplanowanej trasy, żeby nie spotkać się z wilkami, nie było jasne, w którą stronę iść. Bownik kazał się zatrzymać, pospieszenie zwołano naradę *sielsowietu*, ale nim znaleziono w tajdze niezadrzewione miejsce dostatecznej wielkości, postawiono namiot sztabowy i zdjęto z sań stoły i krzesła dla aktywu, wycie wilków tak się wzmogło, że ludzie niemal nie słyszeli własnych słów. Wydawało się, że wilczych stad jest kilka, a myśliwi utknęli dokładnie pośrodku między nimi.

Spotkanie ze zgłodniałym stadem wilków to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą się przydarzyć podczas polowania w tajdze. W dodatku psy zaczęły stopniowo przyłączać się do wilków, które skądinąd ludzi nie atakują. Wyły i szczekały, a mężczyźni musieli przytrzymywać sanie oraz pałkami bić zwierzęta po grzbietach, żeby nie zbaczały z drogi i nie pozrywały uprzęży. Gdy wydawało się, że szczekanie i wycie osiągnęły szczyt, nagle zapanowała cisza. Wilki umilkły, zbite z pantafelku psy jeszcze chwilę poszczekiwały, ale wnet one też się uspokoiły. Gdyby w kolumnie znajdował się jakiś buraczarz, można by go spytać, co robić, ale bez niego nie wiedzieli. Odetchnęli z ulgą, lecz nie mieli pojęcia, jak tłumaczyć sobie tę niespodzianą ciszę. Buro, Izykił, Boria i idiotka wiedzieliby, że znaczy ona „Ratuj się, kto może”. Wilcze stada, które zazwyczaj walczą między sobą, jednoczą się, gdy w tajdze nastaje głód, to skłania je do wspólnego ataku. Rozumiały to tylko psy. Same będąc oswojonymi łowcami, wietrzyły w powietrzu zamiary swoich braci, kręciły się w kółko w uprzęży, zaplątywały się w rzemienie i skomlały ze strachu. Charyniacy z trudem utrzymywali je na wodzy. Narada *sielsowietu* skończyła się decyzją, żeby kontynuować wędrówkę. W owej chwili i tak nie dało się niczemu zapobiec. W parę minut potem wilki wyłoniły się zza drzew i zaatakowały myśliwych od tyłu. Hablunda pierwszego. Wilk skoczył mu na grzbiet, przewrócił go, ale stado nadal na niego napierało, więc tylko przebiegł Hablundowi po plecach. Strzelby mieli na saniach na samym wierzchu, ale zanim rozplątali rzemienie, psy się rozbiegły, sanie wywróciły, wszystkie zapasy rozsypały się dookoła, a ośmiu mężczyzn straciło życie. Na szczęście sporo wilków rzuciło się na worki z suszonym mięsem, było to łatwiejsze niż zabijanie, i zanim to mięso zjadły, charyniacy zdążyli nabić strzelby i otworzyć ogień. Dwaj inni mężczyźni zginęli rozszarpani przez trzy rozwścieczone ranne wilki, którym jakiś niezgrabiasz początkowo strzelił tylko w nogi, resztki stada wycofały się do lasu.

Połowa psów gdzieś się rozbiegła. Rozpalono ognisko, aż do popołudnia następnego dnia czekano, czy nie wrócą. Każdy z tych, które przyszły, dostawał porcję suszonej ryby, a Bownik przypinał mu do obroży odznakę za męstwo. Od psów zależała wtedy przyszłość całej wyprawy. Ostatecznie powróciło ich pięć, dzięki czemu można było przynajmniej iść dalej z dwójgiem. Gdyby psy nie wróciły, te, które zostały, pociągnęłyby tylko jedno sanie i *sielsowiet* najprawdopodobniej nakazałby powrót do wsi. Przepadła też jedna czwarta zapasów, rozsypany był cały jeden worek herbaty. Przemieszane z jej listkami bryły śniegu wrzucano potem do kotła, wszyscy pili ten napój i czekali.

Hablund odmroził sobie palce, a poza tym miał zdartą skórę na karku. Czuł, jak pod kołnierzem gorąca krew spływa mu po plecach, ale niektórzy byli w gorszym stanie. Jeden z mężczyzn stracił kawałek uda, drugi miał pogryzione ręce, trzeciemu wilk wygryzł dziurę w brzuchu, ten był w najgorszym stanie. Welor ciasno obandażował im rany długimi kawałkami płótna i ułożył ich na saniach. Dwaj z nich nie wstali już nigdy.

Gdy czekano na psy, Hablund kuśtykał dokoła obozowiska. Różowość otaczającego je śniegu w paru miejscach miała dokładnie ten odcień, który tak się podobał Mariane. Ledwie się włókł, w takim stanie nie dałby rady iść dalej. Szukał jakiegoś miejsca, w którym mógłby schować swój ciężki aparat, żeby kiedyś później go zabrać, ale tajga wszędzie wyglądała

jednakowo. W końcu wybrał grube drzewo z dziuplą wydziobaną przez ptaki; zawinął aparat w wydawany w Pstrugach biuletyn, w który przedtem były zapakowane teraz już zjedzone przez psy ryby, owinał aparat w podarty worek po herbacie, wsunął go do środka najgłębiej, jak się dało, i zamaskował z wierzchu kilkoma gałązkami. W korze wyciął wielkimi literami napis HABLUND DORAN i zatknął w śniegu pod drzewem związany z dwóch patyków krzyż. Jak gdybym sam tu umarł – pomyślał. Zrobiło mu się smutno.

Zanim kilka dni później wyprawa charyńskich myśliwych połączyła się z buraczarskimi łowcami, nic godnego uwagi już nie zaszło. Szli z regularną prędkością od ośmiu do piętnastu kilometrów dziennie, jedno sanie wiozły większość prowiantu, drugie resztę rzeczy oraz trzech rannych, trzecie spalono, kiedy stało się jasne, że więcej psów już nie wróci – i tak nie miałby ich kto ciągnąć.

Hablund szedł większość czasu na końcu, razem z kucharkami, małowównymi dziewczynami, które jeśli nie było to konieczne, w żadne rozmowy z mężczyznami się nie wdawały. Był pełen podziwu dla ich wytrzymałości. Dreptały jedna za drugą jak uparte koniki, stawiając nogi w śladach zostawianych przez niego, starał się więc robić małe kroki, żeby szło im się możliwie jak najlepiej. Nawet na uszankach miały przypięte szpilkami białe kucharskie czepki. Było ich cztery, Wasylisa była najstarsza. Ich milczenie i spuszczone wzrok Hablund tłumaczył sobie strachem. Prawdopodobnie bały się, że podczas wyprawy będą myśliwym potrzebne również do innych usług niż gotowanie. Ale albo wszyscy byli tak zmordowani, że na takie rzeczy nikt z nich nie miał ochoty, albo *sielsowiet* surowo im tego zabronił.

Kiedy doszli na miejsce, gdzie mieli się spotkać z buraczarzami, powitała ich gromada podobna do tej, która kręciła się wokół nich, gdy w Charyniu załadowywali samochody. Żyłaści mężczyźni w łachmanach, w dobrym humorze, lekko podpici, mieli tam swoje leże, małą Czewapikę; po tygodniu marszu te ich szalasy wydały się Hablundowi szczytem przytulności. Przywiązali psy do drzew, postawili namioty oraz wielki namiot sztabowy ze stołem i krzesłami dla *sielsowietu*, jak każdego innego dnia.

Co też to mogą być za rzeczy, które ze sobą wieziemy? – łamał sobie głowę Hablund przez cały czas marszu. Gdy bowiem co wieczór zakładali obozowisko i wypakowywali zapasy, zawsze na saniach pozostawała jeszcze przynajmniej jedna trzecia ładunku. Sterta, której nigdy nie rozpakowywano. Teraz to widział. Półki, fotel, szkolna tablica. Te półki zabrała Myszkina z sali posiedzeń, choć w tajdze było drewna pod dostatkiem. Rzekomo lepiej się prezentowały. Były lakierowane, z małymi wyrzeźbionymi ślimakami pośrodku. W sionce namiotu sztabowego urządziła bibliotekę. Skończyło się obowiązkowe wieczorne czytanie. Hablund odetchnął z ulgą.

Fotel był dla bohatera polowania. W oczekiwaniu na jego rozpoczęcie stał przed namiotem sztabowym zapakowany w papier, jak przed magazynem jakiegoś warsztatu stolarskiego. Tablicę Bownik przybił do jednego z pobliskich drzew. Był to jego wniosek racjonalizatorski, nowy pomysł po doświadczeniach z zeszłorocznego sezonu, kiedy to z powodu chaosu powstałego wskutek złej łączności część stada reniferów wymknęła się im spod samego nosa. W tym roku będą wszystko rysować na tablicy, ruchy stad i swoje własne w małych grupkach obok, co wyjdzie całej sprawie na korzyść.

Etap łowów, który właśnie się zaczął, nazywano okresem wyczekiwania. Obie grupy myśliwych szczęśliwie się spotkały i miały czekać do czasu, gdy stado reniferów zacznie przechodzić obok. Podobno przypomina to małe trzęsienie ziemi, a jeśli nastąpi w nocy, z pewnością wszystkich zbudzi. Jakby padał grad, a w dodatku ziemia drży, kipi jak woda w garnku. Ten odgłos padającego gradu to szcęk setek uderzających o siebie poroży, a drzenie powodują kopyta. Ale zaskoczyć ich w nocy renifery nie powinny. Dlatego na wszystkie strony powysyłano posterunki, mężczyzn, którzy zmieniali się co pięć godzin w dzień i nocy, żeby kiedy stado zacznie się zbliżać, wszyscy, całe drużyny, byli już gotowi do działania.

Drużyny były trzy. Pierwszą miał dowodzić sam Bownik, drugą Welor, a trzecią Głaznikow, z tym że ich zastępcy rekrutowali się z buraczarzy.

Izykił cały czas siedział z innymi na uboczu. Z członkami ścisłego kręgu miał swój obóz o parę metrów dalej, jeden wielki wspólny szałas z gałęzi, z którego bez ustanku wydobywał się dym. Podobno starali się jeszcze raz rozniecić wróżebny ogień, ale się im to nie udawało. Izykił wychodził z szałasu smutny, ta smutna woń spalenizny towarzyszyła mu wszędzie, a jak tylko gdzieś usiadł, rozochoceni mężczyźni milkli. Snuł się po obozie jak cień, nie mógł usiedzieć w jednym miejscu.

Zapasów mieli myśliwi co najmniej na tydzień, ale spodziewano się, że renifery pokażą się już za parę dni. Podobóz kucharek gotował od rana do wieczora – również dla buraczarzy potrawy z ich plemiennego jadłospisu, gdyż mieli potrzebne wiktuały.

Buraczarze i charyniacy czasem pili i żartowali, niekiedy wdawali się w bijatyki. Co najmniej raz na dzień dochodziło między obu grupami do nieporozumień, obie miały się przed sobą na baczości, jak w domu. Charyniacy skarżyli się, że buraczarze nie czekają na przydział i kradną żywność ze wspólnych zasobów, buraczarze zaś uważali, że w gruncie rzeczy ich zastępcy szefów drużyn powinni być szefami, bo na takich sprawach jak polowanie znają się znacznie lepiej niż Bownik, Głaznikow i Josifowicz. *Sielsowiet* był zdania, że jest to polowanie charyniaków, a buraczarze występują tu w roli płatnych doradców i nic więcej. Prym w tych sporach charyńsko-czewapickich wiodł ojciec Pszeły. Twierdził, że bez nich, mieszkańców Czewapiki, charyniacy o polowaniach nie wiedzieliby nic a nic. Bez nich w ogóle by nie przeżyli. Te niedobitki grupy dumnych Rosjan, które przybyły w te strony i osiedliły się tu, o niczym nie miały pojęcia. Głaznikow replikował, że tymi, kto ich uczył, były przede wszystkim czewapickie kobiety.

– Ojciec każdego z nas mógłby coś o tym powiedzieć – roześmiał się. – Lazły im do chałup, zewsząd się im przypatrywały, każda sobie któregoś upatrzyła. To one nas uczyły, a nie wasi myśliwi. Jak sobie radzić w tajdze, a na mchu pod świerkami zawsze pozostawało jeszcze sporo czasu na rzeczy znacznie przyjemniejsze. Tego znów uczyli je nasi. Cha, cha, cha. Ciężarne wypędzali potem z Charynia na powrót tam, skąd przyszły. W Czewapice wszyscy jesteście na pół nasi, czy się to wam podoba, czy nie. Rosjanie z krwi i kości! A teraz piję za tę naszą przyjaźń! – wrzasnął, a ojciec Pszeły już rzucał się na niego, żeby go powalić, zaczynała się kolejna runda bójek.

Hablund trzymał się w takich chwilach z boku, tak samo jak Izykił. Szałas, w którym przesiadywał wraz ze swoimi, w następnych dniach służył jako salon masażu i pełnił ważną misję. Mieszkańcy zarówno Czewapiki, jak i Charynia chodzili tam nie tylko po to, żeby dać sobie fachowo ugnieść plecy, ale także by wygoniono z nich człowiecze duchy, których zapach płoszył zwierzęta.

By polowanie miało pomyślny przebieg, według tradycji buraczarzy niezbędne jest bowiem jak największe zatarcie granic między myśliwym a zwierzyną. Jeżeli ludzki zapach uda się z myśliwego usunąć całkowicie, wtedy zwierzę uważa, że ma przed sobą członka swojego gatunku i darzy takiego człowieka pełnym zaufaniem. Pozbywając się ludzkiego zapachu, myśliwy w sferze duchowej przybiera postać renifera. Oddala się od ludzi, żeby móc tym bardziej niespodzianie zaskoczyć renifery z bliska.

Kiedy Hablund zapytał Izykiła, dlaczego nie pozbawia ludzkiego zapachu każdego, a tylko kilku wybranych łowców, usłyszał wyjaśnienie również tego problemu. W miarę jak człowiek staje się po części zwierzęciem, traci także chęć zabijania z bliska innych stworzeń, i myśliwy, który nie ma dostatecznie silnej woli, może się okazać niezdolny do udziału w polowaniu. Takie przypadki zdarzają się co roku. Myśliwy w ostatniej chwili kieruje lufę strzelby ku ziemi i pozwala, żeby majestatyczne zwierzę zniknęło za drzewami, chociaż przez kilka dobrych minut miał je na muszce. A bywa jeszcze gorzej. Czy winna tu jest słabość tego człowieka, czy szaman, który nie uświadomił sobie, jak bardzo oddalił już myśliwego od

człowieczeństwa, czy obie te przyczyny razem, może się zdarzyć, że renifer uprowadzi takiego kogoś ze sobą. Ze myśliwy ulegnie zwierzęciu, zakocha się, odejdzie z nim do tajgi i nigdy już nie wróci.

Ojciec Pszeły, który wśród buraczarzy należał do najstarszych, pamiętał takiego człowieka. Przed laty podczas wyprawy ten zbzikowany myśliwy zastrzelił kilku ludzi. Tych, których widział strzelających do zwierząt. Po czym uciekł do tajgi, w Czewapice nigdy go już nie widziano. Przez dwa następne lata z jego powodu polowania były do niczego. Umyślnie płoszył stado, wyczuwał łowców i swoje renifery ostrzegał. Został znaleziony, gdy właśnie szykowano się do wyprawy, która miała na celu unieszkodliwienie go. Nie był już człowiekiem. Lecz reniferem też nie, ponieważ jego stado opuściło go w najtrudniejszym momencie. Wilki atakują tylko te renifery, których nie chroni stado. Sztuki stare lub nieudane młode. A tego człowieka znaleziono rozszarpanego, leżącego w kałuży krwi.

Dni upływały spokojnie, nerwowość jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje wyprawa myśliwska. Ale i tak się pojawiała. Po kryjomu wpełzała do obozu w chwilach, kiedy cichy kłótnie i hałasy, a z każdym dniem było jej więcej. Nic się nie działo. Mężczyźni wracający z wysuniętych posterunków zawsze tak samo wzruszali tylko ramionami. Początkowo nikt nie zwracał uwagi na ich powroty, ludzie pili i swarzyli się. Kiedy zaczęto niecierpliwie czekać, z czym przyjdą, było jasne, że żarty się skończyły. Koniec końców przywędrowali tu ze względu na renifery, a nie dla zabawy.

Nawet jedzenie przestało być sposobem zabijania czasu, bo przydziały stawały się coraz mniejsze.

Wreszcie myśliwi zaczęli również chodzić do biblioteki, którą zorganizowała Myszkina. Siedzieli w sionce namiotu sztabowego i wertowali podręczniki dla kołchoźników, atlasy grzybów, historię klasy robotniczej i im dalej, tym więcej czasu przesyпали. Bownik zaproponował, żeby co dzień wygłaszać pogadanki na wybrane tematy. Materiałów do referatów było w bibliotece pod dostatkiem, można by zaczynać zaraz po śniadaniu i korzystać z tej wielkiej tablicy, ale na pierwszy odczyt Bownika o radzieckim przemyśle mleczarskim przyszedł jedynie Hablund i żadnych następnych już nie było. Demoralizacja – oto właściwe słowo. Mężczyźni zaczęli coraz częściej kręcić się koło kucharek, kobiety czuły się wskutek tego nieswojo, pojawienia się stada reniferów musiały chyba życzyć sobie jeszcze bardziej niż myśliwi. Nadchodzi czas porachunków – coraz częściej słyszało się od buraczarzy. Skoro charyniacy zabrali im kobiety, powinni ten dług zwrócić, i właśnie teraz trafia się odpowiednia okazja.

Hablund na myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Z Wasylisą dotychczas na wyprawie niemal nie rozmawiał. Nie chciał bez potrzeby przebywać w pobliżu kobiet, żeby inni mężczyźni nie poszli w jego ślady, ale teraz było już wszystko jedno. Kobiety miały swój namiot, gdzie w ciągu dnia przebywały w zamknięciu. Nikt nie wiedział, co tam robią, i mężczyźni kwitowali to mnóstwem kpiących uwag, ale one wychodziły na dwór tylko na gotowanie jedzenia, a i tak zaraz robiło się wokół nich zbiegowisko i charyniacy krążyli dookoła, jakby ich strzegli.

Wasylisa miała brzuch jak bęben i chociaż przez ubranie nie było tego tak bardzo widać, zapewne już niedługo miał nadejść jej czas. Jedynym człowiekiem, który do niej przychodził, był Bownik, Hablund zwracał na to baczną uwagę. Czego inni mogli nie zauważyć, on widział. Jak czasami dotykał jej tam, gdzie nikt inny nie ośmieliłby się jej dotknąć, a Wasylisa nie stawiała oporu. Innym razem przynosił coś z namiotu sztabowego i wsuwał jej do kieszeni. Zapewne jakiś smakołyk z tych, które *sielsowiet* miał jedynie dla siebie – jeden z przywilejów, o których się nie mówiło, choć jakieś z pewnością mieli. Jeszcze bowiem nie było tak źle. Wciąż było co jeść i wciąż ludzie mieli nadzieję.

Niezależnie od regularnie wystawianych posterunków kilku mężczyznom polecono

wyruszyć na odległość dwóch dni drogi od obozu, by zbadali, czy stado nie zatrzymało się gdzieś lub zamierza pójść inną trasą.

Jakby tego było mało, jednemu z ciężko rannych, który po ataku stada wilków nie stanął jeszcze na nogi, pogorszyło się. Welor nieustannie był przy nim, ale ponieważ pacjent się nie ruszał, mimo że zawsze przysuwano go jak najbliżej ognia i okrywano kilku kocami, odmrożenia szybko obejmowały coraz wyższe partie jego ciała.

– Nie umarł od ran szarpanych, tylko wskutek tego przekłętego zimna – powiedział Welor myśliwym, powiadamiając ich o jego śmierci.

Buraczarze zaraz zaproponowali, żeby odchodzącą w zaświaty duszę uczcić wspólnym wypiciem flaszki wódki, i w końcu udało się im przekonać Bownika, żeby poszedł po następną butelkę. Wrócił z pustymi rękami. Tych kilka ostatnich flaszek ktoś ukradł, nie mieli nic. Hablundowi zdawało się, że rano widział Myszkina niosącą jakieś butelki do namiotu sztabowego, ale nie był tego pewny. Rzucenie takiego oskarżenia bez dowodów i tak nie miałyby sensu. Mężczyźni rzucili się na siebie, buraczarze przeciwko charyniakom, tarzali się po śniegu, wymyślając sobie wzajemnie od skurwysynów, drani i złodziei.

Ludzie, którzy wyruszyli w celu rozejrzenia się po okolicy, wrócili z najgorszą z możliwych wiadomości. Renifery przeszły tędy, ale są już daleko. Ciągnęły dwadzieścia kilometrów na północ od obozu, dwadzieścia kilometrów dalej, niż się spodziewano, ci ludzie znaleźli tam ich ślady.

Obserwowaniem przemieszczania się reniferów mieli zajmować się buraczarze. Orientowali się, gdzie przebywają one przez cały rok. Przecież dlatego brano ich ze sobą. Dlatego że wiedzą.

– A tymczasem nie wiedzą nic! – irytował się Bownik na pospiesznie zwołanym posiedzeniu *sielsowietu*, tylko że „sala posiedzeń” w namiocie sztabowym w odróżnieniu od tamtej, charyńskiej, miała ściany nie z cegieł, lecz z brezentu, więc wszystko było słyhać na zewnątrz.

– Izykił ostrzegał nas od początku – złościł się Głaznikow na Bownika. – Tylko że ty nie chciałeś przyjąć tego do wiadomości.

Krzyczeli jeden przez drugiego, a stojący na dworze buraczarze mieli z tego niezłą zabawę.

– *Sielsowiet* goni w piętke – mruczał z uśmiechem ojciec Pszeły, jakby on sam również razem z innymi nie znalazł się w opałach.

– Należało odejść już tydzień temu – dobiegło z namiotu.

Myszkina sprzeciwiła się, mówiąc, że właśnie w ciągu kilku ostatnich dni przeczytano co najmniej pół biblioteki i że jeśli wyprawa nie ma osiągnąć aprowizacyjnych, to oświatowe z pewnością ma, na co ktoś walnął pięścią w stół, a może uderzył Myszkina, bo krzyknęła i wybiegła prosto w tłum, który z nadstawionymi uszami słucał, co się dzieje w namiocie. Chyba po powrocie powiedziała o tym w środku, bo gdy wróciła, głosy przycichły, a w dodatku wkrótce potem Pawlicz wyszedł z namiotu i każdemu z mężczyzn wyznaczył jakieś zadanie, mówiąc, że trzeba zacząć się pakować.

Posiedzenie *sielsowietu* trwało dwie i pół godziny, a odjazd zaplanowano na godzinę popołudniową jeszcze tego samego dnia. Na obiad każdy dostał miskę ciepłej wody z mąką. Smakowało to jak nic z posmakiem tajgi, sypało się do tego igliwie. Jako nic także zalegało w żołądku, głód i zimno dawały się we znaki wszystkim. Po nadziei nie zostało ni śladu, a do domu mieli co najmniej czternaście dni marszu.

Fiedia

Fiedia nie było ponad trzy kwartały. Gdyby przyjechał parę dni wcześniej, zastałby jeszcze Erskego. A tak na Fiedię prócz rodziny czekały tylko pomówienia ze strony mieszkańców wsi. Ze jest fujarą, który nie dba o swą rodzinę. Również Kawarycz i Tamara zaczęli już o takim zięciu myśleć swoje. Zresztą od czasu, gdy Fiedia dowiedział się od Izykiła, że przed laty Kawaryczowie wypędzili idiotkę do buraczarzy, a potem jeszcze gdy zobaczył Oburę, stosunki między nimi nie były wiele warte.

Bez Fiedia sprawa idiotki została by załatwiona raz na zawsze, Elwira myślałaby, że nie żyje, co zdaniem Tamary dla wszystkich byłoby lepsze. Teraz wnuczka co chwila chodziła do Czewapiki, chociaż staruszka już wcale jej nie poznawała, i Pszele, która rozpowiadała o niej najgorsze rzeczy, bo zazdrościła jej pracy na poczcie, przynosiła różne wspaniałości. Takiej bluzki Tamara nawet sobie by nie kupiła, a Elwira już zaniósła ich Pszele co najmniej tuzin. A przecież Pszele całymi dniami siedzi przed chałupą, pali papierosy i przewija staruchy, podczas kiedy Tamara obraca się między ludźmi i musi jakoś wyglądać. Dwa razy na tydzień zamiata stację i zawsze się zastanawia, co ma na siebie włożyć i co nowego się tam dzieje. Zawsze też na peronie zamienia parę słów z wdową po Doranie i o tym wszystkim opowiada potem w domu Kawaryczowi. Tylko że ta jej płaca ledwie starcza na utrzymanie. Elwira wydaje pieniądze na Pszełę i idiotkę, Kawarycz nie robi kompletnie nic, więc zanim Fiedia wrócił, były chwile, kiedy Tamara biedowała. Żywili jeszcze Oburę, a Udziej domagał się pieniędzy za milczenie. Było tego więcej, niż wynosiły ich zarobki.

Gdyby mieli samochód, Tamara mogłaby jeździć do Pstrug na targ i sprzedawać tam coś z *uczastka* oraz śmietanę, jak robią kobiety w jej wieku, żeby coś tam dorobić. Te, którym dzieci nie dają nic, a mąż tylko pije. Tyle że Kawarycz nie jest przecież jakimś moczymordą. No właśnie. Czemu mąż, który nie jest pijusem, jest całkiem do niczego, tego nikt nie potrafi zrozumieć. Nawet Tamara. Mąż, który się prezentuje tak dobrze, że ogląda się za nim nawet niejedna młódka, ale rubli do domu nie przynosi, a jego własne interesy zawsze kończą się krachem.

Zanim Fiedia przyjechał i wszystko zmieniło się na lepsze, wspomagały Kawaryczów pieniądze od Erskego. Z tego, co im dał, sam sporo przejadł, nie do wiary, ile wszystkiego ten Duńczyk zjadał, ale parę rubli na boku Kawaryczowie mimo wszystko co miesiąc z tego mieli.

Tamarze nie mieściło się w głowie, czemu Elwira nie zagięła parolu na Erskego. Im dłużej Fiedia nie wracał, tym bardziej nie dawało jej to spokoju. Po pięciu miesiącach nie postawiłaby już na zięcia ani kopiejki. Gdyby sama była młodsza – myślała – zaraz by Erskego poderwała. Co się tyczy mężczyzn, Tamara zawsze się nimi interesowała. Miłość przemienie, ale jeśli mężczyzna wie, jak zarabiać ruble, już mu to zostanie. W przypadku Kawarycza, a lepsze to niż nic, przynajmniej jest przystojny.

O tym, co, gdzie i jak Erske zarabia, Kawaryczowie wiedzieli niewiele. Jego praca była podejrzana i nie rozumieli jej, ale był z Europy, a tam żyje się lepiej. Weźmy już choćby te przybory toaletowe. Rezerwowych szczoteczek do zębów przywiózł cztery, a zapach piany do golenia ciągnął się za nim pół dnia. Dbał o siebie, a to także się liczy. U Elwiry na poczcie bywał kilka razy na tydzień. Gdyby oboje nie byli fajtlapami, dawno już trzymaliby się za ręce i niewiele dni później tak idących widzieliby ich ludzie na ulicy. Nie wspominał

przecież, że ma kogoś w Danii. Dzwonił tylko do matki. To kolejna rzecz, która się w nim Tamarze podobała. I w dodatku ta Dania. Wiatraki albo fiordy, a może znakomite wina czy cokolwiek innego, w każdym razie co najmniej szczebel wyżej niż Moskwa, a już ona była przecież niemal niedosiężna dla oka. Tamara kilkakrotnie nawet Elwirę dyskretnie zachęcała. Żeby wiedziała, że ona jako matka nie stałaby na drodze do ich szczęścia. Dostaliby nawet jej błogosławieństwo, skoro już jest jedyną z tej rodziny, która chodzi do cerkwi.

Czasami się tym gryzła, ale wobec bezbożnictwa swojej rodziny była bezsilna. Tylko ona chodzi zapalać woskowe świece przed ikonami świętych – i nikt inny. Małą za pięć rubli, większą za dziesięć, a wielką, grubą, za dwadzieścia, kupuje je u kobiety siedzącej w kucki pod cerkwią i w środku ustawia w świeczniku przed ikoną Matki Boskiej. Potem następuje modlitwa: „Bramę miłosierdzia otwórz nam, Święta Boża Rodzicielko, abyśmy mając ufność w Tobie, nie zginęli, ale wyzwoleni byli przez Ciebie od wszelkiego nieszczęścia, gdyż w Tobie jest zbawienie ludu chrześcijańskiego”. Potem dwanaście razy *Hospodi pomiluj* i dopiero teraz można przystąpić do życzeń. Po pierwsze, po drugie, po trzecie... Za batuszki cara było na Rusi ponad pięć tysięcy klasztorów. Ale Fiedia już wrócił i teraz obok, w przybudówce, spełnia z Elwirą obowiązki małżeńskie. Bóg wie, że jest to potrzebne, tylko Tamara nie może z tego powodu usnąć. Kawarycz chrapie, nic nie słyszy, sen zawsze miał dobry, a obowiązki małżeńskie też dobrze się im obojgu udawały. Spełniają je nadal, chociaż teraz nie są to już nawet obowiązki. Zrobili, co do nich należało. Ale również na stare lata sprawia im to przyjemność. Tamara na myśl o tym uśmiecha się z zamkniętymi oczami, a uśmiecha się też Kawarycz, chyba śni mu się coś miłego.

Od kiedy pojawił się w Charyniu po raz pierwszy, Fiedia z powodu swojej pracy przyjeżdżał i wyjeżdżał. „To jest mój kolejowy marynarz – mawiała czule Elwira – co więcej czasu spędza na okrętach magistrali niż w domu”. Fiedia powiedziałby, że Charyń jest jego domem, niech sobie będzie, jak chce, i jego żona jest jego żoną, a takie rzeczy kocha się, i basta. Zły był tylko, że jedynie wrywkowo widywał Sieriożę, jak rośnie. Film, który mógł sobie puścić pod powiekami, składał się z luźnych fragmentów. Nie wiedział, jak było w międzyczasie. Między tym, gdy Sierioża raczkował, a tym, kiedy raptem już biegał, między tym, gdy w ogóle nic nie mówił, a tym, kiedy raptem mówił całymi zdaniem, między tym, gdy trzeba go było karmić, a tym, kiedy raptem wzorowo sam jadł swą dziecianną łyżeczką. Tego Fiedia nie widział i nigdy nie zobaczy. Ale w końcu są też gorsze rzeczy, a bycie żywicielem rodziny całkiem się mu podobało. Nie to, że Elwira jest od niego zależna, bo tyle tego nosi do Czewapiki starej Jowace, ale ponieważ może jej kupować rzeczy, których sama potrzebuje, a teść i teściowa go dzięki temu szanują. Wojna między nimi nie została wypowiedziana i niech tak pozostanie. Sierioża dziadka i babcię podziwiał, a Fiedia byłby złym ojcem, gdyby mu tego zakazywał. Nie mógł tylko zaprzeczyć, że matka Tamary i Obura byli cierniem, który kłuł go za każdym razem, kiedy widział tych dwoje. Tamarę i Kawarycza uważał za łajdaków. Jedno gorsze od drugiego. Sieriożę Tamara rozpieszczała, ząbki miał już zupełnie czarne od tych głupich czekolad od Myszkinej. Dobrze, że Kawarycz był bardziej surowy, przynajmniej tyle.

Kiedy pójda na swoje, będzie spokój – myśli Fiedia.

Tamara i Kawarycz przeprowadzą się do nich dopiero wtedy, gdy z własnym domem nie będą już sobie radzić. Do tego czasu upłynie jeszcze parę lat życia – tą wizją pocieszał się Fiedia, kiedy Kawaryczowie najbardziej go drażnili. Kiedy Tamara wychodziła z domu z szaflikiem jedzenia, a on wiedział, że idzie do Obury, kiedy mogło się palić i walić, a starego Kawarycza żadna siła nie oderwałaby od telewizora, bo właśnie leciały wiadomości.

Wolnych domów, w których dało się mieszkać, było w Charyniu pod dostatkiem jeszcze od czasu powstania. Były to najbardziej zdewastowane rudery z rzeźbionymi okiennicami, kolumienkami przy wejściu i popękanymi ślimacznicami po bokach obok drzwi. Po

niebieskiej farbie dawno nie było śladu. Właściwie granatowej, jak paski na koszulkach rosyjskich marynarzy, tej, którą za Uralem maluje się, co popadnie. Z nędznych chałup, domów kalek w czarnej oraz brązowej barwie drewna ta granatowa dawno już zniknęła. Wsiąkła w ziemię. Gdyby Fiedia wspomniał Elwirze o tym mieszkaniu w Petersburgu, nie zastanawiałaby się ani minuty. Jej decyzja znalazłaby wyraz w okrzykach radości. Wyboru między domem w tej osadzie z zapadniętymi dachami a mieszkaniem nad Kanałem Gribojedowa, parę metrów od Teatru Maryjskiego, dokonałaby w pół sekundy.

Więc czemu Fiedia milczał? Ta dziewczyna, która w ostatnich latach przed śmiercią starej Nastazji przychodziła do niej co tydzień sprzątać, już od dość dawna dziwi się, dlaczego mieszkanie Abramowiczów stoi puste. Gdyby tak ona była na ich miejscu... Tylko że nie jest.

Być może Fiedia się boi, że Elwira stałaby się *barynią*. Ze chciałaby chodzić w futrach, a latem w wielkim kapeluszu, bo jest „nową Rosjanką”, co szybko doszedłszy do majątku, pragnie, by wszyscy wokół to wiedzieli. Ożenił się przecież z dziewczyną ze wsi. Czy Elwira w ogóle znalazłaby w Petersburgu jakąś pracę? Za to Sierioża otrzymałby przyzwoite wykształcenie...

Fiedi przyszło do głowy, żeby dać ogłoszenie do prasy, mieszkanie po Nastazji wynająć, a w Charyniu udawać, że podnieśli mu pensję. Mieszkanie pozostałoby do dyspozycji Sierioży, na wypadek gdyby zechciał pójść na studia albo znalazł sobie kobietę z wyższej sfery i potrzebował czymś jej zaimponować.

Niektóre domy z tej podcharyńskiej osady, koło których Fiedia i Elwira przechodzili, charyniacy opuścili, gdyż woleli mieszkać jak najdalej od buraczarzy. Charyń i Czewapika rywalizowały ze sobą, a zarazem dbały o to, by dzieląca je granica była dobrze widoczna. Inne podupadły jeszcze podczas powstania Beryli. Elwira nie wiedziała, co Fiedia ma na myśli. O tym powstaniu nigdy nie słyszała.

Wracali we dwoje od babki z Czewapiki. Fiedia uparł się, że wpadnie do niej na drugi dzień po powrocie z podróży. Wybrali się tam razem z Sieriożą. Elwira odprasowała mu kołnierz koszuli, Fiedia wyglansował sobie buty. Elwira szła jak zawsze. Kiedy Fiedi nie było, chodziła do Czewapiki co najmniej trzy razy na tydzień, nie było w tym nic specjalnego. Jowaka i tak zazwyczaj nie poznawała ani jej, ani wnuka. Pszeła przyjmowała prezenty, Elwira głaskała po kolanie i wracała do domu. Rozum idiotki odszedł na czubkach palców hen do tajgi, rodzina nie odrodziła się, na to było zbyt późno.

Idiotka nie wiedziała, kim jest Fiedia, i nie interesowało jej to w najmniejszym stopniu. Pobył tylko chwilę z Elwirą w chałupie, posadzili staruszce na kolanach Sieriożę, który zaraz zaczął marudzić, że chce do domu. Josifowiczowa kręciła młynka pomarszczonymi palcami, uśmiechała się i chmurzyła, zależnie od swoich myśli. Od tego, co widziała oczyma duszy, od wspomnień, od tego, jak dobrze Pszeła dała się jej najeść. Bóg jeden wie, co kotłowało się jej pod czaszką, nikt nie miał na to wpływu. Czy wiedziała, kim jest Elwira albo o tych prezentach? Wkrótce umrze, a pożegnała ich wszystkich już przed laty.

Elwira zaplotła Jowace warkoczyk, staruszka siedziała nieruchomo jak posąg. Fiedia ujął w dłonie jej zimne ręce, Nastazja pewnie miała podobne.

Powstanie Beryli wybuchło w roku czterdziestym dziewiątym i Elwira nic o nim nie wiedziała.

– Za Sowietów w szkole o konfliktach z lokalnymi plemionami przecież się nie mówiło. Może jeszcze o Ketach, Nieńcach czy Dołgaszach. Plemionach, które żyły daleko. Uczyliśmy się, jak się kochają, że skolektywizowane renifery ciągną sanie dwa razy szybciej, a kopyta nigdy się im nie strzępią. Dopiero kiedy Związek się skończył, zaczęto mówić o nieprawościach. Ze plemionom nie było łatwo. Mówiono też, że kradną. A kradły zawsze, a kulturę mają głęboko...

Ale powstanie Beryli? O tym nigdy nie słyszałam, jestem tego pewna.

Fiedia pokręcił głową. Sierioża dreptał obok niej, temu chłopcu chyba już o tym w szkole powiedzą.

– Skąd o tym wiesz?

Gdyby jej powiedział, że z Władywostoku, z domu emeryta, myślałaby, że sobie z niej kpi.

Babuszkę i dieduszkę Elwira pamiętała dość mętnie. Że byli u nich na Piatigorskiej, a Fiedia, szukając po ciemku kontaktu, potykał się na schodach, było to tak dawno, jakby w ogóle nigdy się nie zdarzyło. Ta jego nieporadność w ciemnościach wydawała się Elwirze śmieszna. Nie chciała tego. Nie chciała, żeby wydawał się jej śmieszny mężczyzna, który się do niej zalecał, a ona nic przeciw temu nie miała.

Elwira z tej wizyty pamiętała długie białe włosy *dieduszki*, jego szarą kamizelkę i ten serwis ze szlaczkiem, na którym *babuszka* podała niesmakujący jej deser.

Słyszała, jak Fiedia mówił, że *dieduszka* i *babuszka* dostali wreszcie miejsce w domu dla zasłużonych emerytów. Mówili o tym podczas tamtej wizyty, ale tej rozmowy Elwira też nie pamiętała.

W końcu Fiedia zaczął właśnie od tego. I tak powiedziałby Elwirze wszystko. Zawsze opowiadał po przyjeździe. Tym razem dlatego nie było go tak długo, że pojechał odwiedzić *babuszkę* i *dieduszkę* tam, gdzie mieli mieszkać już od końca lat dziewięćdziesiątych, ale odwlekało się to przez prawie dziesięć lat.

Fiedia mówił cały czas, nim doszli do Charynia. Sierioża marudził, chciał, żeby ojciec poświęcał uwagę jemu, tak długo go nie było, ale ojciec opowiadał i opowiadał, i opowiadał. I nie przestał, nawet kiedy byli już w domu, i mówił, podczas gdy Elwira odgrzewała wołowinę z makaronem, i podczas jedzenia także mówił. Przestał tylko, żeby przeczytać Sierioży przed snem kawałek bajki, a potem ciągnął dalej cały czas, zanim poszedł z Elwirą spać. Również w łóżku opowiadał Elwirze i opowiadał, również wtedy, gdy usłyszeli, że Tamara i Kawarycz wrócili do domu i sprzecają się z powodu otwartego okna. Tamara złościła się, że do mieszkania wlatują komary, i dopiero kiedy Kawarycz zamknął okno, Fiedia skończył. Uff. Pocałował Elwirę na dobranoc, a powstanie Beryli śniło się tej nocy obydwójgu.

Wiele wydarzyło się w życiu Fiedi, kiedy był poza domem. Ale niech historyjki kolejarskie zostaną tylko między nimi. Oni też mają prawo do prywatności. A poza tym opowieści o tym, jak Fiedi skończyła się woda w samowarze akurat wtedy, kiedy wiozł gubernatora Kamczatki, jak pokłócił się z kolegą z powodu łapówek i jak na dworcu we Władywostoku musiał trzy godziny czekać z brudną pościelą pod okienkiem pralni, aż Marina wróci od fryzjera, takie historyjki nikogo nie muszą interesować. Jednak powstanie Beryli i to, od kogo się o nim dowiedział, to całkiem inna sprawa.

Fiedia dzwonił i pukał, pukał i dzwonił, w końcu rzucił w okno małym kamykiem – i nic. *Babuszka* czasami nie słyszała. W dodatku nie spodziewano się Fiedi na Piatigorskiej. Nie zapowiedział się, liczył na to, że *babuszka* z *dieduszką*, jak zwykle, będą w domu. Złękł się dopiero, gdy zobaczył ten kurz na oknach. To okna domu, w którym od jakiegoś czasu nikt nie mieszka... Przez sekundę wyobraził sobie, co też się mogło stać, a czego nikt, kto tę parę emerytów lubił, nie mógłby sobie życzyć. Ostatni raz był u nich kilka miesięcy temu. Zmarła Nastazja – rzekł im wtedy i opowiedział, ile rzeczy musiał w związku z tym w Petersburgu pozalać. Te dwie gałęzie rodziny nigdy się nie spotkały. Nastazji, swojej matki, ojciec Fiedi nie zaprosił nawet na swój ślub. Ale *babuszkę* i *dieduszkę* zawsze wszystko interesowało, a gdy Fiedia przekazał im tę smutną wiadomość, oboje na chwilę zamilkli. O tym, że wkrótce potem umarła Fila, jednak im nie powiedział. Nauczycielka z jego szkoły podstawowej, co im do tego. Że ojciec i Fila byli sobie tak bliscy, że ojciec nie był w stanie zrobić czegokolwiek w sprawie jej pogrzebu, tego Fiedi nie chciało się opowiadać nawet na Piatigorskiej. Rodzice jego matki byli zadowoleni z tego, że Oleg po jej śmierci nikogo już

sobie nie znalazł. Przynajmniej tak się Fieda wydawało. Wypytywali o to i cieszyli się, że – jak wszystko na to wskazuje – żadna nie może się z nią równać. Właśnie tak, jak czuli oni sami. Nie, o Fili nigdy by im nie wspomniał.

W końcu wyjrzała sąsiadka z mieszkania piętro wyżej.

– Już się wyprowadzili! – krzyknęła.

W domu było to wielkie wydarzenie. Każdy lokator wiedział, jak długo pisarz i jego żona czekali na przeprowadzkę. Na pół spakowani byli już od lat. Sąsiadka wyjaśniła Fiedzie, jak tam iść, był to ten skynny dom dla zasłużonych emerytów z Władywostoku, a później i z innych miejscowości, a stał przy pętli autobusu numer 49. Ulicę znalazł łatwo, zwłaszcza że żadnej innej tam nie było. Taka droga donikąd, co mogłoby być przyjemne, gdyby dokoła była zieleń, a nie tylko place budowy. Niewątpliwie kiedyś tam coś zaplanowano, może luksusowe wille, kto wie.

Fieda znalazł właściwy dom, był trzypiętrowy i lśnił bielą jak czepek pielęgniarki. Wielka brama zamykana na zasuwę i krótka droga dojazdowa budziła respekt, plastikowe okna, zrobiony byle jak chodnik i drobne niedoróbki – już nie. Pompatyczność, wcale niewarta tyle, na ile chce wyglądać, ale mieszkać musi się tam całkiem przyjemnie – pomyślał Fieda, naciskając guzik dzwonka i czekając, aż portier uruchomi brzęczyk i wpuści go do środka. Na jego pytania był przygotowany. Idzie do dziadków. Gdy wymienił nazwisko *dieduszki*, w oczach portiera dostrzegł jakby cień podziwu. Ale i tak zatelefonował gdzieś i dopiero potem pozwolił mu iść dalej. Drugi dozorca wpuścił go do budynku. Pozostawało tylko znaleźć właściwy numer pokoju.

Dom emeryta był współfinansowany przez Japończyków ze związku Maheto. Mogło to wyglądać trochę lepiej, ale też znacznie gorzej. Już przed domem Fieda pomyślał, że dzięki wielkim oknom pokoje będą jasne. Schody pokrywało coś w rodzaju chodnika, kontakty miały niby to złote obramowania.

Dieduszka i *babuszka* czekali już na niego na korytarzu, wydawało się, że schudli.

– Ho, ho, wieśniak do nas przyjechał!

Ale to „ho, ho” zawołał *dieduszka* jakby nieco smętniej, niż miał w zwyczaju. *Babuszka* zaraz wzięła Fiedę za rękę i zaprowadziła do pokoju. Zajmowali oboje jeden jedyny pokój na pierwszym piętrze, trochę chłodny, co do tego Fieda musiał przyznać *babuszcze* rację. Najbardziej cieszyła się z kabiny prysznicowej, pudła ze sztucznego tworzywa, z zaokrąglonymi rogami i przesuwanymi drzwiami.

– Kiedy zamkniesz od środka, samo ci się tam włączy radio – wyjaśniała.

Kabina prysznicowa stała w rogu, ale niezupełnie i można było obejść ją dookoła. Dominowała w pokoju niczym nowoczesna rzeźba i *babuszka* każdego przedpołudnia obchodziła ją ze ściereczką do kurzu. Toaletę mieli oddzieloną taką samą kotarą jak ta, która była na Piatigorskiej. Fieda, przesuwając ją, starał się jej nie dotykać. Japończycy dostarczyli łazienki z radiem, reszta wyposażenia była rosyjska.

– Pokłócili się z naszymi o to, kto tutaj będzie, a kto nie – uśmiechnął się *dieduszka*. – Jeszcze tego by brakowało, żeby nam Japończycy zza morza dyktowali co i jak.

Babuszka kilkakrotnie proponowała Fiedzie, by skorzystał z prysznicy, ale nie miał na to ochoty.

– Ja podobno też im się nie podobałem.

Fieda uchwycił spojrzenie *babuszki* mówiące, że *dieduszka* spokojnie mógłby zachować to dla siebie.

– Myślałem, że tu będzie pełno znajomych, ale poutykali nas wszędzie, gdzie się dało. W Nerczyńsku, w Nowosielengieńsku, innych w Dudince aż za Norylskiem. Wszystko to zasłużeni weterani. Uważają, że jesteśmy niepotrzebni. Mnie niech nikt bajek o pamięci narodu nie opowiada. Marny dodatek na lekarstwa wynosi sto rubli i jeszcze chcą, żebym co miesiąc płaszczył się przed nimi z wdzięczności. Połowa pokoi jest tu pusta.

– Sporo naszych znajomych w ostatnich latach zmarło – dorzuciła *babuszka*.
– Nie wytrzymali oczekiwania, ot co. Nie mieli na to nerwów.
– Ze niby jestem jakimś zbrodniarzem, czy co? Myślałem, że mamy to już za sobą. Zamiast tego, żeby patrzyli, ile kto pracy wykonał.
– Wciąż pisze – szepnęła *babuszka* w stronę Fiedy.
– Gdyby mieli zastrzeżenia do moich książek, to proszę. Ale oceniać literatury się nie odważą. Weźmy takie opisy przyrody. Ile ja się nad nimi namęczyłem. Żeby oddać właściwą liryczną atmosferę. Wiatr czochra włosy, gorące powietrze faluje nad rzeką. Jak się przy tym naharowałem. Ale zamiast po prostu powiedzieć: „To się wam, towarzyszu, niezbyt udało”, wyciągają donos.

Babuszka złąka się tak, że aż podskoczyła.

– Ktoś na ciebie doniósł?

– Nie, to ja wtedy zameldowałem o tych kilku. O tych kryminalistach.

– A co miałeś robić? To był przecież twój obowiązek.

Babuszka starannie wygładziła spódnice. Już znów wiedziała, o czym mowa.

– Człowieka złości tylko, jak go traktują.

– Chcieliśmy mieć pokój gdzieś pośrodku, a dali nam ten narożny. Buro ma z jednej strony kuchenkę, a z drugiej skład rezerwowych mebli. Pięknie mu się mieszka, ma ciepło...

– A co u taty?

– U taty wszystko dobrze.

Fiedia kłamał. W Woryniu nie był już ładny kawałek czasu, a gdy odwiedził ojca ostatnio, z Olegiem Abramowiczem było coraz gorzej. Nie musiał chodzić do biblioteki, więc nie chodził nigdzie. Patrzył w telewizor, a co najgorsze, już nawet o książkach nie chciał z synem rozmawiać.

– Ma kogoś?

– Nie ma.

Nie potrzebuje na starość jakiejś sekutnicy – pomyśleli. Fiedia wyczytał to w ich oczach. To zadowolenie, że ojciec jest sam. Przynajmniej coś było po ich myśli.

W domu dla zasłużonych emerytów na pierwszym piętrze zajęte były także cztery inne pokoje. W jednym z nich mieszkał generał w stanie spoczynku, pamiętający jeszcze Stalingrad. Tęsknił za swoim mundurem i nie mógł sobie wybaczyć, że dał się namówić i przekazał go do muzeum obwodowego. W drugim pokoju mieszkał skazaniec z Magadanu, łagiernik, który napisał książkę o swoim pobycie w obozie; *dieduszka* mówił o niej, że to żadna literatura, ponieważ autor niewolniczo trzymał się faktów, bez choćby jednego pocałunku muzy, a w następnym matka bohaterka, która urodziła dwanaścioro dzieci, ale – jak ze złośliwym zadowoleniem dodawała *babuszka* – żadne nie chciało wziąć jej do siebie. Ostatnim z sąsiadów był lotnik z wieloma rzędami odznaczeń. Lotnik i radiotelegrafista, a potem już tylko Buro. Buro, do którego chodzili w odwiedziny, bo sam miał już poważne kłopoty z nogami.

– Wyobraź sobie, jak zadziwiłem Bura, kiedy mu powiedziałem, że ten napis u góry na pomniku jest mojego autorstwa.

Dieduszka się rozmarzył i któryż to już raz za życia Fiedy zaczął recytować swój sławny, wykuty w granicie wiersz:

*Rozkaz brzmi: Naprzód! Naprzód podążamy,
zwarci i czujni, dziś w jutro zmieniamy.
Rośnie świat nowy i rozkwit nam niesie,
dymią fabryki, szumią brzozy w lesie.
Sztandary, hełmy, spieszą bataliony:
Władystoku wkład w dzieło obrony.*

*W łzach się rodzimy, w łzach życie kończymy,
żyjąc czy ginąc, ojczyźnie służymy.
Nikt nie powstrzyma dziejów świata biegu.
A ty gdzie jesteś? Dołącz do szeregu!
Wróg pokonany, chwała i wiwaty,
pięść uniesiona, wokół radość, kwiaty.
A tych pamięci, co w boju polegli,
my, Sybiracy, zawsze będziem strzegli.*

– Jak już mówiłem, opisy przyrody nie były moją mocną stroną. O tym szumie brzóz dziś, myślę, napisałbym inaczej. Lepsza od szumiących brzóz jest, moim zdaniem, kora sosen, co śpiewa swą wieczną pieśń. W każdym razie na Burze zrobiło to wrażenie. Ze tak sobie tu z nim siedzę, a moje słowa wykuto w kamieniu. Nie ma on wprawdzie wykształcenia, ale co przeżył, to przeżył. Jest ze wsi tak jak ty, przyszedł tu z Chabarowska. Podobno znał ojca dyrektora tej firmy, która to tu budowała.

Buro wyglądał jak zwyczajny stary mężczyzna. Że był z zauralskiego plemienia, tego niemal nie można było poznać. Oczy miał tylko odrobinę skośne, jakby wyprostowały mu się na skutek długiego przebywania wśród Rosjan. Gdy dziadkowie Fiedi zapukali do niego, żeby pochwalić się wnukiem, siedział w fotelu, z nogami wyciągniętymi na krzesła. Powiedział „Proszę!”, ale nie wstał. Wstawał teraz tylko, gdy musiał iść do klozetu albo wieczorem, żeby się położyć do łóżka. W domu rencisty w Chabarowsku musiał również schodzić i wchodzić na obiady i kolacje. Tutaj każdemu, kto chciał, przynoszono posiłki do pokoju. Po trzydziestu latach codziennego chodzenia po tajdze jego nogi zasłużyły sobie na parę lat odpoczynku. A potem będzie koniec. A potem nic.

W ostatnim czasie trochę rozmyślał o tym końcu. Starzy ludzie w Czewapice mówili mu, kiedy jeszcze chodził co dzień do tajgi, że na starość wróci i inne podobne bzdury. „Wrócisz do obozu, wrócisz do wiary przodków”. Też coś. Wszystko to umarło, a on był ze swego życia zadowolony. Przeszedł w nim tysiące kilometrów i wszystkie te wędrówki pamiętał. W głowie miał jedną wielką, składaną mapę, wystarczało zamknąć oczy, natychmiast mógłby iść, dokąd by zechciał. Te chore nogi były tego warte. Zdrowie... e tam. Do czego byłoby mu potrzebne? Dzięki lekarstwom nawet nic go nie bolało. Czym była ta odrobina bólu w porównaniu z tym, jak w tajdze człowiek wpadnie do jamy i z połamanymi nogami musi potem trzydzieści kilometrów pełznąć z powrotem? Doktorzy, którzy przepisują mu proszki, nie mają o tym pojęcia.

Do jam wpadał wiele razy, ale obie kości w dwóch miejscach złamał sobie tylko raz. Była to jama pułapka na więźniów. Na przestępców, którzy uciekali z obozu. Głupi był. Obóz przeniesiono gdzie indziej, lecz jama tam została. Mówił mu to przełożony strażników, gdy odchodzili, a on po raz ostatni niósł dla nich gorzałkę, którą szefostwo przestało im przywozić już pół roku wcześniej.

– Uważaj na nią, jest sto metrów na południe od łagru.

Na pożegnanie dali mu wtedy dla Larysy prawdziwe futro z norek po jakiejś zapuszkowanej zdzirze, kobiecie kryminalisty. Wyglądało jak prosto od kuśnierza, bez zarzutu. A jak go Larysa wtedy witała! Własnoręcznie rozwiązała mu oba buty, zdjęła je i włożyła mu pantofle, które trzymała dla niego u siebie, w szafce w sieni. Potem obracała się przed nim w futrze, u dołu lekko falowało, były tam takie rozcięcia, unoszące się wtedy w górę. A potem poszedł do swego domu, do Duńczyka, który mu tam sprzątał. Za mieszkanie i wyżywienie, siadywał przy oknie i prawie się nie odzywał. Hablund. To imię nikomu się nie podobało – pomyślał Buro. Także Larysie.

Choć tylu ludzi kładło mu przez te lata do głowy, że pozwala Larysie robić się w konia, ani trochę się tym nie przejmował. Jakby nie wiedział, że jest z nim dlatego, że wciąż jej coś

przynosi. I wiedział też, że nosić różne rzeczy z tajgi będzie nieustannie, więc ona nigdy go nie rzuci. I tak właśnie było. To nie ona go przechytryła, tylko on ludzi. Tych cwaniaków, którzy mu radzili, by nie zadawał się z Rosjanką, oraz tych, co biegali po tajdze, a on nie mało ich w owe lata połapał i na powrót wpakował za druty pod napięciem, gdzie ich miejsce.

Ludzie pytali, dlaczego nie mają wspólnego domu jak inni i zaraz sami sobie odpowiadali: „Bo ona się ciebie, Buro, wstydzi. Cha, cha, cha”. Larysa niech spoczywa w pokoju. Buro lubił także ten swój dom, gdzie był sam. Kiedy chodził do chałupy, nikt nie brzęczał mu za uszami. Kto z tego ośrodka dla emerytów miał w domu tyle spokoju, co on? Ten generał w jakimś garnizonie? Ta kobieta, co od piętnastego roku życia do czterdziestki ciągle rodziła? Ten lotnik, co mu stale nad uchem warczał motor? Pisarz z tą swoją żoną na pewno zamieniłyby się z nim, gdyby było na co. Mówił mu, że w poszukiwaniu spokoju chodzi pisać do tej kabiny z prysznicem, co to ledwie tam człowiek wejdzie, zaraz w środku włącza się radio. Buro pytał administratora, jak się to wyłącza, ale podobno wyłączyć może je tylko ta firma, która to zmontowała. Japończycy. Po wojnie trzeba było im wszystkim, spryciarzom, łby poucinać.

Fiedię Buro spodobał. W ciągu tej krótkiej chwili zdążył im opowiedzieć, jak uciekł niedźwiedziowi, jak w tajdze poznać, w którą stronę jest najbliższa wieś, a na koniec również o powstaniu Beryli. Co prawda wyglądało na to, że się trochę przechwala, ale Fiedia i tak chłonął każde jego słowo. Mówił o tylu ciekawych rzeczach, a jednocześnie zdawało się, że myśli przy tym jeszcze o mnóstwie innych. Nie złamała go starość ani to, co się mu stało. Takich starych ludzi Fiedia wielu w życiu nie spotkał.

- Na przykład w Charyniu w czterdziestym dziewiątym...
- Pan zna Charyń? – Fiedia niemal krzyknął z radości.
- Niespecjalnie. Ale o tym wie w okolicy każdy.
- Ja się tam przyżeniłem, więc dlatego...

Buro nic na to nie powiedział, ten chłopak od sąsiadów z pokoju obok go nie interesował. Niech sobie słucha, jeśli chce, ale tylko jego i tylko tego, co jest dla obcych uszu.

Potem Burowi już nikt nie przerywał, *babuszka* i *dieduszka* szanowali go, a w dodatku najwyraźniej podzielali również jego poglądy polityczne.

Po dwóch godzinach opowiadania przyniesiono Burowi kolację i *babuszką* z *dieduszką* oraz z Fiedią wrócili do swojego pokoju. Fiedia miał teraz w głowie groch z kapustą.

Więc ten film akcji miałyby rozegrać się w rzeczywistości? Więc on w takiej wsi żyje? Myślał, że Charyń jest ospałym *posiołkiem*, gdzie największym wydarzeniem są plotki przynoszone przez Elwirę z poczty. O niesnaskach między buraczarzami a charyniakami wiedział, ale żeby coś takiego? Żeby w czterdziestym dziewiątym buraczarska emigracja w Czycie pod wodzą komendantki Beryli, kobiety na koślawym drewnianym wózku, miała napaść na Charyń?

Babuszka gotowała na elektrycznej kuchence *warieniki* dla Fiedi i *dieduszki*, kiwając przy tym głową.

– Tak, tak. Przynajmniej możemy mówić, że gdybyśmy mieszkali na Piatigorskiej, tylu ciekawych rzeczy byśmy się z pewnością nie dowiedzieli, skoro już musimy za każdym razem decydować, czy podgrzewać jedzenie, czy parzyć herbatę, czy *dieduszka* będzie się golić, bo na więcej niż jedno gniazdko emeryci z zasługami dla ojczyzny widać sobie nie zasłużyli.

Fiedia zauważył, że sprawę załatwiłby rozgałęziacz, lecz w szufladach żadnego nie znaleźli.

Przez resztę popołudnia spacerowali po parku. Od domu do altanki i z powrotem oraz od domu do głównej bramy, bo wychodzić na ulicę *dieduszka* i *babuszka* nie chcieli. Fiedia pożegnał się z nimi, obiecał, że przekaże pozdrowienia ojcu i Elwirze, i podarował im oprawioną w ramki fotografię synka. Sierioża wyglądał na niej jak przykładowy czteroletni

chłopczyk.

Słuchasz mnie?

Elwira już spała. Kiedy Fiedia opowiedział jej wszystko o wizycie we Władywostoku, Kawaryczowie właśnie przestali kłócić się o otwarte okno w sąsiednim pokoju, a leżący obok ojca Sierioża zaczął się kręcić. Jak będziemy mieszkali sami, będzie miał już własne łóżeczko – pomyślał Fiedia i jeszcze przed zaśnięciem objął syna i żonę.

Następnego dnia z samego rana wybrał się do Obury. Tamara stała już w sieni w gumiakach, właśnie zamierzała tam iść, gdy nagle on sam się ofiarował. Zupełnie wytrąciło ją to z równowagi; kto wie, jeżeli dalej też tak będzie, to może z czasem stosunki między nią a zięciem jakoś się ułożą – pomyślała, z wdzięcznością podając Fiedi miskę z jedzeniem dla syna, po czym poszła jeszcze na chwilę się położyć.

Obura leżał w szopie na ziemi, tak jak Fiedia przeważnie go widywał. Wyglądał raczej na trzynaście niż na dwadzieścia lat. Zarost dopiero zaczynał mu się sypać, a i ciało miał miękkie jak dziecko. Był w starym fartuchu, który Tamara nosiła w kuchni, i w należącej do Kawarycza czapce z pomponem. Rozśmieszyłoby to Fiedię, gdyby nie było takie smutne. Tego nie była w stanie pojąć nawet Elwira. Nie posłuchała go. Fiedia mało kiedy myślał o tym, że żona powinna go słuchać, ale teraz go to rozżołościło. Nie posłuchała. Polecił jej, żeby za jego pieniądze kupiła Oburzę w Pstrugach jakiś komplet sportowy, dres i bluzę na zamek błyskawiczny, to, w czym chodzą mężczyźni w jego wieku, a oni cały czas, gdy go nie było, nadal ubierali go jak stracha na wróble.

Postawił miskę na stołku, tę brudną, z resztkami jedzenia, postawił na ziemi i na chwilę usiadł przy Oburzę.

Tego Fiedia nie rozumiał. Może Obura był chory już przedtem, a idiotka była tutaj bez winy. Czy to możliwe, żeby tylko uderzył się kilka razy w głowę?

– Jak leci, Oburo?

Albo zamknęli tu zdrowego chłopca i pomieszało mu się w głowie dopiero wtedy?

– Jak będziemy mieli własny dom, zamieszkaż z nami. Pamiętasz tę obietnicę?

Wyglądało na to, że Obura nie słyszy.

W szopie miał kilka ulepszeń. Choćby tę dziurę po sęku w ścianie. Była zatkana zmiętą szmatą, ale zbliżając się do szopy, Fiedia zauważył, że w dziurze zamrugało oko. Gdy wszedł do środka, dziura już znów była zatkana, a Obura oglądał telewizję. Dlatego nie słyszał. Dźwięk szedł jedynie przez słuchawki, żeby w pobliżu szopy nie było go słycać.

Czarno-biały Film. Coś dla pamiętających dawne czasy. Z jednego starego samolotu wynoszono pojemniki pełne porów, a z drugiego wychodziło całe stado krów. Filmowy trik, bo w rzeczywistości żeby nie wiem co, tyle ich by się tam nie zmieściło – pomyślał Fiedia. Kamera zaczęła podskakiwać i zaraz było widać, jak ktoś podbiega i zasłania obiektyw dłonią. Na kolejnym ujęciu stała kobieta. Uśmiechała się wdzięcznie do kamery, a potem rozpięła bluzkę, ujęła piersi w ręce i kręciła nimi dookoła. Na moment przypomniała Fiedi Jowakę. Te usta. Potem Obura to wyłączył. Fiedi ulżyło, bo taki film wcale nie był dla niego odpowiedni.

Poszedł po wodę, pomógł się Oburzę rozebrać i wyjął z szafy czyste, choć zalatujące stęchlizną majtki. Siłowali się, Obura nie dawał się dotknąć, kopał, a potem bezwładnie leżał, ciężki nie do udźwignięcia. Fiedia za każdym razem musiał czekać, aż mu to przejdzie. Walczyli tak ze sobą pół godziny. Odchodząc, Fiedia zastanawiał się, czy aby z Oburą nie będzie trudniej, niż myślał. Teraz rozumiał, dlaczego dają mu fartuch, a nie spodnie, i na moment przyszło mu nawet do głowy, że wszystko mogłoby zostać po staremu. Przez całą resztę dnia i cały dzień następny bez chwili odpoczynku rąbał na podwórku drwa – w ten sposób sam siebie karał za tę straszną myśl, że najlepiej byłoby pozostawić Oburę w szopie.

Słyszał to nieustannie również w tych krótkich przerwach w rąbaniu drzewa. „Erske to,

Erske tamto”. Duńczyk zostawił u Kawaryczów mnóstwo rzeczy. Futerał od tego swojego dyktafonu, mleczko kosmetyczne, okulary przeciwsłoneczne i nadmuchiwaną turystyczną poduszkę.

– Jaka szkoda, żeście się z Erskem o te kilka dni rozminęli – powtarzali Kawaryczowie i Elwira też.

Fiedia miał już tego powyżej uszu. Co myślano sobie o nim w Charyniu z powodu jego częstych wyjazdów, że źle troszczy się o rodzinę, to jedna sprawa, ale że mogło nie dawać charyniakom spokoju, co ten obcy mężczyzna robi u Kawaryczów, gdy Elwira jest już zamężna, to inna rzecz i Fiedia nawet wolał nie myśleć, jakie plotki chodziły po wsi na ten temat.

Erske rzekomo wyjechał ni z tego, ni z owego. Podobno żeby zdążyć do Arhus, nim minie termin zgłaszania tematów dysertacji. Od Tamary dostał na drogę mały obrazek z Grzegorzem Palamasem; Sierioża, gdy żegnano Erskiego na peronie, wybuchnął płaczem. Przyszła tam również Pszeła z Dimą i Waśką, stali cały czas na drugim końcu peronu, a kiedy pociąg ruszył, niepewnie mu pomachali. Fiedia zobaczy, jak Erske wyglądał, kiedy przyśle z Arhus obiecane zdjęcia. Dał się tu kilka razy fotografować przed pomnikiem bohaterów, z Myszkina przed siedzibą prezydium i z każdym z Kawaryczów. Chcąc zrobić przyjemność Elwirze, Fiedia mruknął, że już się na to cieszy. O tym, że przez parę miesięcy gościli Europejczyka, opowiadać będzie jeszcze Sierioża swoim dzieciom – pomyślał.

– A o czym będzie ta jego dysertacja?

– O czewapickim przemyśle buraczanym – odpowiedziała Tamara. – Ze podobno czegoś takiego nie mają nigdzie indziej na świecie. Buraczani wariaci.

– Jacy znowu wariaci – włączył się Kawarycz. – Mógłby to być dobry biznes, gdyby się tych wojskowych z altajskiego garnizonu udało bardziej upić.

– Tylko że ci się to, tato, nie udało.

– Bo nie współpracowali, a buraczarze jak na złość się zacięli, jak to te plemiona potrafią.

– Erske i tak nie przyjechał tu z powodu czewapickich buraków. Według mnie napisze tam, że to szwindel. Bo niby co innego?

– A po co przyjechał? – zainteresował się Fiedia.

– Poszukiwał tu Hablunda, chłopca starej Doranowej – odpowiedziała Elwira. – Że podobno nigdy nie wrócił do Europy. Ale Doranowa mu nie wierzy. Myśli, że Erske wciskał jej ciemnotę. Nie spodobał się jej. Już choćby te sznurki, co to je miał na plecaku, mówiła.

– A ja myślę, że Doranowej wciska ciemnotę kto inny – odezwał się Kawarycz.

– W Europie, tato, nie przywykli do tego, żeby ludzie znikali.

– W Ameryce podobno co chwilę znika co najmniej dziesięć tysięcy. Mówili to w telewizji.

– No właśnie, to jest Ameryka. A ja, tato, mówiłam o Europie.

– Erske przynajmniej pomagał finansowo, a nie tak jak niektórzy tutejsi przystojniacy – Tamara krzywym okiem spojrzała na Kawarycza.

Wieczorem następnego dnia Fiedia i Elwira zaczęli już na serio szukać na skraju Charynia domu, do którego się przeprowadzą. Rzeczywiście, lepiej jest coś wyremontować niż budować dom od podstaw. Remontując, nie musieliby też płacić za parcelę. Ale mimo że rada większa wszelkimi sposobami starała się zwabić do tych domów rodziny z dziećmi, Elwira nie wiedziała o nikim innym, kto chciałby się tu wprowadzić.

– Chodzi mi tylko o to, żeby Sierioża miał się tu z kim bawić.

– A u was leją go Waśka i Dima – zauważył chłodno Fiedia.

Ilekoć tak jak dzisiaj chodzili pośród tej starej zabudowy, także czuł się troszeczkę przygnębiony. Żeby wielkich czerwonych domów, sterczące skądś i poskrzypujące pod naporem wiatru belki, śmieci, które ktoś tu wyrzucał, ponieważ to już jak gdyby nie był

Charyń. Opuszczone domy z pustymi oczodołami okien i brudnymi drewnianymi ścianami. Kiedy Elwira była mała, myślała, że mieszkają tutaj upiory.

– Jak się nazywał ten człowiek, który ci opowiadał o tym powstaniu?

– Muro albo coś w tym rodzaju.

– Był stąd?

– Z samego Charynia raczej nie. Powiedziałem, że się tu przyżeniłem, a on na to nic nie rzekł. Ale dużo chodził do tajgi i w ogóle orientował się w tej okolicy. Więc może było to tutaj. Tu, skąd Beryla zaczęła atak, którego celem była wieś. Złe zrosły się jej nogi po tym, jak pozwoliła je złamać niejakiemu Bownikowi. Pracował tu wtedy jako lekarz.

– Aha. A ten dom... Ten by ci się podobał?

– Wieźli ją tu na drewnianym wózku, szli na piechotę aż z Pstrug. Włamali się do magazynu ówczesnego zarządu, wtedy nazywało się to *sielsowiet*, i ukradli całą broń, stanowiącą własność państwową. Chcieli też oswobodzić więźniów.

– Więźniów?

– To byli ich krewni. Musieli odpracować to, że oni wyjechali. To było zabronione. Wyjechać mogli tylko ci buraczarze, którzy byli poważnie chorzy. Dlatego Bownik zrobił to jej z tymi nogami. Tylko że wtedy podobno żadnych więźniów w celach nie było.

– Teraz też możesz mieszkać tylko tam, gdzie jesteś zameldowany. – Elwira przypomniała sobie, jak tłumaczyła to Erskemu, a on nie mógł tego zrozumieć.

– Tylko że teraz możesz jechać, gdzie chcesz, nie?

– Jeżeli jeździ pociąg i masz bilet – skrzywiła się Elwira – A ty miałbyś ochotę?

– A czy po to wybieramy teraz ten dom, żeby się gdzieś wybierać?

– Nie.

– No więc widzisz.

– A co powiesz na ten?

– W jednym z tych domów Beryla obwarowała się i dwa tygodnie kierowała stąd wszystkimi walkami. Podobno mieli ze sobą również coś na kształt sań księcia Władimira Orłowa. Na motor. Model, który już miał wtedy trzydzieści lat. Znaleźli to gdzieś za Czytą, w lesie, razem z innymi rupieciami. Charyniacy nie mieli nic. Podobno schowali się w kołchozie, mieli tylko parę karabinów. Muro mówił, że to on przyniósł im jakieś z łagrów, które tu były dokoła. Mówił, że dzięki temu może być teraz w tym domu dla zasłużonych.

– Ojciec taty także jest teraz w jakimś, ale w Chabarowsku – dodała Elwira. – Nie był tutaj już co najmniej pięć lat. Za każdym razem, kiedy przyjdzie, to tata zaraz ma pełne portki.

– Dlaczego?

– Chyba myśli, że nie jest taki dobry jak on. Z nikim innym się tak nie porównuje, ale z nim tak.

– A jak on się nazywa?

– Buro.

Fiedia roześmiał się.

– Buro i Muro, a to heca!

– Buro to takie dziwne imię, bo ono jest buraczarskie.

– Mnie się całkiem podoba ten. Z tą werandą.

Elwira ostrożnie weszła po paru stopniach na górę. Nic się nie zaważyło.

– Tylko z dachu nie zostało mu niemal nic.

– No więc?

– A wiesz, co mówił Muro? Że z Beryli także nic nie zostało. Kazała się wywieźć na tym swoim wózku gdzieś do tajgi i tam ją zostawili. Podobno prosiła o to swoich współbojowników. Idźcie – nakazała, a potem na ich oczach zmieniła się w pień gerysza. Według innych jednak, jak twierdził Muro, miała pięciu synów i oni dowodzili pięcioma

plemiennymi dywizjami. Chcieli ożywić ideę niepodległej Syberii z tą jej biało-zieloną flagą, którą miała podczas rewolucji. Ale według Mura Beryla przyjechała przede wszystkim po to, żeby pomścić swą siostrę i jej niechciane dziecko. Tylko że Wasylisa ostatecznie do Czyty nie uciekła. Podobno żal jej było rozstawać się z Hablundem.

Erske

Erske był w Kopenhadze mnóstwo razy. Z Arhus samochodem jedzie się dwie i pół godziny i kolejne półtorej godziny promem, można też jechać przez Storebelsbroen i Lillebilsbroen, lecz nie w godzinach szczytu; przez mosty pokonał tę trasę w trzy godziny. Jeździł do Kopenhagi często, bo choć Arhus jest po Kopenhadze największe, można tam umrzeć z nudów. W południe przez cały tydzień miasto jest wymiecione jak jakaś dziura, a o dziesiątej wszystko śpi. Piekarz, fryzjer, sprzedawca prasy, wszystkich ich Erske znał z imienia i nazwiska.

Kopenhaga to co innego. Parki, kluby, grupki szwedzkich turystów, w Christianii można było tanio kupić trawkę. Erske leżał potem w parku z czyjaś głową na kolanach, jego wycieczki zawsze kończyły się tak samo. Znał dobrze dilerów w śródmieściu, a poza tym koło Kastelletu i parku Churchilla. O ulicy Hansena nigdy przedtem nie słyszał. Może będzie to jedna z tych małych ulic w centrum albo gdzieś blisko portu – pomyślał. W internecie znalazł mapkę dzielnicy, wydrukował ją, złożył na czworo i wsunął do kieszeni. Oboluń. Już sama nazwa tego stowarzyszenia była niezwykła. Założone w roku 1949 przez Mariane Doran, Tanię Krasnoludkową oraz Lorę i Manfreda Gregersenów. W tym samym roku urodziła się również matka Erskego Lili, Irlandia wystąpiła z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i stała się państwem w pełni niepodległym, a Mao Zedong proklamował utworzenie komunistycznej Chińskiej Republiki Ludowej.

O stowarzyszeniu Oboluń Erske dowiedział się przypadkiem. Wertował starą prasę w związku z jednym ze szczegółowych pytań egzaminacyjnych, a takie samo ogłoszenie wiosną 1949 roku powtarzało się w kilku duńskich gazetach. Zaginął niejaki Hablund Doran, filmowiec i etnograf, a co więcej, odnoszący sukcesy przedsiębiorca.

Erskego zdumiało, że do tej pory o kims' takim nie słyszał. W katedrze antropologii kulturowej w Arhus niedocenionym duńskim osobistościom poświęcone było całe dwusemestralne seminarium. Zaraz na drugi dzień Erske poszedł do kierownika kursu i zapytał go o Dorana. Ale nawet on nic nie wiedział. Erske jeszcze raz wrócił do prasy z tamtych czasów i odkrył kilka poświęconych Doranowi artykułów, i to w wielkich dziennikach kopenhaskich. Artykuły przedstawiały go jako osobistość godną uwagi, choć zdawało się, że jedyną rzeczą zasługującą na szczególną uwagę jest właśnie ta wyprawa, z której nie wrócił. Poza tym z artykułów dowiedział się właściwie tylko tyle, że Doran miał w Kopenhadze wytwórnię artykułów medycznych, która – jak się łatwo doszukał – w roku 1956 zbankrutowała.

Erske zaczął się interesować Doranem. Nikogo, kto odwiedziłby radziecką wieś lat czterdziestych, na prowadzonym w katedrze seminarium jeszcze nie mieli. Pasowałyby to najbardziej do kursu *Aspekty kolektywizacji wsi radzieckiej* lub *Etnolingwistyka Syberii pierwszej połowy dwudziestego wieku*. W istocie Erske chciał przede wszystkim poprawić swoją reputację. W ostatnich dwóch semestrach jego oceny nie były imponujące, a z frekwencją było jeszcze gorzej. Jeżeli Doran żyje, spróbuje go namówić. Katedra dysponowała przeznaczonymi na ten cel pieniędzmi, a jakieś pytania już by dla niego wymyślił. Zawiózłby starszego pana do Arhus i z powrotem swoim autem, zasługiwałyby na to również jako kuriozum.

Telefon, którego numer między rokiem 1949 a 2006 zmieniał się ośmiokrotnie, dzwonił w

mieszkań przy Hansena co najmniej dwie minuty, zanim odezwał się zmęczony głos jakiejś kobiety.

Wyrzucił z siebie wszystko. Jak trafił na Hablunda, co o nim przeczytał i że jeżeli to możliwe, chętnie by starszego pana poznał.

Cisza w słuchawce trwała całą wieczność. Erske zrozumiał, że Hablund Doran nigdy nie wrócił.

Być może zainteresowało go właśnie to, że ta stara kobieta tak uparcie odmawiała. Albo może ten osobliwy akcent?

Dzwonił potem jeszcze kilka razy i przekonywał kobietę tak długo, aż ją wreszcie przekonał, żeby pozwoliła mu przyjść.

Znalezienie ulicy Hansena nie zajęło mu wiele czasu. Była to długa ulica z niskimi czynszowymi domami, łącząca dwie arterie, którymi Erske przechodził już mnóstwo razy. W latach pięćdziesiątych mieszkała tutaj kopenhaska klasa średnia, ale teraz Hansena i jej okolica były dzielnicą ludzi, którzy się tu zestarzelili lub nie mieli pieniędzy. Przybyszy, robotników z fabryk na peryferiach miasta. Po drodze Erske przeszedł koło dwóch podejrzanych nędznych hoteli i kilku małych sklepów spożywczych. Stały tam w kolejce stare damy, pamiętające lepsze czasy.

Na skrzynce pocztowej nadal znajdowała się tabliczka „Oboluń” razem z nazwiskami Mariane i Tani. Na skrzynce, w której Tania znalazła wtedy jedyny list Hablunda, a teraz już od lat nic tam nie przychodziło.

Otworzyła mu nieufna kobieta w zdeptanych, o numer za dużych męskich pantoflach, w wypchanych na kolanach legginsach i w czapce z daszkiem.

Gdyby Erske wiedział, jak wyglądała Tania Krasnoludkowa przed sześćdziesięciu laty, musiałyby uznać, że się niemal nie zmieniła. Nadal ta sama pestka na szczyłce, jak postrzegala ją Mariane, mała głowa z krótkimi włosami i szczupła, wąska w biodrach figura. Tylko włosy miała teraz niemal zupełnie białe, a nogi i ręce jeszcze trochę cieńsze i usiane ciemnobrązowymi plamami.

Wystarczyła mu chwila, by się zorientować, że dla tej kobiety mężczyźni mogli w ogóle nie istnieć. Wiedział to zawsze, jeszcze zanim potrafił nazwać, i rzadko kiedy się mylił.

Zdziwiło go, jak małe jest to mieszkanie. Dwa pomieszczenia, w których ledwo można się było obrócić. W kuchni stara kobieta miała jedynie kredens, stół i jedno krzesło, a w pokoju obok sterty brudnej bielizny tylko łóżko i szafę. Widać było, że nie przywykła do wizyt i nie będzie dla nich zmieniać swych przyzwyczajzeń. Kopnęła tylko parokrotnie stertę bielizny, by Erske mógł przejść dalej, a pierwszą rzeczą, którą mu powiedziała, było, że Kopenhaga jest gównem warta.

Ściany obu pomieszczeń były pełne fotografii, zdjęcia stały również na stoliku przy łóżku i na lodówce. Poza jedną podobizną Hablunda, wielkim portretem naprzeciwko drzwi w przedpokoju, który wisiał tam już sześćdziesiąt lat, na wszystkich pozostałych były Mariane, Mariane i Tania, Tania, ale najczęściej Mariane. W Helsinkach na pierwszej wspólnej wycieczce, na którą wybrały się po tym, kiedy oszukał je Hans Schmidt, w Wenecji, do której pojechały, kiedy zniknął z pieniędzmi ten następny, w Neapolu, w Paryżu, te dwie kobiety zjeździły całą Europę. Erske przyglądał się fotografiom. Tania stała obok niego i sapała mu za karkiem.

Wszystkie bagaże na podróż zawsze musiała pakować sama. Myśleć, żeby niczego nie zapomnieć, a na dworcu szukać taksówki, by ta zawiozła je do hotelu. Raz zapomniała jednej ich walizki w pokoju. Mariane potem cały dzień się do niej nie odzywała.

Ta druga kobieta jest zupełną odwrotnością tej – pomyślał Erske. Jasnowłosa, różowiotka Mariane, zawsze w pastelowych kolorach i bluzeczkach z kołnierzykami, w późniejszym wieku przypominała pomarszczoną uczennicę. Na fotografiach zawsze była uśmiechnięta i

wiatr, jakby na zamówienie, zawsze targał jej włosy. Erskemu podobało się, że patrząc na te zdjęcia, czuło się, że się kochają, nawet jeżeli tylko stały koło siebie pod Łukiem Triumfalnym, jak dwie koleżanki z pracy.

Na wspólnej fotografii, jedynej, którą Erske znał, Lili i jego ojciec także się śmiali. Ten ich uśmiech do obiektywu od dzieciństwa budził w nim odrazę. Był fałszywy i każdy musiał to widzieć. Wiedzieli przecież już wtedy, że ich związek się rozpadnie.

– Mariane wyjechała piętnaście lat temu – powiedziała Tania, widząc, jak długo Erske przygląda się tej fotografii.

– Mariane Doran?

– Tak ona. Trzydzieści jeden lat mieszkałyśmy razem. Wyciągnęła mnie ze śmietnika, jak to ona mówiła. Hablunda osobiście nie znałam, ale musiał to być przystojniak. Mariane tyle mi o nim opowiadała, że czasem mi się zdaje, jakbyśmy przez cały ten czas żyły także razem z nim. Dziwne, prawda?

– Niekoniecznie. Moja matka też długo żyła z ojcem, choć ja nigdy go nie widziałem.

– Udajesz, że wiesz, o czym mówię, ale figę wiesz.

Jej rysy nagle stwardniały.

Ciekawiło go, skąd jest. Z powodu tego akcentu.

– Tam, skąd ja jestem, dostałbyś w pysk, gdyby ktoś się dowiedział o twojej preferencji. Nawet jeszcze dziś. Skopaliby cię po jajach.

Erskemu ścierpła skóra.

– Hablund Doran zaginął bez wieści i jego żona oficjalnie też. Jeszcze coś?

Jakby staruszka z jakiegoś powodu zawiodła się na nim i chciała mieć go z głowy.

– Co się stało z Mariane?

– Kierowała się głosem serca, a był on tak silny, że w pewnej chwili musiała wszystko rzucić i jechać. Raptem przestała słyszeć wszystko inne. Paru podobnych do ciebie już tu było. Obietnice, przygotowania i tyleśmy ich widziały. Więc zdecydowała się jechać tam na własną rękę. Ja sama w to nie wierzyłam. Nawet kiedy się pakowała. Bo parę razy już przychodziło jej to do głowy, raz nawet dzwoniła już po taksówkę, żeby jechać na dworzec. Kiedy dzwoniła po nią tym razem, myślałam, że zaraz jej to minie. Powie, że się rozmyśliła. Ale wsiadłyśmy obie do taksówki i pojechałyśmy na dworzec. A potem wsiadła też do tego pociągu, a pociąg ruszył...

Erskemu wydało się, że oczy staruszki się zaszklily.

– No i od piętnastu już lat czekam tutaj na nich oboje. Tylko że Mariane już nie wróci.

– Skąd ta pewność?

– Wiem, i tyle – zabrzmiało to stanowczo. – Mam ci powiedzieć czemu? A ty mnie wtedy spytasz, skąd j jestem, bo mam ten akcent, a ja powiem, że spod Jakucka, a ty pomyślisz, że nie można mi za bardzo wierzyć, tak samo jak myśleli to Lora i Manfred.

– Hablund, czy on może wrócić?

Erske zadał Tani to pytanie, choć wiedział, że jest raczej głupie. Już dawno dałby przecież o sobie znać, a poza tym ilu ludzi dożywa dziewięćdziesiątki? Marnie cztery procent i przeważnie są to japońskie kobiety.

– Czy ja wiem? – odpowiedziała Tania na pytanie Erskiego. – Chyba nie. Co bym tu ze starym chłopem robiła? Miałabym mu powiedzieć, że podczas gdy obijał się za granicą, stracił żonę?

Z żadnym młodym mężczyzną nie siedziała Tania tak długo od czasu, kiedy prowadziły z nimi rozmowy w sprawie ekspedycji. Z tymi mężczyznami, którzy w końcu zawsze okazywali się wycwanionymi kutasami. Brali pieniądze i znikali. Potem siadywały tylko we dwie z Mariane. Wyglądały przez okno, piły wino, milczały. To wtedy gdy już nie chciało się im wydawać pieniędzy w lokalach. Przedtem potrafiły w jeden wieczór przepuścić sumę,

jakiej Tania w życiu nic zarobiła. Miały dwie szafy ubrań i dwie z papierami dotyczącymi Obolunia. Potem trzy z papierami i jedną ubraniową, a później ten stosunek znów się odwrócił. Wtedy gdy Mariane straciła siłę przekonywania innych o tym, w co sama czasami nie wierzyła. A czasem jej to przekonanie znów wracało. Hablund wróci. Czuje to. Albo go znajdują. Musi przecież coś zrobić! Wtedy wyrzucała z szafy wszystkie ubrania i krzyczała do Tani, że znowu zaczną dokąś pisywać. Jeszcze raz musi spróbować, a potem znowu i znowu.

Ostatnio Tania siedziała z młodym mężczyzną tak długo z powodu podejrzenia o morderstwo. Było to na posterunku policji i Lora oraz Manfred zeznawali wtedy przeciw niej, choć nie mieli dowodów. Ze kilka razy, gdy szli z wizytą na Hansena, słyszeli rzekomo dobiegający z ich mieszkania krzyk Mariane. A jej to nie? Fakt, że sami Gregersenowie zachowują się względem siebie jak śnięte ryby, o niczym przecież nie świadczy. Gdyby tak było wszędzie, można by umrzeć z nudów. Za to u nich w mieszkaniu czasami dochodziły do głosu obyczajne włoskie, no i co z tego? To powiedziała im tam na posterunku, tylko że oni mieli to gdzieś. Płakała. Chyba myśleli, że lada chwila się przyzna albo co. Próbowali to z niej wydusić. Że niby okoliczności łagodzące... Ale nie mieli na nią nic prócz tego, że Mariane kilka lat przedtem napisała papier, że gdyby jej się coś stało, Tania wszystko po niej dziedziczy. No więc odziedziczyła.

– Mogłam to zrobić już dawno, gdyby chodziło mi o pieniądze! – krzyczała do nich.

A ten młody w policyjnym mundurze powiedział, że wprawdzie mogła, ale równie dobrze mogła zrobić to przed tygodniem. Taką rzecz da się zrobić kiedykolwiek. Ale na głos Tania tego nie powiedziała. Była zdecydowana nie zgadzać się z nimi absolutnie w niczym. Nie ułatwi im tego. Śledztwo z braku dowodów umorzyli.

Erske się Tani podobał. Te jego ramiona. Dotknęłyby ich. W duchu ten pomysł ją rozśmieszył. Dopiero wtedy gdy mężczyźni przestali się za nią oglądać i wreszcie miała spokój, dopiero wtedy mogła zacząć badać, co to za jedni. Kiedy już nie dochodziło do głosu ich pożądanie, mogła skończyć ze wstydlivością i śmiało rzucać spojrzenia, gdzie tylko chciała, bo faceci są zajęci swymi sprawami. Kiedy była młoda, mogła o tym jedynie marzyć. Żeby te swoje apetyty zostawili dla kobiet, którym to nie przeszkadza.

Erskego chętnie połaskotałaby za uszami, gdyby były trochę większe. Ciacho. Jego przyjście ją zdenerwowało, ale kiedy już wyszedł, wcale się nie cieszyła, że już ma w domu spokój. Jakby na starość obudził się w niej instynkt macierzyński. Jej córka, Masza, którą zostawiła w Oboluniu, będzie już mieć ponad sześćdziesiąt lat. Jej rodzona córka już od dawna ma córki, a te od dawna mają już kupę dzieci, które, gdy wieczorem nie chcą iść lulu, Masza straszy, że na czarnym wilku przyjedzie okrutna starucha Tania i zabierze je na daleki zachód. Być może co bystrzejsze z nich nie miałyby nic przeciw temu.

Była już prawie północ, kiedy Erske wyszedł od Tani. Z głową w chmurach, jak zawsze, gdy sobie podpił, nim w Charyniu do tego przywykł. Jadąc samochodem do Arhus, przez całą drogę myślał o Tani Krasnoludkowej i zaraz po przyjeździe opowiedział o niej matce. O zniknięciu Mariane i o Hablundzie. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Uli wysłuchała go spokojnie i z uwagą. Zauważyła, że o Tani Erske nie wie zupełnie nic, ta staruszka nie chciała o sobie nic powiedzieć.

Lili zaczęłyby o sobie mówić natychmiast, ale nikt jej nie pyta. Od historii rodzinnych wara! – myśli jej syn. Od kiedy pamięta, byli razem, a wcale nie chce wiedzieć o niczym, co było przedtem.

Kiedy matka wystąpiła z pomysłem, że mógłby się na tę Syberię wybrać, uważał, że zwariowała.

– Latem przecież zawsze gdzieś jeździsz.

Sam, bo niczyje towarzystwo ci nie odpowiada – pomyślała.

– Mówiłeś, że nawet opłacały im podróż.

Opowiadał jej o wszystkich tych cwaniakach, którzy wzięli od Mariane i Tani pieniądze i zniknęli.

Matka właściwie zawsze była większym łowcą przygód niż on.

Wybrać się tysiące kilometrów stąd, żeby szukać jakiegoś Hablunda, który najpewniej już nie żyje?

Przed zaśnięciem myślał o tym, co mówiła mu Tania. Ze dostałby w pysk, gdyby się dowiedzieli o jego preferencji. Potem w Charyniu cały czas się bał, że ktoś to zauważy.

Hablund

Tak jak się umówiono, kawałek drogi od Charynia czekały na myśliwych ciężarówki. Gdyby Wasylisa nie podzieliła się z nim po drodze tymi kilkoma kawałkami suszonego mięsa, które udało się jej ukryć, Hablund może by w ogóle nie doszedł. Ale i tak kosztowało go to wiele wysiłku. Gdy kierowcy zobaczyli wynędzniałą grupkę chwiejących się na nogach mężczyzn i kobiet, wybiegli im naprzeciw; z wielką niecierpliwością pytając, gdzie jest reszta i gdzie mają renifery. Głaznikow machnął ręką gdzieś w kierunku, w którym przed kilku tygodniami powędrowało stado. W Charyniu także nikt nie mógł pojąć, dlaczego dwie wielkie ciężarówki przyjechały i niczego nie przywiozły. Wyjaśnienia nikogo nie obchodziły. Nawet opowieść o ataku wilków, której w innych, warunkach wszyscy wieśniacy słuchaliby z zapartym tchem, wiwatując na cześć bohaterów, nawet ona ich nie interesowała. Byli wściekli. Prawdziwi mężczyźni nie wracają w takim stanie. Lecz stado reniferów było już gdzieś daleko, a pogoń za nim nie miałaby sensu.

Przez cały czas, kiedy mężczyzn nie było, kobiety chodziły do tajgi po drwa. Te młodsze po dwie w zaprzęgu ciągnęły całe suche drzewa, starsze nosiły z tajgi chrust, przy pomniku bohaterów układały drwa na wielkie ognisko. Same również skonstruowały rożen, a w domach miały już przyszykowane w miskach przyprawy do zupy z renifera, wielkie kotły, używane tylko parę razy w roku, stały już koło płyt kuchennych, wystarczyło jedynie nanosić do nich wody i zacząć gotowanie.

A tu tymczasem zjawili się wychudzeni mężczyźni ze spuszczoneymi głowami, każdy cicho zniknął w swojej chałupie, przy ognisku nikogo już nie było, za to w każdym charyńskim domu, gdzie mieszkali myśliwi, ktoś wybuchał płaczem. Zona, matka lub córka, opatrując mężczyznom rany oraz gotując wodę, żeby zrobić okłady na odmrożone miejsca, nie ośmielały się nic mówić, tylko w ich oczach malował się niemy wyrzut.

Gdyby w magazynie *sielsowietu* mieli dostatecznie długi kawał czarnego materiału, owinęliby nim dokoła całą wieś i przykryci tym kirem spaliby aż do wiosny. Gdyby to było w bajce. Lecz było to w Charyniu i mieli przed sobą jeszcze całą zimę. Więcej niż sto dni, gdy słońce będzie wschodzić dopiero koło południa i zaraz potem zachodzić, tu zaś – ciemność, nie ciemność, a trzy razy dziennie jeść trzeba.

Wasylisa urodziła w trzy dni po powrocie. Była siostrą Beryli, przestępczyni, i za nią pokutowała, ale dziecko to dziecko, więc mimo wszystko należało to uczcić. W dodatku był to chłopiec. Ale teraz ta wiadomość nikogo nie ucieszyła. Nie dożyje do wiosny, kiwali głowami ludzie. Nawet – mówili – nie powinna go przynosić i im pokazywać.

Na dobitkę podobno przepadła większość kołchozowego bydła, ktoś zostawił otwartą główną bramę. Tych krów, których Hablund nigdy nie widział i uważał, że ich mleko przywożą do Charynia samoloty, tak samo jak groch, owies i pszenicę, które Welor ważył i spisywał, po czym zanoszono je do magazynu. Ale mówiono „przepadła”, a więc gdzieś się podziała. I to teraz. Gdyby zdarzyło się to w lecie, można by puste budynki po bydle wykorzystać do suszenia siana lub w razie deszczu właśnie w nich odbywać niedzielne zebrania, ale teraz wszędzie leżały zasy, ślady bydła, które zniknęło w nocy, do rana zasypał śnieg.

Po paru godzinach odpoczynku w ciepłej chałupie Welor szybko pobiegł do spichrza. Było jedynie kwestią czasu, kiedy jego oszustwo wyjdzie na jaw. Z polowania nie przywieziono mięsa, więc przydziały mąki oraz wszystkich innych produktów muszą być trochę większe,

niż przewidywał. W tej sytuacji zapasy z magazynu nie mogły Charyniowi wystarczyć na dłużej niż na jeden miesiąc. Welor zamknął się w spichrzu i wszystko znowu policzył. Na małej stołowej wadze, na której Josifowiczowa ważyła orzechy, kiedy parę razy rocznie udawała wzorową żonę, przez cały tydzień w dzień i w nocy ważył wszystkie kołchozowe zapasy. W tym żalobnym nastroju, który zapanował na zewnątrz, i tak nie chciał uczestniczyć. Podobnie jak w posiedzeniach *sielsowietu*, na których ogłoszono sytuację kryzysową.

Kiedy na jednym z nich powiedział potem głośno, jak przedstawia się stan zapasów, zebrani mieli w oczach takie samo przerażenie, jak wtedy, gdy pewnego razu nadeszła poufna informacja, że do Charynia nie będą już latać samoloty. Na szczęście wtedy ta wiadomość okazała się fałszywa, ktoś w rejonie chciał ich wystraszyć. Tamtym razem Welor nie był za to odpowiedzialny, teraz zaś odpowiadał za wszystko. Miał pilnować i nie upilnować, a kto, łamiąc zasady moralności socjalistycznej, spichlerz okradał, tego już nie zdołano ustalić.

Wraz z głodem rosło rozdrażnienie i gdy *sielsowiet* w swym okresowym komunikacie oznajmił, że zasoby w spichrzu są o jedną trzecią mniejsze, niż mówiono parę tygodni przedtem, mieszkańcy wsi wybili Josifowiczom wszystkie szyby, a później powtarzało się to jeszcze kilka razy, gdy Welor prowizorycznie oszklili okna. O tym, żeby jechać gdzieś po nowe, jak i żeby ktokolwiek inny jechał gdzieś po cokolwiek, nawet mowy być nie mogło. Charyń był zasypany śniegiem. Tej zimy napadało go tyle, że część trójnogów, które miały chronić domy na skraju, popękała i śnieg przez okna walił ludziom do chałup.

Gdy nadszedł Nowy Rok i nastąpiło otwarcie nowej stacji, jedynej budowli, która mimo partackiej pracy więźniów wytrzymała bez remontów aż do czasów Erskego, do jedzenia nie było już niemal nic. Z aktywu z okolicznych wsi na uroczyste otwarcie stacji nie przybył nikt, ponieważ już dwa tygodnie znów padał nieustannie śnieg i do Charynia nie było jak się dostać. Uroczystości ograniczyły się do tego, że Myszkina rozdała zgromadzonym wieśniakom po jednej książce naukowej z biblioteki *sielsowietu* ze stosownymi dedykacjami, a Głaznikow w przemówieniu pod pomnikiem bohaterów oświadczył, że ciężkie czasy sprzyjają hartowaniu charakterów, na co chłopci zaczęli krzyczeć i gwizdać tak, że nikt następny z członków *sielsowietu* już nie odważył się niczego powiedzieć, a Welora pospiesznie posłano do spichrza, by wraz z innymi przyniósł dla każdego charyniaka przynajmniej torebkę mąki, ponieważ magazynowi *sielsowietu* groził rabunek, więc Welor pobiegł, aż się za nim kurzyło.

Racje żywnościowe rozdawano mieszkańcom wsi co tydzień w niedzielę pod pomnikiem bohaterów, żeby w ogóle ktoś jeszcze na gminne zebranie przyszedł. Starzy chłopci proponowali, żeby znowu zacząć się zbierać na dawnym miejscu, koło krowich czaszek i czerwonej gwiazdy, gdzie Hablund był kiedyś na obrzędzie kości, a po nim pierwszy raz na spacerze z Saszką, jednak większość *sielsowietu* ten wniosek odrzuciła. Myszkina powiedziała na posiedzeniu, że zwracanie się ku przeszłości, gdy tylko ludziom zaczyna się dzać trochę gorzej, nie jest rzeczą, którą należałoby popierać, i sięgnęła po odpowiedni cytat z Lenina. Następnie Głaznikow podsumował miniony tydzień, informując z dokładnością do kilograma, ile jest jeszcze w spichrzu poszczególnych produktów rolnych, Pawlicz zaapelował do młodych, żeby nie okradali z przydziałów starców i dzieci, a na zakończenie Bownik groził karami każdemu, kto zniżyłby się do tak niecnego zachowania. Bownik w ogóle miał wiele pracy. Charyniacy zaczęli nie tylko domagać się powrotu do dawnych miejsc zgromadzeń, co wskazywało, że wciąż tkwią w przesądach, ale również przypominać sobie swoje choroby. Chcieli, żeby Bownik wystawiał im zezwolenia na wyjazd, skierowania na pobyt w szpitalu gdzieś w mieście, gdzieś, gdzie można zdobyć coś do jedzenia, gdzieś, gdzie monotony jadłospis nie będzie się stale składał z jednego mącznego placka i odrobiny rozgotowanych jarzyn. I niegodziwiec Bownik wypisywał skierowania, każąc sobie za nie płacić, a charyniacy, ludzie, którym bez zezwolenia nie wolno było wyjechać, dźwigając tłumoki, z którymi kiedyś przysłali ich tu rodzice, gromadzili się w nowiutkiej poczekalni,

gdzie na próżno czekali na pociąg, ponieważ nawet sam „Lenin”, radziecki kolejowy pług śnieżny, parowóz pchający przed sobą stalowy dziób, nie nadążał wtedy z usuwaniem z magistrali transsyberyjskiej takich mas śniegu.

Na dodatek w zimie pociągi zatrzymywały się w Charyniu mało kiedy. Trzeba było zapewnić przewozy między wielkimi miastami, gdzie na dworcach czekały na pociąg setki ludzi, wobec czego z dwóch pociągów, które w styczniu 1949 roku przejeżdżały przez Charyń, na charyńskim dworcu nie zatrzymywał się ani jeden.

To, że nikt nie mógł wydostać się z Charynia, sprawiło też, że nie było kogo za wyjazd krewnych karać przymusową pracą na rzecz gminy, więc brakowało rąk do wykonywania czynności, których nikomu nie chciało się wykonywać. Cele aresztu były puste. Nie było nikogo, kto w dzień i w nocy uprzętałby śnieg, nie było nikogo, kto w rękawicach i uszance pod nadzorem Welora po niedzielnym apelu przez trzy godziny rozdawałby poszczególnym rodzinom przydziały żywności, co trwało tak długo na skutek nieustannych sporów i prośb o większe porcje, nie było komu dbać o ślizgawkę, chociaż akurat o jeździe na łyżwach myślał wtedy w Charyniu mało kto. Pójść czasem do kogoś w odwiedzin i rozpędzić południową chmurę szklaneczką wódki to owszem, ale śniegu w kilka dni po Nowym Roku, gdy skończyła się praca więźniów, nikt nie odgarniał, zwłaszcza że wszystkim charyniakom starczało sił już tylko na utrzymywanie własnego wąskiego korytarza od chałupy do pomnika bohaterów, przy którym w niedzielę rozdawano przydziały, po czym każdy wracał pod piec i wygrzewał się tam aż do następnego tygodnia.

Ostatecznie do prac na rzecz gminy zabrał się sam *sielsowiet*, bo w styczniu jego funkcjonariusze bali się już powierzyć je innym. Wynędniali ludzie, pełni gniewu, i tale uważali, że *sielsowiet* poukrywał gdzieś coś dla siebie. Sam partyjny zapal nie utrzymałby przecież jego członków na nogach od rana do wieczora. A tymczasem Myszkińska miała jeszcze tyle sił, żeby w celach aresztu zorganizować wystawę wycinków z gazet na temat Dnia Kolejarza. Wycinała je w magazynie przez kilka nocy. Po kryjomu wykorzystwała również fotografie z niektórych publikacji naukowych, które po zakończeniu wystawy na powrót wkleiła na dawne miejsca. Ziemię w celach pokrywała dwudziestocentymetrowa warstwa lodu. Kto chciał obejrzeć zdjęcia i wycinki, mógł przynieść łyżwy, *sielsowiet* ogłosił to zawczasu i wszystkim gorąco zalecił udział, wskutek czego na otwarcie wystawy przyszło w końcu około dwudziestu osób. Myszkińska była zdania, że chcąc utrzymać morale, należy zająć czymś siebie oraz innych.

W połowie stycznia w poczekalni na stacji przebywała już co najmniej jedna czwarta wsi. Pod naciskiem Głaznikowa Bownik przestał wydawać zezwolenia na wyjazd, powołując się na dyrektywę partyjną, a *sielsowiet* zorganizował odśnieżanie drogi do glinianki, gdyż ktoś wyraził nadzieję, że mogło się tam schować pod lodem trochę ryb, które ludzie mogli sobie usmażyć. Bownik bardzo uroczyście wyrąbał dziurę w pokrywającym gliniankę lodzie, ludzie stali słóczeni w przejściu utorowanym w dwumetrowej warstwie śniegu i czekali, kiedy ci na przodzie powiedzą, czy jakaś ryba pojawiła się w przerębli, żeby nabrać powietrza. Przypłynęły dwie i charyniacy obydwie wyciągnęli. Były odpowiednio tłuste i po podzieleniu na porcje zostały rozdane charyńskim dzieciom. Dorośli też przywłaszczali sobie część ich przydziałów, ale *sielsowiet* nie miał dość sił, żeby utrzymać takie rzeczy pod kontrolą. Jedynie Myszkińska na zgromadzeniach wielokrotnie wzywała uczestników do zachowania ludzkiej godności, po czym ludzie w kolejce po przydziały tylko przepychali się jeszcze bardziej. Myszkińska napominała ich za każdym razem nieco słabszym głosem, coraz ciszej, spódnica za kolana, przedtem opięta, teraz wisiała na jej sterczących kościach, a pod kurtkę, pod którą przedtem mogły zmieścić się jedynie dwa swetry, teraz mogła bez trudu wkładać cztery. Również inni funkcjonariusze wyglądali źle. Mieli jeszcze coś schowanego na boku, ale podjadali z tego tak małe porcje, że nie było tego po nich widać, i w odróżnieniu od większości charyniaków, którzy całymi dniami nie opuszczali łóżek, mieli pod oczami czarne

kregi z niewyspania, gdyż nieustannie obradowali i podejmowali idące w dziesiątki uchwały, dotyczące przede wszystkim ciągłego zmniejszania przydziałów, by jak najdalej odwlec to, co nieuchronne.

Zakrawało to na cud, ale Hablund nie chudł. Zawdzięczał to zarówno kuchni Saszki, jak i odporności swojego organizmu. Kiedy myśliwi wrócili z tajgi, wszystkim charyniakom zdawało się, że zostały z nich tylko skóra i kości. I podczas gdy Hablund pozostał taki, jaki był przedtem, inni w następnych tygodniach chudli nadal i nie miało to końca.

Buro w kondycji Hablunda dopatrywał się znaku. Jakby nagle przypomniał sobie o swych czewapickich korzeniach. Na niedzielne zgromadzenia zaczął przychodzić zamyślony i każdego zachęcał, żeby sam własnymi rękami sprawdził, jakie Hablund ma ramiona. Hablund wahał się, właśnie kończył mu się ostatni film i był z tego powodu w złym nastroju. Gdyby starczył mu na kilka dni dłużej, mógłby się uważać nie tylko za etnografa dokumentalistę, ale również za korespondenta wojennego. Na triumfalne wkroczenie Beryli nie trzeba było bowiem długo czekać.

Chociaż zasługiwałyby sobie na to co najmniej w tym samym stopniu, w odróżnieniu od wielkiej wojny ojczyźnianej klęski Beryli nie upamiętnia w Charyniu żaden pomnik. I to mimo że inaczej niż wielka wojna ojczyźniana, podczas której zaplecze zaopatrywało front magistralą, wagonami wożąc życie w stronę oddalonej o tysiące kilometrów Europy, to wszystko działo się bezpośrednio tu. Diaspora poniżanego plemienia Karów, buraczarscy uchodźcy z Czyty, podeszli z wielką pompą pod Charyń, a charyniacy mimo niesprzyjających warunków odważnie bronili się przed napastnikami.

Ażeby nabrać sił, berylowcy zatrzymali się najpierw u współplemieńców w Czewapice, od dwóch już miesięcy oddzielonej od Charynia zaspami. Marsz z Czyty zajął im trzy miesiące. Trzy miesiące pieszej wędrówki przez zwały śniegu, gdy drewniany wózek Beryli na przemian ciągnięto i niesiono na ramionach. Ona była na czele, za nią oddział bezzębnych buraczarzy z zagojonymi poparzeniami i bliznami po ciosach siekierą – przepustkami na wolność, za które, za każdą z nich, miał Bownik przed nimi odpowiedzieć. Dostać się do Charynia przez Pstrugi lub w odwrotnym kierunku do tej pory nikt z buraczarzy nie próbował. Wilki, niedźwiedzie, no i duchy rozwścieczone tym, że w miejscach ich dotychczasowego pobytu utworzono łagry, a ich lasy padły ofiarą przemysłu drzewnego – wszystko to buraczarzy zniechęcało, ale po latach prowadzonej w Czycie agitacji Beryli udało się ich w końcu przekonać. Mieszkali tam na stromych zboczach za miastem, za koszarami, za terenem należącym do zabajkalskiej straży granicznej, pośród wraków starych czołgów, karabinów maszynowych i ruin dawnego szpitala wojskowego. Uczyli się ze znalezionych w szpitalnym magazynie starych podręczników dla wojska, zawilgłych i zapleśniałych broszur z instrukcjami obsługi broni maszynowej i prowadzenia czołgów.

Nic z tego arsenału, z którym łatwo można by opanować Charyń, nie mieli, ale Beryla czytała im te teksty, by nabrali odwagi. Inaczej niż w przypadku naukowych książek Myszkinej, przy tej lekturze senność nie ogarniała nikogo. Najlepszym szkoleniem było jednak dla buraczarzy to, że pod Czytą cały czas żyli w ukryciu. Mieli w małym palcu, jak się bezgłośnie zakradać oraz jak wyżywić się w lesie, gdzie dla niewtajemniczonego prócz kory, szyszek i igliwia nie ma nic. Charyniacy tych umiejętności nie posiadali, toteż gdy renifery poszły inną drogą, a spichlerz opustoszał, znaleźli się w opałach.

Wszystko to działało na korzyść Beryli. Również to, że Boria i Wasylisa, mąż i siostra Beryli, pokutujący przy budowie dworca za jej ucieczkę, zgromadzili dla niej dokładne informacje o tym, gdzie w Charyniu jest jaki dom, bo przez lata, gdy jej nie było, zaszły tam rozmaite zmiany.

Większość mieszkańców Czewapiki, jakżeby inaczej, przyłączyła się do Beryli. U źródeł

ich odwagi leżało rozgoryczenie. Buraczarscy szamani kropili charyniakom pierwsze domy, żeby złe moce tajgi nie miały do nich dostępu, bez ich pomocy grupki przybyłych z zachodu Rosjan nie przeżyłyby tu pierwszej zimy. Miano żyć w pokoju, miano dokonywać wymiany produktów i umiejętności, ewentualnie również kobiet, nie zaś wzajemnie zastawiać na siebie pułapki i wpędzać się w ślepej uliczce.

A czym innym, jeżeli nie pułapką, było wprowadzenie powszechnego obowiązku szkolnego, który i tak po iluś tam latach zniesiono? A te napaści Rosjan z młotkami na czewapicką manufakturę buraczaną, które się w pierwszych latach corocznie powtarzały? A te wąsy? Pewnego lata cała łąka między Czewapiką a Charyniem została pokryta długimi męskimi radzieckimi wąsami. Snuły się tam jak mgła w różnokolorowych kłębach, od żółtych, przez rude, aż po siwe, póki wiatr nie rozwał ich po okolicy. Wąsów, inaczej niż ciał, ziemia nie przyjmie i deszcz ich nie rozmoczy. Ciała od tych wąsów wisiały tam tylko chwilę. Jako ostrzeżenie dla Sowietów, żeby zwrócili kobiety, do których nie mieli prawa. Nie zwrócili ani jednej.

Kiedy Boria przez kraty celi powtarzał przychodzącym do niego od czasu do czasu buraczarzom, że Beryła wróci, i to z większością tych, co w tych latach uciekli z Czewapiki, nie wierzyli mu nawet ci, którzy Beryłę dobrze znali. Opowiadano to w Czewapice dzieciom jako bajeczkę przed zaśnięciem. O wielkim wyzwoleniu, które nadejdzie, kiedy będzie najsroższa zima i ciemność, i głód, i gdy pojawi się jasnowłosy cudzoziemiec – wszystko to zdarzyło się na początku lutego 1949 roku.

W Czewapice nie było wprawdzie tak wielkiego głodu jak w Charyniu, bo buraczarze potrafili się żywić wiewiórkami i królikami, przede wszystkim zaś w przeciwieństwie do charyniaków umieli ustrzelić nawet zgrabiałymi rękami, a gdy nie było strzelby, to po prostu trafić kamieniem, jednak lekko nie było także tam, bo brakowało reniferów. Nie tylko ich mięsa, ale i poroży, kopyt, ścięgien, kości i łoju, wszystkich tych materiałów, które latem do Charynia przylatywały samolotami w radzieckiej postaci wyprodukowanych fabrycznie nici, igieł, nafty do lamp i czapek leninówek, podczas gdy mieszkańcy Czewapiki byli przyzwyczajeni robić to wszystko własnoręcznie – i nagle nie mieli z czego.

Nawet koni wtedy nie mieli. A co dopiero czołgów i pepesz. Jediną bronią, jaką armia Beryli miała, było trochę strzelb, które mieszkańcy Czewapiki kiedyś dawno otrzymali od charyniaków w drodze wymiany za cetnary buraków – i to wszystko. Poza tym pozostawały już tylko noże, siekiery, oszczepy, dzidy i zastrzone drągi, karpie na nogach, jedyny egzemplarz sań Orłowa i dziesiątki rąk w jednopalcowych rękawicach, rąk gotowych zrobić wszystko, co tylko Beryła rozkaże.

Pierwszym celem ataku był magazyn *sielsowietu*, a pierwszymi ludźmi, którzy zauważyli zbliżającą się armię, byli Josifowiczowa i Buro.

Buro miał bowiem pewien pomysł, a ponieważ Josifowiczowa uchodziła za najbliższą przyjaciółkę Duńczyka, chciał swoją cichą agitację w poszczególnych chałupach rozpocząć właśnie od niej. Welor akurat był na posiedzeniu *sielsowietu*, w domu Josifowiczów Buro był sam z idiotką i szybko przeszedł do rzeczy. Jowaka początkowo się zachmurzyła, wydawało się, że z czegoś, co Buro powiedział, nie jest zadowolona, a on już zaczął żałować, że tu przyszedł, ale zaraz parsknęła śmiechem. Szturchnęła go szelmowsko, on jej oddał i mimo całej słabości oraz głodu poszturchiwaliby się długo, gdyby Buro nagle nie spostrzegł przez okno tego śnieżnego wału, który się do nich zbliżał. Buraczarze odwalali łopatami śnieg, torując drogę do wsi. Buro i Jowaka wybiegli przed chałupę i wszczęli alarm.

Wszystkie drogi z chałup wiodły pod pomnik bohaterów i tam też w kilka minut zgromadzili się wszyscy. *Sielsowiet* jednak obradował w sali posiedzeń, wskutek czego zebrani pozbawieni byli kierownictwa. Któryś z chłopów wykrzykiwał, że to lawina toczona przez wilki, inny znów, że to maszerujące drzewa. W głodnym zauroczeniu śnieżny mur

można było wziąć nawet za pług „Lenin”, który zjechał z torów magistrali, tłum wygłodniałych ludzi nie ma rozumu. W normalnych warunkach idiotka w parę minut dobiegłaby do budynku *sielsowietu*, ale ponieważ musiała brnąć przez zasy, nie było to takie proste. Wszyscy charyniacy wołali i krzyczeli, lecz zasypane śniegiem okna sali posiedzeń nie przepuszczały żadnych dźwięków. Idiotka torowała sobie drogę łopata, podczas gdy z drugiej strony do magazynu *sielsowietu* zbliżała się armia Beryli; idiotkę i tę armię od *sielsowietu* dzieliła mniej więcej taka sama odległość. Chyba również idiotka nie byłaby bez szans, zwłaszcza że starała się jak mogła. Tylko że całe nacierające siły Beryli miały na nogach karpie – i ostatecznie to przesądziło sprawę. Zanim Josifowiczowa zdążyła załomotać w drzwi sali posiedzeń, buraczarze wybiegli na karpfach zza zasy i nim ktokolwiek w sali zdołał zrobić cokolwiek, magazyn został zrabowany, karabiny porozdzielane między napastników, a śnieg dokoła *sielsowietu* zaczął topnieć, gdyż Beryla wrzuciła do sali posiedzeń napełnioną naftą butelkę zapalającą i budynek stanął w płomieniach. Członkowie *sielsowietu* wybiegli na dwór, Głaznikow i Josifowicz zadęli w róg, dając sygnał do zbiórki zastępom łowców reniferów, w razie potrzeby działającym również jako oddziały samoobrony. Parę strzelb mężczyźni mieli w chałupach, od kobiet dostali pokrywki jako tarcze. Dla hord Beryli mizerny szereg trójnogów nie stanowił żadnej przeszkody.

Bownik brnął przez śnieg najszybciej jak się dało. Nikt nie musiał mu mówić, że to właśnie on jest człowiekiem, na którego berylowcy najbardziej są zawzięci. Ta armia pozszywanych twarzy i kończyn źle zrosniętych po złamaniach dobiegła do niego w pierwszej kolejności. Do tego, kto za łapówki wydawał zezwolenia na wyjazd, tego, kto kosztem ich zdrowia zbudował sobie chałupę trzykrotnie większą od innych. Do niej pobiegli przede wszystkim, lecz tam go nie znaleźli. Bez zastanowienia ruszył w stronę domku Wasylisy. Z przystawionym do głowy pistoletem matka jego syna będzie musiała go ukryć.

Tymczasem w Charyniu rozpoczęło się istne szaleństwo. Śnieg zniknął niczym wywalony i ponownie chowany w ustach język, od buchającego z płonących domów żaru, od sączącej się z leżących wszędzie ciał krwi topniał, tworząc mleczną pianę, a następnie zamarzał w różowawe jeziora, jak gdyby nagle nadeszło lato i zaraz znowu wróciła zima, jakby bieg czasu uległ przyspieszeniu.

Większość rodzin, które od razu usłuchały rozkazu berylowców i w których zarówno młodzi, jak i starzy natychmiast z rękami na karkach ustawili się twarzami do swych chałup, pozostała przy życiu. Kulkę zarobiło stosunkowo niewielu, którzy usiłowali stawiać opór lub pomagać sąsiadom, choć wiedzieli, jaka jest cena mieszkania się w takiej chwili w cudze sprawy.

Podczas gdy większość ludzi czekała, kiedy przyjdzie kolej na nich, złożone z myśliwych drużyny samoobrony ostrzeliwały berylowców z flanki, robiły wypadki i ponownie wycofywały się to do tego, to do owego domu, jeżeli tylko charyniacy odważyli się wpuścić je do wnętrza. Hasło „Otwierać, tu funkcjonariusze *sielsowietu!*”, w normalnych czasach będące w Charyniu zaklęciem jak na komendę otwierającym drzwi wszystkich domostw, teraz nie dawało rezultatu i drużyny charyńskiej samoobrony mogły liczyć tylko na śmiałków, którzy im udzielali schronienia na własne ryzyko.

Jest faktem nieulegającym wątpliwości, że dym unosił się nad Charyniem jeszcze ileś dni po tym, gdy Beryla z resztką swoich ludzi odeszła. Izykił ponoć wiedział, że to się tak skończy, ale Izykił zawsze wiedział wszystko, a nigdy do niczego nie przyłożył ręki. Jeżeli nikt nie zadał mu precyzyjnie sformułowanego pytania, przecucie, jak się sprawy potoczą, zostawiał dla siebie. Jedynie podczas tej wspólnej podróży z Fiedią rozgadywał się jak gdyby sam ze sobą, ale gdy później Fiedia szukał go w Czewapice, nikt nie chciał mu wskazać jego chaty. Był starcem. Bał się. Jego czasy minęły, a w nowych nic nie znaczył, o ile w ogóle kiedyś prosty lud buraczarski cenił ścisły krąg tak wysoko, jak on cenił sam siebie.

Niektórzy z armii Beryli zostali w Czewapice, inni odeszli z nią do tajgi, garstka zapewne powróciła do Czyty. Jeżeli chcieli tylko wymierzyć karę charyniakom, na co buraczarze w Czewapice przez tyle dziesięcioleci nadaremnie czekali z założonymi rękami, licząc na to, że wymierzą im ją rozgniewane duchy tajgi, mogli swoje zadanie uznać za wykonane. Według innej wersji całe powstanie było jedynie zemstą Beryli za brzuch Wasylisy. Za to, co zrobił Bownik jej siostrze. Po kobietach – a więc i po Beryli – żadnej sensownej strategii politycznej nie można się podobno spodziewać. Tak czy inaczej, niegodziwiec Bownik przeczekał całą burzę ukryty w stercie drewna za domem Wasylisy.

Myliliby się ten, kto by uważał, że ten Duńczyk wciąż jeszcze nie myśli o powrocie do domu. Myślał o tym codziennie. Lecz dopiero powoli zbierał się na odwagę i szukał słów, którymi mógłby oznajmić to Saszce. Do Mariane po tym pierwszym liście, który czytała, napisał w zimie jeszcze kilka następnych, ale żaden z nich do Kopenhagi nie dotarł. Stara Irina chowała je na poczcie do szuflady i przekazywała *sielsowietowi*, ponieważ w czasie kryzysu wszystko może się zdarzyć, a głód po ataku berylowców dręczył Charyń jeszcze dotkliwiej niż przedtem. Nie zmniejszyły go ani trochę nawet odznaczenia za męstwo, które *sielsowiet* polecił Burowi wyklepać ze starych blaszanek, bo wszystkie wybite urzędowo już się wyczerpały, po czym odznaczył nimi zwłaszcza tych charyniaków, którzy w czasie ataku obwarowali się na stacji, gdyż większa ich część ruszyła w końcu z pomocą nielubianej skądinąd wsi, a niektórzy nawet przypłacili to życiem. Wydaje się, że tych z mieszkańców Charynia, którzy ukryli się w budynku stacji, ktoś przed atakiem ostrzegł. Kiedy bowiem hordy Beryli zbliżyły się do wsi, wszystkie wejścia były zabarykadowane, okna od wewnątrz zabite deskami, a każdy z obecnych w poczekalni miał w rękę przynajmniej kamień. Czyżby Hablund?

Ciała poległych w walce należały, jak nakazywał dawny obyczaj, do ptaków oddających ostatnią posługę zmarłym. Zawinięte w pozszywane byle jak kawałki płótna zwłoki charyniacy, sami na skutek osłabienia bardziej martwi niż żywi, nieśli w wielkim pochodzie na miejsce wiecznego spoczynku. Hablund jedną ręką podtrzymywał Saszkę, drugą Wasylisę i pierwszy raz od czasu, gdy przybył do Charynia, nawet nie wspomniął o fotografowaniu. Ale spojrzenie, jakim mierzył go Buro, zauważył.

Tutaj Buro nie odważyłoby się szepnąć nikomu do ucha, jaki ma pomysł. Czy zresztą w ogóle można nazwać pomysłem samą odwagę powiedzenia tego na głos? Szacunek dla poległych towarzyszy był jednak rzeczą świętą i Buro również kilka dni potem siedział cicho jak mysz pod miotłą. Potem zaczął tu i tam dowcipkować, żeby sprawdzić, czy nadszedł już właściwy czas i czy czeka się tylko na to, że ktoś się tego podejmie. Chodził po ludziach, nikomu nie musiał nic wyjaśniać. Chałupę Hablunda, jak i parę innych, pomiął. Potem czekano już tylko na okazję.

Na krótko przedtem, nim w chałupie Bownika zgromadził się cały *sielsowiet*, przybiegła do Hablunda zapłakana Wasylisa. Ktoś wślizgnął się do chałupy i ukradł jej chłopczyka. Gdyby dziecko go nie znało, krzyczałoby. Gdyby to był wilk, nie zabrałby dziecka wraz z becikiem. Ale Hablunda nie poruszyło nawet to. Nawet ten kawałek mięsa, który Welor ni stąd, ni zowąd przyniósł z posiedzenia *sielsowietu*, jakby od tygodni nie jedzono już tylko zalewanej wrzątkiem naci ze zgniłych jarzyn. Podczas gdy Wasylisa płakała i wciąż obchodziła okoliczne chałupy, pytając, czy ktoś gdzieś czegoś nie widział, Hablund zabrał się do reperowania wszystkich butów, jakie tylko mieli w domu, licząc na to, że jeszcze zanim wyjedzie, troszkę się Saszce przyda. Zdążył już zrobić wiszącą kołyskę dla chłopczyka Wasylisy, ale to Saszkę raczej rozżłościło.

W ostatnich dniach śnieg i mróz tak bardzo dawały się ludziom we znaki, że wiele rodzin przestało już wychodzić nawet w niedziele po przydziały żywności. Pito gorącą wodę z

roztopionego śniegu, czekano na ratunek, a kiedy pojawiła się gdzieś odrobina mięsa, nikt nie pytał, skąd się wzięła.

Bownik zaprosił Hablunda do swego domu akurat tego dnia, kiedy Duńczyk dumnie odstawił ostatnią parę zreperowanych butów na ich miejsce w sionce.

– W związku z pewną sprawą – wyjaśnił Bownik zaproszenie. Hablund poszedł do niego tym chętniej, że w domu Saszka urządziła mu sceny z powodu jego planowanego wyjazdu. Wykrzykiwała, że przecież jest jej mężem, a takie przysięgi zachowują ważność na zawsze. Hablund nie miał żadnych kontrargumentów. Ze on tego wszystkiego nie traktował poważnie? Że nie ma już na czym filmować, a aparat fotograficzny zostawił w tajdze?

W chałupie Bownika czekał już Buro oraz cały *sielsowiet*. Podczas gdy Wasylisa na próżno dobijała się do czwartej już chałupy, w której nikogo nie było, podczas gdy Saszka w domu właśnie skończyła pakowanie swojego worka na podróż do *Kopiengagienna*, na dworze pod oknem chałupy Bownika tłoczyła się już gromada kobiet. Poszturchiwały się łokciami i następowały sobie na nogi, bo każda z nich chciała widzieć Duńczyka jak najlepiej. Czekano jeszcze na Jowakę. Przywlokła się wychudła, ledwie trzymając się na nogach, z walizeczką instrumentów chirurgicznych Welora.

W chałupie Hablund został rozebrany do naga, umyty, wytarty do sucha i kiedy próbującego stawiać opór mężczyźni trzymali za nogi i ręce, Jowaka wybrała odpowiednie narzędzie, po czym Duńczykowi, który nawet w czas największego głodu wciąż miał te swe piękne ramiona, Bownik poderznął gardło długim kuchennym nożem z drewnianą rękojeścią.

Autorka dziękuje Tomášowi Glancowi za cenne uwagi na temat realiów rosyjskich, Paoli Rossini za cenne uwagi na temat realiów duńskich i Alenie z Enchem za balkon, na którym to wszystko się zaczęło.

Następnie dziękuje The Fonds voor de Letteren (Dutch Foundation for Literature) i Nederlands Literair Productie- en Vertalingenfonds (Foundation for the Production and Translation of Dutch Literature) za stypendium w ramach Amsterdam Residency Programme.

Spis rzeczy

HABLUND

ERSKE

FIEDIA

ERSKE

MARIANE

FIEDIA

HABLUND

MARIANE

ERSKE

FIEDIA

HABLUND

MARIANE

ERSKE

HABLUND

FIEDIA

MARIANE

ERSKE

HABLUND

FIEDIA

ERSKE

HABLUND